



OGNISTE SERCA

SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



OGNISTE
SERCA

SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA





I



Ludwiko, wychodzimy! – krzyknęła Wanda Schulz, zaglądając do drugiej izby.

Pośrodku stała nadąsana jasnowłosa dziewczynka. Zasznurowała drobne usta w geście niemego protestu.

– Dlaczego stoisz boso, Ludwiko? Spóźnimy się do kościoła – ponagliła matka i ściągnęła brwi. – Dlaczego nie idziesz?

Ludwika bez słowa wskazała na skórzany trzewik leżący w kącie. Wanda westchnęła zniecierpliwiona i sięgnęła po but. Gniew odbił się na jej młodej, gładkiej twarzy, gdy spostrzegła, że trzewik jest przedarty na pięcie.

– Gdzie znowu chodziłaś? Byłaś w mieście przy porcie? – zapytała surowo, ale zrezygnowała z dalszego przesłuchania.

Było jej żal córki. Ludwika zapewne dostanie srogie lanie, gdy ojciec dowie się o zniszczonym bucie. Podeszła do wystraszonej dziewczynki. Spojrzała w jej duże, bursztynowe oczy.

– Uważaj, żeby ojciec nie zauważył przedarcia – szepnęła.

Ludwika spojrzała na matkę z wdzięcznością i skinęła głową. Wyszły razem, pilnując, żeby Daniel się nie denerwował.

Była ostatnia niedziela lipca. Żar lał się z nieba, ale niewielkie chmury nadciągały od morza, czasem przysłaniając słońce. We wsi Stare Szkoty panowało ożywienie. Nie dość, że trwały żniwa, to dodatkowo oczekiwano rychłego przyjazdu króla Jana III Sobieskiego do pobliskiego Gdańska. Powiadano, że monarcha nadjedzie najpóźniej z pierwszym tygodniem sierpnia.

Gdańszczanie spodziewali się wiele po tej wizycie. W mieście od dawna trwały spory mieszkańców, a szczególnie rzemieślników i kupców. Wieś, w której mieszkali Schulzowie, co prawda leżała trochę na uboczu, ale ostatnio stała się głównym powodem niezadowolenia. Powstawało w niej wiele towarów, którymi potem nielegalnie handlowano w mieście, pozbawiając zajęcia gdańskich wyrobników. W innych wsiach też grano na nosie mieszczuchom. Kto mógł, ten do woli przemycał, podbierał innym pracę, obniżał ceny. Wielkie się z tego porobiły zwady, aż gdańskie cechy wniosły prośbę do króla, by uporządkował chaos. Problemów było więcej, a każdy mnożył się nieskończenie. Ulice wypełniły się rozgoryczonymi luteranami, katolikami i kalwinistami, a wszyscy plątali się we wzajemnych nieporozumieniach. Gdańszczanie denerwowali się, że władze, pobierające wysokie wynagrodzenia, dla zwykłych ludzi miały jedynie zimną obojętność. Gorycz wylewała się ze straganów, wozów handlowych i zakładów rzemieślniczych. Choć od dawna Szwedzi nie zagrażali miastu, Rada nie zniosła akcyz, uchylając pobratymcom tylko dodatkowe opłaty za drogie wina, ocet czy miód pitny.

Jeden drugiemu zabierał pracę, a ceny produktów wciąż rosły. Od czasu wojny ze Szwedami ludzi ubyło, a klienci pouciekali lub przenieśli się za miasto. Próżno Rada przekonywała mieszkańców, że nie może działać poza Gdańskiem, ani zakazać wieśniakom handlu czy rzemiosła – zewsząd

żądano zmian. Rywale skakali sobie do gardeł, w mieście wrzało. Złość psuła atmosferę największego portowego miasta Rzeczypospolitej.

Stare Szkoty, na które pomstowano najbardziej, bo stanowiły mocną konkurencję, rozkwitały. Wieśniacy płacili za utrzymanie mniej niż gdańszczanie, a poza tym mogli kupić to, co im odpowiadało, bez potrzeby gnania do miasta. Niższe ceny kusily. Co złośliwsi powiadali po cichu, że piwa i chleby szkockie są najsmaczniejsze. Głosy te dochodziły do gdańskich browarników i piekarzy. Wygrażali pięściami, pilnując mściwie, żeby żaden zamiejski wyrobnik czy kupiec nie pojawił się w mieście.

Wieśniacy obserwowali próby z politowaniem, śmiejąc się do rozpuku. Władze Gdańska nie mogły ograniczyć przemytu wyrobów, choćby nawet podwoiły straż u bram miasta.

– To nie ich rzecz – powiadano. – Szkotami rządzi biskupstwo włocławskie i tylko ono może zakazać nam pracy. Ile jednak pieniędzy straciłyby święte niebożęta!

To samo mówili bednarze w Chełmie, krawcy w Siedlcach i rzeźnicy w Chmielnikach. Wiejskie wyroby zalewały Gdańsk.

Tymczasem mąż Wandy, Daniel, ostatnimi czasy zrezygnował z pracy w szkockiej karczmie, aż wszyscy we wsi się zadziwili. Każdy lubił szorstkiego Schulza, który język miał cięty ponad miarę, więc niejednemu jego słowa w pięty poszły. Wydawało się, że i on lubi życie karczmarza. Jednak od jakiegoś czasu czuł, że wszędzie mu ciasno, dusił się okrutnie w małej społeczności. Niezrozumiałe dla wieśniaków stały się jego dziwactwa. Według miejscowych pożegnał się z rozumem, a powtarzano to, odkąd zaczął wychwalać pracę w Gdańsku, krytykując podmiejskich rzemieślników.

– Z osłem się zamienił rozumem. Wariat jaki! – grzmiał Jan Roznerek.

Był to bystry wieśniak, dość biegły w handlu. Szczerze gardził ludźmi, którzy do niczego w życiu nie doszli, ale najchętniej rozmawiał z Wawrzynem Modłym, choć jego rodzinie nic nigdy nie wychodziło.

– Jeszcze nam Schulz na luteranizm przejdzie – żartował Modły.

Lubił pokazywać się w towarzystwie Roznerka. Chciał, żeby ludzie mu zazdrościli, ale żaden wieśniak nawet nie zamierzał się na niego oglądać. Wawrzyn Modły miał poczciwą uległą duszę, z pracą jednak szło mu opornie. Żona codziennie wyganiała go z domu, rzucając za nim nieświeżą rybę.

– Posil się, żeby mieć siłę. Moc pieniędzy potrzeba.

Modły najpierw chował rybę w kieszeń, po czym zachodził na łąki, leniąc się tam okropnie. Gdy już uznawał, że przyszła pora na coś pożytecznego, otwierał małą budę stojącą zawsze w tym samym miejscu na uboczu. Nigdy nie można było przewidzieć, kiedy Wawrzyn zjawi się w pracy, więc zachodzono do niego rzadko. Przez to uskarżał się w chacie na swą niedolę. Prawie każdego dnia musiał uchylać się przed ciosami korpulentnej żony, która wygrażała mu drewnianą łyżką za to, że znów przyniósł po całym dniu mniej niż piętnaście groszy. Raz nawet wygoniła go z domu i kazała nocować na przyzbie, bo wrócił z niczym. Majowe słońce przygrzało wówczas porządnie i Modłemu zebrało się na sen. Obudził się dopiero po południu. Dobiegł do budki, ale pech chciał, że wszyscy kupili już, czego potrzebowali.

Roznerek i Modły od lat utrzymywali stosunki władczo-poddańcze, bo obaj chcieli tą znajomością podbudować samoocenę. Daniel Schulz bacznie obserwował tę dziwną przyjaźń, a przy tym zdawał się nie zważać na rosnącą krytykę ze strony chłopów. Wanda hamowała temperament męża, powtarzając, że w Starych Szkotach oddycha się przyjemniejszym

powietrzem, a koszt utrzymania jest niewielki. Nie rozumiała zacięcia Daniela, a ambitna arogancja męża zaczynała ją niepokoić.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Wanda chciała pozostać na wsi. Bała się, że ktoś ją rozpozna. Po prawdzie obojgu powinno zależeć na anonimowości. Nie była to bowiem zwykła familia, tylko dwoje obcych ludzi dla pozorów tworzących więzy. Wanda od dawna robiła wszystko dla zachowania spokoju – założyła rodzinę, wychowywała córkę, pracownice służyła w domu i na polu.

Daniela Schulza poznała jedenaście lat wcześniej, gdy szwendała się po wielkopolskich puszczech. Niespokojne czasy przyciągały na trakty wielu hultajów i dzikich wędrowców. Nastoletnia Wanda niechybnie zginęłaby z rąk bandytów, gdyby nie pomoc ciemnobrewego, starszego od niej człowieka doświadczonego w tułaczce. Daniel podzielił się z nią mięsem i pozwolił usiąść przy ognisku. Nie pytała go o cel wędrówki, pewna, że go nie ma. Jakież było jej zdziwienie, gdy czarnowłosy mężczyzna zaproponował jej założenie rodziny na dalekiej północy. Zdumiona patrzyła na jego surową twarz oświetloną płomieniem ognia. Grube brwi nadawały obliczu srogiego wyrazu, a ciemne oczy podkreślały wrażenie. Tliło się w nich coś niepokojącego, lecz Wanda nie potrafiła nazwać tej nieuchwytniej iskry podobnej do agresywnego żalu pozbawionego litości.

Daniel miał potężną szczękę i gęsty zarost, który z rzadka przycinał tępą brzytwą. Jadł niechlujnie, ale w zachowaniu widać było resztki dawno zapomnianych manier. Wanda spostrzegła, że nie jest to człowiek całkiem dziki, a właściwie nawet gardzący swoim położeniem. Tamtej nocy wstrzymała się od odpowiedzi i bacznie obserwowała przyszłego męża. On też patrzył znad ogniska na jej bladą twarz, odczytując z oczu strach przed przyszłością.

– Nie chcę żyć jak hultaj. Chciałbym mieć rodzinę, chatę i pole – przekonywał.

Czuł, że za Wandą ciągną się niedokończone sprawy z przeszłości, ale nigdy nie zapytał jakie. Niewiele go to obchodziło. Potrzebował ożenku, by wrócić na północ Polski, gdzie spędził z rodzicami dzieciństwo. Chronił Wandę przed wilkami, wybił też kilka zębów hultajowi, który umizgiwał się do niej. Jedzenie zdobywał łatwo, potrafił świetnie kraść mięso z wozów lokalnych rzeźników. Raz nawet natknęli się na szlachecką kolumnę jadącą głównym traktem. Wtedy Daniel, niechybnie ryzykując głową, ukradł winogrona z ostatniego powozu.

Gdy dotarli pod Gdańsk, Wanda była pewna, że bez Schulza nie przeżyje kolejnego miesiąca. Nauczył ją co prawda tajników przetrwania w głuszy, odstraszenia wilków i zbierania ziół, ale bez silnej ręki, zdolnej odeprzeć ataki, nie mogła być pewna swojego losu. Starła się odpędzić od siebie złe myśli – nie takiego życia oczekiwała.

Wkrótce Wanda Sobótko, córka łodzianki skazanej za czary, zmieniła nazwisko i osiedliła się z mężem blisko Gdańska – w Starych Szkotach. Mimo stabilizacji wciąż dręczyły ją koszmary, często się zamyślała. O przeszłości wolała nie wspominać, nie знаła też przewinień i prawdziwej natury Daniela.

Ojciec Ludwiki miał silną, skorą do bicia, rękę. Rzemienia używał chętnie, karcąc córkę za najmniejsze przewinienie. Dziewczynka wolała się więc nie odzywać, nauczyła się za to przytakiwać i bez słowa spełniać żądania rodziców. Jednak w głębi serca marzyła o wolności. Jej namiastkę dawał Ludwice Florian Stein, dwunastoletni chłopiec mieszkający w Gdańsku. Mała Schulzówna wymykała się z domu, kiedy tylko mogła, i czekała przy porcie na przyjaciela.

Teraz też myślała o Florianie. Siedziała w kościele i próbowała skupić się na kazaniu, ale w ogóle jej to nie wychodziło. Wiele myśli przemykało przez dziewczęcą głowę. Raz zastanawiała się, kim Florian będzie, kiedy dorośnie; później z rozmarzonym spojrzeniem wodziła po kościelnej posadzce, na którą padały słoneczne refleksy. Wpychały się do kościoła przez okna i otwarte drzwi. Gdy tak się rozglądała, napotkała surowy wzrok ojca niezadowolonego z dziecięcej ciekawości. Roztrzepanie Ludwika wyraźnie krytykowały wzrokiem również wiejskie baby.

Dziewczynka przylgnęła mocniej do matczynego ramienia, ale nie znalazła w Wandzie pocieszenia. Coraz bardziej wierciła się w ławie.

Znikąd zrozumienia, chociaż tak bardzo się staram, myślała w popłochu, zastanawiając się, czy ojciec sięgnie w domu po różgę.

Choć była dzieckiem spokojnej i czynnej natury, czasem odzywała się w niej krnąbrna ciekawość świata umykająca schematom. Tę cechę odziedziczyła po matce. Jednak przede wszystkim obserwowała, a nie działała, zdając sobie sprawę, że dziewczynka w świecie męskiej dominacji znaczy niewiele.

– Nie rozumiesz, że przyjeżdża do nas król? Jak będziesz niegrzeczna, to go nie zobaczysz. Zostaniesz sama w chacie... A może pójdziesz z nami? Król ujrzy cię w tłumie i pogrozi palcem. Jak nie będziesz grzeczna, to cię wtrąci do lochu – mówił później ojciec.

– Jaki on jest, ojczy? – zapytała Ludwika nieśmiało.

Daniel westchnął poirytowany. Groźby nie zrobiły na córce oczekiwanego wrażenia.

– Powiadają, że jest mądry i sprawiedliwy – stwierdził.

Była to jednak część prawdy. W Gdańsku aż wrzało i mieszkańcy zastanawiali się, jaki właściwie jest Jan Sobieski. Rzemieślnicy, którzy nie mogli doczekać się jego przyjazdu, powiadali, że jest ich wielkim

przyjacielem, a zatem człowiekiem rozumnym, umiejącym rozwiązać problemy cechów. Uważali go też za niezłomnego w decyzjach i zacierali ręce na myśl o tym, że najmożliwiejsi będą musieli się go posłuchać. Władze Gdańska, zwłaszcza zaś Rada, oczekiwały rychłej wizyty króla z niechęcią, a nawet strachem. W patrycjuszowskim kręgu powiadano, że monarcha stoi po stronie rzemieślników, brata się z ludem i nie będzie innego wyjścia niż zatwierdzić wszystko, czego sobie zażyczy.

Daniel Schulz znajdował uciechę w próżnym podsycaniu niechęci. Sam był chłopem pragnącym nająć się do pracy w mieście jako partacz. Szukał wszędzie lepszego zarobku i możniejszych wpływów, choć z początku wystarczyły mu chata, żona i pole. Oczekiwania zmienił po czasie, gdy zrozumiał, że dla świata niewiele znaczy jego codzienny trud. Ugodzona ambicja domagała się zmian, a mogły się one dokonać tylko poza Szkotami. Schulz zaczął powtarzać, że Heweliusza czy Breynego wszyscy po śmierci będą pamiętać, a jego zakopią w brudnym piachu, wetkną u wezgłowia drewniany krzyżyk i tyle z tego będzie. Wanda ze strachem słuchała tych słów, a gdy przekonała się, że mąż nie odpuści, próbowała wszelkimi sposobami przekonać go do swoich racji.

– Błagam cię – mówiła ze łzami w oczach – trzymaj się roboty poza miastem, bo inaczej ściągniesz na nas kłopoty. Pomyśl o mnie i o Ludwice. Nie pchaj się do miasta i nie podburzaj rzemieślników. Występujesz przeciwko sobie.

– Nie wiem, co nabroilaś, że musiałaś się tułać po całej Polsce, ale wiem jedno – ty byś zdechła beze mnie, więc siedź cicho i bądź posłuszna, bo nic ci nie grozi. Jesteś teraz Wanda Schulz, a Schulzowie o swoje sprawy i rodziny potrafią zadbać!

Podobna rozmowa odbyła się między małżonkami w ową ostatnią niedzielę lipca. Surowa, wciąż przystojna twarz Daniela Schulza zwrócona

w stronę Wandy wyrażała pogardę.

– Za cokolwiek cię ścigali kiedyś – podkreślił, że jest świadomy ciężącej na Wandzie winy – teraz nie mają kogo dręczyć. Masz nowe nazwisko i męża, który pokaże wszystkim, że jest kimś! Nie obchodziła mnie nigdy twoja przeszłość. Może kogoś zabiłaś, a może oszukałaś, ja się do tego nie mieszam. Ale za dobroć i wyrozumiałość oczekuję szacunku. Gdyby cię prześladowcy mieli szukać, dawno by się rozmyślili, bo to jest podobne do szukania igły w stogu siana.

– Na uboczu jest lepiej, Danielu – przekonywała Wanda – a ja widzę, że ciebie ciągnie do pracy w mieście. Dlaczego nie chcesz tu zostać? Wszystko w Szkotach kwitnie, ludziom się zajęcie w rękach pali.

– Mam przez całe życie być marnym karczmarzem? Chcesz ode mnie, żebym do ostatniego oddechu dolewał chłopom piwa? Do Szkotów nawet drobna szlachta nie przyjeżdża. Panoszą się możni po Gdańsku, więc tam najszybciej się można dorobić. Wystarczy tylko nawiązać jakąś znajomość, a później ciężko pracować, kiedy dadzą szansę.

Wanda chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zdążyła tylko otworzyć usta. Daniel walnął pięścią w ławę i podniósł się gwałtownie.

– Idę spać. Zdmuchnij świecę – polecił.

Ludwika nie spała. Słyszała kłótnię rodziców i arogancja ojca ją poruszyła. Daniel był szorstki w obyciu, ale zazwyczaj dawał się przekonać. Tym razem jednak trwał uparcie przy swoim. Dziewczynka zdawała sobie sprawę, że w domu nie dzieje się dobrze. Kolejny raz zamarzyła o dorosłości – chciała żyć bez widma rzemienia. Jako dorosła mogłaby spotykać się z Florkiem jawnie, nie potrzebując zgody rodziców na zawieranie znajomości w mieście. Obiecała sobie, że nazajutrz pobiegnie nad Motławę zobaczyć przyjaciela.

Nagle nastąpiła ciemność – Wanda zdmuchnęła świecę. Jeszcze przez chwilę siedziała przy ławie, opierając się o nią łokciami. Podparła czoło dłońmi i pozwoliła sobie na chwilę samotnego zamyślenia. Zastanawiała się, kiedy Daniel ściągnie ambicją na rodzinę nieszczęście. Chociaż pragnęła wolności od lęku, czuła, że nigdy się z niego nie wyzwoli, a zmiana nazwiska i chaty niczego nie poprawiły. Wciąż była tą samą Wandą Sobótko, co jedenaście lat wcześniej.

II



Burze leniwie przetaczały się przez Prusy Królewskie. Nad Rzeczpospolitą unosiło się duszne powietrze, od którego kręciło się w głowach. Sosnowe zagajniki rozpościerały się na piaszczystej nieuprawianej ziemi i drzewa wystawiały czubki ku niebu. Słońce zachodziło kapryśnie, chowając się za chmurami, z rzadka ukazując światu pomarańczową tarczę.

Tu czekały wojska królewskie. Wprawdzie nikt nie wiedział, w jakim celu Jan III kazał je wyprawić, ale żaden żołnierz nie śmiał kwestionować rozkazu. Konrad Jezierski uspokajał bułanego konia, trzymając go mocno za uzdę i gładząc miękkie pysk. Chrapy ogiera rozszerzały się równomiernie i zwierzę rżało cicho, rzucając w tył pięknym łbem.

– Boi się czegoś. Pewno wilki tu zachodzą – zagadnął jeden z oficerów.

– Czekamy za długo, więc się niecierpliwi – odpowiedział Jezierski.

– Chciałby w bój – roześmiał się oficer.

Po co król mnie tu ściągnął? – zastanawiał się Konrad.

Kiedy usłyszał w lutym rozkaz zajęcia królewskiego nadwiślańskiego lasku w Prusach, poczuł niepewność. Sobieski od lat trzymał go przy sobie, a teraz wyprawił na nieznaną ziemię, z daleka od Warszawy.

Chce się mnie pozbyć, nie ufa mi, pomyślał i poczuł gniew.

– Nie ma co się trapić, nadpłynie! – krzyknął za nim oficer, ale Konrad nie odpowiedział. Dosiadł konia i popędził go kłusem w stronę leśnej ścieżki. Głowę miał zaprzątniętą sprawami państwa.

Sobieski popełnił błąd, wysyłając najwierniejszego sługę gdzieś w Prusy. Na palcach obu rąk można policzyć sprzymierzeńców, którzy mu pozostali, dumał, ściągając cugle.

Konrad martwił się i o własną pozycję przy królewskim boku, i o monarchę. Jan III miał wokół siebie więcej wrogów niż przyjaciół, a odprawiając wiernego żołnierza, zmniejszał jeszcze bardziej przyjazne szeregi. Niezadowoleni z rządów monarchy co rusz spiskowali, do tego w paskudny sposób. Właśnie teraz należało działać ostrożnie. O tym wszystkim dumał Konrad, ale nie mógł przekazać przemyśleń królowi. Nie ufał posłom, więc jeśli słał do Warszawy wieści, zawsze ograniczał się do ogólników.

Zsiadł z konia i uwiązał go przy drzewie. Wyciągnął się na wyschniętym mchu, oparł głowę o cienki pień sosny, po czym zaczął rozmyślać o żonie i dzieciach, które zostały w litewskich dobrach. Katarzyna nie była pierwszej młodości, ale jej uroda wciąż jaśniała pośród innych szlachcianek.

Cisza sprzyjała rojeniom. Konrad przypomniał sobie pamiętny dzień, kiedy Andruszkiewiczowie przyjechali do Chojen, wsi Jezierskich, i zgodzili się na połączenie rodów. Katarzyna zachwyciła wówczas nie tylko jego, lecz także rodzicieli i służbę. Wychowanie szlacheckie ukazywało charakter, który współgrał z delikatną, ale zadziorną urodą – ciemnymi warkoczami, regularnymi rysami i brunatnymi tęczęwkami otoczonymi powiekami w kształcie migdałów.

Choć Konrad lubował się w przeszłości, wspomnienie sprawiło mu ból. Zawsze czuł się źle, kiedy przypominał sobie Chojny. Folwark już nie

istniał, a wieś została dawno sprzedana. Nie żył też ojciec Konrada – Karol Jezierski. Raniony przez rokoszan za zdradę, padł martwy, ratując syna.

Od tamtej pory wiele się zmieniło. Abdykował król Jan Kazimierz, do którego Jezierski stracił serce po bitwie z rokoszanami. Potem nastąpiły chwiejne czasy Michała Korybuta Wiśniowieckiego – władcy, w oczach Konrada tak nieudolnego, że pozostawało usunąć się w cień, wypełniając dalej żołnierskie powołanie. Fortuna znowu zwróciła oblicze ku Jezierskiemu, gdy spełniło się jego ciche marzenie – nowym królem obrano Jana Sobieskiego. Od tej pory Konrad służył gorliwiej, hardziej rzucał się w bój, a obowiązki wypełniał z oddaniem. Szybko stał się zaufanym sługą i monarcha mianował go chorążym koronnym, a później nadał jeszcze inne tytuły.

Konrad ocknął się z zamyślenia. Słońce zaszło i lasek spowiała przyjemna szarość letniego wieczoru. Powietrze było wyjątkowo świeże. Chorąży odwiązał konia i poprawił siodło, słysząc podniesione głosy dochodzące z brzegu Wisły. Dosiadł ogiera i puścił go szybkim kłusem, zastanawiając się, dlaczego w obozie podniesiono wrzawę.

Gdy tylko wyjechał z zagajnika, zauważył na Wiśle łodzie. W boczne otwory powtykane miały pochodnie, a łuna, która z nich biła, ukazała żołnierzom twarze dworzan i sług królewskich. Niektóre łodzie wypełniały jedynie kosztowności, w innych był zaś prowiant. Przy brzegu zapanowała atmosfera podniecenia, wypatrywano króla.

– Najmiłościwszy pan przyplynał! – krzyknął do Konrada jeden ze strażników.

Konrad osłupiał, bo nie spodziewał się tak rychłego przybycia monarchy. Ze ściśniętym sercem wypatrywał, w której łodzi siedzi Jan Sobieski. Wodził oczami po znanych i nieznanym twarzach, a uśmiech powoli wstępował na jego piękną twarz. Patrzone również na niego,

ponieważ powszechnie uważano, że Konrad Jezierski to jedna z potężniejszych postaci w Rzeczypospolitej. Byli tacy, którzy mu zazdrościli i tacy, co uwielbiali jego rozumną, wesołą naturę. Nikt nie przechodził obojętnie obok chorążego.

Pochodnie gorzały nad zmarszczoną taflą wody, a szum rzeki potęgował w Konradzie uczucie napięcia. Wyteżył wzrok. Gdy gasła powoli nadzieja na ujrzanie monarchy, wreszcie go dostrzegł. Westchnął uspokojony, widząc otyłą, roslą postać siedzącą w większej łodzi razem z piękną małżonką i pierworodnym Jakubem.

Jan III miał silne ramiona, a oblicze łagodne, ale stanowcze. Ubrany był w polski strój przetykany złotymi nićmi. Widać było od razu, że nie byle kto odwiedza żołnierzy. Powiadano wszem i wobec, że fortuna królewska mogłaby zasypać całą Warszawę, choć malkontenci spekulowali, czy na pewno wszystkie dobra Sobieski pozyskał zgodnie z prawem.

Tą samą łodzią płynęła ciężarna małżonka monarchy – Maria Kazimiera Sobieska, niegdyś d'Arquien, zwana przez męża Marysieńką. O jej cudownej urodzie mówiono powszechnie; kochali się w niej magnaci, a dziewczki podziwiały gładką cerę, prosty nos, kształtne usta i filuternie uwydatniony podbródek nadający królowej zadziornego rysu. Monarchini olśniewała też ciemnymi zdrowymi włosami, o które dbano lepiej niż o dworskie konie. Kaskady loków spływały Marysieńce lekko aż na brzuch, niekiedy zaś upinano je w fantazyjne fryzury i przewiązywano kokardami kolorem pasującymi do delikatnej urody. U nasady wsuwano zaś ozdoby z drogich kruszców. Ciemne oczy królowej patrzyły zadziornie, lecz łagodnie. Świadoma nieprzeciętnej urody potrafiła być urocza, wyjednując łaski u każdego. Mąż też był gotów służyć jej na skinienie palca, co często wypominali mu przeciwnicy.

Królowa nie była przy tym kolejną bezbronną istotą posłusznie wypełniającą narzucone jej role. Miała ponadprzeciętną siłę, dzięki której wpływała na polityczne decyzje. Wzmacniała w mężu poczucie słuszności, kiedy się wahał, stanowczo wspierała stanowisko profrancuskie, za nic mając wściekłość malkontentów sugerujących, by milczała. Był to bowiem męski świat, w którym zazdrośni dostojnicy bronili własnych racji, wyśmiewając kobiece zaangażowanie polityczne.

Na spokojnej Wiśle zapanował harmider, bo kolejne łodzie dobijały do brzegu. Służba wysiadała z nich, chwiejąc się, i wyładowywała towary na brzeg. Długa podróż wymagała wielkich zapasów, więc na łodziach piętrzyła się nie tylko żywność, lecz także rozmaite dobra królewskiej pary i królewicza Jakuba. Wśród nich lśniły ozdobne szaty, pasy i przedmioty codziennego użytku. Śmiano się w Rzeczpospolitej, że Sobieski z byle szklanicy nie wypije nawet łyka wina.

Konrad zsiadł z konia i poszedł przywitać monarchę. Wzruszył się przy tym, bo Sobieski wyraźnie na niego czekał.

Czyli jednak nie słuchał złych podszeptów i nadal mi ufa, pomyślał Jezierski.

– A! Oto mój chorąży – uśmiechnął się król na widok Konrada.

Sobieski był otyły, ale krzepki. Ogromne ramiona potrafiły utrzymać najcięższe szable, więc wrogowie Rzeczpospolitej słusznie się go bali. Król chodził zawsze wyprostowany i dumny. Był świadomy nazwiska, które nosi, choć magnaci z częścią szlachty rzucali mu kłody pod nogi. Wydawało się, że nawet teraz monarcha nie przybył tylko po to, by odpocząć w drodze do Gdańska. Wziął Konrada na stronę i przyjrzał mu się uważnie w ciemności.

– Jak minęły ci tygodnie z żołnierzami? – zapytał.

– Ciężko, wasza królewska mość. Niecierpliwia się. Chcieliby wiedzieć, czemu zostali tu wysłani – rzekł Konrad.

– Mimo to obóz jest w dobrym stanie. Utrzymałeś wśród żołnierzy dyscyplinę, Konradzie, wiedziałem, że podołasz zadaniu. To są trudni żołnierze. Świetni w boju, ale niełatwi w utrzymaniu posłuszeństwa.

Konrad wiedział, co król ma na myśli. Wśród żołnierzy zdarzali się buntownicy walczący o wolność szlachecką przeciwko królewskiej władzy. Od lat nie zmienili nastawienia, obawiając się, że stracą przywileje, i Sobieski zagarnie całą władzę. Konrad dobrze znał ten problem – lata wcześniej jego ojciec popierał rokosz Lubomirskiego przeciwko Janowi Kazimierzowi.

– Mam dla ciebie zadanie najważniejsze ze wszystkich... – zaczął Sobieski, spoglądając w twarz Konrada.

Chorąży ukłonił się i ucałował królewską dłoń. Był uradowany, czuł, że spada mu z serca ogromny gład. Jeszcze godzinę wcześniej przypuszczał, że został odesłany z dworu z powodu fałszywych podszeptów brandenburskich i polskich nieprzyjaciół.

– To, co ci powiem, winno pozostać w sekrecie. Nie wolno ci nikomu o tym mówić, rozumiesz? – zapytał niepewnie Sobieski.

Choć Konrad gorąco potwierdził, król przez chwilę stał niezdecydowany. Rozejrzał się nieufnie i poprawił brązowy szeroki pas przetykany złotem.

– Nie płynę do Gdańska tylko po to, by rozwiązać problemy miasta i zatwierdzić jego przywileje – powiedział cicho.

Konrad milczał.

– Podpiszę w Gdańsku traktat ze Szwedami. Chcę wydrzeć Brandenburgii Prusy Książęce.

– Ależ wasza królewska mość – szepnął Konrad oszołomiony. – Ze Szwedami?!

– Tak, Konradzie. Tego wymaga dobro Rzeczypospolitej – oznajmił chłodno Sobieski. – Na razie trzymam to w sekrecie, niewiele osób wie, co zamierzam. Liczę, że tak pozostanie. Malkontenci nie mogą się o niczym dowiedzieć przed przypieczętowaniem traktatu.

Konrad przeraził się, choć jednocześnie rozumiał królewski tok myślenia. Sobieski miał tylu wrogów skrycie popierających politykę brandenburską, że nie nadązał ich liczyć. W dodatku Brandenburczycy zaatakowali niedawno szwedzkie miasto Szczecin, więc połączenie sił jawiło się jako korzystne dla obu państw. Jednak podpisanie traktatu ze Szwedami, z którymi jeszcze niedawno Polska toczyła wojny, tak zdumiało Jezierskiego, że zaniemówił. Chęć wydarcia Prus Książęcych, niedawno odebranych Polsce, podobała się chorążemu, lecz wykorzystanie nieprzyjaciela do tego celu było ryzykowne. Konrad podejrzewał, że stronnictwo brandenburskie znienawidzi Sobieskiego za pomysł, a argumenty, które wytoczy, rychło padną na podatny grunt.

– Tego wymaga dobro Rzeczypospolitej – powtórzył Sobieski stanowczo.

Ani jedna fałszywa nuta nie wybrzmiała w jego głosie. Król za wszelką cenę chciał dopiąć swego. Przeszkodą była niechęć polskiej magnaterii i części przekupionej szlachty. Sobieski wbił wzrok w ziemię i czekał na to, co powie chorąży. Miał do Konrada ogromne zaufanie, ale widział niechętnie zdumienie odbijające się na twarzy wiernego żołnierza.

– Oczywiście, wasza królewska mość. Czy jest coś, co mógłbym zrobić dla tej sprawy? – zapytał gorzko.

Sobieski spojrzał łagodnie na Jezierskiego i uśmiechnął się mimo woli. To Konrad uratował go kiedyś po bitwie pod Mątwami, gdy tonął

w bagnistej Noteci.

– Byłem jeszcze hetmanem, kiedy razem walczyliśmy – przypomniał. – Wtedy mnie uratowałeś. Od tamtej pory mam u ciebie dług. I wiem, że nie spłacę go, choćbym ci dał buławę. Ci, którzy uważają, że zamiast mnie są u władzy nad Rzeczpospolitą, myślą się. Pierwsi będą ostatnimi.

– Dostałem już wiele, najjaśniejszy panie. Twój majestat i geniusz wojskowy podziwiają wszędzie. Nawet Pacowie muszą ci się poddać – odpowiedział Konrad.

– Uczynią to, Konradzie. Ty umysł masz świątły, niezamknięty w zabobonach, duszę zaś oświeconą dobrem i nauką wszelaką. Nie odtrącasz biednych, rozumiesz innowierców. Twój geniusz również zna całą Rzeczpospolitą... A jednak widzę, że nie jesteś przekonany do traktatu ze Szwedami. Mów otwarcie, jak zawsze.

Konrad zamyślił się. Przypomniał sobie, że walczył ze Szwedami jako dzieciak. Obok niego ginęli dobrzy żołnierze. W trudnej wojennej rzeczywistości poznał tajniki bitewne, ale zabici śnili mu się jeszcze długo. Potem było wiele różnych walk toczonych zawsze z podobnym zacięciem. Konrad ufał, że jeśli Sobieski mówi o sztuce wojennej, to tak być musi, a jakiegokolwiek odstępstwo to policzek dla geniuszu taktycznego. Poważał wykształcenie króla, biegłość w obcych językach, a największą zaletę upatrywał w tym, że przeczytał moc ksiąg rozmaitych. Jezierski wiedział, że ten, kto dużo przeczytał, sporą ma wiedzę o świecie, zatem Sobieski mieć musiał nie tylko talent, lecz także chłonny rozum. Drażniło to jego nieprzyjaciół, lecz wzbudzało sekretny podziw nawet wśród największych malkontentów.

– Jeśli wymaga tego dobro Rzeczpospolitej – zaczął z trudem – to gotów jestem służyć.

Sojusz z dawnym wrogiem, który zabijał jego przyjaciół, niekiedy rówieśników, a więc młodzieńców ledwie wprawionych w bój, brzydził go jednak niepomrotnie. Spróbował zahamować obawy, wierząc w zwycięstwo Sobieskiego nad Brandenburgią.

– Prusy trzeba odzyskać. Rozkazy dotyczące wojska przekazesz innemu dowódcy i pojedziesz ze mną do Gdańska. Chcę cię mieć przy sobie. To nie będzie łatwa wizyta i dużo od niej zależy. Tu muszą zostać żołnierze, by w razie potrzeby ruszyć na Prusy ze Szwedami – powiedział król.

Wpatrywał się spokojnie w niepewny grymas chorążego, skrycie podziwiając go za oddanie. Wkrótce czekał ich Gdańsk ze wszystkimi problemami, których nie mogli rozwiązać potężni rajcy, ławnicy czy Trzeci Ordynek. Rada Miejska nieprzychylnie patrzyła na przyjazd króla, spekulując, czy Sobieski planuje pokojowe pertraktacje.

Wyruszyli nad ranem. Konrad wszedł na niewielką łódź, którą spuszczone na wodę zaraz po królewskiej. Przekazał dowództwo młodemu kuzynowi Dymitra Wiśniowieckiego i pożegnał żołnierzy. Miał mieszane uczucia, ale zdał się na los.

Woda kołysała przyjemnie i wkrótce Konrada zmorzył sen. Oparł głowę o ściankę niedużej łódki. Przez chwilę słyszał plusk wody poruszanej wiosłami, potem poczuł na twarzy i smukłej szyi ciepłe promienie słońca wychodzącego zza chmur. Lekki wietrzyk delikatnie pląsał w jego włosach. Usnął prędko niesiony wyobrażeniami stworzeń kryjących się w odmętach Wisły.

We śnie zobaczył stary folwark w Chojnach i na ten widok serce zabiło mu szybciej. Okolicę porastały znajome sosny rosnące rzadkimi rzędami na piaszczystym terenie. Konrad odwrócił się wzruszony, spoglądając z rozrzewnieniem na rozległe pola i biedne chaty wieśniaków w dali. Kłosa żyta powiewały przy lekkim wietrze i chorąży czuł, że jeszcze wszystko

może być inaczej. A zatem inaczej może potoczyć się to dziwne, niełatwe życie. Za wcześnie, by Karol Jezierski szedł na śmierć za syna, za wcześnie na jesień życia po żniwach.

Konrad stał przed folwarkiem, chłonąc ciepłe słońce. Promienie ogrzewały okryte plecy szlachcica, muskały blady kark i włosy. Odczuwał niepokój, bo wiedział, że jeśli otworzy drzwi, w sieni zastanie ojca. Bał się zatem wejść, a jednocześnie chciał się rozmówić. Niewyjaśnione pytania, pozostawione bez odpowiedzi w gardzieli śmierci, piętrzyły się niczym spienione fale. I znikąd ojcowskich wskazówek, jak żyć, a jak nie postępować. Dumał tak, aż w końcu zdał sobie sprawę, że śni; mocno postanowił się nie budzić.

Przyływ świadomości sprawił, że mara zbladła i straciła ostrość. Jeszcze przez chwilę obraz migotał w zawieszeniu, lecz im bardziej umysł walczył, tym szybciej zjawa rozpływała się w ciemności. Konrad trwał w poczuciu beznadziei, że sen rozmywa się, a on zostaje z jasnym umysłem i nie umie temu zapobiec. W ostatnim porywie żalu podbiegł do blaknących drzwi i otworzył je.

Nagle cicho westchnął między snem a jawą, bo rozmywający się obraz niespodziewanie ukazał nie ojca, lecz łodziankę Wandę Sobótkównę jak żywą. Popatrzył w jej smutne chabrowe oczy, ogarnął wzrokiem kruche rysy i jasne kształtne usta, po czym oprzytomniał, zrywając się na łodzi.

– Jezus Maria! – krzyknął stary wioślarz, trzymając się desek. – Niechaj jaśnie pan tak gwałtownie nie wstaje.

Konrad obrzucił skurczonego mężczyznę ostrym spojrzeniem i wychylił się z łodzi. W tafli zobaczył zalęknione oblicze. Twarz jaśniała migotliwie w odbijających się słonecznych promieniach.

Młody Konrad Jezierski wyglądał dokładnie jak przed laty, przybyło mu jedynie mięśni, a ramiona zrobiły się mocniejsze. Nadal podobał się

niewiastom, może nawet bardziej niż kiedyś. Skroni nie dotknął jeszcze siwy włos, równe wąsy dodatkowo zdobiły lico. Przymknął szaroniebieskie oczy tak uwielbiane przez damy dworu. Zanurzył w rzece szerokie dłonie aż po łokcie i nabrał wody, po czym dla otrzeźwienia przemył twarz. Poczul na skórze przyjemne zimno, ale nawet ta nagła zmiana nie oderwała go od ponurych wspomnień.

Nie znosił snów o Wandzie Sobótce. Pojawiły się same z siebie, nagle, jedenaście lat wcześniej.

Ciekawe, czy żyje. Pewnie wyszła za tamtego chama... Jak mu było? – myślał.

Ilekroć wspominał Wandę, oczami wyobraźni widział jej twarz pełną ufnej miłości, nieskorą do intryg. Charakteryzowała ją prostota, ale nie małomiasteczkowe prostactwo, często spotykane u mieszczan.

Pierwszy sen o Wandzie nadszedł, kiedy Konrad podążał ze Stoków na Litwę do rodziny Katarzyny Andruszkiewicz. Wówczas umęczył się okrutnie, bo koszmar ukazywał łodziankę skaczącą do rzeki. Miotał się ze wszystkich sił, ale matnia pochłaniała jego umysł. Nie mógł pomóc, czuł się bezradny wobec macek nierzeczywistych widziadeł. Gdy tylko udało mu się wyrwać ze snu, począł się modlić o odstraszenie złych mocy, które nad nim zawisły. Ufał, że zmora przyszła, by zadusić ofiarę przed ślubem. Co prawda nie rozpowiadał później tych rewelacji, ale zwierzył się Katarzynie, zatajając, że wyśniona dziewczka była mu droga, choć ledwo ją znał.

– Musiała to być siła nieczysta, która zabiła się przed ożenkiem. Teraz pokutuje jako zmora i dusi przyszłych mężów. Dobrze, żeś ją pokonał.

Ostatnio Jezierski często myślał o Wandzie, choć nie umiał znaleźć powodu nagłego zainteresowania. Podskórnie czuł, że kiedyś jeszcze ich drogi się przetną, a stanie się to wtedy, kiedy będzie najmniej

przygotowany. W ciągu jedenastu lat łodzianka przyśniła mu się kilkanaście razy, zawsze smutna i zagubiona. Po takich nocach Konrad wstawał zły, odpędzał od siebie dzieci i szedł daleko w pole wyżywać się na pracujących wieśniakach. Gdy parszywy humor dokuczał mu szczególnie, wybierał najwolniejszego chłopca i kazał wychłostać go na sianie. Myśli o Wandzie niosły ze sobą coś na kształt wyrzutów sumienia. Dawało się je uciszyć na kilka miesięcy, po czym znów pojawiał się sen niweczący starania.

III



Ludwika tylko czekała, kiedy będzie mogła wymknąć się z domu i pobiec na spotkanie z Florkiem. Widywali się zawsze przy motławskim porcie w Gdańsku. Dwa dni przed końcem lipca zdarzyła się sposobność.

– O, to ta mała ze Szkotów biegnie – zaśmiał się wartownik i otworzył drewnianą furtę prowadzącą do miasta.

Ludwika przebiegła przez zwodzony mostek i przeszła pod imponującą rozmiarem i bogactwem Bramą Wyżynną. Ominęła Wieżę Więzienną, a wraz z nią odwach, pozdrawiając wartowników. Przeciskając się przez tłum, weszła pod Bramę Długouliczną przez niektórych możnych nazywaną Żłotą. O tej porze przez uliczki Gdańska przewijało się mnóstwo ludzi różnych stanów, więc nikt nie zwracał na nią uwagi. Przemknęła ulicą Długą, zważając, by nie spotkać ojca. Nigdy nie było wiadomo, gdzie tym razem się podziewa i co robi Daniel Schulz. Gdyby nakrył córkę w mieście bez opieki matki, z pewnością zbiłby różgą nie tylko ją, lecz także Wandę.

W mieście trwały ostatnie przygotowania do uroczystego wjazdu króla Sobieskiego. Gdańszczanie ustawiali bramę triumfalną i zachwycona dziewczynka na chwilę stanęła przed nią, chłonąc piękno rzeźby. Z obu stron toczono dwa obeliski, na których było coś napisane, ale Ludwika nie

umiała przeczytać. Pobiegnęła więc dalej odpędzana przez patrycjusza nadzorującego stawianie łuku.

Miasto zawsze ją pochłaniało. Ciasne ulice Gdańska ukazywały piękno i różnorodność. Przylegające do siebie wąskie wysokie budynki, zdobione każdy na swój sposób, przykuwały wzrok przyjezdnych i cieszyły oczy miejskiej gawiedzi. Każda kamieniczka wyglądała inaczej, najmożniejsi chcieli pochwalić się przed sąsiadami i przyjezdnymi. Fasady z jasnożółtej holenderki, ślimacznice, rzeźby, ozdobne portale – ulica Długa eksponowała wszelkie kaprysy możliwych. Przed niektórymi drzwiami stały rozległe przedproża, a ogradzały je kraty, balustrady i ozdobne rynny w kształcie zwierzęcych łbów. Ludwika lubiła patrzeć na dziwne stworzenia do boskich niepodobne, zgadując, czym mogłyby być w rzeczywistości, a gdy jakaś patrycjuszka wchodziła do domu, chciwie wypatrywała tajemnicy wnętrza sieni. Nie rozumiała matki, która wolała mieszkać w Starych Szkotach z daleka od tłumu i różnorodności.

Po wąskiej ulicy Długiej przechadzali się najmożniejsi. To tam można było zobaczyć największe atrakcje, w tym uczonych czy władnych. Niewiasty, zgodnie z zachodnią modą, upinały włosy wysoko a'la Fontange i nosiły kolorowe powłóczyście suknie wykończone pod szyją koronką. Ostatnimi czasy królowały błękit, purpura i lawenda. Każda szanująca się dama chciała mieć garderobę w tych kolorach, do tego zaś barwne wstążki i kokardy. Niektóre niewiasty pudrowały twarze na biało, upodabniając cerę do porcelany, natomiast usta malowały na czerwono. Chadzały z portugalskimi wachlarzami zasłaniającymi uzębienie.

W oddali toczył się właśnie szlachecki powóz zaprzęgnięty w czwórkę karych koni fryzyjskich. Wewnątrz karety jechało dwóch otyłych szlachciców ubranych po polsku. Rechotali głośno i pokazywali palcami na niezdarne kupca, który widocznie chciał naśladować lepiej urodzonych,

ale szabla ze stukotem wypadła mu z pochwy, wbijając się w szczelinę między kamieniami, którymi usłano fantazyjne przedproże. Czerwony ze złości i wstydu mieszczanin próbował ją wyciągnąć, ale namachał się jeno srodze bez rezultatu. Zaś z domu, do którego należało przedproże, wybiegł jeden z rajców. Przeklinając po francusku, kazał niezdarze uważać.

– Niektórzy nie wiedzą, co się z szablą robi! Tacy nie powinni jej nosić!
– psioczył szlachcic z powozu.

Sarmaci byli jednak w dobrych humorach, nieskorzy do karania mieszczanina za posiadanie szabli. Pojechali dalej, przypatrując się, jak gospodarz domu ruga kupca, aż uszy puchną.

Wąska ulica w pewnym miejscu rozszerzała się po obu stronach, ukazując wspaniałość Długiego Targu – Ratusz, fontannę Neptuna, Dwór Artusa i Zieloną Bramę. Wszystko znów obejmowały wąskie wysokie kamienice należące do patrycjatu. Zawsze wiele się tu działo, bo pod ratuszem stały stragany. Długim Targiem w stronę Zielonej Bramy szły akurat dwie możne mieszczyki i z ożywieniem o czymś dyskutowały. Raz jedna, raz druga patrzyły na przejeżdżający powóz i dyskretnie trzepotały rzęsami.

Po prawej stronie szedł kupiec, a musiał się spieszyć, bo potrącił jedną z patrycjuszek, która z oburzeniem stuknęła butem na korku i machnęła portugalskim wachlarzem. Kupiec zaczął kłaniać się jej w pas, a rozochoceni otyli szlachcice w powozie przenieśli wzrok na parę i znowu zaczęli grubiańsko się śmiać. To spłoszyło kupca i obrażoną panią, więc patrycjuszka po raz kolejny stuknęła ze złością butem, po czym odeszła, nie przyjąwszy przeprosin.

Tę scenę obserwował żebrak idący pod karczmę przy Krowim Moście. Czarne łachy wisiały na jego chudym ciele. Podpierał się kijem. Spojrzał na kupca, który stał jak niepyszny i z niechęcią zerkał w stronę powozu.

Nędzarz uklonił się kupcowi, mając nadzieję na datek, ale zawstydzony mężczyzna nawet na niego nie spojrzał, tylko wyminął gniewnie i poszedł w przeciwną stronę. Żebrak pokręcił głową ze smutkiem, rozejrzał się, uśmiechnął na widok Schulzówny i podążył w kierunku portu.

Ludwikę minął jeszcze jeden szacowny mieszczanin, który prowadził za uzdę bułanego konia. W stronę Dworu Artusa podążało dwóch katolickich duchownych. Ludzi było mnóstwo i dziewczynka nie mogła skupić wzroku na wszystkich. Różnorodność ją fascynowała, mnogość zapachów drażniła nozdrza. Szła szybko w stronę Zielonej Bramy, mijając dwóch bogaczy wychodzących z ratusza. Jednego z nich poznała; był z szacownego rodu Ferberów i rozmawiał po francusku z drugim mężczyzną, zapewne obcokrajowcem. Tętniące życiem miasto ukazywało się w pełnej krasie. Obce języki szumiały w uszach, różnorodność strojów osób wielu stanów zachwycała. Każdy był inny, niedopasowany, a jednak pasujący.

Na Długim Targu panował największy harmider. Kupcy tłoczyli się przy straganach rozstawionych pod Ratuszem. Przy otoczonej barierami fontannie Neptuna rozmawiało dwóch czeladników. W głębi, obok wejścia do Dworu Artusa, stali dwaj kupcy i przeliczali pieniądze, zaś na przedprożu odpoczywała znudzona patrycjuszka w zachodnim stroju, przypatrując się z niechęcią adorującemu ją starszemu mężczyźnie. Była to Barbara Schwarz, żona mistrza Rudolfa Schwarza. Widocznie czekała na męża przy wejściu i spojrzeniem odpędzała natręta, siląc się na uprzejmość. W końcu nie wytrzymała – nie czekając, zeszła po schodkach i schroniła się przed upałem pod rozłożystymi gałęziami dębu.

Wszędzie były stragany, a dalej, w kierunku Zielonej Bramy prowadzącej na Długie Pobrzeże, zaczynały się drewniane zabudowania piwnic i studnie ukryte pod drzewami. Korzystali z nich najmożniejsi

mieszczanie, bo wąskie kamieniczki Długiego Targu stały po obu stronach ulicy aż do końca zwieńczonego Zieloną Bramą.

To wszystko obserwowała Ludwika. Każdy człowiek, który chadzał Długim Targiem, czuł się wyjątkowy, choćby był biedakiem. Wielkomiński świat zapraszał marynarzy, zagranicznych dostojników i Polaków – od zwykłego kupca czy rzemieślnika po najbogatszych szlachciców i magnaterię. Gdy człowiek stał u ujścia Długiego Targu, tuż przy Zielonej Bramie, i odwracał się w stronę ulicy Długiej, widział przepych miasta – niezwykle kamienice z przedprożami, fantazyjne rzeźby, Dwór Artusa, fontannę Neptuna pamiętającą jeszcze króla Władysława IV i szeroką wieżę ratusza z dwiema mniejszymi. Lewa mieściła „dzwon grzeszników” bijący podczas każdej egzekucji.

Schulżówna przeszła na lewo, gdzie stały stragany z pieczywem, mięsem i tkaninami. Intensywnie pachniało jedzeniem, ale czuć było też fetor napływający z pobliskiego mulistego dna Motławy. Przed dużą budą piekarz kroił świeży chleb, pokazując wybrednemu klientowi zza morza, że jego towar nie jest czerstwy. Obcojęzyczny klient próbował dogadać się z nim po włosku, potem po francusku, ale przerażony sprzedawca na siłę wciskał chleb, chwając wypieki w języku niemieckim i polskim.

– A niech cię lichy porwie! – krzyknął w końcu zaperzony.

Obcokrajowiec zrozumiał gest wyrzuconych w górę ramion, machnął ręką na afront, po czym oddalił się w stronę Długiego Pobrzeża.

Nadal chwalono najlepsze specjały w mieście przywiezione dla możliwych z okazji spodziewanej wizyty polskiego króla. Zebrało się mnóstwo ludzi. Widać było, że niektórzy chcą zobaczyć na własne oczy ostrygi, bo jeszcze nigdy nie mieli takiej okazji. Inni, udający możniejszych i bardziej obeznanych, odpychali nędzarzy, pytali, czy można skosztować, a potem odchodzili jak niepyszni, gdy kramarz odpowiadał, że to nie

stoisko przymierzania wstążek, więc albo biorą, albo precz. Podeszło jednak dwóch drobnych szlachetków pytających grzecznie o to samo. Kramarz akurat na nich nie patrzył. Nie poznawszy, komu chamsko odpowiada, spokojnie przeliczał zarobione grosze. Wybuchła diabelna awantura, aż sprzedawca ostryg musiał na kolanach błagać o litość nad żywotem ku satysfakcji wcześniej obrażonych mieszczan.

Przed budą szewską stało dwóch czeladników obsługujących polskiego szlachcica. Przy straganie zatrzymała się para bogatszych małżonków miejskich, a pani zaczęła narzekać na upał, po czym zabrakło jej tchu. Niewątpliwie padłaby na bruk, ale przytrzymali ją mąż i uczeń szewski. Zrobił się ogromny rwetes, nieprzytomną od upału cucili wodą i solami. Wokół straganu zebrał się tłum, zainteresował się zdarzeniem nawet szlachcic oglądający byczą skórę na buty. Ludwika nie mogła niczego dojrzeć, więc pobiegła dalej, mijając stragan z pachnącymi sztokfiszami i wbiegła pod środkowy łuk Zielonej Bramy. Za nią rozciągało się Długie Pobrzeże z portem.

– Florek! – krzyknęła w stronę rudawego chłopca z zadartym nosem.

Odwrócił się i uśmiechnął od ucha do ucha, ukazując nierówne, ale białe zęby. Podbiegł pod bramę i spojrzał na Ludwikę z radością. Był to chłopiec dwunastoletni, niewysoki, ale silny i zwinny. Rudawe włosy sięgały mu do karku i choć nie lubił długich fryzur, matka nakazała mu zapuszczać, by chadzał uczesany zgodnie z najnowszą zachodnią modą. Wstręt czuł do swojego zadartego nosa, ale takie same mieli wszyscy Steinowie. Po tym można było najłatwiej poznać członka rodu. Całości wyglądu dopełniały solidnie uszyte stroje kolorem podkreślające zieleń oczu chłopca. Florek miał w sobie rzadko spotykaną w tym wieku bystrość. Biegle rozszyfrowywał najtrudniejsze sprawy dorosłych. Umiał je też wytłumaczyć Ludwice.

– Wiesz, co mi się śniło?! – zapytał na wstępie i nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać: – Śniło mi się, że jestem na statku i płynę jako kapitan! Myślisz, że ten sen się spełni?

– Bardzo bym chciała – zaśmiała się Ludwika.

Florek zawsze opowiadał jej swoje sny. Pragnął zostać podróżnikiem albo malarzem, w każdym razie artystą, choć nie miał na to widoków. Był piątym, najmłodszym synem bogatego gdańskiego kupca, który przyzwyczajął pociechy do zawodu. Florian nie miał sióstr, dlatego tak podobała mu się przyjaźń z Ludwiką. Marzył o tym, że kiedyś zostanie nadwornym malarzem albo odkrywcą nieznanych lądów i ożeni się z córką Schulza. Jednak na wszelki wypadek nie wspominał ojcu o tej przyjaźni, bo podskórnie czuł, że nic dobrego by z tego nie wynikło. Bogacze nie zadawali się z wieśniakami, a tym bardziej z mieszkańcami konkurencyjnych Starych Szkotów.

– Wszyscy w mieście mówią, że król już prawie u bram – powiedział podekscytowany, gdy przechadzali się po Długim Pobrzeżu. – Będiesz na uroczystym przejeździe przez miasto?

– Będę. Ojciec bardzo chce zobaczyć króla. Nie może się doczekać – odparła Ludwika.

Była to prawda. Daniel Schulz uważał, że popełniłby niewybaczalny grzech, gdyby odpuścił taką uroczystość. Każdy w Gdańsku chciał zobaczyć osławionego Jana III, ale ojciec Ludwiki uważał to za sprawę życiowej wagi. Nie było w Starych Szkotach drugiego tak ciekawego monarchy człowieka.

– A twoja matka? Moja aż piszczy z uciechy. Zamówiła sobie nowy koronkowy czepiec. Taki fioletowy jak łuski szproty mieniące się w słońcu – wypalił, aż Ludwika zanosła się śmiechem.

– Moja matka nie lubi Gdańska i tłumu.

Florian wzruszył ramionami na tę odpowiedź. Znał Wandę tylko z opowiadań, a przedstawiały się one nudnawo. Wolał odważnego Daniela Schulza, choć nie miał pojęcia o tym, że jest despotą. Relacje, które przedstawiała Ludwika, urywały się w bezpiecznym momencie, a za nimi piętrzył się niedostępny mur domowych nieporozumień. Teraz gdy przechadzali się po Długim Pobrzeżu wzdłuż Motławy, wszystkie troski ulatywały. Cuchnęło portową wodą, mułem i rybami. Przy brzegu cumował duży holenderski okręt z żaglami, a dalej wpływały cztery komiegi i dubas załadowany drewnem. Na wysokości ogromnego żurawia stały większe statki. Długie Pobrzeże wieńczył Targ Rybny, na którym można było dostać najlepsze morskie okazy.

– A ty, Ludwiś, kim chciałabyś zostać, kiedy dorośniesz? – zapytał Florek.

Ludwika otrząsnęła się z niezbyt miłych myśli, nie przyznając, że od kilku minut przebywała we własnym świecie. Odpowiedziała tak, jak wszystkie dziewczęta, którym wpajano do głów to samo.

– Jak to? Dobrą żoną, przednią gospodynią i matką.

Florek spojrział na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Ale nuda! Myślałem, że świętą albo grzesznicą. Zawsze gdy nasz stajenny się upije, opowiada ojcu, że tylko grzesznice są coś warte – dodał, widząc zdruzgotaną minę Ludwiki.

Przy Zielonej Bramie flisacy wyładowywali ciężkie beczki, kląc przy tym niemiłosiernie. Przechodzące nabrzeżem panny miejskie zasłaniały uszy, umykając przed wyszczerzonymi szerniałymi zębami marynarzy. Na wodzie panował spokój, słychać było miarowe uderzanie wiosł i zdenerwowanego zastępcę burmistrza, który nie chciał podnieść Zielonego Mostu dla holenderskiego okrętu.

– Za duży jest! Trzeba tu rozładować! – krzyczał do tragarzy.

Wybiegł za nim strażnik wodny wrzeszczący do obcej załogi po holendersku, żeby kapitan zacumował przed mostem.

– Gdzie on się wpycha?! – krzyczał dalej po polsku zastępca burmistrza, chwytając się oburącz za głowę.

Na szczęście załoga przekazała kapitanowi wytyczne i okręt zacumował przy brzegu.

– Pewno sól przyplynęła. W moim śnie przewoziłem sukno. Mam nadzieję, że kiedyś zmienisz zdanie i będziesz chciała podróżować ze mną. Ale by było zabawy! – ucieszył się Florek.

– Nigdy nie widziałam na statku dziewczki – uśmiechnęła się Ludwika.

– To będziesz pierwsza!

Przy Zielonej Bramie zebrał się tłum. Majestatyczna budowla dominowała nad okolicą. Przed nią rozpościerał się płat zwodzonego Mostu Zielonego, pod którym przepływały niewielkie dubasy ze zbożem, a czasem byle jak sklecone węższe komiegi bez masztu. Trzy łukowate ozdobne przejścia Zielonej Bramy oddzielały marynarski świat od pięknego Długiego Targu. To tu gromadziły się tłumy przybyszów doświadczonych i nieobeznanych w żegludze, uspokojonych i wystraszonych. Jedni od razu po rozładowaniu towarów szli do pobliskiej karczmy przy Krowiej Bramie, inni miotali się wśród nieznanym, prosząc o polecenie, dokąd mają się udać, by opłacić palowe i culagę.

Rozmowy toczyły się bez przerwy.

Przyjaciele stanęli pod lewym skrzydłem bramy; Florek opowiadał o dalekich podróżach. Chciał odkrywać nieznanne ziemie, najchętniej podróżowałby na Wschód, żeby na własne oczy zobaczyć sławne tureckie tkaniny. Ludwika słuchała go z rozmarzeniem, wyobrażając sobie, że również jest chłopcem. Gdyby nim była, mogłaby robić, cokolwiek by

zechciała. Jeśli pasjonowałby ją żywot marynarza, zostałaby marynarzem. Nagle własne życie wydało jej się straszliwie nudne.

Jednak Florek, mimo opowieści, miał równie nikłe szanse na realizację marzeń. Ojciec pokładał w synach ogromną nadzieję; wszyscy Steinowie kształcili się w najlepszych szkołach, a najstarszego wysłano na nauki do Królewca. Choć było to bardzo kosztowne i nieraz stary Stein musiał pożyczać od przyjaciół, wierzył, że wykształcenie pomoże synom w zdobyciu poważnego zawodu, może nawet rajcy czy uczonego na miarę Heweliusza. Florek wiedział o tym i na razie protestował nieśmiało, delikatnie zaznaczając rodzinie, że żegluga to pasjonujące zajęcie. Kpiono wówczas z marynarzy i flisaków, nie traktując marzeń chłopca poważnie. Tylko matka przytulała go mocno, osłaniając przed śmiechem innych, choć sama też toczyła wewnętrzny bój, by zachować spokój.

Choć z wielu rzeczy Florek nie zdawał sobie sprawy, niestosownie byłoby mu powiedzieć rodzinie, że w czasie wolnym od szkoły i nauki przesiaduje nad Motławą, czekając na przyjaciółkę ze Starych Szkotów. Podświadomie czuł, że różnice pochodzenia są dla ludzi ważne, ale on, Florek, jeszcze nie wiedział dlaczego. A ponieważ nie wiedział, traktował znajomość z Ludwiką jak kolejne zakazane marzenie. Nie czuł się przy tym lepszy od niej, nie potrzebował rywalizacji. Dzięki temu budowali rzadko spotykaną znajomość ludzi różnych stanów, wolną od wzajemnej niechęci.

Wtem przy Dworze Artusa podniosła się wrzawa. Przyjaciele wychylili się zza skrzydła bramy. Usłyszeli, że na Długim Targu ktoś krzyknął, zaś chwilę później jakaś kobieta rozplakała się i uklękła przy leżącym mężczyźnie. Zebrał się tłum mieszczan, ktoś zawołał cyrulika. Przy fontannie Neptuna stał kupiec trzymający za uzdę siwego konia. Minę miał niewyraźną, momentami wydawało się, że jest bliski rozpacz. Ciżba zaczęła przeciskać się przez tłum, a od strony Długiej nadchodził medyk.

Ludwika poszarżała, bo wśród gapiów rozpoznała ojca. Stał razem z innymi i krzyczał coś do kupca trzymającego konia. Ten odpowiadał mu podniesionym głosem, gestykulując gniewnie.

– Chyba koń kogoś kopnął – wydedukował Florian. – Idziemy tam?

– Nie – odpowiedziała Ludwika – w tłumie stoi mój ojciec. Nie byłoby dobrze, gdyby mnie zobaczył.

– Ja idę – odparł chłopak i pobiegł wzdłuż Długiego Targu.

Ludwika stała w Zielonej Bramie i patrzyła, co się dzieje. Tłum rozstąpił się, ale z Ratusza zaczęli wybiegać rajcy. Schulzówna poznała leżącego pod schodami prowadzącymi do Dworu Artusa. Był to Rudolf Schwarz, a pochylająca się nad nim kobieta to żona Barbara.

Najpierw piskliwym głosem skrzyczała medyka, później przytuliła do piersi nieruchomą zakrwawioną głowę męża. Ułożyła ją delikatnie na ziemi, po czym podbiegła do kupca z siwkim i zaczęła mu wygrażać. Mężczyzna się nie bronił, kiedy Schwarzowa w szale rzuciła się na niego z rękami, aż odciągało ją kilku czeladników.

– Ręce precz! Zabił mi męża! – krzyczała Barbara.

Medyk próbował coś perswadować. Wskazywał dłonią na leżącego, ale dla wściekłej żony nie liczyło się to, czy mąż żyje, tylko to, ile będzie jeszcze z niego pożytku.

Ludwikę zmęczyło patrzeć na tę scenę. Chyłkiem przemknęła Targiem, trzymając się jak najdalej Dworu Artusa, pod którym mężczyźni, w tym Daniel Schulz, pocieszali Barbarę. Za nic nie chciała dostać znowu różgą po gołych plecach.

Tylko dotarła do domu, a już matka gniewnie popatrzyła na jej buty.

– Rozdarcie się powiększa. Mówiłam, żebyś nie biegała jak szalona. Ojciec wróci i zauważy.

Ludwika miała wielką chęć opowiedzieć matce historię ze Schwarzem, ale siedziała cicho. Nie chciała, by Wanda dowiedziała się o wędrówkach do miasta. Schulzowa była zresztą milcząca i jeszcze bardziej ponura niż zazwyczaj, więc o nic nie pytała. Gdy ojciec przyszedł do domu, zaczął mówić o Rudolfie i Barbarze.

– Kojarzysz nazwisko Schwarz? Wiadomo, chodzą po mieście jak szlachta, bo on mistrz, a ona jego żona. Do dzisiaj. Koń przyjezdnego kupca z Elbląga kopnął Rudolfa w głowę.

– Jezus Maria, żyje? – zapytała Wanda.

– Żyje, żyje. Przynajmniej serce mu bije i to sprawdzali wszyscy, a najpierw medyk. Ale nieprzytomny do tej pory. Kto wie, czy nie umrze. Tamten kupiec bronił się, że Rudolf zaszedł konia od tyłu, a wiadomo, że tak się nie robi. Schwarzowa się na niego darła, że na pewno tak nie było, ale wszyscy po cichu przyznają kupcowi rację, no bo jak inaczej koń miałby go kopnąć? Wierzyć nie idzie – niby bogacz, a taki głupi!

Wanda zauważyła, że Daniel jest za bardzo podniecony, więc z pewnością nie usłyszał tej opowieści w Szkotach. Musiał być przy zdarzeniu. Postawiła przed nim talerz z chlebem, a na misie pośrodku łąwy ułożyła solone sztokfisz.

– Skąd to wszystko wiesz? Byłeś w mieście? – zagadnęła nieufnie.

Ludwika wyczuła zaczepny ton matki i wbiła wzrok w talerz. Szykowała się kolejna awantura.

– Byłem – odparł hardo Daniel.

Nastrój w chacie zmienił się w jednej chwili.

– Po co?

– Po chleb.

– Jemy chleb szkocki – zauważyła Wanda.

Zmrużyła oczy na to kłamstwo. Oczywiście, że chleb, który przyniósł Daniel, był wyrabiany w Szkotach.

– Czego ty ode mnie chcesz?! Tak, byłem w Gdańsku, dniówkę przyniosłem większą niż za karczmarzkiego żywota. Dość mam partaczenia w Szkotach – przyznał Daniel.

Wanda nie odpowiedziała. Jadła suchy chleb i popijała piwem. Daniel patrzył na tę osobliwość ze zdziwieniem i zrobiło mu się przez chwilę żal umęczonej żony. Po raz pierwszy w życiu poważnie zaczął zastanawiać się nad jej przeszłością. Stwierdził w duchu, że musiała być bolesna, bo Wanda bała się najmniejszej zmiany. Wciąż wietrzyła, że ktoś ją rozpozna. Ale kto miałby to zrobić?

Chleb czerstwiał na talerzu, ale Ludwice nie chciało się jeść. Spoglądała na matkę kryjącą sekrety, które zapragnęła odgadnąć. Jednocześnie widziała, jak Wanda zżyma się za każdym razem, gdy była mowa o przyjeździe króla. W tym mogła tkwić tajemnica.

– Baby w Szkotach powiadają, że król nadpłynie jutro – powiedziała, obserwując reakcję matki.

Wanda siedziała niewzruszenie przy ławie i popijała piwo. Daniel też na nią spoglądał.

– Nie – rzucił – powiadają, że jest blisko Gdańska, ale jeszcze jutro zatrzyma się gdzieś na noc. Zjedzie z pierwszym sierpniem.

Mąż i córka zastanawiali się, co znaczy nieobecny wzrok Wandy. Nie mogli przecież wiedzieć, że dla niej przyjazd króla łączy się z uroczystym powitaniem świty, wśród której mogą pojawić się najważniejsze osoby w państwie, na przykład chorąży koronny Konrad Jezierski.

Było o nim głośno. Jego nazwisko wymieniano na równi z największymi żołnierzami Rzeczypospolitej. Wanda wiedziała o dokonaniach młodego szlachcica. Wciąż zastanawiała się, czy przez

jedenaście lat bardzo się zmienił, jaki ma teraz charakter i czy założył szczęśliwą rodzinę z Katarzyną Andruszkiewiczówną. Przy tym wołała nie wracać myślami do przeszłości i najgorszego dnia w jej życiu, kiedy postanowiła pójść do Stoków w nadziei na ratunek, a zastała pusty folwark i wiadomość, że jaśnie pan wyjechał na Litwę do narzeczonej.

IV



ostatniego dnia lipca było gorąco, ale chmury gromadnie sunęły po niebie. Spodziewano się deszczu, więc władze Rady martwiły się podwójnie. Dzień wcześniej wysłały delegację z prośbą do króla. Dotyczyła ona rozmieszczenia dworzan i świty zaraz po uroczystym wjeździe do miasta. Od tygodnia Rada debatowała na ten temat.

– Król sprzyja rzemieślnikom, nie nam – odezwał się gruby rajca.

– To prawda. Co, jeśli będzie chciał zbrojnie rozwiązać problemy Gdańska? Mamy się zgodzić na bezprawie? – zapytał drugi mężczyzna.

Zaległa cisza, słuchać było tylko brzęczenie osy, która ulokowała się pod sufitem.

Pomieszczenie, w którym debatowała Rada, było przestronne, zacienione, dawało przyjemne uczucie chłodu. Pośrodku stała stara ława, a dziewiętnastu rajców i czterech burmistrzów siedziało naprzeciwko siebie. Na ścianach z cegły wisiały portrety możnych i władnych miasta. Jeden z burmistrzów sapnął niespodziewanie i zamyślił się. Rajcy zaczęli szeptać między sobą i w końcu ustalili, że królewskiej świty nie da się zatrzymać przy wjeździe do miasta. Zaczęły się długie rozmowy.

– Król nie przyjedzie tylko po to, by zatwierdzić przywileje. Ludzie się burzą, w mieście niespokojnie. Nie możemy tego lekceważyć. Pewno

będzie chciał wprowadzić przywileje dla katolików, bo on sam katolik.

Przez chwilę wydawało się, że każdy się z nim zgadza. Jednak z lewego kąta nieśmiało zaprotestował inny dostojnik.

– Może gdybyśmy coś dali ludziom, to by się uspokoili? Chociaż na chwilę, przed przyjazdem jego królewskiej mości. Ceny poszły w górę, gdańszczan ubyło. Ponoć ludzie się burzą, bo im jeszcze akcyz nie znieśliśmy. Wojna dawno się skończyła. Rada mogłaby coś postanowić, to by się awanturnicy uspokoili. Co do reszty, mamy skrępowane ręce. Przecież nie zburzymy Starych Szkotów czy Chmielników. Partacze byli, są i będą, a gdańszczanie muszą się do tego przyzwyczaić.

Stary rajca spojrział na niego spode łba i zmrużył oczy. Atmosfera na posiedzeniu gęstniała.

– Niech królewska świta wjedzie do miasta, bo tego nie możemy zakazać. Byłby to akt złej woli wobec króla Polski i jeszcze jeden argument przeciwko nam, a na korzyść rzemieślników. Poprośmy, by najjaśniejszy pan w swej mądrości kazał zaraz po wjeździe ulokować dworską służbę pod Gdańskiem. Część pójdzie do dworków patrycjatu, część poleci się wysłać do wsi.

Wszyscy jednogłośnie przyjęli pomysł, ale nie oznaczało to końca zmartwień. Władze Gdańska bały się przymierza Sobieskiego z prostym ludem, któremu okazywał wiele sympatii. Rzemieślnicy byli pewni radykalnych zmian. Przed przyjazdem króla bunty na chwilę ustały i miasto cieszyło się od dawna nieznanym spokojem.

Taki stan rzeczy nie wszystkim pasował. W Gdańsku i poza nim przebywali buntownicy podburzający jednych przeciwko drugim. Luteranie skarżyli się na katolików, a katolicy na luteran. Wszyscy zaś zgodnie wygrażali kalwinistom czy menonitom. Kto był z miasta, obrażał podgdańskich wyrobników. Do burmistrzów Gdańska docierały liczne

oszczerstwa, ale – nawet jeśli któreś było prawdziwe – nie mogło zaszkodzić mieszkańcom wsi, choćby wystawiali martwe bydło przed chatami. Na próżno władze tłumaczyły, że nie mają pod Gdańskiem praw, czeladnicy, a nawet mistrzowie cechów, wnosili na partaczy nowe skargi.

Do niedawna stronę wieśniaków trzymał również Daniel Schulz, ale teraz patrzył na sąsiadów z wyższością i rozповідаł o wspaniałościach gdańskich wyrobów. Wanda przysłuchiwała się temu z niedowierzaniem i wstyd okrywał purpurą jej policzki.

– Mieszkasz tutaj, w Szkotach. Dlaczego sprowadzasz na nas nieszczęście, podburzając ludzi przeciwko sobie? – zapytała.

– Głęboko w dupie mam tę wieś – zachnął się Daniel. – Nie chcę tu dłużej mieszkać. Jeszcze trochę i przeprowadzimy się do miasta.

Wanda stłumiła gniew.

– Przecież w Szkotach żyje się o wiele lepiej. Nie podlegamy pod miejskie prawa, utrzymanie i żywność są tańsze.

Daniel westchnął poirytowany i usiadł przy ławie.

– Dlaczego nie możesz raz ze mną się zgodzić? Licho, nie dziewczka – mruknął pod nosem.

Wanda chciała zaprotestować, ale wiedziała, że to nic nie da. Wyszła na podwórze, rozmyślając, że ma dość męża i ciągłych kłótni. Wiedziała, że i tak zrobi, co zamierzał, a ona nie będzie miała nic do powiedzenia. Nie będzie mogła się sprzeciwić ani kłócić. Niepokoiła się, że Daniel staje się coraz bardziej agresywny i niedostępny. Na sprzeciw reagował pogardą. Ambicja posiadania władzy i bycia kimś ważnym zaćmiły jego umysł. Wyraźnie sprzykrzyło mu się dotychczasowe chłopskie życie.

Przed domem Schulzów chodziły kury. Okolica była cicha, ale z daleka dochodził gwar piekarzy. Całe Szkoty szykowały się do przyjazdu Sobieskiego. Wanda zerknęła w lewo na dom sąsiadów. Od tygodni obserwowała, jak Maciej Obrzych wgapiał się w piękną głuchoniemą córkę Miechów – Mariannę.

Miechowianie mieszkali po prawej stronie, więc Wanda mogła obserwować, jak jej dom oddziela dwie spragnione siebie osoby. Maciej miał przyjazną ogorzałą twarz i brązowe włosy. Nie był wybitnie przystojny, ale widocznie ujął Mariannę, bo zerknęła na niego często. Uśmiechała się promiennie, gdy witał ją skinieniem głowy.

Marianna była najmłodszą córką Miechów. Z powodu wady słuchu często obrywała od starszego rodzeństwa i rodziców. Matka była dla niej szczególnie okrutna. Wyznaczała córce najcięższe prace, a chwilę później napadała na nią znienacka, skarżąc się, że zrobiła dopiero część tego, co miała nakazane. Chociaż Marianna musiała nosić wodę ze studni i sprzątać oborę, zawsze miała dobry humor. Jasne włosy splatała w luźny warkocz, nie zwracając uwagi na poplamione sukieneczki. Wanda widziała rozmarzone spojrzenie Marianny i domyślała się, że maślane oczy Macieja jaśnieją z tego samego powodu.

Stara Miechowa uważała, że Marianna nie udała się zupełnie, a po cichu wierzyła, że boginka podrzuciła jej własną córkę. Gdy okazało się, że dziecko nie mówi i nie słyszy, zamiast nauczyć Mariannę czytania z ruchu warg czy artykułowania sylab tak, by miały znaczenie, zaniechała wszystkiego. Sądziła, że tylko kary cielesne skłonią rzekomą boginkę do oddania jej dziecka i zabrania podrzuconego.

Tak się jednak nie stało, więc po kilku miesiącach solidnego codziennego lania matka zostawiła biedaczkę samą sobie, nigdy nie uznając jej za córkę. Wiejskie baby patrzyły na Miechową z politowaniem,

a podczas plotkowania pukały się w czoła, mówiąc, że stara zwariowała, a po dziecku nie widać, żeby było zamienione. Marianna nie miała bowiem ani dużej głowy, ani wielkich zębów. Tylko kilka chłopek przyznawało starej Miechowej rację, spoglądając na jej córkę podejrzliwie. Jednak na ogół obce matki przyjmowały głuchotę Marianny do wiadomości, czego nie robiła jej własna.

Pierwszego sierpnia o świcie w Szkotach nikt nie spał. Nadszedł wyczekiwany dzień. Od brzasku wieśniacy stroili się w najlepsze odzienia, a często były to ubrania nie byle jakie, bo w Szkotach powodziło się chłopom dużo lepiej niż w większości polskich wsi. Bliskość dużego miasta pozwalała na pracę wcale nie chłopską, lecz mieszczańską. Biskupstwo, do którego należała wieś, nie przeszkadzało wieśniakom handlować i wyrabiać dóbr, bo dzięki ich zaradności zbierało duże podatki. Wanda, przybyła z Łodzi, nie mogła się temu nadziwić, w pamięci mając ubóstwo i wyzysk w wielkopolskich folwarkach. W Szkotach żywot płynął inaczej, a kto sprytniej zarządzał majątkiem, mógł nawet dorobić się godziwej zapłaty. Czuło się tam wielkomięjski powiew uczciwości między stanami, opartej wprawdzie na hierarchii, ale niedoprowadzającej prostego ludu do ruiny.

W Starych Szkotach na początku stały chaty z podwórkami, ale im dalej, tym ciaśniejsza była zabudowa. Środek wsi przypominał miasteczko, a ściany domów jedno- i dwupiętrowych przylegały do siebie jak na przedmieściach Gdańska. W centrum stał kościół jezuicki, z lewej strony zaś, aż do stawu, rozciągały się pola uprawne. Podobnie krajobraz wyglądał z prawej strony, z tą różnicą, że nad domami górowała skarpa. Wszystkie tereny nadawały się pod uprawy lub do wypasu. Nie była to cicha, spokojna wieś. Echo niosło w dal śmiechy i krzyki wyrobników, a także dzieciarni;

zwłaszcza w tę niedzielę, czyli pierwszego sierpnia liczonego jako dwieście trzynasty dzień roku. Dzień przyjazdu do Gdańska Jana III Sobieskiego.

W Gdańsku szykowano się nie tylko na przyjazd polskiego monarchy, lecz także na doroczny jarmark, choć dla większości zszedł on na dalszy plan. Przede wszystkim należało powitać godnie króla ze świtą, a potem sprytnie poprowadzić pertraktacje.

Około południa wieśniacy z przyjezdnymi tłoczyli się pod furta wjazdową do Gdańska. Wiadomo było tyle, że król nocował w Lipcach i lada moment przybędzie. Każda grupa widziała w wizycie coś innego. Rzemieślnicy z chytrymi uśmiechami oczekiwali zmian i nacisków na Radę. Wpływowi patrycjusze przyglądali się temu z niepokojem, a niektórzy jawnie wietrzyli koniec starego porządku.

– E, z wielkiej chmury będzie mały deszcz! – prorokowała służba mieszczan.

Partacze ze Szkotów wyśmiewali majestat, Radę i gdańszczan. Podlegali prawom biskupim, więc miejskie obostrzenia nikogo nie wzruszały. Cieszyli się za to na wielkie widowisko, bo Gdańsk przyozdobiono, postawiono bramy triumfalne i usunięto lekkie budy straganiarzy z Długiego Targu. Wanda od rana słyszała, jakie miasto jest teraz czyste i ładne. Nie myślała o tych drobnostkach wcale i rano ociągała się przed wyjściem.

– Ruszaj się! Nie możemy się spóźnić! – wołał w progu Daniel.

Spojrzała przez okno. Słońce stało w zenicie.

Ludwika od kilku dni czuła, że atmosfera w domu się zmienia. Rodzice chodzili zdenerwowani, a każde z nich wyrażało to na swój sposób. Ojciec miewał doskonały humor, zniknął częściej niż przedtem, a kiedy wracał, nie

odzywał się do żony i córki, tylko od razu szedł spać. Często wyklócał się z sąsiadami i teraz wszyscy w Szkotach patrzyli na niego z pogardą, a najbardziej Roznerek i Modły.

Dla odmiany matka chodziła strapiona. Zamyślała się częściej niż wcześniej. Bywało, że siadała przy ławie naprzeciwko Ludwiki i patrzyła przestraszonymi oczami w jeden punkt. Jej źrenice rozszerzały się wówczas, a na ustach pojawiał się zmęczony posępny półuśmiech. Ludwika wiele by dała, żeby odgadnąć matczyną tajemnicę, ale nie śmiała zapytać, przeczuwając, że i tak nie dowiedziałyby się prawdy. Wanda strzegła sekretów jak niema.

Teraz od rana chodziła po domu podenerwowana, a Daniel patrzył na nią zirytowany, czerpiąc podświadomie przyjemność z tego, że żona miota się nerwowo po domu jak ptak w klatce.

W końcu nie mogła zwlekać. Wyszła z chaty i z innymi mieszkańcami Szkotów podążyła głównym traktem do Gdańska. Mocno trzymała Ludwikę za rękę, aż dziewczynkę bolały palce. Zerknęła niepewnie na matkę, wkrótce i jej udzieliło się uczucie niezadowolenia. Nie szła do Gdańska chętnie. Zastanawiała się, czy w mieście na pewno nie spotka jej nic złego. Kilka razy podnosiła głowę z nieśmiałym uśmiechem, próbując dodać Wandzie otuchy i utwierdzić się w przekonaniu, że to będzie pamiętny dzień.

Wanda pozdrawiała sąsiadki wymuszonym uśmiechem i pogodnym głosem. Jednak już po chwili sznurowała usta, a blada twarz wskazywała, że każdy krok sprawia jej ból. Sama nie wiedziała, czego się bardziej obawia – spotkania Konrada czy tego, że ktoś rozpozna ją w tłumie. Próbowwała przekonać siebie, że to mało prawdopodobne, by któryś łodzianin brał udział w gdańskiej uroczystości, ale nie było to niemożliwe.

Męczyła ją jeszcze jedna myśl, najstraszniejsza ze wszystkich. Bała się, że Konrad rozpozna ją w tłumie mieszczan, a potem każe aresztować na oczach wszystkich jako zbiegłą przestępczynię, córkę czarownicy ukrywającą się pod innym nazwiskiem. Na samą myśl o takiej zdradzie Wanda dostawała dreszczy. Kurczowo trzymała smukłą rękę córki, nie zdając sobie sprawy, że ściska ją za mocno.

Było oczywiście możliwe, że Konrad nie wiedział, co stało się z Sobótkówną, ale o tym również wolała nie myśleć. Znaczyłoby to, że Jezierski nie interesował się więcej jej losem, na zawsze porzucił spalony folwark i Chojny, a ją skazał na samotne życie w zniszczonej Łodzi. Nic by wówczas nie znaczył ich pocałunek i jej poświęcenie.

Wanda zaczęła sobie wyrzucać, że nie wyszła za Wielisława Żelicha – sąsiada, który był jej obiecany. Przed jedenastoma laty butnie sprzeciwiła się majątnemu rodowi Żelichów, czego dumna pani domu nie wybaczyła. To wtedy wyrznęła własne krowy, oskarżając matkę Sobótkówny o czary. Wanda przymknęła oczy na to wspomnienie i stanęła pośrodku traktu, aż sąsiadki spojrzały na nią podejrzliwie.

– Źle się czujesz? – zapytał Daniel.

Pokręciła głową i ruszyła naprzód. Zdecydowanie nie chciała przypominać sobie tamtego dnia, kiedy bezpowrotnie straciła szansę na godne życie w rodzinnym mieście.

Ludwika szła grzecznie obok matki, ale coraz mniej podobała jej się wyprawa. Przed wjazdem do miasta zebrał się tłum czekający na powitanie króla. W oddali widać było wysoką Wieżę Więzienną, a za nią, nieco z lewej strony, majestatyczny Kościół Najświętszej Marii Panny. Nieopodal pięła się iglica wieży ratuszowej. Ludwika stała przy płotku odgradzającym przedmiejską drogę od fosy i patrzyła na Bramę Wyżynną.

Jeszcze nigdy nie oglądała jej tak dokładnie. Wcześniej Brama po prostu była jedną z budowli, a właściwie portalem, przez który przechodziło się do innego, barwniejszego świata. Teraz Ludwika spojrzała na nią inaczej. Brama jaśniała wśród potężnych obwarowań, nie pasowała wzniosłością do drewnianego mostku zwodzonego i prostej przedmiejskiej furty, przy której stali strażnicy.

Fasadę zdobiły trzy herby, ale Ludwika rozpoznała tylko dwa. Środkowy, na którym królował wypukły orzeł biały, a nad nim korona przytrzymywana przez dwa cherubiny, i prawy z dwoma lwami.

– Droga matko, czy to jednorożce? – zapytała, wskazując na lewy herb, którego nie rozpoznała.

Nie doczekała się odpowiedzi, bo jakiś wieśniak potrącił Wandę i na chwilę ich dłonie się rozłączyły.

Ludwika znowu popatrzyła na bramę, stwierdzając, że fasadę muszą zdobić jednorożce, bo ich sproszkowane rogi sprzedawano co roku na jarmarku. Kupcy chwalili się, że taki lek jest dobry na wszystko i uzdrowi najciężej chorego.

Czego więcej potrzeba w mieście, jeśli nie zdrowia? Może to jednorożce broniące ludzi przed zarazą? – zastanawiała się popychana przez przechodzących chłopów.

Napisów nad wejściem do bramy nie umiała przeczytać ani nawet ocenić, jaki to język. Stwierdziła jedynie, że wejście jest wystarczające, by zmieścić karete z królem, a nawet przyboczną świtę. Zadowolona spojrzała na pokrzykującego ojca. Daniel Schulz nie zamierzał kręcić się z tłumem przed furta.

– Idziemy na Długi Targ, tu będzie tylko powitanie! – krzyknął przez tłum, jak zwykle decydując za Wandę.

Przed furta zbierali się przedstawiciele cechów, by wyjechać królowi na spotkanie. Mistrzowie byli w dobrych humorach. Ludwika nigdy nie widziała tylu odświętnie ubranych, zadowolonych ludzi. Mieszały się stroje czarne, biało-niebieskie i czerwone. Przecisnęła się z matką przez tłum.

Strażnicy nie nadawali sprawdzać wszystkich wchodzących do miasta.

– Kto niewierny z *Juden-Geleite*, tutaj! – krzyczał lewy strażnik.

– Nie damy rady! – darł się inny.

Tłum zaczął się gorączkować i wdzierać na most. Przy Bramie Wyżynnej stało kilku mistrzów. Z trwogą obserwowali napływające masy, nakazując czujność wszystkim wartownikom.

– Most gotowy się zawalić, nie wszyscy naraz! – krzyczeli strażnicy, ale tłum pod miastem powiększał się i wciąż kolejni obcy pojawiali się na horyzoncie. Od Biskupiej Górki ciągnął kolejny sznur przyjezdnych i chłopów z okolicznych wsi.

Z tyłu widać było nadjeżdżających kuglarzy. Tłum bezwiednie wepchnął Ludwikę z matką na mostek. Nie miały innej możliwości, niż przejść w stronę Bramy Wyżynnej. Zaprzestano sprawdzania dokumentów, strażnicy załamali ręce.

Daniel Schulz szedł nieco dalej, wpychając się między ludzi. Był w swoim żywiole, w jego życiu stale musiało się coś dziać. W przeciwnym razie szukał wrażeń lub problemów, byle tylko móc znowu poczuć adrenalinę i wpływać na rozwój wydarzeń. Przez jedenaście lat wystarczały mu burdy w szkockiej karczmie, ale z upływającym czasem zdał sobie sprawę, że dłużej nie zniesie monotonii wiejskiego życia. Ten stan nasilał się, a gniew Schulza rósł i stawał się uciążliwy nie tyle dla innych, co przede wszystkim dla niego.

Tłum wpychał Ludwikę i Wandę dalej i dopiero przy Wieży Więziennej trochę się rozluźniło, bowiem część ludzi przeniosła się na Plac Dominikański. Ludwika zaczerpnęła tchu. Spojrzała na przerażoną matkę patrzącą na duży powóz zaprzęgnięty w cztery konie jadące wprost na nią.

– Jaki kiep wjeżdża dzisiaj takim powozem w środek Gdańska?! – krzyknął z przodu Daniel.

Z powozu wychylił się burmistrz Adrian von der Linde oburzony obraźliwym słowem. Rozejrzał się, by wybadać, kto rzucił uwagę, ale dostrzegł jedynie morze głów. Poleciał woźnicy stanąć i przepuścić ludzi idących ku Bramie Długoulicznej. Kazał ustawić powóz na Placu Dominikańskim przy Zbrojowni. Stały tam już stragany zbite specjalnie na tegoroczny jarmark.

Schulzowie przeszli obok pustego odwachu, a potem pod Bramą Długouliczną, do której przylegał kwadratowy Dwór Bractwa Świętego Jerzego. Znaleźli się na *Langgasse* zwanej po polsku ulicą Długą. Po obu jej stronach ustawiali się mieszczanie i okoliczni wieśniacy, ale środkiem wciąż szło wielu gapiów.

– Zrobić środek wolny! – krzyczał jeden z otyłych ławników, pędząc z rozwichrzoną peruką w stronę Bramy Długoulicznej.

Ludzie gromadnie ustawiali się na przedprożach i przy domach patrycjatu. Byli to przedstawiciele wszystkich stanów i grup. Przyjezdna szlachta szykowała się już przede wszystkim na jarmark, ale przybyła dzień wcześniej, by zobaczyć wjazd króla. Rzemieślnicy wyczekiwali monarchy jak wysuszona ziemia deszczu. Kupcy stali głównie pojedynczo, choć zdarzały się grupy. Partacze rozmawiali cicho, dyskretnie, by nie zdradzić tożsamości. W oknach domów wystawali odświętnie ubrani patrycjusze, a obok nich żony i dziatwa.

Schulzowie przeszli dalej, a Daniel przestał oglądać się na rodzinę i stanął przy ratuszu. Wanda postanowiła zostać na Długiej. Rozluźniła uścisk, więc Ludwika poczuła, że napięcie trochę z matki opadło.

Minęło jeszcze trochę czasu, aż dzwony wybiły piętnastą. Lud niestrudzenie przemieszczał się w jedną lub drugą stronę, wyczekiwał, zawracał, nawoływały się rodziny. Gwar niósł się nad wąską ulicą. Chwilę po ucichnięciu dzwonów ludzie zaczęli szeptać między sobą, że król nadjeżdża, a nawet widać orszak niespiesznie przesuający się w stronę Bramy Wyżynnej. Wieści przynosili samozwańczy posłańcy pragnący jak najlepiej przygotować tłum na powitanie króla. Zapanowało poruszenie. Ludwika poczuła dreszcz ekscytacji i spojrzała w kierunku Długiego Targu. Tłum ustawił się po bokach, a nieliczni ludzie przechodzili to na jedną, to na drugą stronę. Na ulicy nie było żadnego dostojnika miejskiego, wszyscy włodarze stali przed futrą miejską razem z przedstawicielami cechów.

Słońce wyjrzało zza chmurnej kotary, opromieniając Gdańsk. Ludwika, która obserwowała ludzi, zauważyła, że w tłumie ktoś do niej macha. Poznała Florka. Stronił od rodziny i gestem zapraszał przyjaciółkę.

– Stąd będzie lepszy widok – mówił bezgłośnie, poruszając ustami.

Zawahała się i spojrzała na matkę. Jednocześnie miejskie dzwony zabiły, a salwy oznajmiły, że królewski orszak nadjechał pod Bramę. Przed miastem odezwało się głucho bębnienie i wściekły krzyk cienkich piszczałek. To była jedyna chwila, w której Ludwika mogła zgubić się w tłumie i dołączyć do Florka. Świadoma, że za nieposłuszeństwo dostanie wieczorem lanie, puściła rękę Wandy i pobiegła środkiem Długiej w stronę Targu. Zanurkowała w tłum.

Zdezorientowana Wanda poczerwieniała, widząc uciekającą córkę i pobiegła za nią. Nie wołała Ludwiki, czując, że i bez tego wystawiła się na

pośmiewisko. Jednak ludzie byli tak przejęci odgłosami bębnów i jazgotem piszczałek, że nikt nie zauważył blond kobiety goniącej za krnąbrną córką.

Ludwika dała nura w tłum stojący przy Dworze Artusa i tam na dobre zniknęła matce z oczu. Wanda wypatrywała córki, ale nie mogła jej odszukać. Stała więc w cizbie, przyrzekając sobie, że sama wieczorem złojej skórej. Zza Bramy Długoulicznej dobiegały pierwsze odgłosy królewskiego orszaku. Stukot końskich kopyt zagłuszały bębny i dźwięki trąb. Naraz na Długiej pojawiły się dziwa – wozy wojenne. Przetaczały się ciężko, bo ustawiono na nich armaty.

Przy Złotej Bramie lud wiwatował, każdy chciał okazać radość. Wanda stała nieopodal Dworu Artusa. Gdy usłyszała pierwsze okrzyki zachwyconej gawiedzi, serce ścisnęło się jej z bólu i trwogi. Długi Targ wypełniali ludzie wyczekujący orszaku.

Zza Złotej Bramy zaczęły wyłaniać się następne pojazdy, większe i mniejsze. Prowadzili je woźnice. Konie przystrojone klejnotami lśniły nie gorzej niż patrycjat w mieście. Zaczęto komentować końskie kopyta i zaraz rozeszła się wieść, że królewskie wierzchowce mają złote podkowy. Wanda przysłuchiwała się okrzykom z Długiej zagłuszonymi tureckimi piszczałkami i donośnym dźwiękiem trąb. Pomyślała, że Jezierski nie musi uczestniczyć w przejeździe. Próbowała przekonać siebie samą, jak głupie byłoby fatygowanie chorążego koronnego do miasta, w którym nic złego się nie dzieje. Co prawda Rada niepokoiła się, czy król przyjedzie w pokojowych zamiarach, ale nikt rozważny nie sądził, by Sobieski napadł na gdańskie władze. Plotki podsycane przez rozgniewanych rzemieślników trafiały tylko do tchórzliwej części patrycjatu.

Teraz dźwięki trąb słychać było wyraźniej, a okrzyki z Długiej przybierały na sile. Jednocześnie pierwsze wozy toczyły się już przy ratuszu i wjeżdżały na Targ. Wanda podziwiała wspaniałości, jakich nie

widziała nigdy w życiu. Dorastająca w małej Łodzi, z dala od dworskiego przepychu, chłonęła teraz kolorowe obrazy – konie przystrojone złotem, piękne jak malowane i ciężkie wozy przewożące oręż i przedmioty konieczne do opieki nad królem.

Przejeżdżały pojazdy i kolejne wspaniałe konie. Z ciężkich uprzęży zwisały czerwone chwosty, a w ogony wierzchowców wetknięto perłowe spiny. Niektóre ogiery miały z grzyw zaplecione warkocze opadające luźno na szyje. Spod złotych tkanin wystawały tylko sprężyste nogi i zgrabne pyski.

Wanda nie zdążyła ochłonąć, a już nowe dziwy ukazały się jej oczom. Zapomniała na chwilę o Jezierskim i strachu, wlepiając wzrok w bogaty orszak, gdzie nie wiadomo było, kto bardziej wyróżnia się strojem, czyj kontusz mocniej lśni pod żupanem. Były też osoby ubrane nie na wzór polski, lecz zachodni – mężczyźni z lokami spływającymi na plecy, wyprostowani w siodle, dumni i świadomi swojego bogactwa. Urzędnicy patrzyli z pięknych wozów na gawieź. Lud pozdrawiał możnych, pokrzykiwał i wyczekująco wpatrywał się w stronę wąskiej Długiej, by dostrzec króla.

Jeszcze nie zdążyły przejechać osobliwości, a już nowe cuda wyłaniały się wprost na Targ. Wanda usłyszała pełny emocji wrzask. To krzyknął zdumiony Florian patrzący okrągłymi oczami na dwóch Afrów siedzących na wielbłądach. Łaknący podróży i przygód Florek nigdy wcześniej nie widział dziwaczných stworzeń z garbami ani ludzi o innym kolorze skóry. Słyszał o nich tylko plotki, ale teraz, gdy zobaczył czarnoskórych, pomyślał, że opowieści musiały być wysane z palca.

O Afrach mówiło się niewiele, bo nie wiedziano o nich właściwie niczego. Głoszono za to opowieści o ziemiach, gdzie nie znają praw boskich i chodzą boso z dzidami. Florian zasłyszał kiedyś o tym, że

w Afryce mieszka smok z siedmioma głowami gotowy pożreć od razu siedmiu ludzi, więc stanął na palcach i zaaferowany wypatrywał, czy gadzina też będzie uczestniczyła w pochodzie. Maszerowali ludzie w różnych strojach. Niewielu wiedziało, kto to. Szaty mieli różne i chodzili powoli, ale miarowo.

Z Długiej dobiegł hałas, co znaczyło najpewniej, że wjechał Jan III. Przy ratuszu zaszumiało. Zastanawiano się, czy przygotowane bramy triumfalne zadowolą monarchę. Na Długi Targ wchodzili kolejni ludzie. Teraz mieszkańcy poznawali niektórych przedstawicieli cechów. Byli wśród nich roztańczeni rzeźnicy w czerwonych strojach pływający wśród piszczałek, dalej przywódca gdańskich rzemieślników i jednocześnie szewc – Krystian Meyer i wreszcie reprezentanci gdańskiego kupiectwa.

W tej chwili zapomniano, kto luteranin, kto katolik – rzemieślnicy z kupcami wiwatowali na cześć cechów i króla. Wanda obserwowała wszystko ze zdziwieniem i pewnym wzruszeniem. Rzadko bywała w Gdańsku i nie lubiła hałaśliwego nieznanego miasta. Zazwyczaj zadowalała się tym, co dawały Stare Szkoty. Wiedziała też, że do Gdańska zjeżdżają ludzie z różnych stron Rzeczypospolitej, więc z rejonu Łodzi też ktoś mógł się przyplątać.

Za kupcami podążały dwie duże karety. Połączone uprząże mieniły się w słońcu, a fryzyjskie konie z długimi ogonami, przepasanymi aksamitnymi purpurowymi wstęgami, spokojnie ciągnęły kosztowne powozy opatów – oliwskiego i pelplińskiego. Karety na wielkich drewnianych kołach toczyły się powoli, zaś ze środka wychylali się dostojnicy pozdrawiający tłum.

Ani Ludwika, ani Wanda nigdy nie widziały takiego przepychu. Trudno było skupić na czymś wzrok, bo zaraz oczy wędrowały gdzieś indziej, podziwiając kolejną błyskotkę lub przetykany złotem materiał. Różnorodność była wielka. Jeden miał strój polski, inny perukę, zakiet

i kaftan sięgający kolan, a na nogach spodnie i pończochy. Wszystko to kosztowne ponad miarę, aksamitne albo jedwabne.

Przewinęło się jeszcze mnóstwo ludzi różnie ubranych. Wanda nikogo nie znała, ale wypatrywała tylko jednego. Teraz była pewna, że nie przyjechał. Wgapiała się w tłum konnych i pieszych, lecz poczucie, że spotka Konrada słabło z każdą chwilą. Rozczarowania także się lękała.

Nagle na Długi Targ wkroczyli muzykanci, których było słyhać już od godziny. Zwiastowali, że nadchodzi Jan III Sobieski. Poruszeni rzemieślnicy zaczęli wiwatować, aż można było ogłuchnąć. Wanda wytrzymała wrzask gdańszczan i spoglądała w stronę wylotu z ulicy Długiej.

Z ratusza dobiegały poważne dźwięki *Te Deum Laudamus*. Królewska świta wjeżdżała na Targ, a za żołnierzami stąpały gniade konie w czwórkę ciągnące karecię. Wjechał wreszcie powóz królewski, w którym w uroczystym stroju siedział otyły Jan III. Naprzeciwko niego, na atłasowych poduszkach, spoczywał kilkunastoletni chłopiec – pierworodny Jakub Sobieski. Miękkie loki opadały na jego jasne czoło i ramiona. W pochodzie, z powodu ciężki, nie uczestniczyła królowa Maria Kazimiera.

Króla zaciekawiała brama ustawiona na Długim Targu. Wychylał się z karety, pozdrawiając tłum. Oblicze miał łagodne, ale niepozbawione troski. Ubrany był w szaty polskie – przede wszystkim na głowie nosił kołpak z drogich tkanin i futer. Gdańszczanie nie spotykali tak bogatych nakryć głowy u drobnej szlachty przyjeżdżającej do miasta. Król miał też brązowy kontusz ze złotymi guzami opięty mocno na ciele, zapewne podszyty jedwabiem. Przepasano go szerokim złotym pasem wzbudzającym podziw możnych. Jan III trzymał upierścienioną dużą ręką drzwi karety, a drugą dłoń podnosił, witając lud.

Świta jadąca przed królewską kareta zaczęła ściągać lejce, konie stawały dęba, po czym zawracały ku Sobieskiemu. Wanda przeniosła wzrok na wierzchowce, gdy nagle mignęła jej w słońcu radosna twarz, którą знаła przed laty.

– To niemożliwe – szepnęła poruszona.

Wpatrywała się w mężczyznę dosiadającego bułanego konia, a trudno było dostrzec, kim jest, bo obracał się zręcznie w siodle, ciesząc oczy zgromadzonych po obu stronach. Kiedy jednak wychylił się z innymi jeszcze raz, ogier wyciągnął przednie kopyta, jakby się kłaniał i Wanda dojrzała twarz wyraźnie – był to Konrad Jezierski.

Niespodziewanie dla samej siebie uśmiechnęła się i zapłakała ze wzruszenia. Stała w pierwszym szeregu, ale trwoga nagle minęła, teraz chciała, by ją zobaczył. Rozchyliła usta, by złapać więcej powietrza, ale oddychała płytko i szybko. Fala tłumionego od lat uczucia zalała jej ciało, dreszcz miłości przebiegł po plecach. Głowa zrobiła się pusta, jakby troski uleciały z niej bezpowrotnie. Łzy zaczęły spływać po twarzy. Nie czuła się teraz żoną Daniela i zrozumiała, że mimo upływu lat wciąż pozostała łodzianką Wandą Sobótko zakochaną bez pamięci w synu właściciela chojeńskiego folwarku. Choćby miała zmieniać nazwisko jeszcze dziesięć razy, miłość pozostanie w niej rozżarzona jak pochodnia.

Wiejskie baby obserwowały reakcję Wandy i kiwały z aprobatą głowami. Myślały, że sąsiadka zareagowała tak na wjazd monarchy i wnet poczęły naśladować jej zachowanie. Za nimi szły następne. Cały Targ wypełniły rzewne westchnienia. Wanda nawet nie zauważyła, że stała się inspiracją dla kobiet z okolicy i gdańszczanek. Przeżywała w pełni rozkwit uczucia, które nigdy w niej nie zgasło, zawsze na dnie serca tlił się mały płomyk miłości.

Konrad nie zauważył Wandy. Trzymał się w siodle pewnie i dostojnie, ale bardziej od tłumu interesowało go bezpieczeństwo króla. Uspokoił ogiera. Teraz tłum z Długiej skierował się w stronę Motławy, więc zrobił się niebывały ścisk. Nadbiegli burmistrzowie. Od strony fontanny Neptuna maszerowali gdańscy mistrzowie i pokazywali królowi cechowe tańce. Zewsząd wychodzili kuglarze i muzykanci. Długi Targ wypełniły płąsy i śpiewy. Każdy chciał przedstawić to, co przygotował specjalnie na ten wyjątkowy dzień. Rzeźnicy idący pod czerwonym sztandarem zaczęli pokaz, a za nimi ustawił się przyjezdny połykacz ognia wzbudzający popłoch i oburzenie. Występ miał jednak dopracowany i żadna iskra nie wznieciła pożaru.

Gdańscy bogaci kupcy prezentowali się w czerni i w fantazyjnych kapeluszach z pióropuszcami. Ich pochód nadzorowali trębacze urozmaicający osobliwymi biało-niebieskimi strojami ciemną plamę handlarzy. Sztandar cudacznej grupy wzniesiono wysoko, a był piękny. Przetykany srebrem i złotem.

Czeladnicy również starali się pokazać uznanie dla monarchy. Wkrótce na Długim Targu zrobiło się gęsto od sztandarów, a każdy chciał, by jego grupa pokazała najwspanialszy. Kiedy burmistrzowie wyszli na środek, docierając do bramy triumfalnej, muzykanci przestali grać, a pospólstwo gdańskie ucichło. Gdzieniegdzie jeszcze szemrano, lecz główny burmistrz Adrian von der Linde, nie zważając na to, skłonił się przed wysiadającym z karety monarchą i podał mu klucze do miasta. Sobieski, wyższy i tęższy od niego, przyjął je zadowolony, podziwiając wspaniałe przyjęcie. Uśmiechnął się pod wąsem, a potem uniósł dłoń z kluczami gawiedzi na uciechę. Zgromadzeni prześcigali się w ukłonach i wiwatach. Nadworni trębacze zaintonowali nowy utwór.

Rajcy skłonili się przed królem. Burmistrz wskazał, gdzie Sobieski będzie mieszkał. Wybrano miejsce najgodniejsze – cztery kamienice przy Długim Targu. Podziękowania trwały długo, przy czym ukontentowany król docenił huczne powitanie, a także imponującą bramę triumfalną. Wykonano ją z właściwym dla gdańszczan kunsztem, którym lubili popisywać się w świecie. Znano ich powszechnie z umiłowania wszystkiego, co spektakularne. Tym razem postawiono na cztery kolumny zakończone obeliskami. Łączył je łuk, na którym widniał portret polskiego władcy. Sławił go trąbiący cherubin, przed bramą zaś ustawiono posągi Marsa i Ateny. To wszystko Sobieskiemu bardzo przypadło do gustu.

Wanda wpatrywała się w Konrada stojącego po drugiej stronie Targu. Zapomniała o tym, że powinna szukać Ludwika i o awanturach z mężem. Zapomniała, po co ten cały chaos i w jakim celu zebrało się tylu ludzi. Nie myślała o tym, że król przyjechał odwiedzić Gdańsk. Zapomniała o wszystkim i dumiała, że jedenaście lat temu powinna była podążyć za Jezierskim na Litwę, prosić go o przyjęcie do służby, choćby na kuchenną dziewczkę.

Tłum to przeredzał się, to gęstniał. Wandę mijali gdańszczanie i obcy, nie zwracając uwagi na samotną jasnowłosą postać wpatrzoną w jeden punkt. Szarzało, a uroczystości wciąż trwały. Ten szczególny dzień przyniósł wiele uciech, ale też awantur i braterskich pojednań. Piwo lało się strumieniami nie tylko w karczmach, lecz także na placach. Zewsząd dobiegały dźwięki trąb i piszczałek, kakofonia nikomu nie przeszkadzała. Przyjezdni gotowali się na jarmark, który w tym osobliwym roku został uświetniony przyjazdem dworu.

Wanda straciła Jezierskiego z oczu. Udawała, że świetnie bawi się, czasem nawet coś ją szczerze zdziwiło lub zachwyciło, lecz wciąż przeczesywała wzrokiem morze głów, najczęściej zwracając oczy na

królewską świtę. Wcześniej zdążyła zauważyć, że Konrad nie zmienił się ani trochę, może zmężniał. Widać, że był zaprawiony przez wojny i dworskie obowiązki chorążego.

W końcu ponownie wypatrzyła go w tłumie. Uśmiechnęła się do siebie, dziękując niebiosom, że Konrad żyje w dobrobycie pośród królewskich wspaniałości. Zrozumiała też, dlaczego jego nazwisko zna nawet szkockie chłopstwo. Król często dyskretnie prosił chorążego na stronę, wypytywał, zmieniał zdanie po wpływie niektórych sugestii. Wpływy Jezierskiego musiały być zatem ogromne.

Szlachcic wydawał się emanować beztróską, choć były to pozory. Pamiętał, jak wielu ma przeciwników, ktoś mógłby łatwo pozbyć się go w tłumie. Rozglądał się zatem, ale jednocześnie ze śmiechem witał dostojników, oglądał pokazy taneczne, przyjmował prezenty dla króla od różnych grup pragnących wyjednać u Sobieskiego łaskę. Wszyscy, wiedząc, jak dalece król ceni chorążego, byli dla niego uprzejmi, czasem wręcz natarczywi w pochwałach. Konrad taktownie słuchał, choć takie zachowania wzbudzały w nim obrzydzenie.

Wandzie, która na przemian radowała się i smuciła, uśmiech chorążego przypomniawszy to, co najpiękniejsze, a jednocześnie najboleśniej. Wiedziała, że nigdy nie zdoła zapomnieć o pocałunku i niespokojnej nocy, kiedy przyszła do folwarku w Chojnach. Była pewna, że w pewnym momencie życia też o niej myślał, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Uznawała tę szlachecką dumę jako oczywisty przymiot lepiej urodzonego. Nie było z czym dyskutować, należało pogodzić się z rzeczywistością.

A jednak serce, które bije szybciej, nie chce przyjąć do wiadomości, że marzenie się nie spełni. Z tego powodu Wanda podchodziła niepostrzeżenie coraz bliżej dworskiej świty. Mijało ją mnóstwo ludzi, ale nie zwracała na nich uwagi.

Nieważne, najwyżej mnie wyda i zginę, pomyślała.

Zacząła iść w kierunku Konrada, czerpiąc portowe powietrze urywanym oddechem. Była już niedaleko, gdy nagle ktoś nieprzyjemnie wyrwał ją z miłosnego, ledwo uchwytnego stanu upojenia.

– Wszędzie cię szukamy. Gdzie się szwendasz, do licha ciężkiego?! – warknął Daniel.

Obok niego stała przestraszona Ludwika wpatrująca się w nieprzytomne oczy matki.

– Nie widzisz, że zostawiłaś mnie z Ludwiką? Co za wstyd – mnie z dziecieniem! Miałaś jej pilnować – perorował.

Zdecydował, że pora wracać do chaty. Po drodze odgrażał się, ale Wanda ledwie go słuchała. Przytakiwała i przepraszała jak każda niewiasta, ale myślami była gdzie indziej.

– Zaczarowali mi połowicę na tym wjeździe. Rozumiem, że to wielkie wydarzenie, ale żeby nieprzytomną do domu wracać?

Ludwika szła obok matki i czuła, że nastrój zmienił się bezpowrotnie.

A jeśli miła matka będzie już na zawsze taka nieobecna? – pytała siebie w myślach, niepewnie zerkając w górę.

Szkoty zasypiały powoli, bo przeżyte emocje wciąż rozbudzały chłopstwo. Lud wracał do wiosek gromadą, lecz ślamazarnie. Opowiadano, jakie wrażenie wywarło bogactwo wjeżdżające do miasta. Takie pochody zdarzały się bardzo rzadko, choć Gdańsk powszechnie znano z urządzania wielu uroczystości. Ta zaś była wyjątkowa.

Schulzowie skręcili do domostwa leżącego na obrzeżach wsi. Dzień kończył się powoli.

V



Od kąd Sobieski przyjechał do Gdańska, nie było spokoju ani w mieście, ani w okolicznych wsiach. Zaczął się Jarmark świętego Dominika, na który przyjechało więcej ludzi niż zazwyczaj. Lud zbierał się na Placu Dominikańskim, ponieważ tam co roku rozstawiano kramy.

Czegóż tam nie było! Gliniane naczynia obok cynowych drogich zastaw, dewocjonaia – ozdobione różańce, krzyżyki i figurki, dalej zaś bursztyn, miody pitne i alkohole, a także chleby, sery i wędzone mięsiwa. Na szczeblach drabin rozpostarte były tkaniny, jedne przedniejsze od drugich. Stały też duże rzeźby, obrazy wystawiane dla bogaczy przez samozwańcych malarzy i gotowe stroje. Moźni nawiązywali kontakty przy gorzałce i okupowali najbogatsze kramy, a biedniejsi oglądali dobra, marudzili i targowali się w nieskończoność aż do uzyskania odpowiedniej ceny. Dochodziło do scysji, zdarzały się kradzieże.

Środkiem placu przechodzili przyjezdni kuglarze, zapraszając na występy, a także obwoźni handlarze wypychani przez gdańszczan za teren jarmarku. W tłumie widać było wystrojoną szlachtę, ponieważ każdy w Rzeczpospolitej słyshał o Jarmarku Świętego Dominika i chciał w nim uczestniczyć.

Harmider nie do opisania towarzyszył wydarzeniu, bowiem głośno rozmawiano, gderano i przekrzykiwano się. Jeśli mieszczuch śmiał powiedzieć kramarzowi, że jego towar nadaje się jedynie krowom pod kopyta, zjawiała się postawna żona wygrażająca kijem albo pięścią. Próżno zliczyć przypadki stłuczonych szklanic i kłótni. Gorący czas jarmarku rządził się własnymi prawami, dlatego przytułki szybko zapełniały się chorymi czy pobitymi.

Karczmy również wypełniły się chcącymi skosztować gdańskich napitków cenionych w całej Polsce. W zależności od statusu miejsca spotykali się szlachcice z magnaterią, a gdzie indziej szaraczki z bogatym mieszczaństwem. Na obrzeżach Gdańska pojawili się biedniejsi, a także obcojęzyczni i polscy marynarze nieraz niebezpieczni, skorzy do bitek i rozrób. Karczmarze cierpieli katusze, bo bójki zdarzały się podczas jarmarcznego miesiąca nad wyraz często, czasem dostawało się i obsługującym, więc w mieście podwojono straż. Przede wszystkim posiłki posłano do karczmy usytuowanej przy Krowim Moście, bo do niej schodzili się marynarze.

Daniel ciągle wychodził, znikał na całe dni, a wieczorami przychodził tak późno, że Ludwika już spała. Od kilku dni nie widziała ojca lub mijała się z nim przy śniadaniu. Wanda nieprzychylnie patrzyła na męża, ale powstrzymywała się od uwag, stwierdzając w duchu, że właściwie nie obchodzi jej, co robi Schulz. Miała własny świat tajemnic, do którego nie wpuszczała nikogo. Stała się jeszcze bardziej milcząca. Natomiast Ludwika czuła, jak pogrąża się w samotności połączonej z niechęcią innych dzieci, którym przykazano nie bawić się z Schulzówną. Waśnie między Danielem

a resztą chłopów odbijały się na całej rodzinie, a jedynym ratunkiem dla Ludwiki były nieliczne spotkania z Florkiem.

Któregoś słonecznego dnia wreszcie z nim się zobaczyła. Czekał na nią, jak zawsze, pod lewym skrzydłem Zielonej Bramy. Chłopiec zauważył smutek na twarzy Ludwiki. Serce ścisnęło mu się z żalu, bo niedawno poprzysiągł sobie, że przychyli jej nieba.

– Chcesz, to opowiem ci o trzech braciach, którzy mieli dar przyspieszania czasu.

– Naprawdę go mieli? – zapytała Ludwika, szeroko otwierając oczy.

– Nie – zaśmiał się Florek. – To tylko opowieść.

Dziewczynka stanęła przy Zielonym Moście. Spoglądali z daleka na wpływający holenderski okręt. Tuż obok nich, na okazałych beczkach z solą, rozsiadło się dwóch ubogich szlachciców rozprawiających o sprawach majątkowych. Dalej, z przeciwnej strony, na most wjeżdżał lekki powóz zaprzęgnięty w dwa konie, zaś u wylotu stał przyjezdny handlarz nawołujący do kupowania glinianych naczyń. Cienki, nieco wystraszony głos, niósł się daleko, aż na Długie Pobrzeże, co po chwili zirytowało szlachciców spoczywających na beczkach.

– Przymknij mordę i wynocha! – wrzasnął jeden z nich.

Handlarz ze strachem spojrzął na szlachecką szablę, ukłonił się czym prędzej i ruszył prymitywnym wozem w stronę Długiego Targu. Pisk drewnianych starych kół obwieścił ten osobliwy przemarsz.

Florek przezornie oddalił się nieco od szlachciców, by nie przeszkadzać w dyskusji. Spoglądał z mostu w toń Motławy ujarzmionej w tym miejscu przez człowieka.

– Byli sobie trzej bracia – zaczął Florek uczonym tonem. – Najstarszy, średni i najmłodszy. Mieli dar przyspieszania czasu, ale mogli z tego

skorzystać tylko raz w życiu. Chciałabyś mieć taki dar? – zapytał, pragnąc skupić uwagę Ludwika, która schyliła się po kamyczek w kształcie serca.

– Nie wiem – mruknęła. – Co było dalej?

– Życie mijало i każdy z braci musiał sobie radzić sam. Tak to bywa, podobno wszyscy kiedyś się rozdzielają.

– Nie chcę, żebyśmy się rozdzielili – powiedziała nagle Ludwika, marszcząc brwi.

Spoglądała na Florę z niepokojem.

– My się nigdy nie rozdzielimy. Zawsze będziemy przyjaciółmi – zapewnił. – Jednak bracia się rozstali i każdy poszedł swoją drogą. Najstarszy brat zakochał się bez pamięci w szlachciance. Była piękna i nie mógł się jej oprzeć, choćby próbował. Ale nie próbował. Niestety jaśnie paniuszka wyjechała do innego kraju, może nawet popłynęła statkiem do Holandii. Przed wyjazdem spotkali się i obiecali sobie, że niedługo znowu się zobaczą. Dni i tygodnie dłużyły się najstarszemu bratu tak, że nie mógł wytrzymać. Nie jadł, nie spał. Zmizerniał jak niedokarmiona krowa. W końcu uznał, że dłużej tego nie zniesie i użył przyspieszenia czasu, żeby spotkać się z ukochaną ponownie i ominąć dni nieznośnej tęsknoty. Niestety! – Florek westchnął nad losem bohatera. – Okazało się, że paniuskę wydano za mąż w Holandii czy innej krainie. Spotkali się dopiero u schyłku życia, kiedy oboje byli bardzo starzy. Już im się nawet nie chciało rozmawiać, tacy byli zgrzybiali. Wiesz, co to oznacza?

– Całe życie mu przeleciało! – wykrzyknęła zdumiona Ludwika, opierając się o barierkę zwodzonego mostu.

– Tak – potwierdził smutno Florek. – Całe życie śmignęło w jednej chwili i czas zatrzymał się dopiero wtedy, gdy najstarszy brat był starcem. Pewnie nawet nie dosiadał już konia i chodził przygarbiony, bezzębny. W ten sposób wykorzystał dar i niedługo potem umarł.

– Co zrobił średni brat?

– Otóż drugi brat – zaczął mądrze Florek – zachorował, gdy był jeszcze dosyć młody, powiedzmy w wieku naszych rodziców, toż to przecież jeszcze nie są starzy ludzie! Czuł duży ból w całym ciele. Wychudł jak świnia, której szczury zjadają żarło z korytka, ledwo nogami powłóczył. Życie stało się nieznośne. Postanowił przyspieszyć czas, żeby zatrzymał się dopiero wtedy, gdy ból minie i będzie zdrowy.

– Długo chorował? Chyba nie całe życie do starości? – zauważyła Ludwika.

– Oczywiście, że nie – powiedział z wyższością Florian. – Po prostu już się nie obudził, bo to była śmiertelna choroba, jak się okazało.

Zdumiona Ludwika patrzyła na Florka z przejęciem.

– W ten sposób średni brat wykorzystał dar. Ale – chłopiec podniósł palec – został jeszcze najmłodszy. Długo zwlekał z przyspieszeniem czasu. Używał życia i bawił się na całego. Nie było mocnych na jego harce. Dopiero gdy był na skraju śmierci, jako stary dziad użył daru, by umrzeć od razu i nie cierpieć.

– Oto mądry! – krzyknęła z podziwem Ludwika, ale Florian pokręcił głową z dezaprobatą.

– Wszystko jest kwestią spojrzenia, Ludwiniu – powiedział. – Mówisz, że najmłodszy brat najlepiej wykorzystał dar od losu? Nie zgadzam się i o tym jest opowieść.

– Jakże to? Może dwaj poprzedni wykorzystali dar mądrze? – zapytała z przekąsem.

– Tak! Pierwszy tak tęsknił za ukochaną, że życie bez niej nie miałooby sensu. Byłoby puste, szare jak popiół, który badają w Dworze Popielnym –

Florian machnął głową w stronę Starego Przedmieścia. – Tułałby się biedak po świecie, żeby tylko ją odnaleźć. Sama powiedz – czy to warto?

Ludwika milczała, więc Florian kontynuował.

– Drugi brat skrócił czas bolesnej agonii. Umierałby tak jeszcze przez tygodnie, może miesiące. Użył przyspieszenia i umarł mężnie, więc na coś mu się to przydało.

– A najmłodszy?

– Przeżył wiele dobrych chwil i nie uciekał od złych. Kiedy przyszło mu umrzeć, przyspieszył czas. On jeden nie wykorzystał daru mądrze i zmarnował go. Wyobraź sobie! Masz taką moc i używasz jej dopiero na starość, w dodatku żeby umrzeć? Co za strata! Nawet nie zobaczysz efektów.

– Średni brat też ich nie zobaczył – mruknęła Ludwika cicho.

Nie chciała jednak marudzić, bo Florek aż pękał z dumy, że udało mu się przekazać taką opowieść. Milczała chwilę w zadumie nad historią, próbując pojąć punkt widzenia przyjaciela. Ocknęło ją dopiero głośne wołanie osła, którego na moście poganiał młynarz.

W domu Ludwika cały czas rozmyślała nad Florkową historią. Nadal nie zgadzała się z tym, że trzeci brat głupio wykorzystał dar przyspieszania czasu, ale pojęła, że to kwestia spojrzenia i każdy może widzieć opowieść inaczej. Czasem spoglądała na zamyśloną matkę szykującą kolację dla dwóch osób. Ojciec znowu wróci późno.

– Matko, czy znasz opowieść o trzech braciach, którzy mogli raz w życiu przyspieszyć czas?

Wanda odwróciła się zaskoczona. Podparła się pod boki i zmarszczyła brwi.

– Nie znam. Gdzie opowiadają podobne bajdy? – zapytała, domyślając się, że to jakaś uczona historia z morałem.

– W Szkotach dzieciaki mówiły – skłamała bezwiednie Ludwika.

– Mhm, może Marianna – mruknęła brutalnie Wanda, specjalnie przywołując imię głuchoniemej sąsiadki.

Wiedziała, że Ludwika szwenda się po Gdańsku, choć zawsze zaprzeczała. Wanda jednak zachodziła w głowę, od kogo córka mogła zasłyszeć miejską opowieść. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałyby, że dziesięcioletnia dziewczynka ma własny mały świat, a w tym świecie przyjaciela – syna nie byle jakiego kupca.

– Nie pozwalam ci chodzić do miasta – podjęła Wanda stanowczo. – Teraz jest niebezpiecznie. Dużo nieznanych ludzi się kręci. Nie dość, że król jegomość przyjechał, to jeszcze jarmark się zaczął. Ojciec ci złoł skórę za tamtą uciezkę. Chcesz znowu dostać?

Ludwika spuściła wzrok. Zaczęła kreślić palcami kółka na ławie.

– Myślisz – zaczęła ją znowu rozgniewana matka – że w mieście jest bezpiecznie. Drobną szlachta, możne damy, uczeni, Jan Heweliusz. Naiwna. Gdybyś wiedziała, jacy naprawdę są ludzie...

Wanda urwała. Pośpiesznie mieszała drewnianą łyżką kapustę z kawałkami boczku. Ludwice wydawało się, że matka zaraz się rozpłacze i rzeczywiście, Wanda była bliska łez. Od chwili, w której zobaczyła Jezierskiego, pragnęła szukać go i zostawić męża. Później dawały o sobie znać dawne urazy, a w szczególności obezwładniający strach, że Konrad wie lub nie wie, wyda ją lub przepędzi. Albo że jej nawet nie pozna. Każde wyjście wydawało się koszmarne.

– Myślisz – powiedziała po chwili, ledwo panując nad emocjami – że jak ktoś jest możny i miejski, to lepszy? Albo że jak jest ze szlachty, to cię uszanuje? Myślisz, że cię nie wyśmieje? Ciebie – wiejskiego chłystka? – pytała odwrócona plecami do córki, zalewając się łzami.

Mieszała gotową kapustę, zataczając wąskie kręgi.

– Myślisz, że ludzie mają życie jak z opowieści? Wszędzie tylko pogarda. Zobaczysz, jak kogoś pokochasz prawdziwie i szczerze. Ciekawa jestem, jak ci się odpłaci. Porzuci i zostawi, zwłaszcza możny. Przyjaciół zdobywasz w Gdańsku... Zobaczysz po latach. Zostanie płacz i rozczarowanie.

Powietrze gęstniało od napięcia. Ludwika już miała zerwać się z ławy, by przytulić płaczącą matkę, ale wtem trzasnęły drzwi. Odgłos ciężkich nierównych kroków rozniósł się głucho po drewnianej podłodze sieni, po czym w progu izby stanął Daniel.

Wyglądał nad wyraz marnie. Tu i ówdzie podarte ubranie ukazywało nagie poszarpane pazurami ciało. Z ramienia ciekła wąska strużka krwi spowalniająca na gładkiej powierzchni, a przyspieszająca przy kolejnych ranach. Rozprute płócienne spodnie zwisały luźno, prezentując poorane łydki. Pod lewym okiem Schulza widniał guz wielkości jabłka. Na ten upiorny widok Ludwika zaczęła się trząść, ze zdumieniem stwierdzając, że ojciec jest właściwie w dobrej formie i zdaje się nie przejmować swoim stanem.

Wanda stała zapłakana i patrzyła ze zgrozą na kulejącego męża, który powoli wtoczył się do izby, skrywając grymas bólu. Usiadł ciężko przy ławie i spojrzał na Ludwikę. Uśmiechnął się sennie. Dziewczynka spojrzała na ojca nieufnie i poczuła odór piwa.

– Podobno Schwarz dalej leży, ale już przytomny. Serce mu bije, oczy otwarte, oddycha. Mówi trochę, ale końskie kopyta uszkodziły go mocno, więc nie wstaje z łóża ani nie siada. Żona go karmi jak dziecko – wymamrotał Daniel.

Głowa opadła mu na ławę. Mętne oczy leniwie przykryły powieki.

– Jak ty wyglądasz? – zapytała spokojnie Wanda.

– A, to! – przypomniał sobie Schulz, swobodnie potrząsając naderwaną częścią spodni. – Pies Roznerka mnie pogryzł. Poszczuł mnie psem, dureń.

– Za co?! – krzyknęła Wanda, siadając naprzeciwko męża.

– Nawet nie wiem, jest głupi. Z osłem na łby się zamienił. Własnego sąsiada nie poznaje – wybełkotał Schulz.

Wanda przypomniała sobie, jak mąż obrażał podmiejskich partaczy, a Roznerek pracował przecież w szkockim browarze, wolny czas poświęcając kupiectwu. Po prawdzie z tych zajęć zarabiał godziwie, obrotny był bardzo i chytry. Ostatnio na trakcie nawet nie przywitał się z Wandą. Widocznie w Starych Szkotach mieli dla Daniela coraz mniej zrozumienia, co Schulzowa przyjmowała. Uważała, że tylko ktoś niespełna rozumu jawnie gardzi własnym środowiskiem.

– To ty z Roznerkiem piłeś?

– U Roznerka w chacie. Ten jego wielki kundel biegał przy płocie. Jak Roznerek był trzeźwy, to posłał Burego do budy. Potem żeśmy się napili, bo się chciał wywiedzieć, gdzie ja teraz chadzam na zarobek. Potem pijany mnie z chaty wyrzucił i psem poszczuł. Kto to widział?! Ale ja się zemszczę na tej chamskiej mordzie! – zakończył, zaciskając pięść.

Minę miał nienawistną, a twarz groźną. Przypomniał sobie zniewagę i gotowy był bić natychmiast tego, kto pierwszy nawinie się pod rękę. Wanda spojrzała na Ludwikę. Dziewczynka siedziała obok ojca nieruchomo i prawie nie oddychała. Bała się podpaść w takiej chwili.

– Ludwiś, idź nakarmić kury – poprosiła. – A ty coś zjedz. Zobacz, kapusta z mięsem i chleb do tego – zwróciła się do męża.

Nie chciała być dla niego miłą, ale nie miała wyboru. Zacięta twarz męża znieruchomiła w strasznej masce nienawiści. Dopiero po dłuższej chwili Schulz przeniósł nieobecny wzrok z Wandy na postawioną przed sobą misę.

– Skąd chleb? – zapytał.

– Gdański – wydusiła Wanda.

Modliła się w myślach, żeby nie poznał różnicy. Widać było, że z początku jadł niechętnie, ale po chwili zastygła twarz rozluźniła się i Wanda zobaczyła cień uśmiechu.

– Dobrze – wymamrotał.

Wieczorem Wanda stała w progu, ogarniając wzrokiem okolicę. Choć Szkoty od ponad dziesięciu lat były jej domem, nie przywykła jeszcze do wszystkiego. Wieś wyglądała inaczej niż miasteczko, w którym się wychowała. Mała Łódź leżąca wśród niedostępnych borów i bagien, z daleka od wielkich miast, była przerażająca. Żyjący tam mieszczenie, odcięci od nowinek, wiedli ciężki los, uczciwie pracując w polu. Każdy znał swoją odpowiednio przyporządkowaną rolę. Nikt nie śmiał wymykać się schematom, a do sąsiednich wsi zagłądano nieufnie. Szerzyły się z tego powodu zabobony, jakby mieszczenie dusili się we własnej społeczności.

Choć Szkoty, z racji wiejskiego statusu, powinny ustępować Łodzi, było odwrotnie. Duża bogata wieś korzystała z przywilejów i niedokładnego nadzoru biskupstwa. Nie tylko to odróżniało małą Łódź od Starych Szkotów. Wieśniacy nawiązywali bliskie stosunki z mieszczanami, chodzili po najpiękniejszych ulicach Gdańska, ale nade wszystko obserwowali. Wiedzieli lepiej niż łodzianie, że ludzie są różni i tak musi pozostać, bo każdy coś ciekawego może wnieść do ich życia. Wyczuwało się więc w Szkotach powiew nieokreślonej siły, przyzwolenie na konkurowanie z lepiej urodzonymi.

Wanda nie od razu odnalazła się w szkockiej rzeczywistości. Beztroska i częściowa wolność chłopów zdumiewały ją. Mniej było tu zabobonów, ale więcej tajemniczych, według Wandy, dziwnych ludzi. Różnorodność, której nie doświadczyła w rodzinnym mieście, z początku przerażała ją, lecz

potem odnalazła się w niej doskonale. Wiedziała zatem, że istnieją chaty, w których żona bije męża, i że nie każdy chłop skazany jest na ciężką pracę w polu, a luteranie bywają porządni, ale zazdrośni o bogactwo. Wszystko to, i jeszcze więcej, liczyło się w życiu Wandy aż do przyjazdu Sobieskiego. Później stało się bez znaczenia.

Kobieta stała w progu i zastanawiała się, co Konrad czyni tego wieczoru. Może kładzie się do snu, myślała.

Było całkiem ciemno, na niebie lśniły pierwsze gwiazdy. Dla Wandy dzień nie kończył się pomyślnie. Czarne scenariusze układały się jej w głowie i dotyczyły rozmaitych spraw, a zwłaszcza dalszego życia w Szkotach. Wydawało jej się, że niedługo trzeba będzie wyprowadzić się do Gdańska. Pomysł wydawał się głupi, ale upór Daniela rósł. Od niedawna chadzał do Gdańska, nie wiedząc gdzie i po co. Gdy Wanda uświadomiła sobie, że z pewnością obejmie posadę czyjegoś ucznia i przez kilka lat będzie dorabiał się posady czeladnika, parsknęła ze złością. Dążenia męża wydawały się absurdalne. Dla ambicji był gotowy zaprzepaścić lata mozolnej pracy i spokoju.

Mimo czarnych myśli Wanda rozchmurzyła się na chwilę, gdy zobaczyła, że drogą idzie głuchoniema Marianna. Jasna, prosta grzywka dziewczki opadała na czoło. Spocona twarz napuchła z wysiłku. Na cienkich kobiecych barkach spoczywał kij, a na obu jego końcach wisiały kubły z wodą podtrzymywane sznurami. Z pomocą dziewczce przyszedł Maciej Obrzych. Marianna spojrzała na niego z wdzięcznością, gdy złapał wiadra i postawił je przed płotem Miechów. Wymienili się szybkimi delikatnymi uśmiechami. Maciej skłonił się kilka razy wyraźnie onieśmielony i pognął do chaty.

Marianna spojrzała za nim. W progu sąsiedniego domu spostrzegła Wandę, która pozdrowiła ją skinieniem głowy. Wzięła wiadra i, chwiejąc

się, poszła z nimi do obory. Tymczasem Maciej wyjrzał jeszcze na chwilę z chaty. Żując kawałek chleba, czule patrzył za smukłą sylwetką znikającą w mroku.

VI



W Gdańsku ruszył proces między Radą a rzemieślnikami. Sobieski był niezadowolony. Czas, który spędzał w mieście, dłużył mu się, a poza tym nie było jasne, co ze sprawą odbicia Prus Książęcych.

– Należy przypieczętować sojusz – powtarzał monarcha.

Konrad był powiernikiem króla i Sobieski bardzo cenił jego rady. To dzięki podpowiedziom chorążego zdecydował, po dwóch posiedzeniach, skierować sprawę gdańskiego sporu do Sądu Relacyjnego. Chciał rozstrzygnąć kwestię jak najszybciej, by zająć się sojuszem ze Szwedami. Okazało się to jednak niemożliwe. W połowie sierpnia Jan III, dodatkowo zdenerwowany ciężą królowej, trzasnął o dębową ławę stertą dokumentów, krzyknął, że ma dość i kazał przywołać Konrada.

Jezierski przyszedł natychmiast. Mieszkał obok kwatery pary królewskiej zajmującej kamienicę na Długim Targu. W sąsiedniej ulokowała się nieliczna dworska świta, bo pozostałych posłano do zamiejskich dworków. W trzecim domu mieszkała służba, a czwarty przemianowano na kamienicę medyków, którzy doglądali brzemiennej królowej.

Mina Sobieskiego wyrażała obawę. Chorąży skłonił się, potrząsając lokami, i ujrział chmurną twarz króla.

– Wasza królewska mość – rzekł na powitanie.

Dyskretnie zamknął drzwi. Zrozumiał, że sprawy gdańskie nie układają się pomyślnie.

– Spór jest większy, niż sądziłem – stwierdził Jan III. – Aż dziw, że na ulicach nie widać rozruchów. Buntowali się do niedawna wszyscy, a teraz ucichli najzarliwsi, licząc, że moja wizyta rozwiąże wszystkie problemy. Nie da się jednak pogodzić w mieście i poza nim tylu różnych religii i odmiennych żądań. Wrogiem jest, kto do innego kościoła chadza, kto mieszka za miastem, kto podejmuje cudze zajęcia. Jakże mam to pogodzić, skoro tylu ludzi, nawet tutaj, jest przeciwko moim decyzjom? Ordynki blokują wszystko, czego się dotknę, a Rada musi się z nimi liczyć.

Jezierski spojrzał na króla ze współczuciem. Wiedział, że władze Gdańska wołałyby, aby polski monarcha nie mieszał się w sprawy miasta. Inaczej reagowali rzemieślnicy. Codziennie służby królewskie odbierali dary od cechów. Dodatkowo rzeźnicy wciąż zbierali się tłumnie pod okiennicami z piszczalkami, tańcząc dla Sobieskiego.

– Jak się sprawy mają, najjaśniejszy panie?

– Źle – westchnął król. – Rada chce porozumienia, ale ławnicy się wahają. Jedni są zgodni, inni nie. Trzeci Ordynek nie chce w ogóle poruszać kwestii mniejszości katolickiej, choć monopol luterański jest tu ogromny. Nie rozumiem, dlaczego cechy nie zaskarżyły Ordynku... – Sobieski zamyślił się, patrząc w dal. – Jeszcze Szwedzi – wycedził.

– Porozumienie z Karolem XI prawie gotowe, jaśnie panie – odparł Konrad.

– To dobra nowina.

Spojrzał wreszcie na chorążego zmęczonymi oczami. Tliło się w nich rozczarowanie Polakami i Litwinami, a właściwie wszystkimi, którzy sprzeciwiali się porozumieniu. Wieści rozchodziły się bowiem szybko i malkontenci już pojęli, że król w tajemnicy pragnie podpisać traktat ze

Szwecją. Niezadowolonych było zaś tak wielu, że osamotniony monarcha czuł, jakby w sprawie Prus musiał działać sam.

– Są gotowi podpisać po dwudziestym sierpnia – dodał Konrad.

– Bardzo dobrze – mruknął Sobieski i zwałił się na krzesło.

Konrad stał przy malowanej ławie. Milczał, choć chciał pocieszyć króla. Dyskretnie rozejrzał się po gładkich zielonkawych ścianach zdobionych kurdybanami. Pomieszczenie było duże i strojne. W głębi, przy oknie, stało łóże z baldachimem, z czterech stron podparte mosiężnymi kulami. Dalej, w kącie, stał piec kaflowy; szkliwa jego połyskiwały zgodnie z najnowszą modą na biało i niebiesko, ukazując łączące się motywy zwierzęce i roślinne. Pośrodku rozciągała się malowana ława, na której rozmieszczono miedziane kandelabry z długimi cienkimi świecami, mosiężny dzban ozdobiony perłami i srebrną misę z winogronami. Kraj ławy zajęły rulony i dokumenty, a także duńska porcelana pasująca kolorystyką do pieca. Był więc biało-niebieski dzban z długą szyjką, także talerzyki i kufel, a dalej głębsza misa na ostrygi. Na ścianach, tuż przy łóżu, wisiały marynistyczne obrazy ukazujące niebezpieczeństwo żeglugi. Po drugiej stronie pokoju stały wielkie srebrne skrzynie i dębowo-hebanowa szafa, zaś na podłodze leżały tureckie dywany.

– Może chciałbyś przenieść się do dworu poza miastem, najjaśniejszy panie? Wiele znamienitych rodów jest gotowych ciebie przyjąć.

– Nie, Konradzie – odparł król, podpierając czoło w geście znużenia. – Zaraz napiszę list do markiza de Béthune. Sojusz ze Szwedami musi zostać podpisany jak najszybciej. Inaczej szansa odzyskania Prus Książęcych przypadnie bez powrotu.

– Czy to oznacza, że po podpisaniu wracamy do Warszawy?

– Nie, musimy zostać. Zatwierdzę przywileje, kiedy władze Gdańska dojdą do porozumienia i zgodzą się na moje warunki. Inaczej – impas.

Konrad skinął pokornie głową, ale w rzeczywistości był zły. Coraz mniej podobało mu się barwne, ale ciasne miasto północnej Rzeczypospolitej. Tęsknił do litewskich dóbr żony. Spodziewała się kolejnego dziecka, a jego akurat teraz przy niej nie było. Ponadto dowiedział się już, że Trzeci Ordynek stanowczo odrzucił żądania królewskie o rozszerzenie przywilejów dla katolików.

Król nie miał dodatkowych rozkazów, więc Konrad wyszedł, postanawiając zaczekać na list dla markiza. Udał się do sąsiedniej kamienicy, w której się zatrzymał. Miał wejść do sypialni, ale pod jej drzwiami dojrzał zapisany skrawek papieru. Zmarszczył brwi, dziwiąc się w duchu, kto ośmielił się zostawić królewskiemu dostojnikowi byle świstek, po który dodatkowo musiał się schylić. Podniósł papier i zaczął czytać, a z każdą chwilą jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. Chorąży zacisnął zęby z wściekłości.

– Kto to napisał?! – krzyknął w pustą przestrzeń.

Odpowiedziała mu cisza. Korytarz był pusty.

Wychylił się przez kutą fantazyjnie poręcz, spojrział w górę i w dół. Nikogo.

Właśnie się odwracał, gdy nagle poczuł silne pchnięcie. Nie dostrzegł, kto śmiał go tknąć, zdążył ledwie krzyknąć, zachwiał się i zaczął spadać ze schodów. Poczuł tępy ból przeszywający ciało powracającymi pulsującymi falami, był przerażony. Na szczęście w porę mocno uchwycił się poręczy. Napięte, pokierszowane ciało zawisło między szczeblami i niewiele brakowało, a Konrad spadłby w szczelinę i rozbił się piętro niżej.

Dźwignął się, z ulgą zauważając, że żadna kość nie została złamana. Czuł jednak ból w całym ciele i jeszcze przez chwilę stał na schodach, dumając, co właściwie się stało. Gdy uświadomił sobie, jak wielki spotkał go afront, wyprostował się godnie, wyjął szablę z pochwy, aż świsnęła, po

czym chwiejnie ruszył w górę, obiecując sobie, że dorwanego nieszczęśnika rozpruje od żołądka do jelit.

Pięknie wyglądała jego rozgniewana, surowa twarz. Zmrużył szaroniebieskie oczy ciskające niebezpieczne błyski. Przeszukał piętro, lecz znalazł jedynie otwarte okno. Zaszedł jeszcze na strych, gdzie wcześniej mieszkali na kupie czeladnicy, lecz i tam nikogo nie było. Choć ciało bardzo go bolało, najbardziej dokuczało urażone poczucie szlacheckiej godności. Niegodziwość wobec dworskiego dostojnika, gościa, sprawiła, że Jezierskiego ogarnęła rosnąca powoli, a po chwili obezwładniająca, wściekłość. Stał bezsilny u szczytu drugiego piętra, zaciskając szczęki. Z natury był człowiekiem łagodnym, jednak nie umiał pozostać obojętnym wobec zniewagi.

Miał pewność, że nikt z dworskiej służby ulokowanej na Długim Targu nie mógł tak haniebnie się zachować. Król zabrał tylko niezbędne osoby i najgorliwszych sprzymierzeńców, choć wśród dworzan znaleźliby się ukryci wrogowie Konrada. O ile któryś mógłby bezimiennie obrazić chorążego, to żaden nie zniżyłby się do zepchnięcia go ze schodów. Na szlacheckie lub przynajmniej dobre pochodzenie wskazywała treść kartki. Ktoś ułożył niemiły Konradowi wiersz o wszystkich przywarach chorążego wyśmiewanych za jego plecami. Było więc o tym, że taki piękniś bardziej nadaje się na zachodni dwór niż na żołnierza. Potem wróg napisał o Konradzie, że jest zbyt łagodny, ale pieni się, kiedy nie trzeba, wykorzystując wszystkie fałszywe maski, by sterować królem. Na końcu oczywiście, jak to najczęściej bywało w takich paszkwilach, anonim obrażał Katarzynę Jezierską, uznając wprawdzie jej nieprzeciętną urodę, ale skąpiąc małżeńskiej wierności. Wierszydło musiała dostarczyć ta sama osoba, która zepchnęła go ze schodów, więc zdawało się, że wśród dostojników szlacheckich lub gdańskich czai się zdrajca królewskich spraw

albo nieprzyjaciel chorążego. Mimo wszystko Konrad z trudem wyobrażał sobie dobrze urodzonego jegomościa wyskakującego przez okno z kamienicy.

Co za śmieszność, rozmyślał zagniewany.

Należało uczynić coś z tą sprawą.

– Do jego królewskiej mości – zaanonsował Konrad strażnikowi kamienicy, w której zatrzymał się monarcha.

– Czy wszystko dobrze, jaśnie panie? Słyszałem rumor. Cienkie te ściany.

Konrad nie odpowiedział. Wyminął stróża z godnością, po czym udał się do królewskiej sypialni. Przyjęty przez Sobieskiego, wszedł wyprostowany, gestami i mimiką zdradzając wielką urazę. Położył świstek z wrednym wierszem na ławie.

– Co to jest? – zapytał Sobieski.

Wyglądał na zmęczonego i zrezygnowanego.

Konrad opowiedział, co go spotkało, a w miarę jak mówił, król marszczył brwi i posepniał coraz bardziej. Po chwili wziął świstek i omiół go wzrokiem. Skończył czytać, zmiął ze złością skrawek papieru i uderzył otwartą dłonią w ławę. Żołnierskiej siły miał niemało, więc huk rozszedł się po całym korytarzu.

– Zaraz każę wszystkim z mojej służby dworskiej wziąć pióro i napisać kilka słów na czystym papierze. Zobaczymy, czyje pismo będzie zgadzało się z tym – powiedział poważnie, wskazując głową na pognieciony skrawek.

Sobieski był zły. Wyprostował się dostojnie i wyszedł z pokoju. Huknął na służbę, która w pośpiechu zebrała się na parterze. Do zwojów papieru każdy podchodził pojedynczo. Nie uspokoiło to Konrada, bo podejrzewał, że autorem obu zniewag, jakie go spotkały, był ktoś spoza dworskiej świty.

Danielowi nie udał się kolejny dzień w nowej pracy. Z trudem odnajdywał się w sytuacji, a Johann Schmidt, który przyjął go na ucznia, przez cały dzień wyznaczał mu zadania przekraczające umiejętności Daniela. Był przy tym bardzo nieprzyjemny i ganił go, że zbyt wolno pracuje. Schulz zaciskał zęby, ale w miarę upływu czasu jego cierpliwość wyczerpywała się. Nie przywykł, by ktoś odnosił się do niego tak nieprzyjemnie.

Johann Schmidt był znakomitym mistrzem obrabiania szerokiego sukna. Jednak – jak każdy geniusz – miał kaprysy. Przychodziło do niego wielu mężczyzn chcących pracować w zakładzie, ale mistrz każdego odsyłał, dołączając do odmowy sarkastyczne prychnięcie.

– Zachciało się kiepowi barwić sukno! – pinił się za odchodzącym delikwentem.

Schulz od niedawna obserwował słynny zakład Schmidta. Mistrz miał brązową perukę z prawdziwych puszystych włosów gładko opiętych niebieską wstążką. Duże oczy patrzyły na każdego z tygrysim błyskiem dzikiego zdobywcy. Całości dopełniał przydługi wiecznie zatkany nos i małe usta. Wszystko było w nim nieproporcjonalne i Schmidt zdawał się o tym wiedzieć. By zatuszować niedoskonałości, ubierał się w drogie i najmodniejsze stroje zachodnie zazwyczaj niebieskie lub lawendowe. Chadzał szybko. Jego ręce pracowały zwinnie, a barwiony przez mistrza materiał zawsze wyglądał jak arcydzieło. Kiedy Daniel przyszedł nająć się na ucznia, Johann zmierzył go wzrokiem.

– Masz szerokie barki. To niedobrze.

Daniel już miał zapytać, w czym przeszkadza jego budowa, ale Schmidt podniósł dłoń, by od razu zamilczeć pytanie.

– Sukno to delikatne, ale mocne tworzywo. Piękne i niebywale trwałe. Trwałe w kruchości – mówił, dotykając palcami materiału. – Tutaj jest

dzielone, poprawiane i barwione. Wszyscy czeladnicy są artystami. Uczeń to głupek, który nie zna tajników barwienia. Jeśli chcesz być prawdziwym geniuszem, musisz umieć nakładać kolor. Szerokie barki, niedobrze...

– Ile trwają nauki w zakładzie, mistrzu? – zapytał Schulz.

Czuł respekt przez Schmidtem i nie śmiał przeszkodzić mu, kiedy mówił.

– Chwałą się – uśmiechnął się ironicznie Schmidt – że u nich nauki zajmują osiem lat. Ja jestem w stanie z uczniem zrobić czeladnika w pięć!

Daniel wybałuszył oczy. Pięć lat w jego umyśle urastało do piętnastu, choć słyszał, że włókiennictwo rządzi się swoimi prawami.

– Kim byłeś wcześniej? – zagadnął Schmidt, mrużąc oczy.

– Karczmarzem.

Johann westchnął i cmoknął z niezadowoleniem.

– Dotknij sukna – polecił nosowym głosem.

Daniel ujął materiał w dwa palce, nie podejrzewając, że mistrz ocenia nabożność wykonywanego polecenia.

– Nie tak! – plunął w przestrzeń, aż Schulz prawie odskoczył. – To jest sukno, *crétin*[1]! Nie można tak traktować materiału! Kto to widział!

Mistrz już miał posłać Daniela w diabły, ale wtem do zakładu wszedł otyły rajca w opiętych pończochach.

– Johannie! Mam sprawę.

– Nie teraz, nie teraz, nie teraz! – krzyczał Schmidt, zatykając dłońmi uszy.

Stał pośrodku pomieszczenia, ciężko dysząc. Uspokoił się dopiero po chwili. Daniel i rajca wymienili spojrzenia.

– Uczeń mistrza? – zapytał otyły mężczyzna.

– Tak, panie – odpowiedział cicho Daniel.

– Winszuję – odszepnął niepewnie.

W tym momencie Schmidt odjął wreszcie ręce od uszu i otworzył szeroko oczy. Popatrzył na Daniela, a potem na wycofującego się rajcę.

– O jakim uczniu mówisz, Adrianie? Na litość boską, chyba nie sądzisz, że przyjmę tego durnia!

Rajca poczerwieniał.

– Johannie, wiem, że jesteś artystą. Twoje sukno kupują nawet potężni magnaci. Jesteś znany za granicą. Chwalą cię w Holandii i we Francji. Powiadają, że Szwedzi nie mogą się nadziwić twojemu stylowi barwienia. Ale od lat nie przyjmujesz uczniów. Kogoś trzeba wreszcie zatrudnić, wielu czeka na robotę u ciebie. Czemu skazujesz zakład na zamknięcie, skoro mógłbyś mieć dodatkowe ręce do pracy? Co złego jest w tym mieszczeniu?

Schmidt wyglądał tak, jakby usłyszał, że ma się szykować do grobu. Splótł ręce i wznosił oczy do nieba.

– Boże miłosierny, jakich czasów doczekaliśmy! Byle kiep może przyjść do zakładu mistrza i barwić sukno! To jest sztuka, Adrianie, sztuka! Zobacz, jakie on ma ramiona, jaki jest barczysty! Czy to dobrze przy tak kruchym materiale?

Cała trójka stała skonsternowana, nikt nie śmiał przemówić. W końcu rajca nie wytrzymał i wybuchnął, udając, że nie boi się wszczynać awantury ze sławnym mistrzem.

– Przywołuję cię do porządku, Johannie! Przecież musisz kogoś zatrudnić. Wszyscy rzemieślnicy w mieście narzekają na zamiejskich partaczy, ale nie widzą problemu w sobie! Otóż właśnie tak – w sobie, Johannie! Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Ilu z was nie zatrudnia gdańszczan? Król specjalnie dla was przyjechał, ale zawsze musi znaleźć się śmiałek, który nawet woli monarchy się sprzeciwi. Jak Rada ma ci pomóc, skoro nie najmujesz ludzi do pracy?

Johann poczerwieniał, ale wnet się odgryzł, żeby pokryć rumieniec wstydu.

– Dobrze, już! Zatrudnię go. A teraz idź, Adrianie, przede mną dużo pracy.

Ostatnie słowa Johann wypowiedział, patrząc wymownie na Daniela. Tym sposobem Schulz został przyjęty do pracy. Schmidt nie zajmował się tak przyziemnymi sprawami, jak sprawdzanie obywatelstwa, więc nawet nie wiedział, że zamiast gdańszczanina przyjmuje podmiejskiego karczmarza, czyli jawnie występuje przeciwko prawu.

Daniel szedł w zaparte, ciesząc się z roztrzepania mistrza. Ani myślał wyprowadzać go z błędu. Szybko podjął pracę, milcząc na temat Starych Szkotów, Wandy i swojego życiorysu. Wiedział jednak, że kiedyś będzie musiał wyjawić prawdę i to najlepiej, zanim wizytacja urzędników miejskich wykaże, gdzie naprawdę mieszka. Na razie jednak skupił się na tym, aby poznać tajniki dzielenia i barwienia sukna.

– Nie barwimy fałszywymi farbami – przestrzegał Johann. – Są teraz w wielkiej modzie i każdy ich używa. Tymczasem mój zakład chwałą nawet za granicą. *Pourquoi*^[2]? Nikt nie zna sekretu Johanna Schmidta, a to po prostu miłość do sukna i prawdziwe farby. Barwimy jak za starych czasów. Nie używamy aniliny ani koperwasu. Niech cię boska ręka broni przed takimi paskudztwami, jak galasówka czy sumak. To są tańsze zamienniki, a my jesteśmy drodzy.

Daniel uważnie obserwował Johanna i z zadowoleniem dostrzegł, że mistrz, choć kreował się na wielkiego artystę, w rzeczywistości łatwo ulegał czarowi pieniądza. Można było kupić u niego aprobatę, lata pracy uczniowskiej, a nawet uznanie. Należało tylko mieć za co, a on nie miał. Dlatego Schmidt traktował go obcesowo i często się unosił. Po kilku dniach pracy Daniel zrozumiał, że nie przeżyje pięcioletniego poniżania. Ręka

często go świerzbila, żeby przyłożyć mistrzowi. Na razie się hamował. Zaciskał zęby, aż trzeszczało.

Mimo skromnego pochodzenia Schulz był bardzo wyczulony na punkcie honoru. Dni w zakładzie dłużyły mu się, bo musiał znosić upokorzenia. Praca przypadła mu do gustu, ale nerwowa atmosfera nie pozwalała się skupić. Johann często zniecacka wybuchał gniewem, a nagły krzyk odrywał Daniela od pracy. Tego również nie lubił w mistrzu.

Myślał, skąd wziąć pieniądze na przekupienie Johanna i szybsze uzyskanie statusu czeladnika. Suma musiała być duża, bo Danielowi spieszyło się do wyprowadzki i nowego życia. W Starych Szkotach miał opinię niewdzięcznika. Wszem i wobec głosił, że partacze podmiejscy powinni zostać przeniesieni do miasta, a osady zrównane z ziemią jak przed wojną ze Szwedami. Wiejscy rzemieślnicy patrzyli na niego z narastającą wrogością. To Roznerek jako pierwszy jawnie okazał Danielowi nienawiść, szcując na niego psa. Pijany sąsiad zebrał za ten czyn mnóstwo pochwał i zachęcił innych do działania. Wyrobnicy obawiali się, że Daniel będzie podburzał gdańszczan przeciwko ich interesom, a Schulz drżał o to, by w końcu któryś szkocki rzemieślnik nie doniósł władzom, że w ich mieście pracuje nielegalnie zatrudniony uczeń.

Po pracy Daniel nie od razu poszedł do karczmy, żeby się upić. Kręcił się w pobliżu domu Barbary Schwarz. Wymyślił sposób na zarobek i postanowił natychmiast zacząć wcielać plan w życie. Wymagało to jednak delikatności i czasu, a do tych dwóch rzeczy Schulz zdecydowanie nie miał serca. Rzadko też myślał o konsekwencjach, po prostu parł do przodu, oczekując i żądając.

Było jeszcze słonecznie, a na ciasnej ulicy Długiej wręcz duszno. Po dłuższym oczekiwaniu zauważył Barbarę Schwarz wychodzącą ze służebną

dziewką z domu. Przybrał współczujący wyraz twarzy i zaczął iść w kierunku pań.

Barbara nie była ani piękna, ani szkaradna. Trudno stwierdzić, jak wyglądała naprawdę, bo miała mocny makijaż i nosiła perukę. Widać było tylko wyblakły kolor oczu, nieproporcjonalne rysy i wydatne usta. Miasto znało żonę Rudolfa z krzykliwego głosu, dla niektórych nie do zniesienia. I tym razem słyhać było, że Schwarzowa jest blisko, bo głośno przekazywała służce dyspozycje. Pod idealnym makijażem i wyniosłą postawą kryła się osamotniona, nerwowa niewiasta. Wcześniej nie miała problemów. Teraz gdy mężowi nogi odmówiły posłuszeństwa, zauważyła, że życie może się bardzo zmienić. Fortuna odwracała się od niej.

– Dzień dobry, jaśnie pani – skłonił się Schulz i podniósł szczupłą upierścienioną dłoń do ust.

–Witaj, panie.

Była zamyślona i nie mogła przypomnieć sobie nazwiska Schulza. Prawdę mówiąc, nie znali się za dobrze. Oceniała jednak zwyczajny skromny strój mężczyzny, po czym ostentacyjnie wydeła duże wargi. Zdecydowanie nie był to ani szlachcic, ani miejski dostojnik.

– Jestem Daniel Schulz, jeśli jaśnie pani nie pamiętasz. Pocieszałem cię po nieszczęsnym wypadku, w którym ucierpiał szanowny małżonek. Może mógłbym pomóc w trudnej sytuacji. Dama pozostawiona bez pieniędzy zmarnieje jak kwiat.

Mówił powoli, uśmiechał się ujmująco. W jego ciemnych oczach błyskały iskry. Wanda nawet nie podejrzewałaby, że potrafi zachowywać się tak kurtuazyjnie.

– Jakże możesz mi pomóc? – pogarda odbiła się w niebieskich oczach Barbary.

Szybko poprawiła niesforny lok uparcie opadający na czoło. Jasna peruka imponujących rozmiarów stanowiła wyzwanie nawet dla tak dostojnej damy.

– Mógłbym pożyczyć pieniądze, aby nadobnym rączętom odjąć pracy. Czy domowe oszczędności się nie kończą?

Barbara zdębiała.

– Co za afront! – krzyknęła wysokim, niemiłym głosem. – Przecież ty jesteś biedakiem!

Wyminęła go szybko, popędzając służącą. Jeszcze po drodze słyszał, jak go wyklina.

Stłumił gniew tamujący oddech. Nerwowo odszedł w stronę portu, widząc rozbawione spojrzenia. Dopiero nad wodą zaczął trzeźwo myśleć. Pojął, że jego ubranie, choć nie najlichsze, wygląda niekorzystnie w oczach wielkiej damy.

Daniel nosił się zwyczajnie, a nowa moda wymagała fantazyjnych koszul, kaftanów i jedwabnych pończoch. Jeśli chciał na poważnie myśleć o Schwarzowej, musiał zacząć inaczej się ubierać.

Trudno, nakradnę, pomyślał.

Był w tym zajęciu najlepszy i jeśli tylko powstałby cech złodziejów, bez nauk zostałby mistrzem.

Umiejętność bezprawnego zdobywania pieniędzy była w przypadku Daniela koniecznością. Jeszcze jako człowiek wolny nauczył się kraść, bo tylko tak mógł przeżyć sam wśród hultajów. Rodziciele Daniela wywodzili się spod Gdańska, ale przed wojną ze Szwedami ich chatę zniszczono podobnie jak inne w poddańskich osadach. Postanowili przenieść się z dwoma synami w głąb kraju, lecz obiecali sobie i dzieciom, że wrócą po zakończeniu wojny. Tak nigdy się nie stało. Daniel zastał rodziców i młodszego brata w lesie z poderżniętymi gardłami.

Od tamtej pory tułał się przez wiele lat, aż nauczył się życia wolnego człowieka. Przyjmował prace w folwarkach, a po kilku miesiącach, gdy już wiedział, gdzie znajdują się kosztowności, kradł trochę biżuterii, by wymienić ją na jedzenie. Dzięki sprytowi nie żył w ubóstwie, ale tęsknił za prawdziwym domem i rodziną. Gardził koczowniczym życiem. Kiedy spotkał Wandę, postanowił stworzyć z nią to, czego mu brakowało. Nie czuł do niej wielkiej miłości, był po prostu gotowy na poświęcenie dla dobrej sprawy.

Mimo względnego dostatku Danielowi ciągle brakowało pieniędzy. Teraz aż rwał się do kradzieży, patrząc z niechęcią na swoje proste ubranie.

Wzięła mnie za biedaka! – myślał gorączkowo, przechadzając się po mieście.

Kipiała w nim urażona duma. Jednocześnie zastanawiał się, gdzie i na czym najszybciej mógłby się wzbogacić. Coraz bardziej czuł się przyciśnięty do muru. Wszystko kosztowało. Nielegalna praca za przyzwoleniem Johanna, drogie zachodnie stroje, przekupienie mistrza, zwrócenie uwagi Barbary i hojne obdarowanie. Nigdy nie uzbierałby tak wielkich pieniędzy z marnej pensji ucznia. Należało wzbogacić się raz a szybko. Mieszkańcy Szkotów tracili do Daniela cierpliwość i mogli się na niego porwać z widłami. Wieczorem miał gotowy plan, ale był on bardzo ryzykowny. Schulz chciał okraść króla.

Wieczór był spokojny i chłodny, stratus przysłonił niebo. Konrad siedział w pokoju niezadowolony, bo królewskie śledztwo niczego nie wykazało. Wszyscy dostojnicy ze świty mieli inne pismo niż to na zgniecionym skrawku papieru. Jezierski, choć niezadowolony, próbował skupić się na obowiązkach. Zniewagę mógł przełknąć, bo obrzydliwe paszkwile pisano

nie tylko na niego. Wrogowie nie szczędzili nawet królewskiego majestatu. Jednak zrzucenie chorążego koronnego ze schodów w kamienicy gdańskiej było nie tyle butne, co niebezpieczne. Wróg mógł szybko stracić głowę pod szablą Jezierskiego.

Konrad planował odwet na przeciwniku, jednak na razie musiał czekać i wybadać sytuację. Nie miał wątpliwości, że jeden wybryk to za mało – ktoś polował na jego urząd, zdrowie lub życie. Tymczasem czytywał ostatnie akta przed podpisaniem traktatu ze Szwedami. Prawie zasypiał, tak był zmęczony.

[1] *Crétin* (fr.) – kretyn.

[2] *Pourquoi* (fr.) – dlaczego?

VII



Dwudziestego pierwszego dnia sierpnia Sobieski dopiął swego – przymierze ze Szwedami zostało podpisane, co wprawiło króla w doskonały humor. Na Prusy Książęce miało napaść nawet dziesięć tysięcy obcych żołnierzy wspieranych przez siedem tysięcy Polaków.

– Wasza królewska mość, wojska posłane do wyznaczonych miejsc. W Malborku już się szykują, do Gniewu docierają dowódcy – powiedział markiz de Béthune.

Król z zadowoleniem skinął głową.

Konrad stał obok. Zdecydował się poprosić króla o pozwolenie na wyjazd.

– Wasza królewska mość, czy mógłbym wesprzeć wojsko? Jako chorąży koronny powinienem iść w bój. Chcę brać udział w walce o Prusy.

Jednak Sobieski był stanowczy.

– Konradzie, wiem, że twoje serce rwie się do przestrzeni i boju, ale potrzebuję ciebie tutaj. Jesteś nie tylko żołnierzem, lecz także moim najwierniejszym doradcą przybocznym. W Gdańsku czeka nas pojedynek toczony nie szablą, ale mądrością. Wiesz przecież, że twoje rady są mi zawsze miłe. Ponadto nasze wojsko jest silne, a Szwedzi wystawią jeszcze więcej żołnierzy. Nie trzeba ryzykować głów najlepszych dowódców.

Konrad skłonił się i pohamował gniew. Miał dosyć Gdańska. Czuł się obserwowany, lecz nie mógł wypatrzeć zagrożenia. W ciasnym mieście roilo się od przyjezdnych. Bywali tu i zagraniczni kupcy, i drobna szlachta, i wielu ludzi wszystkich stanów. Tłoczyli się przy Placu Dominikańskim, gdzie wystawiano w sierpniu dobra jarmarczne, w tym roku zaś szukali też okazji, by zobaczyć króla. Konrad uważał, że ich obecność w tak znaczącym miesiącu może być niebezpieczna dla dworu.

Jednak Sobieski ani myślał o ochronie. Wierzył w swój żołnierski zmysł i talent tak dalece, że wzbudzał respekt, gdziekolwiek się pojawił. Wyprostowany, dumny. Jego postawa i sposób bycia zawsze podkreślały królewski majestat i żołnierską siłę. Nie znano śmiałka, który próbowałby zaczepić monarchę. Sobieski roztaczał wokół siebie aurę dostojnej wszechmocy.

Był też sławny. Każdy w Rzeczpospolitej i poza nią był świadomy, że Jan III to wybitny taktyk i żołnierz. Miało to znaczenie głównie dla mieszczaństwa, patrycjatu i drobnej szlachty, bo u magnaterii król trafiał na opór, którego nie mógł przełamać. Nieraz martwił się tym, innym razem wpadał w szal na myśl o tym, jak dalece nienawiść i pokusa bogactwa demoralizują Polaków u władzy. Chcieli mieć coraz więcej, głusi na ważność spraw państwowych. Konrad jako jeden z niewielu dworzan ufnie podążał za Sobieskim, doradzając mu w najważniejszych kwestiach.

Młody chorąży nauczył się posłuszeństwa na dworze Jana Kazimierza, który później boleśnie go zranił. Uknął intrygę, pragnąc zatrzymać wiernego żołnierza w Warszawie. Dopiero później, podczas pojedynku z ojcem stoczonego w bitwie nad Notecią, Konrad dowiedział się, że Jan Kazimierz wykorzystał go do własnych celów. Odtąd do Warszawy wracał tylko z polecenia, a kiedy władca abdykował, poczuł satysfakcję. Dobrze

rozumiał sposób myślenia Sobieskiego, widząc w nim nie tylko polityka czy żołnierza, ale przede wszystkim człowieka mającego wiele zalet i wad.

W drugiej połowie sierpnia jawnie mówiono w Koronie i na Litwie o sojuszu polsko-szwedzkim. Część szlachty i magnaterii stawiała na głowie, by nie dopuścić do zajęcia Prus Książęcych, choć jeszcze nic się nie działo. Tymczasem w Gdańsku wciąż fetowano przyjazd króla, co kilka dni miały miejsce nowe zabawy. Rzemieślnicy z werwą tańczyli na Długim Targu i dawali pokazy przed oknami jego królewskiej mości. Wkrótce do Jana III doszły słuchy o tym, że uczniowie Gimnazjum Akademickiego wystawią sztukę specjalnie dla dworu.

Z tego pomysłu najbardziej cieszył się Florek. Postanowił wkraść się do Szkoły Siermięcej, w której kazano wystawić spektakl, by zobaczyć próbę. Zamierzał zabrać ze sobą Ludwikę. Ostatnio wydawała mu się smutniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Schulżówna istotnie przygasała. Czuła, że w domu nie dzieje się tak, jak powinno. Sąsiedzi mierzyli jej rodziców wzrokiem pełnym pogardy, ojciec wracał do domu późno i często był pijany, a matka całymi dniami krzątała się wyraźnie zamyślona. Ludwika czuła się samotna. Uważała, że w powietrzu wisi coś niedobrego, co może obrócić jej mały świat w ruinę. Na razie jeszcze nie potrafiła wyczuć dokładnie, czego się obawiała. Niejasny cień strachu powoli wnikał w jej duszę.

- Chodź! – krzyknął Florek, gdy spotkali się znowu pod Zieloną Bramą. Ledwo mogła dotrzymać mu kroku.
- Dlaczego biegiesz tak szybko? Nie mogę złapać tchu.
- Spóźnimy się, szybciej!

Ludwika nie miała czasu, by zastanawiać się nad słowami przyjaciela. Pobiegła za nim aż na Stare Przedmieście. Była tu zaledwie kilka razy w życiu. Nie poznawała budynków, lecz goniła uciekającego, obawiając się, że wkrótce zniknie jej z oczu.

Stanęli dopiero przy wałach miejskich.

– To tutaj – powiedział Florek.

Ludwika ogarnęła wzrokiem przestrzeń, niczego nie rozumiejąc. Florek aż do teraz postanowił trzymać pomysł w tajemnicy. Chciał zaskoczyć przyjaciółkę.

– Co tutaj? – mruknęła.

Stali na udeptanym szerokim trakcie. Po prawej stronie widoczne były długie budynki wozowni. Z oddali dobiegało rżenie koni.

– Tutaj będą wystawiać spektakl dla króla. Wkradniemy się na próbę.

– Florek, zaczekaj! – krzyknęła za nim Ludwika. – Nie mogę się wymykać na kilka godzin! Rodziciele będą mnie szukać.

Chłopiec jej nie słuchał. Wbiegł przez drewnianą bramkę i dyskretnie przecisnął się przez tylne drzwi. Ludwika westchnęła. Gdyby wiedziała, jak wrócić do domu, obraziłaby się i pobiegła do Szkotów. Jednak Stare Przedmieście kryło w sobie płątaninę nieznanych ulic. Nie było wyjścia, pozostawało podążać za przygodą.

Okolicy nie wyróżniało nic szczególnego, panował wręcz wiejski spokój. Ludzie nie gromadzili się o tej porze, więc trakt był prawie pusty. Ludwika weszła przez furtę. Zobaczyła, że Florek stoi zniecierpliwiony z tyłu budynku i wychylając się, pospiesza ją gestem. Pobiegła w jego stronę, schylając się pod oknami. Z zewnątrz wydawało jej się, że budynek nie jest duży, gdy jednak weszła do niego, zdumiona rozejrzała się po imponującym wnętrzu.

Powitały ich dwie smukłe kolumny, nad którymi rozciągał się bielony sufit. Przestronny przedsionek mógł pomieścić kilkudziesięciu ludzi.

– Jak tu pusto – szepnęła Ludwika.

Przyjaciel puścił do niej oczko i podkradł się w stronę szerokiego korytarza.

– Musimy tędy przejść. Tylko nikt nie może nas zobaczyć – odpowiedział cicho.

Ludwika wiedziała, że powinna wracać do domu, lecz poddała się przygodzie. Po chwili myślała jedynie o bezszelestnym pokonaniu ciemnego korytarza. Zadanie wydawało się łatwe, ale w oddali usłyszała głosy. Budynek nie był pusty.

– Dlaczego tutaj niczego nie ma? – zapytała, rozglądając się po wnętrzu.

– To nie kamienica, nie ma tu mebli.

Florek zdał sobie sprawę, że Ludwika nigdy wcześniej nie była w teatrze i ma słabe pojęcie o tym, do czego służy.

– Co będziemy robić? – zapytała.

Florek nie odpowiedział, tylko wstrzymał oddech i jak najciszej wszedł w ciemność korytarza.

Wyglądało na to, że nikt nie zajmował się teraz tą częścią teatru. Przeszli niezauważeni, skręcili w mniejszy ciemny korytarz i dostali się do niedużej kwadratowej garderoby. Znajdowało się w niej mnóstwo ciekawych rzeczy, Ludwice nieznanych. Ze zdziwieniem dotykała bursztynowych grzebieni i barwnych strojów leżących w otwartych kufrach.

– Jaki tu bałagan – powiedziała. – Mówiłeś, że nie będzie mebli.

Jej oczom ukazały się niewielkie ławy i prosto zbite stołki. Stały w nieładzie, a niektóre leżały.

– Zaraza ich stąd wygoniła czy co? – zastanawiała się głośno Ludwika.

– To pomieszczenie dla aktorów. Tutaj się przebierają – wytłumaczył Florek.

– To muszą być bardzo zabiegani ludzie.

– Wyszli na scenę. Musimy iść, bo nie zobaczymy próby.

Jednak Ludwika nie miała zamiaru wychodzić. Wszystko w pomieszczeniu było dla niej ekscytujące. Sięgnęła do pięknych ozdób leżących na ławach i na drewnianej podłodze. Kolorowe wstążki umykały przed palcami, a ostre zęby grzebieni kłuły przy najlżejszym dotyku. Widać niektórzy uczniowie Gimnazjum Akademickiego często trudnili się aktorstwem, bo to dla nich zmieniono Szkołę Szermierczą w teatr i zwano ich teraz aktorami, co przynosiło sławę w związku z występami przed królem.

– Musimy już iść, Ludwiko – ponaglał zdenerwowany Florek.

Spojrzała w jego stronę, ale nie po to, by odpowiedzieć. W kącie zobaczyła duże lustro na połączanej nóżce. Zaciekawiona podeszła do niego, zerkając niepewnie na dziwy, które przedstawiało, a więc na nią samą i rudego towarzysza. Zaskoczony Florek, u którego w domu było wiele zwierciadeł, zabrał przyjaciółkę, nim zdążyła się sobie przyjrzeć. Kiedy poczuł opór, mocniej złapał Ludwikę za rękę i siłą wyciągnął z garderoby.

– Nie wierzę, że na tobie nie robi to wrażenia! – syknęła zagniewana.

Nie odpowiedział, uzmysławiając sobie powoli, że nie wszyscy znają ten przedmiot powszechny u bogatych mieszczan. Przez chwilę poczuł mieszaninę współczucia i niechęci, a ponieważ to wstydlive wrażenie było mu wcześniej nieznane, puścił dłoń Ludwiki, pozwalając dziewczynce na ponowne spotkanie z jej odbiciem. Chciała wrócić, by obejrzeć lustro, gdy wtem rozległ się donośny dźwięk organów.

– Jezus Maria, koniec świata! – krzyknęła przerażona, kucając z głową wtuloną w ramiona.

– To tylko organy. Szybko, musimy się dostać za scenę!

Teraz Ludwika biegła na oślep za przyjacielem, rezygnując z obejrzenia lustra, aż nieopatrznie zaplątała się w czerwoną, długą płachtę sięgającą do drewnianej podłogi. Przez chwilę się z nią szarpała, lecz naraz usłyszała cichy głos Florka i poczuła, że chwytają ją jego ciepłe ręce.

– Spokojnie, to tylko luźna kurtyna. Nie ruszaj się, bo na scenie są aktorzy. Nie mogą cię zobaczyć.

Ludwice coraz mniej podobała się przygoda z teatrem. Powoli wycofała się, spostrzegłszy, że gruby materiał, z którym się szarpała, zwisa luźno, a na dole ledwo oplata go gruby sznur. Zza kurtyny usłyszała wysoki głos śpiewaka.

Florian zaciągnął ją na kręte schodki. Pokonali je szybko i znaleźli się w niewielkiej półkolistej łoży. Dopiero teraz Ludwika mogła odetchnąć i dokładniej się rozejrzeć. Jej oczy błysnęły w zachwycie.

W dole zobaczyła rząd wygodnych siedzeń obitych sukнем. Przed pierwszym rzędem znajdowało się przejście dla gości. Posadzkę zdobiły w tym miejscu wyryte motywy roślinne ukazujące liście akantu. Dalej, na wysokim podeście, znajdowała się scena, na którą padało światło słoneczne, bo dachu w tym miejscu nie było. Kolorystyka przestrzeni tkwiła niewzruszenie bez względu na warunki. Czy grzały promienie, czy padał deszcz, aktorzy grali pod gołym niebem. Dach był dalej, osłaniał siedzenia. Po obu stronach sceny Ludwika wypatrzyła kurtynę, w którą nieszczęśliwie zaplątała się chwilę wcześniej. Nie czuła emocji związanych z miejscem.

– Co się tu robi? – zapytała cicho.

Florek wzruszył ramionami.

– Ogląda aktorów na scenie.

Ludwika już miała powiedzieć, że to okropna nuda, ale wtem odezwały się głębokie dźwięki harfy. Czyjaś ręka powoli grała na niewidocznym instrumencie, wypełniając melodią całą salę. Stein z rozmarzeniem przymknął oczy. Widząc to, Ludwika nagle poczuła się w tym miejscu szczególnie, ale gdyby ktoś ją wówczas zapytał, co wywołało w niej takie uczucia, nie umiałaby odpowiedzieć. Chłoneła piękno dźwięków instrumentu, które zdawały się dochodzić z innego świata. Zniknęły Szkoty i Gdańsk, zbladło nawet piękno lustra na pozłacanej nóżce. Istniała tylko ponadczasowa niespiesznie wygrywana melodia.

Na scenę wszedł siwy mężczyzna. Ludwika nie mogła mu się przyjrzeć, bo stał tyłem do widowni, blisko krańca podestu. Z góry widziała tylko przerzedzone włosy.

– On dba o cały spektakl – szepnął Florek.

Ponownie zamknął oczy, a Ludwika spojrzała na niego, pierwszy raz czując, że obecność przyjaciela onieśmiela ją. Przyjrzała się rudawym włosom, które w ciemności przybrały brązowy odcień. Rzęsy Florka były tego samego jasnego koloru. Powieki lekko drżały, jakby Stein zdawał sobie sprawę, że ktoś mu się przygląda. Zadarty nos dodawał twarzy uroku i zadziornego charakteru.

Harfa wciąż wolniutko grała, pojedyncze struny zdawały się rozpląwać jak fale. Głęboki pogłos czarował Ludwikę i zabierał do nieznanego świata sztuki. Delikatnie osunęła się na posadzkę. Chłoneła dźwięki, przymykając powieki jak Florek. Trwali tak przez chwilę nieruchomo, aż instrument umilkł. Wtedy pojęła, że teatr nie wywołuje zachwytu istnieniem, lecz przeżywanymi doznaniem. Nowe spostrzeżenie obudziło w Ludwice ciekawość.

Na scenę weszły dwie postaci przebrane w białe powłóczyste szaty, w kilku miejscach spięte posrebrzanymi ozdobami. Aktorzy zaczęli

rozmawiać, ale Ludwika niewiele rozumiała.

– O czym to jest?

– To tragedia Seneki – *Fedra*. Na scenie widzisz Hipolita i Teramenesa. Spróbuj wsłuchać się w to, co mówią – polecił Florek.

– Ale oni mówią tyle niezrozumiałych słów! – zauważyła Ludwika.

Jednak słuchała dalej.

– To jest o miłości – szepnęła, widząc nadchodzącą Fedrę – ależ ona cierpi!

Teraz oglądała spektakl jak urzeczona, wachlując dłonią zaognione policzki. Florek spojrział na przyjaciółkę i uśmiechnął się do siebie. Udało mu się sprawić, by zapomniała o smutkach.

– Ona kocha Hipolita! Ale przecież jest jego macochą. – Ludwika marszczyła brwi.

Z dołu słyhać było, jak siwy twórca spektaklu ucisza aktorów, ustawia ich dalej lub bliżej siebie i daje wskazówki w czasie między dłuższymi wypowiedziami.

– Teraz niechaj wejdzie muzyka – instruował. – Fenona stanie trochę dalej. Niech powoli wyłania się jak z mgły... Teraz lepiej.

– Ale – zaczęła Ludwika. – Teraz było o tym, że mąż Fenony zmarł. Czy nie warto pokazać jej żalu po utraconym mężu? Powinna chociaż udawać smutek, nawet jeśli jego śmierć przybliży ją do Hipolita.

– Widzę, że masz do tego oko – skomentował zdumiony Florek.

Próba trwała trzy godziny. Gdy aktorzy skończyli i poszli do garderoby, Ludwika spojrzała w szarzejące niebo rozpościerające się nad sceną, ze zgrozą uświadamiając sobie, jak długo była poza domem.

– Muszę wracać! – krzyknęła.

Strach zmroził jej ciało na myśl o rzemieiennej różdze.

– Jak wytłumaczę się ojcu?

Wybiegli głównym wejściem, choć Florek chciał jeszcze zostać. W biegu pytał, jak przyjaciółce spodobała się wizyta w teatrze, ale nie odpowiadała. Z przerażeniem patrzyła na nieznane budynki, czując, że strach wypełnia jej ciało. Wiedziała, że późny powrót do domu skończy się awanturą i laniem. Nigdy nie zniknęła Wandzie z oczu na tak długo.

Florek zdawał się nie pojmować powagi sytuacji. Szedł nachmurzony w stronę Głównego Miasta, ciskając z oczu dzikie spojrzenia w stronę przyjaciółki. Tak bardzo chciał zrobić jej niespodziankę, a ona nawet nie zwracała na niego uwagi. W końcu stanął na środku traktu.

– Co robisz?! – krzyknęła Ludwika biegnąca przodem. – Musimy iść.

– Sama sobie idź.

Usiadł po turecku na środku traktu, ale zaraz musiał ustąpić powozowi kupca. Parsknął poirytowany i ułożył się nieco bliżej.

– Ale nie wiem którądy – zaprotestowała Ludwika.

Florek nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Gniew ścisnął serce dziewczynki.

– I dobrze! Zobaczysz jeszcze, dostanę w domu takie lanie, że umrę. A ty będziesz mnie żałował przez całe życie. Poczekaj tylko! Wtedy zapłaczesz nad moją mogiłą. Mogłem jednak odprowadzić ją nad Motławę, pomyślisz.

Pobiegła w kierunku Głównego Miasta. Florek jeszcze przez chwilę siedział na trakcie, lecz wnet przemyślał sprawę. Nie minęła minuta, gdy wstał zdumiony wcześniejszym zachowaniem. Istotnie, takie postępowanie dziewczynki wszyscy rodziciele ukaraliby bezwzględnie, a on, Florek jako chłopiec nie miał o tym pojęcia. Gdy jednak zmienił perspektywę, wyraźnie zauważył, że bez lania zapewne się nie obejdzie i przyjaciółkę czeka trudny

wieczór. Choć nie wahał się długo i pognął za nią, zniknęła mu z oczu, zrywając znajomość, może nawet na zawsze.

VIII



*S*chulzówna wpadła w plątaninę ulic. Miejskie życie zaczynało przybierać złowrogie odcienie nocy. Z karczm wychodzili pijani czeladnicy i często goszczący w Gdańsku marynarze, których na całym świecie uważano za niebezpiecznych awanturników. Wszystkie zakłady były zamknięte. Ludwika wbiegała w następne uliczki, nie poznając, gdzie jest i dokąd ma iść. Oddychała nierówno, serce biło szaleńczo, a po plecach zaczął spływać zimny pot. Właśnie wtedy, gdy pomyślała dla otuchy, że przynajmniej nikt nie zwraca na nią uwagi, tknęło ją złe przeczucie, bo z pobliskiej karczmy wyszli dwaj chudzi mężczyźni podpierający się nawzajem. Gorzałka uderzyła im do głowy. Zobaczyli przerażoną dziewczynkę i zaśmiali się szyderczo, ukazując zepsute, niepełne uzębienie.

– Zobacz, co to za skowronek.

– Trochę za młoda na murwę.

Skradali się do niej, a ich długie cienie powoli zbliżały się do Ludwiki. Dziewczynka spojrzała na ohydne, pozbawione wyrazu twarze i z gardła wyrwał się paraliżujący krzyk. Trwał z pewnością przez kilka sekund i zdołał nieco otrzeźwić mężczyzn, bo stanęli zdumieni, spoglądając po sobie niepewnie. Ludwika miała wrażenie, że powietrze w płucach nigdy

się nie skończy i będzie tak krzyczeć do końca świata, ale wtem czyjaś ciepła ręka schwyciła ją od tyłu, a druga zatkała usta.

– Zamknij się, bo ludzi przepędzisz.

Miękki głos należał do skromnie odzianej kobiety. Poleciwszy milczenie, odjęła dłonie i kucnęła przed Ludwiką, nie zwracając uwagi na mężczyzn. Pochodnie zaróżowiły jej gładkie oblicze. Nieznajoma była urodziwa, lecz matowe oczy ujmowały jej uroku.

– Zgubiłam się – szepnęła Ludwika.

– Widzę, dziecko. Trzeba wskazać ci drogę. Dokąd zmierzasz?

– Gdzie jest Brama Wyżynna?

Zażenowanie odbiło się na twarzy Ludwika. Widząc zawstydzoną minę, nieznajoma uśmiechnęła się zimno. Widać nie przywykła do częstych rozmów z obcymi dziećmi, bo przez chwilę wahała się, jak postąpić wobec łez wypełniających bursztynowe oczęta. Mimo łagodnego oblicza, dało się zauważyć zimne jak sztylety jasne tęczęwki. Wyrażały wieczne zmęczenie osoby znającej cierpienie lepiej niż własną chatę.

W świetle pochodni trudno było dokładnie dojrzeć jej twarz. Ludwika poznała jedynie, że włosy kobiety mają orzechowy ciepły odcień, a twarz przyjemne rysy. Ładny prosty nos wyróżniał się spośród nosów pospolitych mieszczek.

Kobieta bez słowa ujęła Ludwikę i wyprowadziła z uliczki, nie zaszczycając pijanych mężczyzn spojrzeniem.

– Później tu wrócę – rzuciła na odchodne.

Ludwika szła z nieznajomą krętymi uliczkami. Milczała, nie wiedząc, od czego zaczyna się rozmowę w takich sytuacjach. Na szczęście cisza trwała krótko, ponieważ niebawem wyrósł przed nimi Kościół Najświętszej Marii Panny.

– Wystarczyło patrzeć w górę – uśmiechnęła się kobieta.

Ludwika zawstydziła się jeszcze bardziej. Miała odpowiedzieć, że w ciemności niczego nie rozpoznawała, ale nie ważyła się odezwać. Spokojny chłód kobiety wprowadził ją w zakłopotanie. Czuła się przy niej bezpiecznie, ale nieswojo.

Weszły na ulicę Długą.

– Czy pani dobrodziejka nie będzie się bała wracać sama do domu? – zagadnęła Schulzówna.

Nieznajoma roześmiała się głośno, a pusta ulica odbiła echem niespodziewaną kaskadę.

– Nie wracam jeszcze do kamienicy. Pójdę tam, gdzie cię ujrzałam.

Przeszły przez Bramę Długouliczną i minęły Wieżę Więzienną z czuwającym odwachem. Zdumieni strażnicy odprowadzili je wzrokiem.

– Miejmy nadzieję, że warta przy furcie nie śpi – zażartowała.

Doszły do Bramy Wyżynnej i dopiero teraz światła pochodni oświetliły nieznajomą. Była piękna, a jej wiek Ludwika oszacowała na trzydzieści lat. Wszystko w tajemniczej kobiecie współgrało idealnie oprócz chłodnego spojrzenia szarawych tęczówek.

– Dziękuję, pani dobrodziejko – skłoniła się Schulzówna.

Nieznajoma uśmiechnęła się nieznacznie, widząc chłopski ukłon.

– Hej, wy tam! – krzyknęła do strażników stojących nieopodal. – Otwórzcie most dla tej małej.

Widok kobiety zmieszał straż. Mężczyźni otworzyli most i furtę, ale na ich twarzach igrały zaczepne półuśmiechy.

– Za dwie godziny schodzimy z warty. Będiesz jeszcze koło karczmy? – zapytał jeden z nich.

– Może wam się poszczęści – uśmiechnęła się nieskromnie kobieta.

Pożegnała Ludwikę zimno i oddaliła się.

W chacie był już ojciec, choć Ludwika łudziła się, że może jeszcze nie wrócił z miasta lub zasnął pijany, co mu się ostatnio często zdarzało. Gdy dziewczynka przekroczyła próg, od razu pożałowała, że wróciła do domu. Wanda siedziała przy ławie, wypłakując oczy, a naprzeciwko niej rozłożył się Daniel. Widocznie znowu trwała sprzeczka.

– Ludwiko! – krzyknęła matka i podbiegła do córy. – Gdzieś ty się podziewała? Ktoś cię porwał? Skrzywdził? Szukałam cię po całych Szkotach. Dopiero przed chwilą wróciłam, by zobaczyć, czy może przyszłaś.

Tego dnia Wanda po raz pierwszy w życiu poczuła obezwładniający strach o życie Ludwiki. Właśnie miała wychodzić, by kolejny raz obejść Szkoty i zacząć wypytywać o córkę w pobliskich wsiach. Tuliła dziewczynkę, wypytywała, aż w końcu zdołała ją ośmielić, by wyjawiała prawdę o zagubieniu w mieście. Ludwika przemilczała tylko to, że spotkała się z Florkiem i zakradła razem z nim na teatralną próbę.

– Czyli po prostu bez matki poszłaś do miasta i się zgubiłaś – skwitował Daniel.

– Tak, drogi ojcze.

Schulz westchnął i sięgnął po rzemienną różgę, wiszącą nad skrzynią. Ludwika zatrzęsała się ze strachu w ramionach Wandy.

– Daj spokój – powiedziała pojednawczo matka. – Zobacz, że ona sobie wymierzyła wystarczającą karę.

Wanda zrobiła się ostatnio wobec męża uległa i łagodna w obejściu. Z początku uważała, że dobroć poskromi pogłębiający się obłęd Daniela. Z czasem wyczuła, że jest odwrotnie, a Schulz wykorzystuje czułość przeciwko niej.

– Odsuń się. Zasłużyła na takie lanie, jakiego jeszcze w życiu nie dostała.

Wanda chciała odejść, ale jakaś siła trzymała ją w miejscu. Zasłoniła Ludwikę.

– To chociaż nie bij mocno – poprosiła.

Wzrok Daniela był mętny. Z tym, że jej nie kocha, Wanda mogła się pogodzić. Czuła do niego coraz większą niechęć. Ich małżeństwo zrodziło się ze wzajemnej potrzeby społecznej akceptacji. Jednak uważała, że Ludwika powinna zostać wyłączona z ich sporu.

Daniel chwycił Wandę za włosy.

– Odsuń się, ty licha dziewczko – wysyczał.

– Puść, to boli! – zawyła.

Jednak Daniel był w amoku. Teraz nienawidził wszystkiego, do czego kiedyś dążył. Chciał odciąć się od dawnych marzeń, by zacząć nieznanie jeszcze lepsze życie. Żeby to zrealizować, musiał najpierw wyrzec się pracy partacza, potem Szkotów, a na końcu rodziny. Kolejny rozdział życia czekał na poświęcenia i Schulz był na nie gotowy. Puścił Wandę, ale na widok jej twarzy zalanej łzami poczuł niewyobrażalny wstręt. Zacisnął dłoń w pięść i mocno uderzył żonę w szczękę. Wanda padła zemdlna.

IX



Poranek był pochmurny. Wanda dzwignęła się na łożu i zobaczyła obok siebie smutną Ludwikę. Wnet stanęły jej przed oczami sceny z poprzedniego wieczoru. Poruszyła ustami i powstrzymała syknięcie. Szczęka bardzo ją bolała.

Tego dnia Wanda zrozumiała, że nie zdoła powstrzymać szaleństwa męża, a pogłębiało się ono szybko i gwałtownie. Jeszcze wczoraj łudziła się, że dobroć i posłuszeństwo kojąco wpłyną na Daniela. Dziś wszystkie nadzieje rozwiały się, otwierając otchłań beznadziei.

W Szkotach atmosfera była napięta i tylko głuchoniema Marianna, nie zauważywszy zmian, witała się z Schulzami promiennym uśmiechem. Reszta mieszkańców tylko czekała na sygnał do ataku. Wanda widziała wszystko nazbyt jasno i starała się ocenić sytuację. Ze zgrozą uzmysłowiła sobie, że nie ma dokąd pójść, a kolejnej tułaczki nie zniesie. Dziesięcioletnia Ludwika potrzebowała snu i jedzenia, ale przede wszystkim dachu nad głową. Wanda nie mogła zgotować córce żebraczego losu.

Jednak dalsze życie u boku Daniela jawiło się jej jako koszmar. Schulz rozhulał się na dobre. Wanda przypuszczała, że czegoś szuka, ale nie

wiedziała czego. Przestał nawet szanować rodzinę, z którą miał przenieść się do Gdańska.

Może ma kłopoty w nowym zakładzie, zastanawiała się.

Ludwika grzecznie stała obok matki i patrzyła na nią smutnymi oczami. Obwiniała się o wczorajszą awanturę. Uważała, że gdyby nie spóźnienie, ojciec by im darował. Czuła też złość na Florka i poprzysięgła sobie, że już się z nim nie zobaczy, choć na tę myśl płynęły jej łzy. Na dodatek widok przygnębionej matki powodował wyrzuty sumienia.

– Jak się czujesz, najmilsza matko?

Pytanie było nieśmiałe. Wanda ocknęła się z zamyślenia po dłuższej chwili.

– Dobrze – skłamała. – Ojciec wczoraj darował?

– Darował. Chwycił i zaniósł do spania.

– Chyba nie spałaś zbyt dobrze? – zapytała Wanda.

Podkrążone oczy Ludwiki mówiły wiele.

– Nie, matko. Nie mogłam spać.

Wanda spojrzała na mizerną jasną twarz. Widok tak ją wzruszył, że postanowiła powiedzieć coś, co jeszcze poprzedniego dnia nie przeszłoby jej przez gardło. Z bijącym sercem poprosiła córkę, by nachyliła się ku niej.

– Gdyby cokolwiek się stało i gdybyś została sama – wyszeptała, patrząc uważnie na córkę – zawiadom chorążego koronnego, który mieszka na Długim Targu. Nazywa się Konrad Jezierski. Poproś o niego, a gdy już go zobaczysz, powiedz, że jesteś moją córką. Nie odmówi ci pomocy.

Poleciła Jezierskiego, ale nie była pewna, czy chorąży jeszcze ją pamięta. Minęło jedenaście lat. Konrad mógł przecież nie wspominać albo odciąć się od nieśmiałego afektu do Wandy, który w nim się wówczas pojawił.

Pewnie jest szczęśliwy z żoną, pomyślała, ale zaraz odgoniła czarne myśli.

– Powtórz, do kogo masz się zgłosić, gdybyś została sama – poprosiła.

– Ale dlaczego mam zostać sama, najmilsza matko?

Ludwika wtuliła się w szorstkie baranie futro okrywające ciało Wandy.

– Powiadam ci, że nie zostaniesz – zapewniła Wanda przez łyzy – ale w razie złego jest ktoś, kto ci pomoże. Powtórz jego nazwisko, chcę wiedzieć, że zapamiętałaś.

– Chorąży koronny Konrad Jezierski.

Dziwnie było usłyszeć imię Jezierskiego z ust córki. Wanda ujęła twarz Ludwiki w dłonie i popatrzyła na nią ciepło, choć jej oczy wyraźnie mówiły, że wszystko zaczyna się rozpadać. Dodatkowo z roztargnienia zapomniała przekazać, by córka powołała się na panięskie nazwisko matki, czyli Sobótka. Konrad nie znał przecież Wandy Schulz ze Starych Szkotów.

Tymczasem Daniel barwił sukno w zakładzie Johanna i rozmyślał. Wczoraj uderzył Wandę pierwszy raz w życiu, ale jeszcze lata temu chłopci przekonywali go w rozmowach przy piwie, że kiedyś musi paść pierwszy cios, a później jest łatwiej. Na razie czuł się nieszczególnie. Próbował maskować wyrzuty sumienia obcesowymi uwagami nieoszczędzającymi nawet mistrza. Zagłuszał wstyd, przypominając sobie, jak całe Szkoty śmiały się, że Wawrzyna Modłego bije żona. Gdyby jednak on podnosił rękę na nią, wszyscy by go szanowali. Daniel za żadne skarby nie chciał zostać wyśmianym. Wmawiał sobie zatem, że uderzenie Wandy nie było przemocą, a jedynie aktem porządkującym hierarchię w rodzinie.

Jednocześnie wciąż myślał nad poświęceniem, którego wymagało to, co miał zamiar zrobić.

Plan był prosty. Musiał okraść sypialnię królewską. To mogło się udać w dniu spektaklu, kiedy cały dwór będzie bawił w teatrze. W sztuce koniecznie musiał uczestniczyć chorąży koronny. Daniel przypatrzył mu się wcześniej i zauważył, że Jezierski jest sprytny. Pojawiał się zawsze tam, gdzie coś się działo. Trzeba było wykluczyć jego obecność na Długim Targu.

Władze Gdańska zastanawiały się nad dogodnym terminem wystawienia spektaklu. Brały pod uwagę, że nastąpi to rychło po narodzinach potomka pary królewskiej. Ciężarna Maria Kazimiera spędzała czas w zacienionym pokoju patrycjuszowskiej kamienicy i nie pokazywała się zbyt często. Widywali ją tylko służba i król. Dzień porodu mógł nastąpić niedługo, lecz datę podawano ostrożnie, by wiadomość nie dotarła do monarchy. Należało najpierw sprawdzić, czy poród przebiegł pomyślnie. Dopiero później przychodziła pora świętowania.

Daniel wiedział, że tak dużej akcji nie zdoła wykonać sam. Przed kamienicą stali strażnicy zmianowi pilnujący całą dobę dóbr i pary królewskiej. Należało zmylić ich czujność. Mógł to zrobić jedynie ktoś przebiegły, na przykład Katarzyna Müller.

Była panną lekkich obyczajów, ale nad wyraz ładną. Niegdyś służyła jako dziewczka służebna w zamiejskich włościach możnych Ferberów, ale wyrzucono ją stamtąd po skandalu. Przyłapano ją nagą w łóżu przyjezdnego kuzyna odpoczywającego w folwarku w drodze do Królewca. Chciano ją osądzić, ale skończyło się na wygnaniu, bo ani ona, ani kuzyn nie mieli małżonków. Od tamtej pory Katarzyna mieszkała na Przedmieściach

z dziesięcioletnią córką i nocami wystawała przy karczmach. Kojarzył ją każdy mężczyzna w mieście, ale żaden nie mówił o niej głośno. Kobieta była tak przebiegła, że za każdym razem udawało jej się uniknąć pręgierza. Dumnie nosiła głowę i grała na nosie każdej możnej pani. Przechadzała się między ulicami dyskretnie, nie pozdrawiała mężczyzn, z którymi spała. Z chusty obserwowała czerwonych ze wstydu klientów. Jakże ją to bawiło! Później nocami przychodzili do niej, żebrząc o okruchy czułości.

Jednak nawet zimna Katarzyna miała słaby punkt, w który Daniel zamierzał trafić. Była nim córka murwy – dziesięcioletnia Zofia. To dla niej matka poświęcała ciało, tak bowiem nauczyła się żyć, a później nie miała wyboru. Daniel chciał wykorzystać Katarzynę do realizacji planu, proponując korzystny dla obu stron układ. Wiedział bowiem, że zgodzi się tylko wtedy, kiedy sama coś zyska. Uważał, że to uczciwe.

Na razie musiał czekać do wieczora. Bezwiednie dzielił kolejne partie szerokiego sukna, skupiając uwagę na celu. Z głowy powoli ulatywały wydarzenia poprzedniego dnia. Ostatecznie zdusił wyrzuty sumienia, nie rozmyślając więcej nad Wandą. Uważał, że droga do obranego przezeń celu wymaga najwyższego poświęcenia.

Wieczór nie przyniósł ukojenia rozpalonej głowie. Coś niedobrego działo się w szalonym umyśle doprowadzonym do ostateczności. Daniel zawsze był zawadiaką, ale jeszcze nigdy nie rozhulał się tak bardzo. Czy to kryzys wieku, czy inne schorzenie, dość powiedzieć, że Schulz zaczął gorączkowo szukać Katarzyny po szynkach, pakując się w awantury nawet z marynarzami. Nie miał dość karczemnych bitek urągających reputacji. Jednocześnie wciąż zastanawiał się, czy Jezierski pojedzie z dworem, by obejrzeć sztukę. Chorążego koronnego Daniel obawiał się najbardziej, bo mógł przeszkodzić w kradzieży.

Schulz był zdenerwowany również z tego powodu, że Johann, przypomniawszy sobie o dokumentach, zażądał od niego potwierdzenia obywatelstwa. Chłop zgodził się przynieść zaświadczenie następnego dnia, choć go nie miał. Należało zatem iść w paszczę lwa, to znaczy, mieć nadzieję, że nazajutrz Schmidt zapomni o poleceniu i przypomni mu się dopiero za jakiś czas. Niezależnie od tego, należało działać. Daniel czuł, że na szyi zaciska mu się pętla i było w tym sporo prawdy, choć działało się to na jego własne życzenie. Uważał, że oswobodzi się z potrzasku, jeśli zdobędzie pieniądze.

Wypatrzył Katarzynę Müller na jednej z przedmiejskich ulic. Kobieta jaśniała urodą, bez wątpienia była miejską pięknoscią, choć nikt nie śmiał przyznać tego głośno. Uważne spojrzenie spoczęło na Danielu. Pewna rychłego zarobku nachyliła się ku niemu zachęcająco, zanim się odezwał. Doskonale wiedziała, jaki wzrok mają mężczyźni pragnący jej ciała.

– Pójdź, dziewczko ze mną do swojego miejsca – zaczął niezgrabnie.

Katarzyna omiotła go wzrokiem.

– Najpierw płac piętnaście groszy, piękny panie dobrodzieju.

– Chcę się tylko rozmówić. I nie dam tyle, bo to prawie moja dzienna zapłata – zachnął się Daniel.

– Mało zarabiasz.

– Z twoją pomocą mogę zarobić więcej.

Katarzyna nie była zainteresowana. Patrzyła na Schulza z politowaniem, żądając konkretów.

– Nie możemy tu mówić. To tajemnica przeznaczona tylko dla twych uszu.

Widząc niezdecydowaną minę Katarzyny, dodał zachęcająco, że ona też może na tym zyskać. Niechętnie dała się przekonać i zaprowadziła go do

brudnych przedmiejskich budynków galeriowych, jakich wiele wyrosło na przedmieściach jeszcze przed wojną ze Szwedami.

– Mam nadzieję, że niczego nie knujesz – powiedziała w progę.

W zwykłym budynku z cegły było duszno. Z lewej strony znajdowało się ładne łóże z dwiema nabitymi pierzem poduszkami, z prawej zaś stała duża szafa. Poza tym w pomieszczeniu znajdowało się niewielkie lustro przybite do ściany, niezgrabna pudreza zbita z sękatych desek i stołek. Ozdobne, ale proste drzwi odgradzały izbę od następnej.

– O czym chcesz powiedzieć? – zapytała Katarzyna, wdzięcząc się na łóżku jak kotka.

– Oboje możemy się wzbogacić, ale jeśli komuś wygadasz, to skończysz w Motławie.

Tym razem pożałował swojej popędliwości. Nie mógł znieść myśli, że Katarzyna może go odprawić, dlatego był zdenerwowany. Spojrzał na nią, prosząc o wybaczenie. Kobieta dźwignęła się na łóżku zdziwiona, ale zaraz promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Nie takie groźby słyszała.

– Mów. Przysięgam na Boga, że nikomu nie powtórzę.

Daniel wyjawiał plan kradzieży królewskiego mienia. Podkreślił, że zniknąć może tylko kilka przedmiotów, by nie wzbudzać podejrzeń. Pieniądzy z łupu będzie aż nadto, a król nawet się nie zorientuje, że coś zginęło.

– Musisz się rychło wzbogacić, prawda? – zapytała przebiegle Katarzyna.

Jej zimne oczy wodziły po Danielu. Wzrok mówił za nią – pomysł przypadł kobiecie do gustu. Jednak należało zachować czujność.

– Zgadłaś, przebiegła dziewczko. Ale nie wiesz jeszcze, że nikt nie umie kraść tak, jak ja. I nikt nie umie odgrywać roli niewinnego dziewczęcia lepiej niż ty.

– Chciałbyś to sprawdzić? – zapytała cicho Katarzyna.

Ich twarze powoli przysuwały się do siebie. Daniel położył ciężką dłoń na miękkim udzie.

– Nie mam zapłaty – odpowiedział.

Odsunęła się, ale w jej twarzy nie dostrzegł obrzydzenia.

– Może przyjdiesz do mnie, gdy staniesz się bogaczem – zaśmiała się.

– Nie szczerz zębów, dziewczko, bo sprawa jest sekretna, bardzo poważna. Myślisz, że to zabawa. Tymczasem, jeśli cię złapali i powiesz komuś, że stoję za włamem, twa córka nie zazna życia. Nie ja ją dopadnę, lecz ludzie, którzy winni są mi przysługę. Zapamiętaj – życie moje za życie twojej córki Zofii.

Dopiero teraz Katarzyna spoważniała, na twarzy pojawiło się przerażenie. Nie wiedziała, że Daniel nie zna ludzi winnych mu przysługę, a groźba opiera się na sprytnym podejściu. Zofia była dla Katarzyny wszystkim, choćby więc miała sama zapłacić głową za jej życie – zrobi to.

Katarzyna wyczuła, że Schulz to nie byle bies, lecz potężny awanturnik sterujący życiem ludzi przemocą. Wcześniejsza niefrasobliwość uleciała z niej na dobre. W oczach Daniela zobaczyła błysk szaleństwa, który wywołał dreszcze. Zaczęła bardziej obawiać się współnika niż widma szubienicy.

Wstali. Katarzyna zapewniła, że jest gotowa do pomocy, unikając rozognionego wzroku. W długiej sukni z dekoltem wyglądała zmysłowo, lecz przerażenie wciąż widać było na jej ładnej twarzy. Odprowadziła Schulza do drzwi i obiecała, że będzie czekała na polecenia.

– Nie zapomnij. Życie moje za życie twojej córki – powiedział na odchodne Daniel.

Powtórzył groźbę tylko dlatego, że zauważył, jak wcześniej zadziałała. Był pewny, że Katarzyna zrobi dla niego wszystko, czego zażąda.

– Danielu, tajemnice wszystkich mężczyzn zostają w tej izbie –
uśmiechnęła się niepewnie.

X



Jarmarczny miesiąc upłynął, Gdańsk opustoszał. Ostatni kramarze rąbali stragany na Placu Dominikańskim i wynosili drwa na Targ Drzewny lub do własnych domostw. Sierpień zakończył się smutno, zmarł bowiem prymas Olszowski, który w wielu sprawach popierał króla.

Wrzesień zaczął się deszczowo, a na okolicznych traktach na dobre zagościło błoto. Obce okręty przyplływały nad Motławę mniej licznie. Wyrobnicy wciąż czekali na królewskie decyzje w sprawie cechów. Wszyscy w Gdańsku zdawali się wypatrywać zmian, które nie nadchodziły.

Król na zmianę martwił się i cieszył. Miał teraz więcej problemów niż zwykle. Jego ukochana Maria Kazimiera szykowała się do porodu, co zaprzętało głowę monarchy. Codziennie gorliwie modlił się o żywe dziecię i siły dla żony.

Następnym frasunkiem był sojusz ze Szwedami, który na razie nie przyniósł Rzeczypospolitej korzyści. Wymiana listów trwała. Raz wynikało z nich, że lada chwila obce oddziały zaatakują Prusy Książęce, innym razem, że to jeszcze zła pora. Sobieski naradzał się z chorążym, ale Konrad nie mógł wpłynąć na decyzje Karola XI. Rozkładał bezradnie ręce i próbował przekonywać, że polscy żołnierze powinni sami ruszyć do ataku, ośmielając sojusznika. Jan III odrzucił pomysł.

– Nie mogę skazywać dobrych żołnierzy na nierówną walkę. Traktat został co prawda podpisany, ale atak bez szwedzkich oddziałów to wielkie ryzyko. Trzeba czekać, niech atakują pierwsi, jak obiecali.

Król zaprzętał sobie głowę również Gdańskiem i roszczeniami cechów. Denerwował się, że zawiła sprawa spadła na jego głowę w trudnym czasie. Konrad wyczuwał, że Sobieski tęskni za dobrami na Żółkwi. Ciasne miasto coraz bardziej go przytłaczało, a opieszałość i niezgoda wśród gdańskich władz irytowała ponad miarę. Na dodatek w mieście powstał kolejny spór. Tym razem rzemieślników rozsierdziło to, że rajcę Konstantego Pahla ponownie mianowano sędzią w Głównym Mieście. Delegacje cechowe przychodziły do króla coraz śmieiej. Niedawną unizoną postawę zastąpił tylko cień kurtuazji. Teraz domagano się, by Pahl, który wcześniej rządził w mieście niesprawiedliwie, odpowiedział na stawiane zarzuty. Nieszczęśliwie w spór zaangażowała się też Rada, jak zwykle stając po przeciwnej stronie. Ku niezadowoleniu gawiedzi ujęła się za Pahl, a piekarz Wise ze zgryzoty napluł jednemu z rajców w twarz.

Dwór słuchał o nowych rewelacjach ze znużeniem, zaś król chwycił się za głowę. Rzemieślnicy ruszyli do niego tłumnie, by powstrzymał Radę. Nadal uważali, że polski monarcha wszystkiego może dokonać. Sobieskiego od rwetesu rozboleła głowa, więc tylko obiecał przyjrzeć się sprawie, po czym odprawił rzemieślników i nigdy więcej nie wrócił do tematu.

Siódmego września, gdy w mieście była ulewa, do budynku przy Długim Targu przyszedł trzeci burmistrz – Daniel Proite. Poprosił króla o nadzwyczajne zebranie, bo propozycja władz została przygotowana. Sobieski polecił Konrowi, by mu towarzyszył.

Monarchę i chorążego powitano w chłodnej przestronnej sali obrad w domu Elerta Friedricha. Burmistrzowie i rajcy zasiedli przy długiej hebanowej ławie zdobionej roślinnymi ornamentami.

– Czy mamy porozumienie w sprawie kościoła mariackiego? Władze są skłonne dopuszczać do niego katolickich duchownych? – zapytał Sobieski.

Nie zamierzał tracić czasu, jeśli przygotowane propozycje nie zawierały zgody ordynków.

– Ależ wasza królewska mość – odezwał się Proite. – Czy gdańszczanie poprosili o pomoc w tej sprawie? Interwencja majestatu winna dotyczyć spraw rzemieślników.

Sobieski zmarszczył czoło i zachował wymowne milczenie. Przez chwilę w napięciu słuchał ustaleń Rady. Potem, nie odnosząc się do nich, zaczął łagodnie, ale groźnie wcześniej rozpoczęty temat:

– Ponownie polecam przytoczenie, jakie konsulta podjęła Rada w sprawie kościoła farnego. Doszły mnie ponadto słuchy, że Rada próbowała swarami skłócić cechy i nastawić rzemieślników przeciwko sobie. To możliwe?

Podniósł władczo brwi i spoglądał na oburzonych radnych. Nikt nie śmiał potwierdzić, choć wszyscy wiedzieli, że tak było. W tej batalii przed królewskim majestatem nie tylko władze, lecz także rzemieślnicy chwyтали się niegodziwych sposobów, by przekonać króla do swoich racji.

– Jeszcze podczas tegorocznego sejmku gdańscy delegaci prosili mnie o pomoc. Konradzie, przypomnij ich nazwiska – poprosił monarcha łagodnie.

– Na sejm przybyli szewc Krystian Meyer i kuśnierz Maciej Wilke, najjaśniejszy panie. Skarżyli się na wysokie podatki w mieście, zawyżone ceny żywności i akcyzy. Ale najbardziej na zamiejskich wyrobników wielką szkodę gdańszczanom wyrządzających. Produkty przemycają do miasta,

sprzedając ludziom lub kupcom. Ponadto najmują się nielegalnie w miejskich zakładach, czasem nawet za zgodą mistrzów. Jakże jego królewska mość ma iść na ustępstwa, jeśli rzemieślnicy, czyli lud prosty, przyszedł do majestatu już szóstego dnia pobytu dworu w mieście, by przedstawić pretensje? Mieszkańcy żądają od władz prawa do wolnego handlu dla każdego i dla każdego, także samo, jednego obywatelstwa wynoszącego czterdzieści złotych. Jeśli zaś idzie o mniejszość katolicką, to wniosła suplikę do jego królewskiej mości szesnastego dnia sierpnia, wielkie wsparcie okazując – wypunktował Konrad.

Stał za zadowolonym Sobieskim i z góry ogarniał siedzących przy ławie. Król cenił chorążego za zdolności erudycyjne, tak potrzebne podczas pertraktacji z bystrymi gdańskimi rajcami, o których mówiono w Rzeczpospolitej, że są najbieglejsi w prawie i potrafią każdego mądrego człowieka zagiąć. Jednocześnie Konrad dał rajcom do zrozumienia, że katolicy zaoferowali mu poparcie materialne, co wypadało teraz uczynić Radzie.

– Jakże mam rozwiązać problem tych, którzy potrzebują pomocy, skoro Trzeci Ordynek nie jest skory do ustępstw na rzecz katolików? Trzeba poczynić realne kroki w tej sprawie. Jeśli władze nie zgadzają się na oddanie kościoła, należy wybudować nową świątynię. Świętej pamięci prymas Olszowski, zmarły dopiero co, w testamencie zapisał na ten cel swoje bogactwo. Niechaj zadość się stanie jego woli, a dwór do tego jeszcze więcej monet dołoży.

W sali zapadła ciężka cisza. Próbowano wyczuć, czy król będzie chciał poruszyć inny temat. Jednocześnie biegli rajcy dostrzegli, że monarcha, tak jawnie wyrażający poparcie dla rzemieślników, jedynie próbuje ugrać więcej dla siebie. Burmistrz Proite zauważył wielkie korzyści z tego płynące, uśmiechnął się więc delikatnie, wbijając wzrok w Adriana von der

Lindego. Należało trzymać polskiego króla w niepewności, rozjątrzając spór, a później przedstawić rozwiązania omijające postulaty rzemieślników, ale sownie wynagradzające Sobieskiego.

Król rzeczywiście dążył do prywaty, coraz mniej serca poświęcając sprawie, dla której przyjechał. Wiedział przecież, że może wyjednać więcej, jeśli rozpocznie prawdziwy dialog z Radą, a rzemieślnikami posłuży się jako przynętą. To wszystko sprytni rajcy wnet zauważyli. Dla obu stron sprawa przedstawiała się jak najlepiej. Teraz pozostawało zmęczyć króla nieporozumieniami, z czego Sobieski również zdawał sobie sprawę i na co zdawał się godzić. Nieoczekiwanie zniknęło ponure napięcie, teraz rozpoczęto prawdziwy teatr – pierwszy z wielu.

– Jeśli mowa o cechach, to zgadzam się zatwierdzić te dokumenty, które przygotowano na mój rozkaz. Ale to wciąż za mało. Liczę, że Rada postąpi roztropnie, wszak nie można wierzyć w ustanie buntów z powodu podpisania kilku dokumentów. Nie da się ograniczyć działania zamiejskich wyrobników, rozumiem to. Jednak zniesienie kilku, a może kilkunastu akcyz i surowy zakaz podejmowania roboty należącej do innych cechów może rozsądzić wiele kłótni.

Choć Sobieskiemu nie załamał się głos, a ostatnie zdanie wypowiedział pewnie, nikt w to nie uwierzył. Sam król wbił wzrok w leżące przed nim papiery, ukrywając zmieszanie.

– Zniesienie akcyzy od mąki żytniej, jasne wytyczne dla piekarzy, szewców i kowali, żeby nie zabierali innym pracy – oto problemy, które rozwiązują moje dekrety – dodał.

– Z tymi postulatami chyba wszyscy możemy się zgodzić i je podpisać, wasza królewska mość – powiedział burmistrz von der Linde.

Radni przytaknęli zadowoleni. Konrad rozwinął dekrety i przedstawiał do podpisu kolejnym członkom Rady. Choć Sobieski zdawał sobie sprawę,

że takim postępowaniem wystawia do wiatru ufających mu rzemieślników, nie przejmował się tym specjalnie. Tak bowiem było i jest po dziś w Rzeczpospolitej, że wszystkie zawile sprawy załatwia nie człowiek, a pieniądz.

Wtem wzrok króla padł na świeży podpis otyłego rajcy, który podawał dokument następnemu mężczyźnie. Pismo na wrednym paszkwilu o Konradzie było identyczne. Jezierski również odkrył podobieństwo, ale natychmiast przymknął oczy. To nie był dobry moment na awanturę. W milczeniu przyglądał się, jak rajca Zygmunt Holten podpisuje kolejne dekrety i zdradza się przed chorążym.

Król przez chwilę lustrował nalaną twarz Holtena, po czym spokojnie przeniósł wzrok na Konrada, dając mu do zrozumienia, żeby siedział cicho. Posiedzenie dobiegało końca. Jezierski zastanawiał się, czy rajca przy pożegnaniu królewskiego majestatu zachowa się bez zarzutu. Holten nawet nie oblał się rumieńcem, gdy skłaniał się jak pozostali. Nie zdradziły go ani maniery, ani wodniste małe oczy.

Sobieski uznał, że na razie rozsądniej będzie zachować milczenie i obserwować rozwój wydarzeń. Choć Konrad był przeciwny, gdyż od razu chciał skonfrontować rajcę z wierzem, posłuchał królewskiej woli. Nie chciał denerwować Sobieskiego, zwłaszcza że jego żona lada chwila mogła urodzić. Należało poczekać na dogodny moment.

Monarcha szybko się pożegnał, chcąc jak najszybciej wrócić do pokojów. Spotkanie ostatecznie go zadowoliło, a Konrad delikatnie naprowadził Radę na prawdziwe żądania. Jednak Sobieski wiedział, że im dłużej będzie używał postulatów rzemieślników jako straszaka, tym słabiej będą działały. Niezależnie od tego, wciąż musiał podtrzymywać zainteresowanie problemami obu stron, by mieć pretekst do zasiedlania Gdańska. W pełnej malkontentów Warszawie każdy wróg krępowałby jego

ruchy, przechwytyjąc ważne listy, wymieniane a to z Karolem XI, a to ze szwedzkimi dostojnikami.

Maria Kazimiera spoczywała wśród poduszek. Dostęp do niej miał tylko Jan III, najwierniejsza służba i medycy mieszkający w czwartej kamienicy Długiego Targu. Ósmego września królowa czuła się nieszczęśliwie, dlatego w mieście panowało ogólne poruszenie. Konrad też był przejęty, ale smutny. Na Litwie czekała jego ciężarna żona Katarzyna. Jedenaście lat minęło od ich ożenku. Konrad doczekał się syna i dwóch córek, a czwarte dziecko miało narodzić się w grudniu. Przygotowania Sobieskiego i jego zdenerwowanie sprawiały, że chorąży markotniał z tęsknoty za rodziną.

Gdańsk źle na niego działał. Konrad był przyzwyczajony do boju i wojennej tułaczki. Mniej wtedy tęsknił, na pierwszy plan wysuwała się kwestia przetrwania i zwycięstwa. Dowódca nie odpuszczał żadnej okazji do bitwy, za co Sobieski – również znakomity żołnierz – go wielbił. Wiele potyczek stoczyli razem.

W Gdańsku Jezierski nie miał wiele do roboty. Głównie wypełniał dokumenty, pisywał listy i dyskutował z królem o polityce. Poza tym przekazywał służbie mniej ważne dyspozycje. Na tym kończyła się jego rola. Z nadejściem wczesnojesiennych ulew jego nastrój jeszcze się pogorszył. Ogarniała go obezwładniająca tęsknota, na którą widok rodziny mógł podziałać jak świeży opatrunek. Każdej jesieni Konrad odczuwał dojmująco, że czas kurczy się, a to, co jeszcze wczoraj widział wyraźnie, teraz pozostaje migotliwym wspomnieniem znikającym z upływającym czasem. W pamięci pozostawał folwark w Chojnach, gdzie spędził szczęśliwie wczesne dzieciństwo. Jednak twarze mamek czy tajemnice sosnowych zagajników bladły niezauważalnie. Z czasem próbował

przypomnieć sobie to, co było mu drogie, szukał zapachów czy smaków, ale znajdował ich coraz mniej. Zamiast dawnych obrazów do głowy przychodziły obecne. Ponure, nieprzyjazne twarze dworzan i wytworne mury warszawskich pałaców.

Konrad kładł się spać, rozmyślając nad naturą przemijania, gdy nagle usłyszał stłumiony skowyt dobiegający z sąsiadującej kamienicy królewskiej. Zerwał się, odgarniając pierzynę.

Zaczęło się, pomyślał.

Takie postękiwania słyszał u rodzącej żony. Nie mógł z niczym pomylić okropnego dźwięku.

Jeszcze przez chwilę siedział na łożu. Zacisnął pięści i przygotował się na krzyki. Domyślał się, że król już wstał; tak kochającego rodzinę człowieka, jakim był Sobieski, każdy poród przyprawiał o szaleńczy niepokój. Gdy kolejny krzyk rozdarł ciszę, Konrad wstał i zaczął przechadzać się po izbie. Zastanawiał się, czy powinien wychodzić – ostatecznie został, lecz nie położył się spać. Myślał o tym, że prawie każda kobieta przechodzi w życiu przynajmniej jednorazowe tortury.

Bał się, czy jego żona Katarzyna, coraz węższego zdrowia, wytrzyma kolejny poród. W czwartej ciąży wyraźnie była słabsza, często mdła. Próbował odpędzić od siebie złe myśli, lecz one gnały własnymi torami, nic sobie nie robiąc z usiłowań. Spojrzał na zegar, by gdzieś podziąć oczy. Zdziwił się, jak szybko leci czas – była prawie druga w nocy.

Nie lubił porodów. Wydawały mu się bardziej upiorne niż bitwy z Turkami. Na wojnie życie zależało od obserwacji i zręczności. Dziewkom na nic zręczne machanie szablą – ich życie zależało tylko od losu.

Usłyszał, że cyrulicy wchodzą do kamienicy. Było ich kilku, wśród nich ceniony w całej Rzeczypospolitej gdański medyk Daniel Krohne. Jego obecność działała na parę królewską niczym aloes, a zwłaszcza na Jana III. Sobieski kochał Marysienkę nade wszystko i po prawdzie nic nie miało dla niego większego znaczenia niż małżonka.

W środku nocy z kamienicy królewskiej pary rozszedł się wrzask niemowlęcia. Jezierski odetchnął z ulgą, choć rzecz jasna oznaczało to tylko tyle, że nastąpił koniec porodu. Jeszcze wiele złego mogło się wydarzyć, dlatego medycy czuwali bezustannie. Konrad wreszcie ułożył się do snu. Nie wiedzieć czemu, zaczął myśleć o łodziance Wandzie Sobótko.

Czy ona ma pociechy? Ciekawe jak wygląda jej życie, zastanawiał się.

Czasami łapał się na tym, że myśli o Wandzie sprawiają mu więcej bólu niż radości, bo podszyte są wyrzutami sumienia. Z ciężkim sercem wspominał sekretny pocałunek na drodze do Chojen. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała Łódź i kto tam mieszkał. Miał w pamięci dziada Wandy, najstarszego łodzianina, Jerzego Sobótkę. Przypomnił sobie też nazwisko Żelichów. Wiesio Żelich – tak nazywał się chłopak obiecany Wandzie. A jednak sprzeciwiła się woli rodziców i za niego nie wyszła. Konrad nie miał wątpliwości, że naraziła się przez niego.

To była mądra dziewczka. Postępowała odwrotnie niż wszyscy wokół. Zupełnie nie jak mieszczka, pomyślał mimo woli.

Spał niespokojnie. Budził się, bo słyszał głośny płacz małego Aleksandra. Mogło to oznaczać, że dziecię jest silne, zdolne, by przetrwać. Słyszając mocny wrzask, Konrad uśmiechał się i pomyślał o swojej rodzinie czekającej na Litwie. Przysiągł sobie, że po narodzinach kolejnej pociechy wyjadą na kilka miesięcy do łączycko-sieradzkich dóbr Jezierskiego. Myśl, która zakiełkowała w głowie Konrada, początkowo była niejasna, ale po chwili wiedział, że nie oprze się pokusie i wybierze się samotnie do Łodzi.

Znałem przecież tamtejszego wójta i rodzinę Drewnów. Może król będzie miał jakieś rozkazy, łudził się w półśnie.

Jednak prawda stanęła przed nim w całym dramatyzmie. Chciał zobaczyć Wandę.

Aleksander Sobieski, nazwany przez rodziców Filoneczkiem, urodził się zdrowy. Maria Kazimiera dochodziła do sił w zaciemnionym pokoju królewskiej kamienicy. Sobieski nie posiadał się ze szczęścia, wszystko wskazywało bowiem na to, że syn przeżyje. Gdańszczanie tłumnie przybywali i składali życzenia, znosili też dary dla nowego królewicza, a gdy Maria Kazimiera pojawiła się po raz pierwszy na Długim Targu zdrowa i radosna, ogłosili, że w mieście odbędzie się uroczysta feta z okazji narodzin księcia. Zabiły dzwony. W kościołach rozległo się chóralne *Te Deum laudamus*.

Gdańszczanie wielbili wszystko, co dostojne. Im okazalsza budowla czy bardziej ozdobny kielich, tym większym poważaniem cieszył się twórca. W tym mieście, jak nigdzie indziej, znano wartość dzieła, co jednak miało również zgubne skutki. O gdańszczanach powiadano w Rzeczpospolitej, że bywają chciwi, a zbytki cieszą ich bardziej niż przymioty ducha. Niezależnie od tych złośliwości, Rada wciąż zarządzała nowe zabawy, podczas których oczy najmożniejszych zwrócone były właśnie na Gdańsk, co miastu przynosiło wielki dochód i szacunek. Marynarze lubili cumować nad Motławą, wykorzystując skwapliwie każdą okazję do świętowania i picia.

Komendant artylerii Ernest Braun rozpoczął przygotowania do pokazu fajerwerków. Przed Zieloną Bramą rozstawiano żeliwne kosze, a uczniowie Gimnazjum Akademickiego ćwiczyli *Fedrę* gorliwiej niż wcześniej. Teraz

próby zajmowały całe dnie, do spektaklu dołączano chór i instrumenty. Grupy mieszczan chodziły po mieście, zapowiadając wydarzenia. Towarzyszyli im muzykanci z trąbami i bębnami.

Daniel od razu zauważył poruszenie. Codziennie po pracy kręcił się blisko Zielonej Bramy, żeby wy badać, co robi chorąży koronny. Konrad był według niego większym zagrożeniem niż Sobieski. Schulz słyszał bowiem powszechne opinie o sprycie Jezierskiego, a także o jego nieprzeciętnym zmyśle taktycznym i żołnierskiej intuicji. Był zatem przekonany, że plan kradzieży powiedzie się tylko wtedy, jeśli cały dwór pójdzie na spektakl.

Konrad czuł, że jest obserwowany, ale sądził, że to gruby rajca czyha na jego potknięcie. Kwestia wiersza pozostawała nierozstrzygnięta, jednak Jezierski postanowił wrócić do niej dopiero wówczas, gdy znów wydarzy się coś niepokojącego. Teraz dwór zajmował się innymi sprawami. Po skończonej fecie na cześć nowego księcia należało ostatecznie uporządkować sprawę ataku Szwedów na Prusy Książęce.

Ulewy ustały. Sobieskiego z królową ponownie zaprosił do letniego dworu patrycjusz Zachariasz Zappio, u którego para gościła w sierpniu. Tym razem mieli się zjechać wielcy artyści i uczeni z Gdańska. Gdy przeschły drogi, a na niebie pojawiło się słońce, para królewska wyruszyła do dworu Przy Zielonej Studni oddalonego od miasta niecałą godzinę drogi. Chociaż Zappio nie zapraszał Jezierskiego, Sobieski polecił mu wypoczynek w patrycjuszowskich ogrodach. Widział, że chorąży marnieje w ciasnej kamienicy i z tęsknotą wypatruje powrotu na otwarte przestrzenie.

Letni dworek widoczny był z oddali. Prowadziła do niego zwyczajna piaszczysta droga. Powóz królewskiej pary ciągnęła czwórka koni, bo obfite deszcze zbiły piach w gęsty muł. Wysokie koła chrzęściły pod

spulchnionym piachem albo chlupotały w błotnistych kałużach. Konrad jechał za powozem na kasztanie. Jego dzianet był młody i krnąbrny; wierzgał, pragnąc przygody.

Do dworku Zappia dojechali w południe. Jezierski rozpoznał gospodarza. Był to wysoki i otyły kupiec, który – dzięki sprytowi – dorobił się fortuny na handlu. Jego okrągłą twarz zdobiły długi nos, wąsy i brązowe falowane włosy sięgające ramion. Właściciel dworku zdawał się nie mieć szyi, a powodem był wysoki kołnierz koszuli obszyty koronką, który wystawał spod długiego niebieskiego kaftana. Strój Zappia uzupełniały spodnie w tym samym kolorze sięgające za kolana i aksamitowe buty zdobione purpurowymi wstążkami. Ponadto patrycjusz założył na siebie wszystkie błyskotki, jakie miał.

Zappia wyróżniały grzeczność i łagodne usposobienie. Prezentował królewskiej parze dwór Przy Zielonej Studni i zachęcał Konrada do pozostania w ogrodach. Jezierskiemu nie trzeba było powtarzać. Otwarte, wypełnione pięknymi zapachami przestrzenie działały na niego kojąco.

Dworek wyglądał okazale. Ściany miał pobielone, a okna duże i gęsto rozmieszczone. Pod portalem głównym wzrok przyciągało zacienione przedproże zdobione mosiężnymi balustradami. Taras na piętrze podtrzymywały prosto rzeźbione kolumny. Z tej perspektywy najpiękniejszy był widok na ogrody rozciągające się daleko, daleko. Pośrodku jaśniał niewielki staw z potokiem. Na wodę delikatnie opadały liście olch rosnących po obu stronach stawu. Z prawej biegła piaszczysta droga, przy której rosły wspaniałe drzewa, podkreślając czar ogromnego ogrodu.

Konrad spacerował wśród cudów przyrody i czuł, że płuca wypełnia mu świeże wiejskie powietrze. Taki zapach zawsze przypominał mu dzieciństwo i folwark w Chojnach. Nie było siły, która zdołałaby

wstrzymać tęsknotę za domem. Choć Jezierscy mieli kilkanaście dóbr w całej Rzeczypospolitej, w łęczycko-sieradzkim czuli się najlepiej. Chorąży zaczął rozmyślać.

Jedenaście lat minęło od ostatniej wizyty w folwarku. Tego dnia pocałował Wandę Sobótkównę przy trakcie. Później zastał spalone Chojny i służbę wyrzniętą przez rokoszan. Ileż się wówczas wydarzyło! Jednocześnie poczuł, że wtedy skończyła się jego młodość, a troski przysłoniły radość. Gdy odszukał matkę, przekonał sam siebie, że musi zatroszczyć się o ród, ożenić z Katarzyną i jak najszybciej uciec od niepokoju w duszy. Gdy wyruszał z Wielkopolski z matką, oficerem Andruszkiewiczem i służbą, starał się nie myśleć o łodziance zostawionej w zrujnowanym smutnym mieście. Postanowił, jak zawsze, zdusić to uczucie.

Przez lata żyło mu się dobrze. Katarzynę nazywano pięknnością Litwy. Wciąż jaśniała urodą, której zazdrościły jej młodsze szlachcianki. Ileż razy słyszał moc komplementów o ciemnych oczach żony, delikatnych kobiecych rysach i lśniących warkoczach. Jako para stanowili ideał. W Warszawie nazywano ich najpiękniejszym małżeństwem Rzeczypospolitej. Ani jedna zmarszczka nie dotknęła jasnej twarzy Katarzyny, ani jeden siwy włos skroni. Dzieci powiła silne i zdrowe, spełniała się pod każdym względem. Wiele wiedziała o polityce, jednak nie rozpoczynała dyskusji z mężczyznami, wielki w tym widząc nietakt. Z wiekiem nauczyła się śmieiej wyrażać własne zdanie, zarządzając służbą bez pomocy męża.

Konrad dumiał nad przymiotami żony tak długo, że nie zauważył, kiedy dotarł do końca alei. Z zamyślenia wyrwał go śmiech. Goście musieli przednio się bawić. Nic w tym dziwnego, bo Sobieski uwielbiał otaczać się ludźmi wielkiego intelektu, a wśród zaproszonych znajdowali się uczeni

i wybitni artyści. Gdy patrzyło się na nich z bliska, jak elegancko sączą piwo i rozprawiają na tarasie, aż dziw brał, że tyle wybitnych jednostek może mieszkać w jednym mieście. Gościem był uwielbiany przez króla Jan Heweliusz, wielki astronom, według wielu rozprawiający nocami z Bogiem. Delikatna budowa uczonego nie wskazywała na ogromną charyzmę. Nie dość, że badał nieboskłon, to dodatkowo produkował piwo cenione w całej Rzeczypospolitej, a wyśmiewane tylko przez zamiejskich browarników. Heweliusz zapuścił brązowe włosy zgodnie z obowiązującą modą, ubierał się wykwintnie. Uważał się za eleganta, choć po prawdzie wolał styl pokazywać, niż o nim mówić.

Na tarasie w otoczeniu królewskiej pary odpoczywał też wybitny botanik Jakub Breyne. Nieco wycofany, zatopiony w świecie roślin, lecz równie uważny w kwestii elegancji co Heweliusz; świadomie mówił mało, starając się błyszczeć raczej intelektem niż żartem. Wsłuchiwał się w dźwięki harfy, daleko niosła się bowiem spokojna muzyka grana przed tarasem specjalnie na tę okoliczność.

W dworku bawili też gdańscy medycy Daniel Krohne i jego syn Adrian czuwający nie tyle nad poziomem dyskusji, ile nad dobrym samopoczuciem królewskiej pary. Nieco dalej, przy wejściu do pokojów, spoczywał na poduszkach Andreas Stech, wybitny portrecista rodem ze Słupska malujący każdego, kto miał mamonę. Uważał się za wielkiego artystę i był nim w istocie, lecz sława zdawała się go rozpieszczać. Stech niewiele robił sobie z rozmowy, często traktując moźnych nieco z góry. Mógł sobie na to pozwolić, wykorzystując fakt, że ma wolny zawód, a cały patrycjat chce u niego zamawiać obrazy.

Gospodarz dostrzegł z tarasu Konrada spacerującego po ogrodzie. Nie godziło się zostawiać tak ważnej osoby samej, więc przeprosił towarzystwo i zszedł do chorążego, by go zaprosić. Konrad nie miał ochoty

na rozmowy, ale taktownie poczekał na pana Zappio, spoglądając na niego zza drzew. Żałował, że chwile samotności się skończyły. W ogrodzie czuł się doskonale.

Gospodarz, onieśmielony sławą chorążego, lekko się uklonił. Nie zamierzał ignorować różnic pochodzenia. Ponadto uważał, że Konrad zostanie kiedyś hetmanem.

– Jaśnie panie Konradzie, czekają goście i poczęstunek, a także nasza najlepsza gorzałka. Zapraszam do dworku, jeśli już raczyłeś zwiedzić ogrody. Jak się podobały?

– Ogrody przednie. W niczym nie ustępują rezydencjom podwarszawskim. Cudowny potok, a olch tak pięknych dawno nie widziałem.

Rozmowa z wolna zaczęła toczyć się własnym rytmem. Konrad uśmiechał się, odpowiadał na grzeczności, ale nie miał ochoty mówić. Z żalem żegnał ogrody. Tymczasem Zappio zaproponował, by mówić mu po imieniu, pozostając pod wrażeniem czarującego towarzysza. Jak każdy patrycjusz lubił otaczać się możnowładcami. Przyglądał się z ukosa polskiemu strojowi bogatego szlachcica, próbując wyjednać jeszcze jeden uśmiech czy uwagę.

– Tutaj jest wiele dworków, a co jeden, to strojniejszy. Nie dalej jak pół mili stąd zaczynają się zamiejskie dobra rodziny Koehne-Jaskich, a od nazwiska nazywają to urocze miejsce Jańskową Doliną. Bajeczna kraina połączona zresztą z wsią, którą zwą Piecki. Jest tam również dwór Uphagenów, niebywale ważnego rodu. Żadne decyzje miejskie nie przejdą bez porozumienia z Uphagenami. A, co ja będę mówić, przecież doskonale ich znasz, jaśnie panie, mieszkają przy Długiej. Dalej, w stronę Gdańska, jeśli pojedzie się wąskim traktem z rozwidleniem na lewo, pokażą się Młyniska. Tam posiadłość ma Zygmunt Kerschenstein, ale to już zdajesz się

wiedzieć, jaśnie panie, bo w połowie sierpnia gościła tam nasza umiłowana królowa jejmość Maria Kazimiera. Tutaj moc dobrych ziem, ale trzeba uważać, bo niektóre piaszczyste.

Konrad zauważył, że Zappio dobrze mówi po polsku, choć z niemieckim akcentem. Było tak, jak mówił Sobieski, gdańszczanie na każdym kroku starali się podkreślić nierozzerwalny związek z Rzeczpospolitą.

Jezierski w lot chwycił intencje ludzi. Zauważył zatem, że Zappio patrzy na niego z podziwem, próbuje się bratać, a zarazem korzysta ze statusu patrycjusza, nie łamiąc konwenansów. Postanowił skorzystać z postawy uczynnego towarzysza.

– Zachariaszu – uśmiechnął się znacząco, zwracając się do Zappia po imieniu – czy znasz Zygmunta Holtena?

Zappio popatrzył na niego niepewnie, widocznie coś skrywając.

– Znam, jaśnie panie Konradzie.

– Możesz opowiedzieć o nim coś więcej?

– To rajca bardzo przywiązany do stanowiska. Ciągle się boi, że utraci pozycję w mieście.

Konrad zdążył polubić Zappia, więc postanowił zapytać wprost:

– Dlaczego Holten nie darzy mnie sympatią?

Milczenie na chwilę przerwało rozmowę. Zappio namyślał się nad odpowiedzią, a miał do wyboru dwa warianty – dyplomatyczny i szczerzy. Wybrał w końcu połączenie obu. Wypowiadał kolejne słowa ostrożnie i powoli, dobierając najodpowiedniejsze.

– O ile wiem, Rada jest niechętna dworskiemu wojsku w mieście. Holten rozprawiał jeszcze przed przyjazdem jego królewskiej mości, że świta królewska może osłabić wpływy Rady na sprawy miasta.

– Na Boga, przecież wojsko wyjechało poza miasto! Taka była prośba Rady, więc król jegomość przychylił się do niej.

Znowu nastąpiło pełne skrępowania milczenie. Wreszcie dotarli pod drzwi dworku. Zappio przystanął i spuścił wzrok.

– Holten zauważył, że niektórzy zostali.

Mówił o nim i tylko o nim, dla obu mężczyzn było to jasne. Widocznie doskonale wiedział, że Jezierski jest niemile widziany w mieście.

XI



*F*edrę postanowiono wystawić pod wieczór, by wprost ze spektaklu zaprosić królewską parę na fajerwerki. Tego dnia pogoda kaprysiła, a wieczór zapowiadał się chłodno. Lato jednak wciąż nie chciało odejść i kiedy zza deszczowych chmur na chwilę przebijało się słońce, mieszczanie podwijali rękawy, a damy wachlowały się dłońmi z gorąca.

Ludwika prawie nie widywała ojca. Kiedy wszyscy już wymłócili zboże i z zapartym tchem czekali na dożynki, Daniel wciąż trzymał zbiory w małej stodole, nie zajmując sobie głowy chłopskimi obowiązkami. Schulżówna pomagała Wandzie w domowych pracach i do woli mogła rozmyślać o swoim nieciekawym położeniu. Odkąd przestała chadzać do Gdańska, dokuczała jej ogromna samotność. Wiejskie dzieci nie chciały się z nią bawić strofowane przez rodziców. Schulżówna była przecież córką tego, który nielegalnie zatrudnił się w mieście, podsycając waśnie. Od niedawna był po przeciwnej stronie sporu, więc mieszkańcy Szkotów nie mieli dla niego ani zrozumienia, ani litości. Cierpiała z tego powodu cała rodzina, choć Wanda starała się łagodzić nastroje we wsi. Obrzychowcie trochę z nią rozmawiali, ale pozostali, z wyjątkiem Marianny, patrzyli wrogo.

Ludwika z trudem znosiła spojrzenia, które bez zahamowań rzucali chłopi. Postanowiła jednak wytrwać i nie spotkać się z Florkiem. Choć cierpiała, nie widziała innej możliwości. Codziennie przypominała sobie bezwzględne zachowanie przyjaciela i to, że przez niego spóźniła się do domu, co okazało się tragiczne w skutkach. Dziewczynka nie miała pretensji jedynie do Florka, sama też czuła się winna. Karciała siebie w myślach za to, że pobiegła za Steinem w nieznaną, choć wciąż pamiętała o próbie w teatrze, która zrobiła na niej ogromne wrażenie. Cały czas wspominała, co czuła po usłyszeniu harfy. Chętnie poszłaby do teatru ponownie, by zobaczyć aktorów i posłuchać muzyki.

Tamtego wieczoru przeżyła największą przygodę życia, a ilekroć to wspominała, doznawała niepokojącego uczucia, że nic lepszego już jej nie spotka.

Wyszła z domu wprost na rażące słońce. Przysłoniła ręką czoło i patrzyła, jak stary Obrzych zarzyna kurę. Spojrzała na rozległe łąki i biegnący nieopodal szeroki trakt prowadzący do Gdańska. Od pewnego czasu nową zabawą Ludwiki było przyglądanie się Mariannie wracającej od najbliższej wiejskiej studni. Podobnie jak Wanda zauważyła, że między sąsiadami z lewej i prawej strony zawiązuje się nić przyjaźni, a nawet czegoś nieokreślonego, czego ona, Ludwika, jeszcze nie umiała nazwać. Dość, że Maciej patrzył na Mariannę z czułością. A ona, ilekroć wyłapywała jego spojrzenie, chwiała się niebezpiecznie, rozlewając z kubków trochę wody. Rumieniła się przy tym pięknie. Nic więcej się nie działo. Tylko zagadkowe spojrzenia, których Ludwika nie potrafiła jeszcze objąć rozumem. Patrzyła czasem pytająco na matkę i widziała, że cieszy się z tej niemej korespondencji, a w jej oczach błyskają na przemian wesołe i smutne ogniki.

– Będą tak patrzeć na siebie do skończenia świata, a żadne z nich ruchu nie wykona – zawyrokowała Wanda, gdy Ludwika zapytała ją o spojrzenia.

– Do skończenia świata?

Schulzowa uśmiechnęła się smutno. Siedziała na niewielkim stołku z odrąbanym oparciem i cerowała dziurę w dziecięcej sukience. Nie odpowiedziała, tylko pochyliła się bardziej, skupiając się na pracy.

Daniel obawiał się, że Konrad Jezierski nie pojedzie na spektakl. Nawet jeśli został zaproszony, trzeba było to sprawdzić. Nic nie mogło zaburzyć idealnego planu, a według Schulza chorąży pojawiał się zawsze tam, gdzie nie należało się go spodziewać. Skrycie nienawidził, a zarazem podziwiał dworskiego żołnierza za niebywałą czar, bystrość umysłu i biegłość w wypełnianiu obowiązków. Chciał być taki sam, lecz chłopskie pochodzenie przekreślało wszelkie możliwości. Skończywszy robotę, podkradał się na główne ulice, dyskretnie obserwując chorążego i marząc o podobnej sławie.

Jedna wyraźna różnica, oprócz urodzenia, rysowała się między dwoma ambitnymi charakterami. Jezierski był człowiekiem rozumnym, z natury łagodnym dla innych, a zakamuflowane okrucieństwo Daniela przerażało. Potrafił w tej samej chwili pokochać i znienawidzić.

Tego dnia nad wyraz nerwowo barwił sukno, doprowadzając Johanna do szału. Mistrz dawno zapomniał o dokumencie potwierdzającym obywatelstwo, ale Daniel nie miał złudzeń, że wkrótce ktoś niezyczliwy przyjdzie ze Szkotów i opowie mistrzowi o tym, że zatrudnił na ucznia podmiejskiego partacza. Jeśli wcześniej nie zdobędzie pieniędzy na przekupienie Schmidta, nici z dalszego planu.

– Jesteś niedokładny! – krzyczał Johann.

Był w złym humorze. Twarz często wykrzywiał mu grymas obrzydzenia przypominający ohydą maskę. W końcu usiadł na zydlu, pochylił głowę i zrezygnowany zdjął perukę. Przerzedzone siwe włosy, gdzieniegdzie jeszcze rudawe, opadały pasmami na tył, skrywając łysinę.

– Jeśli tak masz pracować, wynocha z mojego zakładu.

Daniel starał się, jak mógł, ale tego dnia wyjątkowo mu nie szło. Miał też mniej cierpliwości do mistrza. Trzymał się jednak planu. Zaciskał zęby, hamując gniew i jeszcze delikatniej obchodził się z tkaniną. Schmidt parę razy pogonił go precz, ale zaraz przywoływał z powrotem i reflektował się, unikając wzroku Daniela.

– Mamy dziś dużo pracy, więc się pospiesz – mówił.

Po pracy Daniel zaczął się w plątaniu uliczek, czekając na Konrada. Wiedział, że Jezierski codziennie przemierza tę samą drogę, jeśli tylko nie ma niczego ważniejszego do roboty. Dziś też wszystkie znaki wskazywały na to, że chorąży przechadza się po Gdańsku. To utwierdziło Daniela w przekonaniu, że nie wyruszy wraz z dworem na spektakl.

Schulz nie zwykł rozmyślać zbyt wiele nad konsekwencjami planu. Chciał skrzywdzić, być może nawet zabić Konrada, choć mogło to sprawić, że para królewska odwoła planowane wyjście. W razie niepowodzenia skazałby siebie na porażkę, a jeśli chorąży zorientowałyby się, kim jest zamachowiec – na śmierć. Niepodobna lekceważyć jednego z najpotężniejszych żołnierzy w Rzeczypospolitej. Jezierski nosił przy boku szablę, którą posługiwał się jak mało kto. Daniel rozważał więc tylko zaskoczenie bez walki wręcz.

Tymczasem Konrad szedł z polecanej w mieście karczmy, ubolewając nad tym, że znowu skusił się na miejskie piwo. Nie smakowało mu. Czuł w ustach posmak przesłodzonej goryczy i zastanawiał się, jak gdańszczanie mogą pić takie trunki. Obiecał sobie, że następnym razem pójdzie do

Dworu Artusa albo wyjedzie za miasto w poszukiwaniu dobrego piwa. Słyszał rewelacje o tym, że gorzałka ze Starych Szkotów nie ma sobie równej, a jeden z browarów prowadzą menonici wyrabiający również najlepsze likiery w tej części Rzeczypospolitej.

Wszedł w niewielką uliczkę, zwaną Beutlergasse, zaś po polsku Kaletniczą. Z tyłu została majestatyczna wieża kościoła mariackiego. Tym miejskim przesmykiem wychodziło się wprost na Długą, dlatego korzystało z przejścia wielu możnych. Jezierski nie był świadomy tego, że w jednej z kamienic schował się uparty chłop ze Starych Szkotów. Mimo wypicia ohydneho w smaku piwa, chorąży był w dobrym humorze, przypomniał sobie bowiem, że tego dnia czeka go spektakl. Otrzymał też wieści z Warszawy donoszące, że brzemienna Katarzyna Jezierska czuje się dobrze. Lada dzień poseł z Warszawy miał przynieść listy, a wśród nich obszerną epistołę od połowicy.

Wtem Konrad wzdrygnął się i nerwowo zamachał powiekami, bo poczuł, jak coś świsnęło z tyłu, tuż obok jego ucha, boleśnie zacierając skroń, po czym przeleciało do przodu, rozbijając się o ścianę kamienicy. Był to kamień wielkości chłopskiej pięści, który upadłszy, potoczył się jeszcze trochę i znieruchomiał przy murze. Zamroczony szlachcic nie zdążył się odwrócić, bowiem ze strony ulicy Długiej wyjechał duży powóz prowadzony przez pijanego kupca. Zdezorientowany Konrad sięgnął po szablę i wyciągnął ją z pochwy.

– Co tu się dzieje? – zapytał mężnie, chociaż się wystraszył.

– Kogo moje oczy widzą! – wykrzyknął kupiec.

Siedział na koźle i prowadził pusty wóz. Konrad już miał rzucić się na niego z szablą, gdy przypomniał sobie, że kamień rzucono za nim. Szybko się obejrzał, ale nikogo nie dostrzegł.

– Co to za żarty?! – krzyknął w stronę woźnicy.

– Jaśnie wielmożny panie – zarechotał niczego nieświadomy kupiec. – Proszę grzecznie zejść mi z drogi, bo inaczej nie przejadę.

Oburzony Konrad poczerwieniał z gniewu. Zamachał zręcznie szablą, dając popis umiejętności.

– Ukłoń się, chamie, bo nie wiesz, do kogo parszywą gębę otwierasz! Zaraz poczujesz szablę na gardle.

Choć wiedział, że kupiec nie mógł rzucić w niego kamieniem, nie wykluczał spisku. Woźnica otrzeźwiał na widok ostrza, chwiejnie skłonił się na koźle, po czym z poważną miną poprowadził konie bokiem.

Skąd mógł nadlecieć kamień? Czy była to groźba, czy ktoś rzeczywiście nastaje na moje życie? A jeśli znów Holten? – zastanawiał się chorąży, dotykając zranionej skroni.

Poczuł na palcach lepką maź. Otarcie było niewielkie, ale bolesne. Konrad nie miał wątpliwości, że ktoś go obserwuje. Postanowił jak najszybciej rozmówić się z Zygmuntem Holtenem, pamiętając poprzednie zniewagi rajcy.

Odwrócił się i zobaczył nadchodzącego Holtena. Przypadek sprawił, że rajca znalazł się w złym miejscu o złej porze. Wydawał się pochłonięty własnymi myślami i nawet nie zauważył Konrada. Ten zaś z wściekłością schował szablę, postanawiając rozmówić się, jak sądził, z prześladowcą.

– Ty łachmanie! – warknął ostro, aż spomiędzy zaciśniętych szczęk wyleciały kropelki śliny.

Złapał otyłego rajcę za szyję i przygwoździł do ściany kamienicy. Holten zachwiał się przerażony i niezdolny do wyduszenia słowa.

Mimo imponującej tuszy był słaby, niezdolny do bijatyk. Wyglądał gorzej niż zwykle. Twarz mu poczerwieniała, a małe jasne oczy zaszyły łzami. Ciemna peruka przekrzywiła się niechlujnie, ukazując łysinę. Małe

wąskie usta otworzyły się jak u ryby. Próbował zaczerpnąć powietrza. Jednak Konrad nie zwolnił uścisku.

– Myślisz, że możesz we mnie rzucać kamieniami i nic ci się nie stanie, bo jesteś patrycjusz?

Odezwała się w nim obrażona szlachecka duma.

– Mógłbym cię udusić i nikt by mnie nie skazał – dodał groźnie.

Przytrzymał jeszcze chwilę podduszonego rajcę, po czym zwolnił ucisk, wciąż patrząc niechętnie w twarz Holtena. Patrycjusz upadł na bruk, złożył ręce w błagalnym geście i próbował coś powiedzieć, kaszląc niemiłosiernie. Jezierski czekał. Nie przypuszczał, że tym razem Holten jest bez winy. Rajca zmierzał bowiem do ratusza, nie mając pojęcia, że przed chwilą ktoś rzucił kamieniem w chorążego. Podobnie jak pijany kupiec przejeżdżający tamtędy wozem.

– Najjaśniejszy panie, błagam o miłosierdzie – zachrypiał w końcu Holten.

Konrad już miał go kopnąć i odejść, ale postanowił ujawnić, że zna prawdę o paszkwilu.

– Wiem, że to ty napisałeś o mnie wredne wierszydło i zepchnąłeś mnie ze schodów. I król także wie o tym. A za tę ranę możesz trafić pod sąd. Myślisz, że jesteś taki sprytny i możesz spokojnie przechadzać się po haniebnym ataku na mnie, jakby nic się nie stało? Jestem dworskim żołnierzem, świńska mordko!

Rajca zaczął szczerze przeproszać. Przypadł Konradowi do stóp i poprosił, by go więcej nie dusić. Chociaż bał się kolejnego wybuchu, to jedno musiał wytłumaczyć.

– Nie rzuciłem kamieniem, szlachetny jaśnie wielmożny panie chorąży! Tylko rymowanka i schody to moja wina. A ze schodami to nawet nie do

końca ja, tylko wysłannik, głupie chłopaczysko. Nie wyskoczyłbym z okna, bo bym się nie zmieścił...

Konrad odepchnął Holtena, lecz przestał go kopać. Spojrzał groźnie na rajcę, ostrzegając go po raz ostatni, po czym poprawił pas i poszedł w stronę Długiej.

Daniel uciekł, gdy tylko pijany kupiec wjechał w uliczkę. Choć rzut był pewny i mógł nawet zabić chorążego, w ostatniej chwili zadrżała mu ręka. Cisnął kamień słabiej, niż zamierzał, lecz nie był to skutek braku siły. W głowie Daniela ozwał się dziwny głos, na który awanturnik zwykle nie zwracał uwagi. To sumienie podpowiedziało, jak haniebnym uczynkiem byłoby morderstwo. Nawet szlachta miała przykazanie, by bezbronnego człowieka z zaskoczenia nie zabijać, bo to uczynek pozbawiony godności i ludzkiej naturze nie przystoi. Teraz jednak Schulz mierzył się ze sobą, wszak plan wymagał poświęcenia najwyższej rangi. Tkwił w bocznej uliczce, przeklinając siebie za słabość. Odparłszy wyrzut sumienia, postanowił, że nigdy więcej się nie zawaha.

Tymczasem ochłodziło się. Królewska para i garstka dworzan razem z chorążym udali się na spektakl. Towarzyszył im tłum wciąż wierzący w moc monarchy. Przedstawiciele cechów zebrali się licznie na Długim Targu, prezentując tańce. Muzykanci skocznie przygrywali na cześć małego księcia Aleksandra. Ulica wypełniła się wiwatującymi. Nadal nie było widać na ich twarzach znużenia, choć spór rzemieślników z Radą trwał w najlepsze.

XII



Ludwika nie mogła dłużej usiedzieć w Szkotach. Zrobiła wszystkie domowe prace i snuła się po podwórzu, czując nieodpartą pokusę zawarcia rozejmu z Florkiem. Słońce jeszcze nie zaszło, wciąż było na tyle widno, by pobiec do miasta. Choć nie miała pewności, że zastanie przyjaciela nad Motławą, bo zwykle zjawiał się tam zaraz po naukach, wymknęła się z sennej wsi.

Minęła ulicę Długą, gdy jej oczom ukazał się niecodzienny przerażający widok. W stronę królewskiej kamienicy wlokła się kobieta wymazana krwią. Czerwone plamy barwiły jej bladą szyję i dekolt. Ludwika rozpoznała twarz dziewczki i westchnienie strachu uwięzło jej w krtani. Była to ta sama piękność, która pomogła jej odnaleźć drogę do Bramy Wyżynnej po wizycie w teatrze.

Kobieta słaśniała się na nogach, widać było, że każdy krok sprawia jej ból. Zbliżała się do dwóch zdeorientowanych strażników pilnujących królewskich dóbr. Choć na początku nie odstępowali wejścia, w końcu zdecydowali się podejść do niej, by zapytać, co się wydarzyło.

To, co widziała Ludwika, było tak naprawdę grą Katarzyny, która miała za zadanie odciągnąć straż od wejścia. Zagrała rolę wyśmienicie, padając niczym nieprzytomna w objęcia strażników. Nie wiedzieli, co czynić.

Patrzyli po sobie bezradnie, pytali Katarzynę, co się stało, aż wreszcie podjęli decyzję – należało przewieźć pannę do przytułku pod wezwaniem Świętego Ducha.

Rychło zaprzęgli dwa konie do niewielkiej brzydkiej kolasy, po czym ułożyli w niej jęczącą Katarzynę. Strażnicy pospiesznie wskoczyli na kozła, by jak najrychlej wrócić pod kamienicę. Zebrał się tłumek gapiów, który po chwili ruszył za wozem. Konie pogoniono, więc popędziły kłusem.

Kolasa zniknęła Ludwice z oczu i dziewczynka myślała, że nic jej już bardziej nie zdziwi, gdy nagle zobaczyła ojca wchodzącego zdecydowanym krokiem do kamienicy królewskiej.

Przecież tam mieszka król. Czy mój ojciec ma do niego sprawę? – zapytała siebie w myślach.

Pełna obaw przystanęła niedaleko fontanny Neptuna i postanowiła zaczekać.

Daniel wiedział z doświadczenia, że poważnych kradzieży nie wolno dokonywać z wahaniem. Zastanawianie się było zabronione, należało robić to, co podpowiadała intuicja. Pewność siebie dodawała sił i otuchy. Niezdecydowanie krępowało ruchy ciała i języka, a przecież mową zawsze można dużo zdziałać.

Schulz wszedł do kamienicy Sobieskiego jak do własnego domu. Nie rozglądał się po wnętrzu, na zachwyty nie było czasu. Wiedział, gdzie mieści się izba sypialna króla – wszak rozprawiano o niej w mieście. Choć wszystko tu należało do Sobieskiego, najcenniejsze przedmioty na pewno krył główny pokój monarchy. Tam Daniel postanowił iść, uzbroiwszy się w dwa noże – długi do patroszenia i niewielki kozik. Nie rozmyślał o własnych słabościach, bo stawał na szali życia.

Wszedł zwinnie po schodach, pamiętając o tym, by iść jak najciszej. Na korytarzu zauważył nieuzbrojonego służącego – tylko on strzegł królewskiej sypialni. Schulz pomyślał, że los najwyraźniej mu sprzyja, po czym bez słowa podszedł do zdumionego sługi. Nie zdołał mu się nawet przyjrzeć, ocenił tylko, że młody chłopak nie ma przy sobie nawet noża. Tym razem ręka Danielowi nie zadrżała.

Pchnął sługę na drzwi, po czym jedną dłonią zasłonił mu usta, a drugą poderznął gardło. Krew obficie poląła się po jasnym ubraniu chłopaka. Schulz z trudem ułożył drżące, wciąż żywe ciało na posadzce, licząc na to, że krew nie zabrudzi podłogi, a ciało później uda się ukryć w szafie. Próżne to były nadzieje, bo po chwili lepka ciecz rozlała się po podłodze, wskazując na brutalny czyn.

Spojrząwszy na ręce, Daniel pojął, co uczynił, i na chwilę oprzytomniał. Ze zgrozą ukląkł przy nieżywym chłopaku, popatrzył na nieruchomą twarz, a potem załkał cicho, rozumiejąc, że właśnie po wieki okrył się hańbą. Drżącą dłonią otarł nos, bezwiednie znacząc go krwią. Dotarło do niego, że przekroczył granicę oddzielającą dobro od zła i nie odmieni losu, choćby bardzo chciał. Jednocześnie, choć zrobiło mu się żal młodego sługi, poczuł ulgę. Skoro potrafił zabić człowieka, mógł uczynić wszystko. Teraz każde drzwi stawały przed nim otworem.

Podniósł się z kolan. Nie było czasu na zmywanie krwi z drewnianej posadzki, a jedyne, co mógł zrobić, to ukryć ciało. Jednak wizja kradzieży królewskich kosztowności była zbyt kusząca, więc najpierw pchnął ozdobne drzwi i ostrożnie wszedł do pokoju.

Starał się nie rozglądać, choć sypialnia kusiała. Zapragnął dotknąć kurdybanów i drogich tkanin spowijających ściany i łożę, ale bał się zdradzać swoją obecność. Lepkimi palcami schwycił ogromną mosiężną szkatułę. Podniósł wieko i po raz pierwszy naprawdę się zachwycił.

Było w niej wszystko, czego dusza zapragnie. Zdobione pierścienie ze szczerego złota, przypinki, guzy, a nawet bursztynowe agrafki – dary od gdańskich bursztyniarzy. Z prawej strony piętrzyły się ułożone kolorami wstęgi z różnych tkanin. Niektóre przetykane złotem, inne lśniące brokatem. Delikatny zamorski atlas mienił się w półcieniu. Daniel nie mógł się oprzeć i zanurzył dłoń we wstęgach. Obok stała druga szkatuła cała ze złota. Daniel zajrzał do niej, ale leżące w niej ozdobne chusty nie nadawały się do tak poważnej kradzieży. Zanurzył z powrotem dłoń w pierścieniach i przymierzył jeden z nich. Był zbyt duży. Sobieski miał grube palce.

Daniel usłyszał głośny śmiech dobiegający z ulicy. Ocknął się i zganiał w duchu za rozleniwienie. Nie było czasu do stracenia, pozostawało wziąć kilka kosztowności i uciekać. Choć mógł minąć najwyżej kwadrans, prawdopodobieństwo, że strażnicy wrócą, rosło z każdą minutą. Schulz zanurzył rękę w złotych pierścieniach, wiedząc, że plan subtelnej kradzieży bez zostawiania śladów i tak spalił na panewce. Nawet nie obejrzał kosztowności dokładnie, tylko od razu schował je w kieszenie. Na palcach przeszedł przez pokój, przeskoczył zwinnie ciało służącego, po czym ruszył w stronę schodów. Wyszedł z kamienicy, nie wzbudzając podejrzeń przechodniów.

Zmierzchało, a w powietrzu unosił się lekki jesienny zapach. Wróble gromadnie zebrały się na Długim Targu, wydziubując pozostawione resztki. Ćwierkały przy tym napastliwie, jakby piskiem oznaczały, że ziemia należy do nich. Zresztą o tej porze tak było.

Dopiero gdy Daniel dotknął stopami ziemi, pojął, co uczynił. Na ustach poczuł smak krwi, więc czym prędzej splunął w dłoń i śliną przetarł twarz, w szczególności nos i wargi. Musiał czynność powtórzyć kilka razy, bo na ręce wciąż widniały bladoczerwone smugi. Nie mógł się tak pokazać ni ludziom, ni odwachowi pilnującemu wjazdu do Gdańska. Po wszystkim

chyłkiem obmył dłonie w najbliższej studni miejskiej, pilnując, by nikt go na tym nie złapał.

Kiedy był już czysty, poczuł nieopisane szczęście. Dotknął kieszeni, przekonując się, że pierścienie rzeczywiście tam są. Co chwila wsuwał dłoń i łagodnie gładził kosztowności, zмирzając w stronę Bramy Wyżynnej. Obmycie wodą zdawało się zmywać nie tylko krew, lecz także winę.

Stan błogości nie trwał długo. Naraz poczuł strach związany z nieuchronnością dalszych wydarzeń. Idealny plan nie do końca się powiódł. Martwy sługa miał nie krwawić tak mocno, a nieżywe ciało miało być lżejsze i elastyczniejsze, by Schulz mógł je schować w szafie. Po drodze do Szkotów w Danielu wezbrała złość na samego siebie; zrozumiał, jak niepoważnie zachował się, zostawiając martwego stróża u drzwi królewskiej sypialni. Kradzież miała przecież zostać wykryta dopiero po czasie, zaś przez niefrasobliwe zachowanie jeszcze tej nocy należało spodziewać się burzy.

I co ja z tym zrobię? – pytał Daniel samego siebie po drodze do Szkotów.

Najpierw musiał znaleźć czeladnika, który przetopi królewskie kosztowności, a było to niełatwe zadanie. Niepokój wdarł się w jego duszę, wszak mógł lekkomyślność przyłacić życiu.

Co właściwie się ze mną stało? Dlaczego nie ukryłem zwłok? – rozmyślał.

Im dłużej nad tym dumał, tym bardziej chciał biec z powrotem do miasta, by naprawić błąd.

Jednak ono tam było – ciało zabitego służącego leżało przez cały wieczór jako dowód okrutnej zbrodni na niewinnym człowieku. Ilekroć Daniel przypominał sobie martwą twarz, nieokreślony żal chwycił go za krtań, dusząc bez litości. Do Szkotów przyszedł odmieniony. Ludwika,

która widziała go wcześniej wchodzącego do kamienicy, niespokojnie poruszyła się przy ławie. Ojciec przybył do domu blady i milczący. Nie przywitał się, nawet nie spojrzał na córkę. Usiadł naprzeciwko niej i wbił zdumiony wzrok w deski, jakby je widział pierwszy raz w życiu.

Ludwika czuła, że stało się coś ważnego, lecz nie śmiała zapytać. Natomiast Wanda niczego nie spostrzegła. Po ostatnim ataku męża unikała rozmów, a na widok nieruchomych źrenic uciekała wzrokiem. Teraz nawet nie patrzyła na niego, myśląc, że znów jest pijany. Bez słowa położyła na ławie talerz sztokfiszki, po czym wyszła na podwórze, by zagonić kury.

W izbie zostali Ludwika i Daniel – jedna istota bezbronna i druga potępiona. Gęste od emocji powietrze wypełniło izbę i wydawać by się mogło, że góruje nad całą chatą Schulzów jak nieustępliwa chmura. Córka zerkała na ojca z ukosa, ale smutna twarz przejmowała ją takim lękiem, że bała się poruszyć.

Zmrok zaczął z wolna obejmować izbę, gdzieś tam słychać było klekot bocianów przylatujących nad szkocki staw. Wieśniacy siedzieli w domostwach, oporzadzali zwierzynę i szykowali się do wieczerzy. Ojciec i córka siedzieli w ciszy; ich spojrzenia nie zetknęły się ani razu, choć myśleli o sobie. Duszę Daniela wypełniał atrament, ponieważ rozlały się w niej wyrzuty sumienia. Już nie szło jedynie o zdarzenie w kamienicy, lecz o wszystko. O zły przykład dawany codziennie córce, surowe wychowanie i cięgi stosowane według uznania.

Ludwika czuła zdenerwowanie ojca głęboko w sobie. Piekący ból płynął z czaszki aż do wnętrza nosa. Miała dreszcze, serce jej biło jak szalone. Patrzyła na ojca. Naraz w półmroku zauważyła, że jego oblicze zaczyna się zmieniać. Zmarszczyła brwi, przyglądając się ze zdumieniem, jak ogromne łzy spływają obficie po pękającej masce zdziwienia, ustępując miejsca prawdziwym emocjom.

Nim nadeszła noc, o morderstwie i kradzieży dowiedziało się całe miasto i wszystkie okoliczne wsie. W Gdańsku nie spała ani służba, ani para królewska. Władze miasta wezwano do kamienicy, gdy tylko dworska świta wróciła z obchodów. Jan III był wściekły. Domagał się natychmiastowego znalezienia i skazania winnego.

Konrad patrzył ponuro, jak monarcha przechadza się po sypialni. Wyglądał jak wielki majestatyczny tygrys czekający na wypuszczenie z klatki. Jezierski przezornie milczał, mając w pamięci wcześniejsze wybuchy gniewu. Myślał o tym, jak wszystko się skomplikowało. Gdańsk go zmęczył, nigdzie nie zaznał równie gościnnego przyjęcia i olbrzymiego afrontu. Sobieski zdawał się podzielać opinię o skrajnościach, bo Gdańsk – ugościwszy go ponad miarę – jednocześnie zgotował mu skandal osobisty, a z nim obrazę majestatu. On, wielki wojownik, żołnierz niezrównany, dał się okraść z dóbr jak byle szlachetka! Na dodatek nie widział postępów w planach Szwedów. Proces przeciwko Radzie też przebiegał opornie. A teraz mogły się pojawić nowe problemy.

Władze Gdańska znalazły się w równie trudnej sytuacji. Zewsząd mówiono o hańbie, nawet czeladź miejska szeptała między sobą, że skandal odbije się na reputacji miasta. Trudne to były chwile, które dodatkowo potęgował gniew Sobieskiego. Król kazał zamiejskiej świcie przybyć do miasta, czym złamał obietnicę utrzymania żołnierzy dworskich poza Gdańskiem. Niechby jednak ktokolwiek z Rady wspomniał o tym, wściekły król natychmiast przegnałby go, rzucając najcięższe obelgi.

W mieście zapanował chaos. Na domiar złego rozpoczynał się doroczny jesienny spław zboża, więc miasto wypełnili obcy przybysze. Przyplływały szkuty z załogą i komięgi, które potem rąbano na drewno. Nad Motławą zaroilo się od gdańskich i zamiejskich pracowników. Każdy szukał zajęcia

w porcie i przy rozładunku. Moźniejsi mieszczenie oferowali duże sumy za posady nadzorców, dźwigowych i strażników wodnych. Najęto się też wielu mierników zbożowych.

Kto nie wykonywał zwykłych zadań i nie przebywał nad Motławą, stawał jako ochotnik do zasilenia straży. Przeczesywano kamienice wszystkich gdańszczan, szukając królewskich pierścieni. Nikogo nie zwolniono, więc nawet Heweliusz musiał okazać kamienice, a z nimi obserwatorium. Powstał ogromny chaos. Miejscy urzędnicy wszczynali awantury z dworskimi żołnierzami, winiąc ich przede wszystkim za brak zaufania. Choć dni mijały nieubłagane, kosztowności nie znaleziono.

Sąd głównie miejski razem z biskupstwem wrocławskim przychylił się do prośby dworu o przeszukanie chat podmiejskich wieśniaków. Zamknięto furtę do miasta, nikogo nie wpuszczając bez wskazania wyraźnego powodu. Nade wszystko źle patrzono na chłopów, odsyłając ich na wieś. Wieśniacy, butniejsi niż w innych częściach Rzeczypospolitej, zaczęli gromadzić się i rzucać w wartowników zgniłymi jabłkami. Musiał przybyć ktoś poważniejszy z władz miejskich, by rozgonić cizbę. Krnąbrniejszych chłopów karano chłostą.

Powszechny bałagan sprawił, że po dziewiątej wieczór zarządzono zakaz wychodzenia z domostw. Nie obowiązywał on tylko przybyłych marynarzy i dworu. Wyznaczono nagrodę za ujęcie sprawcy napaści. Strażnicy z ochotnikami sprawdzającymi domostwa zaglądali w naczynia, obstukiwali podłogi, zerkali w mysie dziury. O każdej porze mieszkańcy Migowa, Brzeźna, Starych Szkotów i pozostałych wsi mogli spodziewać się rewizji.

Daniel dopiero po dwóch dniach wyjął pierścienie z kieszeni, jakby nie dowierzał, że naprawdę je ma. Obejrzał klejnoty, naliczając siedem. Wszystkie były ze złota, wysadzone drogimi kamieniami. Nie wiadomo, czy był zadowolony, bowiem jego duszą miotają wątpliwości. Długo patrzył na pierścienie, a silne emocje obejmowały umysł, burząc spokój.

Schulz czuł jednocześnie satysfakcję i niemoc. Pojawiały się nieznośne wyrzuty sumienia, trawiąc ciało aż do fizycznego bólu. Im dłużej przyglądał się zdobyczy, tym mniej panował nad żalem, bo zbrodnia na zawsze piętnowała go, skazując na wieczne potępienie. Nieznośna gorączka myśli powróciła, ale stała się nieco łagodniejsza.

Schulz ostrożnie wyłamał deskę w podłodze i rzucił tam kosztowności. Czekał. Zbyt wiele spraw mogło pójść źle przez jego gwałtowną naturę. Najchętniej natychmiast biegłby przetopić złoto, jednak wzbraniał się, oczekując straży. Gdyby nagle się wzbogacił, mógłby ściągnąć na siebie podejrzania.

Ludwika jako jedyna znała sekret ojca. Gdy dowiedziała się o morderstwie i włamaniu do królewskiej sypialni, połączyła fakty. Przerazenie potęgowało dziwne zachowanie ojca. Choć dziewczynka nie zdradziła go ani nie znała schowka, czuła, że kosztowności są w ich skromnej chacie. Cały dom razem z dobytkiem można było kupić za pół błyskotki. Gdy Ludwika uświadamiała sobie to abstrakcyjne bogactwo, drżała. Bała się tego, co może spotkać jej rodzinę, choć nie była pewna, czy ona i matka wciąż będą jej częścią. Daniel zachowywał się bowiem tak, jakby był wolnym duchem. Posiłki starał się jadać oddzielnie, kupując specjalnie dla siebie solone dorsze na Rybnym Targu. Zjawiał się w domu jak gość, a do Wandy w ogóle się nie odzywał, z rzadka tylko burcząc coś w odpowiedzi.

Wanda też zamknęła się w sobie, zachowując cierpliwość tylko do Ludwiki. Od czasu gdy sąd główny miejski zapowiedział przeszukiwanie podmiejskich domów, stała się bardziej nerwowa. Częściej wybuchała niespodziewanym śmiechem i wystawała w drzwiach sieni, czekając na strażników. Nie miała pojęcia, że to jej mąż ukradł pierścienie i schował je pod podłogą. Jedynym marzeniem Wandy było przybycie Jezierskiego. Wyczekiwała go w Szkotach.

XIII



Wieczór był cichy i deszczowy. Mokre wróble obsiadły płot Schulzów. W oddali ryczały krowy pędzone do zagród przez pastuchów. Szkoty powoli pogrążały się w jesiennej ciemności. Choć nieubłaganie zbliżał się październik, korony drzew wciąż szumiały zielonymi liśćmi. Tu i ówdzie krajobraz zaczynał się jednak zmieniać. Wilgotniały trakty, powozy zatrzymywały się w mule, gołębie urządzały kąpiele w szerokich kałużach. Nadeszły deszcze, a wraz z nimi ochłodzenie. Wiezorami dziewczki wychodziły przed dom w wełnianych okryciach.

Wanda tryskała humorem, marzyła bowiem o tym, że chorąży Jezierski odwiedza ze strażą ich dom, poznaje dawną Sobótkównę i zabiera ją z Ludwiką od zaskoczonego Daniela. Dokąd mieliby odjechać? Tego nie wiedziała i w ogóle nie snuła dalszych marzeń, wiedząc, jak bolesne przyjdzie rozczarowanie.

Kiedy wieś obiegała wiadomość o przybywającej straży, zabrakło jej tchu. Ludwika, która od dawna bacznie obserwowała zachowanie rodziców, nie mogła zrozumieć nagłej zmiany. Zaczęła podejrzewać, że matka wie o pierścieniach, więc postanowiła, że nie zdradzi rodzinnej tajemnicy. Uznała, że to najlepsze wyjście.

Cóż z tego, że uczciwie wypapla o kradzieży, skoro za to skazą jej rodziców na śmierć? Jeśli straż miejska sama znajdzie pierścionki, czeka ją sieroctwo.

– Ojczy miły, miejska straż jest we wsi – ostrzegła na wszelki wypadek.

Daniel skinął głową. Wyraz twarzy miał surowy, nieskory do ustępstw. Zmarszczył brwi i zamyślony chodził po izbie. Ludwika patrzyła na niego ukradkiem, zauważając, że ojciec się denerwuje. Wanda, przeciwnie, wyszła powitać strażników. Gdyby przeczuwała, że mąż stoi za haniebnym uczynkiem, z pewnością nie byłaby tak radosna.

Zaciekawione wiejskie baby wyszły z chat i zerkały zza płotów. Niektóre stawały na błotnistym trakcie, kręcąc głowami to w jedną, to w drugą stronę. Sąsiadki złorzeczyły i denerwowały się, że wizyta straży przeszkodzi im w domowych obowiązkach. Nie patrzyły po sobie podejrzliwie, widocznie traktując sprawę jako problem Gdańska.

– Gdzie by tu w Szkotach ktoś mordował i kradł? Złoczyńcy powinni szukać w Gdańsku. Licho w mieście nigdy nie śpi! – krzyczała przez płot matka Marianny.

Jej złotowłosa córka niewiele rozumiała z zamieszania. Z niepokojem skubała warkocz, siedząc na przyzbie. Patrzyła, jak sąsiadki coś odpowiadają, machają rękoma i biorą się pod boki.

Wanda stała w progu, nasłuchując. Chłopki opowiadały o straży, mówiąc, że dworscy żołnierze z pewnością nie przeszukają wiejskich chat.

– Przyjdą mieszcuchy, co lubią wszędzie się rządzić – zrzędziła Miechowa.

– Cicho, Miechowa! A co ty byś chciała? Żeby przyjechała szlachta z szablami? Na nich to dopiero trzeba uważać. Przyjdzie taki i ludzi powybija, ukradnie, bo mu wolno i nikt nas wtedy nie ochroni – odpowiedziała Modła głośno.

Naraz do Wandy dotarło, że Jezierski należy do straży dworskiej, a nie miejskiej. Z pewnością więc nie będzie zawracał sobie głowy przeszukiwaniem wiejskich chat. Z bólem przymknęła oczy, orientując się, jak głupio wyczekiwała w progu. Odebrano jej marzenie...

Mieszkańcy Szkotów usłyszeli stukot kopyt, a psy zaczęły głośno ujadać. Na ciemniejszym trakcie pojawiły się jasne punkty pochodni. Po chwili drogę wypełnił gwar poleceń i rozkazów. Kolejni strażnicy gdańscy schodzili z koni, wiązali je za uzdy do płotów, po czym wchodzili na podwórze, obcesowo witając gospodarzy. Widać było, że w poszukiwaniu zaangażowano wszystkie służby, dołączono nawet strażników wodnych, nadzorców i wójtów na co dzień pilnujących nędzarzy. Było jasne, że sprawa jest poważna. Niedawne zniecierpliwienie ustąpiło miejsca strachowi. Mieszkańcy wpuszczali straż bez słowa, pokazując wszystkie zakamarki w domostwach. Strażnicy przetrząsali nawet słomę w oborach.

Wanda wpuściła do chaty dwóch niemiłych mężczyzn. Została na podwórzu. Co prawda nie weszła do środka, ale słyszała odgłosy przestawianych naczyń i mebli. Gliniana misa spadła z głośnym hukiem na podłogę i rozbiła się, wprawiając kobietę w zły humor. Mimo to uśmiechnęła się pokrzepiająco do Marianny siedzącej nieruchomo na przyzbie.

W chacie pozostali Daniel i Ludwika. Oboje wiedzieli, że straż może obstukiwać podłogę, by znaleźć wyłamaną deskę. Mężczyźni nie wyglądali przyjaźnie. Milczeli. Przesuwali kolejne skrzynie, zaglądali pod ławę i wykręcili siedzenie ze stołka. Zaglądali wszędzie. Daniel zerkał pobieżnie w kąt izby, gdzie wyłamana deska odznaczała się niewielką rysą. Ludwika stojąca w przeciwnym rogu uważnie patrzyła na ojca i wkrótce odgadła jego spojrzenia. Przygryzła wargę do bólu, przyglądając się strażnikom.

Wyciągali właśnie ze skrzyni skromne stroje, gdy do izby weszła Wanda. Zaczerwieniła się na widok porozrzucanych sukien.

Jeden ze strażników bezceremonialnie rzucił skrzynię w kąt, aż skrzypnęła podłoga. Dźwięk zastanowił go i już miał sprawdzić deski, pod którymi zostały ukryte pierścienie, gdy w drzwiach stanął nagle młody przystojny chłopak.

– Zaprzeście poszukiwań. Znaleźli winną kradzieży – powiedział strażnikom, po czym wyszedł, nie zaszczycając gospodarzy spojrzeniem.

– Do jutra będziemy to układać – rzekła z wyrzutem Wanda.

Wszystkie przedmioty i tkaniny były porozrzucane po izbach.

– To się tym zajmijcie, zamiast konkurować z miastem. Nie chcemy waszych wyrobów.

Łysawy strażnik, który to powiedział, zmierzył chatę ostrym spojrzeniem i wyszedł. Drugi mężczyzna zarechotał na odchodne.

Wanda przeczuwała, że Daniel zaraz przyzna im rację, ale milczał. Twarz miał bladą jak ściana. Zaczął zbierać ubrania drżącymi rękami i wrzucać je do skrzyni. Cudem uniknął śmierci. Myślał o tym, że mogli złapać tylko jedną osobę – Katarzynę Müller. W dodatku to on, Daniel, jest winny jej aresztowania.

Rosnące poczucie winy mieszało się w Schulzu z przerażeniem. Nie miał wątpliwości, że władze wezmą Katarzynę na tortury, by powiedziała im wszystko, co wie. A przecież znała plan ze szczegółami i jednym zdaniem mogła skazać współnika na śmierć. Choć Daniel wciąż zbierał porozrzucane stroje, myślami błądził po gdańskich lochach Wieży Więziennej. Wątpliwości szły w parze z nadzieją. Katarzyna musiała chronić ukochaną córkę.

Gdy zaczęło świtać i pierwsze promienie wpadły przez okno na łożo, Daniel wstał. Postanowił przyjąć los z pokorą, więc nie planował ucieczki

ani wyrzucenia klejnotów. Uważał, że zbyt dużo straci, jeśli się podda. Należało zachowywać się dokładnie tak, jak dotychczas, licząc na to, że los dalej będzie mu sprzyjał.

Zawsze wchodził w paszczę lwa, a brawura uchodziła mu na sucho. I tym razem stwierdził w duchu, że – choć to szaleństwo – będzie dalej wcielał plan w życie. Teraz dopiero miało się ono dla niego zacząć. Odsunął skrzynię z kąta i delikatnie podważył deskę. Z wykorzystaniem obcęgów i własnej siły zaczął mocować się z pięknym rubinem zdobiącym największy pierścień. Wyjął kamień i postanowił sprzedać. Najpierw musiał przekupić Johanna. Skoro złapano winną i otwarto furtę do miasta, Daniel nie bał się podejrzeń. Nie musiał nawet wymyślać, dlaczego nie przychodził do zakładu. Mógł powiedzieć, co chciał.

Ludwika też już nie spała i zza ściany obserwowała ojca mocującego się z pierścieniem. Przerazenie ścisnęło ją za gardło. Wszystkie przypuszczenia się potwierdziły. Ojciec jest nie tylko złodziejem, ale przede wszystkim mordercą. Dziewczynka była przerażona. Chciała krzyknąć ojca, bojąc się osierocenia, ale równocześnie zastanawiała się, czy ta zbrodnia nie pociągnie za sobą kolejnych. W pałdzierniku, jako chłopska dziewczka, nie miała wielu prac domowych, więc zaczęła obserwować ojca.

Katarzynę rzeczywiście aresztowano. Tylko ona mogła pomóc znaleźć winnego i ukarać go. Straż przeszukała dokładnie jej dom, ale niczego nie znalazła. Wydarzenia układały się w logiczną całość. Kobieta odwróciła uwagę królewskiej straży, a jej pomocnik wdarł się do kamienicy. Choć Katarzyna wszystkiemu zaprzeczała, wkrótce wzięto ją na tortury i zamknięto w Wieży Więziennej. Nie umiała sensownie odpowiedzieć,

dlaczego chodziła tego dnia po Długim Targu umazana krwią, więc przesłuchanie rozpoczęto niezwłocznie.

Piękna Katarzyna dobrze wiedziała, że miejscy mężczyźni boją się nad jej losem. Patrzyła stalowym wzrokiem w dal i na wszystkie pytania odpowiadała wymijająco, mając w pamięci groźby Daniela. Nawet za cenę życia musiała ochronić córkę.

– Kto ci pomagał? – pytał po dobroci sędzia.

Katarzyna obserwowała go z kamienną twarzą, aż poczerwieniał. Przypomnił sobie noce, kiedy ten tajemniczy surowy wzrok zmieniał się pod wpływem podniecenia. Wśród ławników także byli jej klienci.

– Odpowiadaj, bo zaraz pójdziesz w hiszpańskie buty – groził sędzia.

Głos miał jednak miękki. Jeszcze kilkanaście nocy wcześniej czule szeptał jej imię.

– Przed kościołem zaatakował mnie żebrak. Stąd ślady krwi – tłumaczyła.

Nikt nie chciał skazywać Katarzyny na tortury, jednak tym razem należało postąpić właściwie. Tak ważna sprawa nie mogła zakończyć się bez skazania na śmierć. Kilku ławników poruszyło się niespokojnie. Nie wierzącej pięknej Katarzynie, bo na jej ciele nie znaleziono ran. Cyrulicy opiekujący się chorymi potwierdzili zeznania. Kiedy nadbiegli, by zająć się raną, obcesowo ich przegnała i poszła do domu, mówiąc, że czuje się lepiej. Na odchodne obmyła szyję w ogrodowej fontannie, wprawiając w osłupienie nawet siostry zakonne.

– Jak nic, kłamiesz – powiedział sędzia.

Był wysokim mężczyzną ubranym w bogaty strój. Można by uznać go za przystojnego, gdyby nie cienkie wargi zaciśnięte w linijkę. Orzechowe oczy patrzyły na Katarzynę troskliwie.

– Wyjaw imię współnika, a dostaniesz mniejszą karę.

Zdawało się, że cała sala chce pomóc Katarzynie, ale ona arogancko odrzucała wyciągniętą do niej dłoń, myśląc mściwie o tym, jak wielu mężczyzn przyczyniło się do jej cierpienia. Obchodziła ich tylko dlatego, że zawsze mogli rozładować przy niej podniecenie. Ileż razy sędzia wyśmiewał ją, gdy najszczerzej opowiadała mu w łóżu o gwałtach, jakich dopuszczają się na niej moźni i zwykli czeladnicy.

Podczas rozprawy Katarzyna zrozumiała, że osieroci Zofię. Nie było możliwości złagodzenia wyroku, gdy sprawa dotyczyła króla Polski. Zewsząd żądano sprawiedliwości, a więc krwi. Nawet gdyby wydała Daniela, skazując go także na śmierć, do córki mogliby dobrać się znajomi, o których wspominał Schulz. Katarzyna wiedziała, że nie wolno jej tak ryzykować. Woląa szubienicę, niż wyrok śmierci dla córki. Dlatego postanowiła poddać się torturom, myśląc, że jej życie i tak niewiele znaczy. Słyszała to bezustannie, aż w końcu poddała się opiniom mężczyzn i cichemu społecznemu ostracyzmowi.

Z godnością wyciągnęła szyję. Wymownie spojrzęła w bok, dając sędziemu do zrozumienia, że nie powie niczego więcej. Jeden z ławników westchnęł. Popatrzył prosząco na kobietę, ale i to nie pomogło.

– Może chociaż powiesz, czy sprawca to obywatel miasta? – próbował sędzia.

Katarzyna prychnęła głośno, nawet na niego nie patrząc.

– To twoja odpowiedź?

– Córę mam, szanowny panie sędzio. Proszę, by na wypadek mojej śmierci Zosia Müller trafiła jako sierota do luterańskiego przytułku. Tam się nią zaopiekują.

Ławnicy spojrzeli po sobie zaskoczeni. Sędzia zmarszczył brwi.

– Naprawdę chcesz, żeby cię na sznur posłano, dziewczko? Jeśli wyjawisz imię współnika, puścimy cię wolno do córy.

Bardzo chciała w to wierzyć, ale dobrze znała rzeczywistość. Nie było mocy, która mogłaby ją teraz ochronić. Sędzia podstępem chciał zdobyć nazwisko współnika, by potem oboje skazać na śmierć. Ta dwulicowość przejęła ją wstrętem. Spojrzała na sędziego załamionymi oczami, w których mimo lęku widać było upór. Wnet odgadnięto na sali, że Katarzyna to kobieta mądra, która czuje podstęp.

Sędzia zmieszał się, po czym spojrzał na straż, stojącą przy drzwiach.

– Odprowadzić do katowni.

Danielowi udało się sprzedać rubin za dobrą cenę. Gdyby nabył kamień uczciwie, dostałby za niego dużo więcej, ale w tych okolicznościach musiał handlować nielegalnie. Mimo to zapłata go zadowoliła. Teraz mógł spokojnie opłacić mistrza i wkupić się w jego łaski. Postanowił zrobić to niezwłocznie, skoro nie musiał się bać podejrzeń. W mieście nie wiedziano zbyt wiele. Ludzie orzekli, że skoro złapali winną, zagrożenie minęło. Na razie tylko dwór i władze miasta wiedziały, że pojmanie Katarzyny nie kończy poszukiwań.

Daniel długo czekał na tę chwilę, zatem zamierzał się nią upajać. Porywczą naturą znowu doszła do głosu. Wręczył opłatę zdumionemu Johannowi, po czym oświadczył, że nie ma obywatelstwa gdańskiego.

– I nigdy go nie miałeś? – zapytał Schmidt, waząc w rękę ciężką sakwę.

– Nigdy.

– Czyli zatrudniłem partacza ze wsi?

Mina Johanna wyrażała takie zdumienie, że Daniel nerwowo się roześmiał.

– Tak. Żyję w Starych Szkotach.

– Cóż... po prawdzie zacząłem się ostatnio zastanawiać, czy ty na pewno jesteś stąd, skoro nie pojawiłeś się w zakładzie, gdy zakazano wjazdu do miasta.

Daniel pociągnął zaskoczonego Johanna za niebieską wstążkę, którą przewiązał perukę.

– Sprytny mistrzunio.

– Tu jest bardzo dużo pieniędzy. Wkupienie do warsztatu tyle nie kosztuje – zaczął Schmidt i spojrzał podejrzliwie na Daniela.

– Chodzi mi nie tylko o wkupienie. Chyba nie sądzisz, że będę dawał się gnoić jak kiep. Nie chcę być uczniem przez pięć lat – odpowiedział z naciskiem Schulz.

Jego surowa twarz wyrażała pogardę. Wreszcie triumfował. Mógł jednym spojrzeniem zemścić się za wszystkie upokorzenia, których doznał w warsztacie. Johann doskonale odczytał spojrzenie ucznia. Twarz ściągnął mu strach. Już nie patrzył na Daniela władczo, ale z szacunkiem, a nawet z uniżeniem.

– Chcę zdobyć tytuł czeladnika w rok – powiedział Daniel.

W tamtej chwili nie zniósłby sprzeciwu. Patrzył twardo na mistrza, wkładając całą energię we władczy ton.

– Rok?! Przecież to niemożliwe, zamkną mnie! Co na to powiedzą inni czeladnicy?

Na te słowa Daniel delikatnie wyjął sakwę z dłoni Johanna.

– Albo za rok dostanę tytuł czeladnika, a ty będziesz cieszył się nowymi szatami, albo wychodzę stąd z sakiewką, a ty zostajesz w zakładzie i liczysz wybite zęby.

Johann ostrożnie, ale nerwowo odebrał sakiewkę. Popatrzył na nieruchomą twarz Daniela, po czym skinął nieznacznie głową. Zrozumiał, że bezmyślnie najął niegłupiego, a nazbyt ambitnego chłopca, co

zwiastowało wiele problemów. Domyślił się przy tym, że monety pochodzą z kradzieży, ale jakiej – nigdy nie przyszłoby mu do głowy.

– Nie frasuj się, mistrzu, już niedługo zamieszkam w Gdańsku.

Johann nie odpowiedział. Pieniądze przyjął chętnie, ale wiadomość o tym, że uczeń nie mieszka w Gdańsku wzbudziła gniew. Jako mistrz cechu czuł się zobowiązany do walki z partaczami. Spór w mieście dotyczył właśnie tego, a podziały były tak duże, że w sprawy Gdańska zaangażował się król Polski. Sławny Schmidt nie umiał jednak oprzeć się czarowi pieniądza; poza tym pojął, że Schulz to niebezpieczny człowiek.

Łatwe przekupienie mistrza wprowadziło Daniela w doskonały nastrój. Przestał widzieć przyszłość w ponurych barwach, choć wyrzuty sumienia nadal nie dawały mu spokoju. Codziennie zagłuszał je dużą porcją piwa, bo tylko pijany mógł zasnąć. Uznał to jednak za pokutę i kolejne poświęcenie, po którym należało znowu skupić się na planie. Samopoczucie Daniela psuła jeszcze jedna sprawa. Katarzyna gniła w Wieży Więziennej kilkaset metrów od zakładu. Jeśli wygada się na torturach, jego też nic nie uratuje.

Ławnicy byli przekonani, że uda im się szybko złamać Katarzynę. Gdańsk opustoszał, mieszczanie posmutnieli. Odzywali się do żon niechętnie i z pretensjami, ponieważ skrycie wielu z nich żyło problemem pięknej kobiety. Wielu liczyło na dobrą wolę sędziego, naciskało na ławników, podsyłając upominki. Jednak tym razem na nic się to zdało. Sprawa morderstwa i kradzieży dotycząca króla Rzeczypospolitej nie mogła rozejść się po kościach. Dwór domagał się sprawiedliwości i skazania winnych.

Po kilku godzinach miasto obiegła wieść o tym, że zakończono tortury. Męczona Katarzyna podobno przeżyła i niczego nie ujawniła. Daniel odetchnął z ulgą, dziwiąc się, że współniczka łatwo uwierzyła w jego

groźby. Żal przeplatał się w jego duszy z radością, choć tym razem nie mógł usnąć nawet po gorzałce. Wiadomo było bowiem, że w Gdańsku torturowano bezwzględnie, wykorzystując najnowsze metody. Mimo to kobieta kryła Schulza.

Nad ranem zaczął śnić o egzekucji. Katarzyna stała na pomoście Wieży Więziennej w towarzystwie kata, a tłum krzyczał, by skazać ją na śmierć. Schulz stał wśród pospólstwa, lecz się nie odzywał. Kat zapytał, czy Katarzyna na pewno nie chce przed śmiercią wydać współnika. Wtedy stalowe spojrzenie omiotło ciżbę i wbiło się w źrenice przerażonego Daniela. Kobieta bez słowa wskazała palcem na Schulza.

We śnie Daniel czuł, jak lęk ściska mu gardło. Tłum począł patrzeć na niego, a potem wyciągać ręce, dusić, rozszarpywać ubranie i ciało. Krzyczał, ale ludzie wciąż na niego napierali. Wrzask rozdzierał mu krtań, słyszał zaś tylko jednostajne okrzyki rozjuszonych gawiedzi. W końcu sen rozpuścił się w mroku, czerń spowiła obraz. Daniel znalazł się w granicznym momencie między jawą a snem. W końcu wrzasnął i spadł z łoża.

Obudziła się także przestraszona Wanda. Ujrzała męża siedzącego na podłodze i zrobiło jej się żal tego podłego, ale nieszczęśliwego człowieka. Chciała nawet pogłodzić go po ciemnej czuprynie, ale nie zdobyła się na łagodny gest pojednania. Bez słowa cofnęła rękę.

XIV



Zastanawiano się, jaką karę powinna dostać Katarzyna, bo ludzie zaczęli głośno rozprawiać o jej profesji. Oburzone mieszczyki pomstowały srodze, żądając powieszenia. Dwór nie sugerował niczego, bo Sobieski polecił odciąć się od sprawy i czekać na decyzję. Nie miał złudzeń. Skradzione pierścienie przepadły na zawsze.

Choć codziennie trzymano Katarzynę o chlebie i wodzie, śledztwo nie przynosiło niczego nowego. Kobieta milczała, pytając jedynie, co z córką i czy jest bezpieczna. Wydawało się, że im więcej cierpi, tym bardziej rośnie jej determinacja. Podpalano jej boki świecami i rozciągano ciało na drabinie. Nie pomogły nawet hiszpańskie buty. Choć Katarzyna miała tak poranione stopy, że nie mogła chodzić, trwała przy swoim. Zaczęła czekać na śmierć, pragnęła jej podczas snu i jedzenia, bo ból rozrywał całe ciało. Ręce, nogi, tułów. Chciała umrzeć, by nie czuć bólu, ale nade wszystko interesowało ją dobro córki.

O tym, że nie wyda Daniela, zdecydowała kilka dni wcześniej. Jeśli karą będzie śmierć, trudno. Wiedziała dobrze, że o wiele więcej szkody mogłaby narobić, przyznając, że Schulz był jej współnikiem. Wtedy straciłaby życie razem z nim, a ciemne siły, którymi straszyl, mogłyby

zaszkodzić Zofii. Tortury trwały, ale Katarzyna pozostawała nieugięta, stawiając miejski patrycjat w trudnej sytuacji.

Wreszcie Rada wydała wyrok. Gawiedź domagała się sprawiedliwości, a Katarzynę można było skazać za cudzołóstwo i kradzież, władze postanowiły więc posłać ją na szubienicę. Naga miała zostać powieszona na oczach tłumu. W mieście zapanowało poruszenie, oczekiwano egzekucji, na którą zaproszono króla z dworem. Sobieski niechętnie przystał na uczestnictwo. Dla monarchy i małżonki zbudowano wysoki podest, z którego para mogła oglądać widowisko.

W dniu egzekucji pogoda była ponura. Ulewne deszcze przetaczały się nad Gdańskiem i mogły zepsuć przedstawienie. Ludzie żyli nadzieją, że następnego dnia, na kiedy planowano zgładzić winną, płanetnicy rozgonią chmury.

W chacie Schulzów atmosfera była niewesoła. Każdy z domowników zaszył się w swoim kącie, rozmyślając o różnych sprawach. Ludwika wciąż się wahała, choć wiedziała, że wydanie ojca władzom to zły pomysł. Myślała też o sobie, bo nikt by się nad nią nie ulitował, gdyby została sama. Podzieliłaby żebraczy los ludzi wolnych albo trafiła do przytułku.

– Najmilsza matko, czy udamy się do miasta na egzekucję? – zapytała.

– Zapewne tak – odpowiedziała Wanda ponuro.

Myślała o tym, że na Placu Dominikańskim z pewnością zobaczy Konrada. Przez ostatni miesiąc próbowała żyć tak, jakby nie istniał. Gdy dochodziła do wniosku, że udaje jej się o nim zapomnieć, nowa fala tęsknoty zalewała umysł. Tak było też w dniu, kiedy wydano wyrok. Katarzyna miała zostać powieszona następnego dnia w południe.

– Nie pójdziemy oglądać egzekucji – stwierdził Daniel.

Sen tak go wystraszył, że jako jedyny mężczyzna w Szkotach nie był zainteresowany widowiskiem.

Wanda czuła smutek, ale biernie poddała się losowi.

Jak Bóg chce, pomyślała.

Usiadła na stołku i otworzyła skrzynię, wkładając między ubrania liście piołunu.

– Nie idziesz jutro do Gdańska? – zapytała męża.

– Zarządzili wolne w zakładzie. Trzeba wytępić szczury, bo niszczą sukno – skłamał Daniel.

W rzeczywistości nie zamierzał pojawić się tego dnia w mieście. Wolał nie zarobić dniówki, niż tłumaczyć się mistrzowi, dlaczego nie idzie na egzekucję.

Udam, że ciężko zachorowałem, pomyślał.

– Dużo szczurów w Gdańsku? – zapytała Wanda.

– W zakładzie dużo. O co ci chodzi?

Nie odpowiedziała. Od kilku tygodni czuła, że z mężem dzieje się coś dziwnego. O nic by nie pytała, ale odmowa pójścia do miasta na egzekucję niemile ją zaskoczyła. Próbowwała tłumaczyć sobie, że jej to nie obchodzi. Wciąż na nowo przekonywała siebie samą, jak bzdurne są jej wielkie uczucia do chorążego. Miała w tym doświadczenie. Podobne argumenty przedstawiała sobie od jedenastu lat. Nadal była w punkcie wyjścia.

Następnego dnia wciąż padało. Przed dwunastą na Placu Dominikańskim zebrał się tłum gdańszczan i wieśniaków. Początkowo ustawiano się niewielkimi grupami, więc ciżba sięgała płotu przy Starej Aptece. Był to niewielki budynek, w którym wyrabiano proch. Mieścił się tuż obok okazałej Zbrojowni kształtem przypominającej wąskie kamieniczki zwieńczone czterema zdobionymi szczytami. Flisacy, którzy akurat bawili w porcie, tłumnie szli Długą w stronę Wieży Więziennej.

Króla Polski i egzekucję mieszczyki chcieli też obejrzeć Holendrzy i Francuzi. Zaczepiali okręty przy Żurawiu, po czym poszli w głąb miasta.

Ludwika od rana źle się czuła. Była jednocześnie podekscytowana i zaniepokojona. Od emocji rozboleł ją brzuch. Chciała iść do miasta z rodzicami, by uczestniczyć w ostatniej drodze miłej panny, której śmiech wciąż rozbrzmiewał jej w uszach.

– Matko miła, dlaczego ludzie umierają? – spytała Wandę.

Kobieta ze zdziwieniem spojrzała na córkę.

– To, co dostajemy, zawsze jest nam odbierane. Życie to nie wyjątek.

– Po co gadasz dziecku takie herezje? Bóg dał i Bóg zabrał – odpowiedział Daniel.

Kręcił się po domu, rozmyślając o śnie. Choć starał się stawić czoła temu, co miało nastąpić w południe, wyrzuty sumienia mieszały mu się w głowie z przerażeniem. Czasem za serce chwytало go rozczarowanie. W krótkich chwilach wątpliwości zastanawiał się, czy na pewno jego plan jest wart tylu poświęceń. Chodziło mu jednak o rozpoczęcie nowego życia. Kto wie, co jeszcze trzeba będzie zrobić, by to osiągnąć.

Wanda wyglądała na spokojną. Pochylała się nad misą w skupieniu, dodając groch do kapusty. Od pracy odrywały ją myśli o tym, że Plac Dominikański wypełnia się ludźmi, wśród których znajdują się też dworscy dostojnicy. Odkąd rozpoznała Konrada przy uroczystym wjeździe króla do miasta, przestała się bać tego, co się z nią stanie. Teraz tylko marzyła.

– Zdążymy jeszcze do miasta na dwunastą – powiedziała.

– Tak! Matko, chodźmy, proszę! – krzyknęła Ludwika.

Daniel uderzył pięścią w ławę.

– Nigdzie nie idziecie. Roboty w domu pełno.

Schulzowa poczerwieniała z gniewu, lecz jej głos zabrzmiał miło:

– Idź się pobawić na dworze – poleciła córce.

Widziała, że Ludwice zależy na obejrzeniu egzekucji, i nie zamierzała jej powstrzymać. Po raz pierwszy w życiu nie sprzeciwiłaby się temu, żeby córka sama poszła do Gdańska. Gniew w niej narastał. Jeśli ma żyć według zasad męża, to ona będzie decydować o losie córki. Nie miała wątpliwości, że Ludwika pobiegnie prosto na Plac Dominikański. Może dowie się tam czegoś na temat dworu.

Wanda dobrze znała córkę. Postąpiłaby tak samo. Ludwika wyszła na trakt i rozejrzała się niespokojnie. Samotność doskwierała jej coraz bardziej, chwyciła się nadziei, że w Gdańsku zobaczy Florka. Nie gniewała się na niego tak bardzo jak wcześniej. Dawna uraza zniknęła, a jej miejsce zajęła chęć rozmowy z przyjacielem. Nawet jeśli nie opowiedziałyby mu o problemach, oderwałyby się od nich na chwilę. Poza tym chciała utwierdzić się w przekonaniu, że dobrze zrobiła, nie wydając ojca władzom miasta. Liczyła na to, że widok egzekucji ją otrzeźwi i wątpliwości znikną.

Pospólstwo tłoczyło się na Placu Dominikańskim. Dla znaczniejszych osób zbudowano wysoki drewniany podest ze schodkami. Ustawiono na nim hebanowe krzesła pokryte ałtarem przyniesione na tę okazję z Dworu Artusa. Najpiękniejsze, ozdobione motywami roślinnymi, stały na środku przygotowane dla pary królewskiej. Wśród ciżby przejeżdżał powóz monarchy, a za nim ze znudzoną miną jechał konno Jezierski. Zwierzę stąpało znużone, otoczone przez lud, wyrażało parskaniem niezadowolenie. Konrad wyczuwał emocje wierzchowca i poklepywał go po smukłej szyi ze zrozumieniem. W zatłoczonym mieście czuł się podobnie.

Za Bramą Długouliczną zsiadł z konia, wcisnął lejce w dłoń koniuszego i ruszył w stronę podestu. Zachodził w głowę, dlaczego władze zdecydowały się na egzekucję w mieście, a nie poza nim. Nadchodzące widowisko nie cieszyło go. Spojrzał na Sobieskiego, zgadując, że monarcha również wolałby teraz robić coś innego. Zgodził się na przyjazd tylko z powodu zażyłości z cechami. Ludzie zastanawiali się, jak król przyjmie egzekucję i czy będzie mu się podobać.

– Wszyscy bardzo się postarali – szepnął Konrad.

Krzesło Sobieskiego ustawiono na przodzie. Dworska świta zajęła miejsca za królewską parą. Chorąży siedział wprost za nimi.

– Nie chcę obrazić cechów i Rady. Tylko dlatego tu jesteśmy – odpowiedział król półgębkiem.

Dzwony z ratusza obwieściły nadejście skazanej. Kat stał już na podeście ustawionym w przyziemiu Wieży Więziennej, gdzie znajdowała się szubienica. Konrad obawiał się, czy widok egzekucji to nie zły omen zwiastujący mu śmierć. Odrzucił szybko tę myśl i postanowił nie patrzeć skazanej w oczy.

W tym samym czasie Ludwika wpychała się między ludzi, szukając Florka. Choć pogoda kaprysiła, na Placu Dominikańskim było tłoczno i czuło się silne emocje. Schulżówna rzuciła okiem na Jana III, po czym znowu zanurkowała, zbliżając się do podestu dla dworu. Ze zdumieniem dostrzegła, że na egzekucję przyszło wiele kobiet pomstujących na Katarzynę. Gdy tylko ujrzały ją wychodzącą na podest wprost z Wieży, zaczęły złorzeczyć. Okrzyki zlały się w kakofonię, w której można było rozpoznać wyrazy niestosowne w ustach możnych dziewczek.

– Oby czart zabrał ci duszę do piekła!

– Roznosicielka francy!

– Złodziejko, oddawaj pierścienie!

Wszyscy wykrzykiwali obelgi, odkrywając tajemnicę Katarzyny. Winna ukazała się na podeście niemal naga, tylko w miejscach intymnych przepasana szmatami, by nie gorszyć gawiedzi. Widać było skutki tortur, a najbardziej hiszpańskich butów z kolcami. Stopy Katarzyny pokrywały zaschnięta krew i siniaki. Ledwo stała. Każdy krok oznaczał wielki ból.

Ludwika, która znalazła wygodne miejsce na gałęzi drzewa, spojrzała na podest. Zamarła. Nigdy wcześniej nie oglądała egzekucji, więc naraz pojęła, że nie jest pewna, czy na pewno chce widzieć śmierć Katarzyny. Nie widziała żadnej dziewczynki w swoim wieku. Było natomiast wielu podrostków i nawet małych chłopców. Dziewki, starsze od niej, pomstowały na skazaną.

Ludwika ukryła się na rozłożystej gałęzi klonu. Liście zasłaniały widok, więc rozsuwała je dłonią. Przypomniała sobie wtedy nazwisko chorążego, które kazała jej zapamiętać matka. Wyjrzała spomiędzy gałęzi i spojrzała na podest. Za parą królewską siedziało wielu możnych w pięknych strojach szlacheckich.

Była tak pochłonięta zgadywaniem, który z nich może być Konradem Jezierskim, że przez dłuższą chwilę nie skupiała się na wydarzeniach pod wieżą. Dopiero później dotarło do niej, że burmistrz wygłasza mowę.

– Oskarżona Katarzyna Müller przyznała się na trzecich torturach do łamania szóstego przykazania. Zgorszenie przeciwko Bogu i ludziom prawym ukarane być musi. Oskarżona przyczyniła się także do kradzieży, której dokonano w królewskiej sypialni w kamienicy przy Długim Targu, gdzie od prawie dwóch miesięcy gościł jego królewską mość – Jana III Sobieskiego, króla Polski, oraz jego połówicę – panią naszą – Marię Kazimierę Sobieską. Niechaj ta śmierć będzie przestrogą dla każdego nieuczciwego człowieka. Wyrokiem sądu miejskiego Katarzyna Müller zostaje skazana na śmierć przez powieszenie za łamanie szóstego

przykazania, współudział w kradzieży mienia królewskiego i w zabójstwie bezbronnego sługi królewskiego pilnującego izb najjaśniej nam panującego. *Vivat Rex Johannes III! Vivat Maria Casimira – Regina Poloniae*^[3]!

Ludwika ze zdumieniem obserwowała dalsze wydarzenia. Katarzyna zwiesiła głowę i nie patrzyła na gawiedź, lecz na poranione stopy. Jej twarz nie wyrażała ani bólu, ani żalu. Wyglądała tak, jakby pogodziła się z losem. Ludwice zrobiło się smutno. Czuła, że nie powinna patrzeć, że zaraz nastąpi coś nieodwracalnego, a obraz śmierci zostanie z nią na zawsze. Ciekawość była jednak silniejsza.

Kat doprowadził Katarzynę pod szubienicę, po czym kazał jej wejść na beczkę i założył pętlę na szyję. Dopiero teraz w twarzy skazanej coś pękło. Nieprzytomnie rozejrzała się po tłumie, po czym okropny grymas przeciął jej twarz. Ludwikę zmroził ten widok. Wiedziała, że wykrzywione oblicze zapamięta do końca życia.

Zabiły ratuszowe dzwony. Rozszalały tłum na zmianę obrażał winną i wiwatował na cześć króla. Podniósł się niesłychany rwetes. Niezamożne dziewczki ze wsi wygrażały pięściami w stronę podestu Wieży Więziennej. Niektóre z nich przyniosły nawet widły do gnoju. Wymachiwały nimi, ukazując krzywe szerniałe zęby.

Serce Ludwiki skręciło się z bólu. Wszystko w niej krzyczało, żeby przestać patrzeć, ale nie mogła zamknąć oczu. Kat kopnął beczkę. Ciało Katarzyny zawisło, drżąc w konwulsjach. Ludwika westchnęła oszołomiona, po czym zasłoniła twarz rękami, prawie spadając na ziemię.

Na szczęście nikt jej nie słyszał. Wiwatujący tłum pluł w stronę wiszącego ciała, niektórzy raczyli się wódką. Przekrzykiwano się. Oszołomiony Konrad patrzył na ciżbę. Wcześniej nie przebywał długo w miastach i nie znał zwyczajów prostych ludzi. Nie patrzył w stronę powieszonych, instynktownie unikając obrazu śmierci. Choć widywał

umarłych i konających, a nieraz sam rozpruwał brzuchy czy ścinał głowy, egzekucja przeraziła go. Było to coś innego niż okrucieństwa, do których przywykł. Nikt nie fetował śmierci na placu boju w tak beztroski i ordynarny sposób.

Spojrzał w stronę Zbrojowni, pragnąc gdzieś podziąć oczy i spostrzegł płaczącą dziewczynkę, która schodziła z drzewa. Zatrzymał wzrok na dziecięcej twarzy, szukając w niej podobieństw do Wandy Sobótko. Kształt oczu, nosa, nawet niewyraźne rysy, wszystko przypominało mu łodziankę. Zeskoczył z podestu i podszedł do płaczącego dziecka, bowiem rozczuliły go te podobieństwa i żalosna mina przypominająca mu ostatnie spotkanie z Sobótkówną.

– Czemu płaczesz, panienko? – zapytał.

– To było takie smutne! Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś umierał... jaśnie panie – dodała po chwili, przytomniejąc.

Miała przed sobą nie tyle szlachcica, ile dostojnika dworskiego, więc skłoniła się nisko, ale niezgrabnie. Z zaciekawieniem zerknęła na szablę, a potem na nieznanomego.

Był zdumiewająco piękny. Niedługie loki przypominały węzowisko, opadając z wdziękiem na wygolony kark i boki. Z przodu włosy zasłaniały część skroni, kończyły się przy płytkiej zmarszczce biegnącej przez całe czoło. Dwie równe brwi rozpościerały się nad dużymi bystrymi oczami. Błyszczące źrenice szlachcica patrzyły na Ludwikę z zainteresowaniem. Przez chwilę bała się, czy ma czyste zamiary, ale kucnął przed nią, podając upierścienioną dłonią białą chustę.

– Nie trzeba płakać. Już po wszystkim.

Ludwika z podziwem przyjrzała się ciemnoniebieskiemu sukiennemu żupanowi ze złotymi guzami. Przyjęła chustę, dygając uprzejmie.

– Jaśnie pan taki dobry – westchnęła.

Zaskarbiła sobie jego sympatię, więc uśmiechnął się w odpowiedzi. Poznał, że to wdzięczne i rozumne dziewczę.

– Zatrzymaj chustę, jest twoja.

Wstał, chociaż nie chciał wracać do dworu. W zamyśleniu patrzył na bursztynowe tęczówki, przypominając sobie, że przed jedenastu laty podarował łodziance identyczną chustę. Choć miał ich wiele, od tamtego czasu nikomu ich nie dawał. Ta dziewczynka była jednak tak podobna do Wandy Sobótkówny, że zrobił wyjątek. Przeszło mu przez myśl, że dziecko istotnie jest krwią z krwi Wandy, ale zaraz odgonił podejrzenie.

Gdzie by tam na dalekiej północy, pomyślał gorzko.

Odwrócił się z bólem w duszy. Dosiadł konia podprowadzonego przez koniuszego i oddalił się, nie oglądając za siebie.

Dziewczynka patrzyła za odjeżdżającym szlachcicem i smutek, który wcześniej odczuwała, wrócił ze zdwojoną siłą. Popatrzyła na białą chustę. Delikatny, drogi materiał uciekał spod jej palców. Wyczuła ozdobny haft. Zdumienie odjęło jej dech, gdy ujrzała wyszyte inicjały K. J.

Jak Konrad Jezierski. Ale czy to możliwe, żeby mnie pocieszała tak ważna postać? – myślała.

Tymczasem rozpadało się, więc popędziła do domu, chustę zaś schowała pod sukienką i przysięgła sobie, że pokaże ją matce.

W Szkotach baby wołały właśnie dziatwę na obiad. Gromadki wracały ze wspólnych zabaw, potrącając Ludwikę. Wciąż zabraniano bawić się z córką niewdzięcznego Schulza, więc stare znajomości odeszły w zapomnienie. Nawet córki Modłych i Weissów, które jeszcze wiosną bawiły się z Ludwiką w targowisko, mijały ją bez słowa. Schulzówna wmawiała sobie, że nie obchodzi jej ten chłód, lecz w głębi serca cierpiała. Z chmurą niewesołych myśli wpadła do chaty.

– Gdzie się podziewasz? – zaczął niebezpiecznie ojciec.

– Ganiałam po łące z Modłymi – skłamała gładko Ludwika.

Ojciec był w bojowym nastroju. Od poprzedniego wieczora nie miał w ustach gorzałki. Chodził drażliwy, aż Wanda podała obiad i napitek. Zmierzyła córkę surowym spojrzeniem, kazała jej zmienić sukienkę na suchą i zasiąść do obiadu.

Dni mijały niespokojnie. Wieśniacy naigrywali się z zaginionych pierścieni króla, a widowiskowa śmierć Katarzyny nie zmieniła nastrojów. Proces odbił się szerokim echem w pobliskich wsiach. Powszechnie sądzono, że król obrazi się na Gdańsk i wyjedzie po dożynkach bez rozwiązania spraw rzemieślników. Tak się jednak nie stało. Monarcha wciąż bawił w mieście, choć zbliżał się październik, a wraz z nim nadeszła pora polowań. Pola pustoszały, bociany odfrunęły do ciepłych krajów. Ruch polskich łodzi w porcie malał. Docierały ostatnie szkuty ze zbożem.

Z pierwszym dniem nowego miesiąca Ludwika wyjęła chustę spod halek sukienki. Daniel akurat był w Gdańsku, więc można było spokojnie rozmówić się z matką.

– Matko droga, przy ojcu nie chciałam mówić, ale byłam w mieście, kiedy odbywała się egzekucja.

Obie siedziały przy ławie, którą Daniel pomalował ostatnio na niebiesko. Obskurny kolor, spod którego przebijało drewno, drażnił Wandę, ale nic nie mówiła. Teraz też milczała, zbywając słowa córki. W zamyśleniu patrzyła w niewielkie okienko na dom Obrzychów.

– Podszedł do mnie szlachcic, widziałam go, jak siedział na podeście dla królewskiej świty – kontynuowała Ludwika.

Wanda otrzeźwiała, słysząc słowa córki.

– Jaki szlachcic? – zapytała.

– Nie wiem, matko, bardzo dobry.

– Jak wyglądał?

Pytanie było natarczywe. W oczach matki Ludwika spostrzegła zainteresowanie.

– Bardzo grzeczny, w niebieskim żupanie, patrzył bystro. Za pasem miał szablę.

– Jakie włosy? Jakie oczy? Jakie usta?

Pytania sypały się jedno po drugim. Wanda podniosła się, oparła łokcie o ławę, wpatrując się w Ludwikę.

– Włosy ładne, kręcone i krótkie. Boki i kark wygolone po szlachecku. Strój polski, a oczy? Niebieskie wpadające czasem w szary, a czasem w zielony, zależy jak słońce padało. Usta niewielkie, zgrabne. Nos długi, wąski.

Wanda pobladła, ale wciąż wpatrywała się w córkę.

– Czego chciał od ciebie? – zapytała.

– Bo ja się popłakałam, jak ją powieszono – przyznała niepewnie Ludwika.

W oczach matki zobaczyła niechęć.

– Nie powinnaś płakać nad potępioną duszą. Ona już się w piekle smaży. Gadaj mi tu zaraz, co z tym szlachcicem.

– To był dobry pan. Powiedział, że nie trzeba płakać, jako i ty mówisz, miła matko. Mądrość od niego była i ludzka natura, która biedniejszych bez powodu nie traktuje batem.

Wanda zamyśliła się. Opis pasował do Konrada idealnie, łagodna natura również.

– Ile wiosen mógł liczyć ten dostojny? – zapytała.

– Ot, stary już był. Jakoś ze trzydzieści lub więcej.

– Trzydzieści to nie jest dużo, dzieciaku – odparła Wanda z przekąsem.

Na chwilę obie zamilkły. Słysząc było, jak muchy latają pod sufitem. Gdzieś w oddali muczały krowy. Poza tym było cicho. Izbę przyjemnie gładził wiatr wpadający przez otwarte drzwi do sieni.

Ludwika spostrzegła, jak wielkie wrażenie na matce zrobiła wiadomość o szlachcicu. Wiedziała już teraz na pewno, że Wanda jego wypatruje wieczorami na przyzbie, do niego wzdycha i przez niego zapomina czasem dodać krowom siana. Zmięła w palcach chustę i wreszcie odważyła się pokazać ją matce. Rzuciła nieufnie biały materiał na niebieską ławę.

– Dał mi tę chustę. Powiedział, że mam ją zatrzymać.

Wanda wlepiała spojrzenie w materiał. Jej twarz nagle się zmieniła, wyrażała teraz głęboki ból, jakby ktoś właśnie osmagał bok polanem. Wzięła chustę w drżące dłonie, delikatnie gładząc kciukiem wyszyte inicjały. Jedenaście lat wcześniej dostała taką samą.

– To był chorąży Konrad Jezierski, prawda, matko?

Wanda nie odpowiedziała, ale Ludwika patrzyła na jej zmienioną twarz i słyszała płytki urywany oddech, pierś matki falowała szybko. Wanda zacisnęła zęby. Nieprzytomnie wstała z ławy, zabierając chustę.

Tymczasem od strony miasta szedł wystrojony Daniel. Kilka dni wcześniej nielegalnie sprzedał perłę z królewskiego pierścienia, a za część pieniędzy kupił nowe szaty. Czekał jeszcze tylko na lawendowy kaftan szyty na miarę. Na razie wracał do Szkotów w białej obszytej koronkami bluzce i spodniach sięgających za kolana. Całości stroju dopełniały jedwabne pończochy i trzewiki z klamrami po bokach. Na razie Daniel nie odważył się kupić peruki, czując wstręt do sztucznych włosów. Wyglądał zatem trochę komicznie, lecz mieszkańcy Szkotów patrzyli na niego z zazdrością.

Trzeba kupić konia, pomyślał.

W planach miał powóz, ale wolał nie rzucać się zbytnio w oczy. Nie dość, że każdy spoza miasta mógł donieść władzom, że pracuje w Gdańsku jako wkupiony, to w dodatku pensja, którą otrzymywał jako uczeń, nie pozwoliłaby mu na zbytki. Nagłe chwalenie się bogactwem mogło mu poważnie zaszkodzić.

– A gdzie to taki wystrojony jak magnat idziesz? – zapytał pijany Jan Roznerek.

Nie witał się z sąsiadem od kilku tygodni, ale nagła zmiana stroju Daniela bardzo go zaciekawiła. Nie mógł się powstrzymać.

– Do chaty, a gdzie?

– To teraz będziesz taki strojny wracał z miasta?

– Coś ci nie odpowiada, sąsiedzie? Zazdrość toczy twoje serce jak robak.

Roznerek roześmiał się w odpowiedzi i wyminął Daniela z drwiącą miną. Schulz splunął za nim, przypominając sobie niedawną zniewagę, kiedy sąsiad poszczuł go psem.

Ten pierwszy na mnie doniesie, pomyślał.

W domu zastał Wandę siedzącą przy skrzyni. Nie powitała go, kiedy przyszedł, minę miała nieobecna. Ludwika wyszła z drugiej izby. Nieufnie spojrzała na twarz ojca wyrażającą niechęć.

– Będzie wieczerza?

Ton głosu był ostry. Daniel miał nadzieję, że zrobi na żonie wrażenie. Tymczasem Schulzowa nawet na niego nie spojrzała, za to córka ledwie zerknęła. Znała ojcowską tajemnicę. Nie zaskoczyło jej to, że wydaje pieniądze na bogate stroje.

– Drogi ojcze, czy kaftan też będzie?

– Będzie. Szyją – odpowiedział.

Usiadł przy ławie. Nalał do kubła gorzałki i pijąc, patrzył na Wandę. Wydała mu się brzydka. Siedziała zamyślona, utkwivszy chabrowe oczy w jednym punkcie. Długie jasne włosy spływały niczym wodospad ciężkim warkoczem z ramienia na pierś.

Odchrząknął.

– Na zimę chcę kupić konia i powóz – powiedział.

W końcu zwróciła na niego zmęczone oczy. Przyjrzała się uważnie nowym szatom i stłumiła prychnięcie. Ledwo skryła wyraz pogardy, jednocześnie dopiekając w myślach mężowi. Tak strojny mężczyzna wyglądał w chłopskiej izbie absurdalnie.

– Piękny strój. Kaftan w sieni?

– Mówiłem, że dopiero szyją. Nie słuchałaś, bo jesteś zamyślona. Urok ktoś na ciebie rzucił czy co? Od progu pytam, czy będzie wieczerza.

– Będzie, będzie – zapewniła Wanda.

Zwlokła się ze stołka, by przerzucić do misy kluski.

– Tyle się zarabia w Gdańsku jako uczeń? – zapytała.

Nie była zachwycona nowym wyglądem, lecz zaskoczona.

– Oszczędziłem górę pieniędzy. Poza tym w Gdańsku zarabia się lepiej niż w Szkotach. Od dawna ci mówiłem, że trzeba się przenieść do miasta. Tutaj nic nas nie czeka.

Góra pieniędzy, a dzieciakowi nic nie sprawiłeś, pomyślała Wanda mściwie.

Zduśiła przekleństwo, które cisnęło się jej na usta, i bez słowa rozstawiła gliniane talerze. Od chwili gdy zobaczyła chustę Konrada, nie mogła się na niczym skupić. Zaczęła szczerze nienawidzić męża, wyczuwając, że ma przed nią tajemnice. Teraz była tego pewna. Nawet

oszczędzając, nie zarobiłby tyle, by sprawić sobie najmodniejsze łąchy i kaftan szyty na miarę. Trzeba było opłacić wszystkie podatki i wyżywienie. Na zbytki zostawało niewiele.

Jednak Wanda była zbyt przejęta myślami o Jezierskim, żeby roztrząsać, skąd Daniel zdobył pieniądze. Nie obchodziło jej to, czy pożyczył, czy ukradł. Życie w Szkotach zupełnie przestało ją zajmować. Zaczęła zastanawiać się, czy mogłaby uciec od męża razem z Ludwiką. Na razie żadne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy. Wiedziała tylko tyle, że cierpi, lecz gdzie kończyła się granica udręki, tego nie umiała rozsądzić.

[3] *Vivat Rex Johannes III! Vivat Maria Casimira – Regina Poloniae!* (łac.) – Niech żyje król Jan III! Niech żyje Maria Kazimiera – królowa Polski!

XV



Ulewne deszcze przetaczały się nad Rzeczpospolitą. Trakty topiły się w bagnistym piachu, więc dalekie wędrowki ustały. Nieliczne powozy przejeżdżające przez Stare Szkoty w kierunku Gdańska zapadały się w muł. Mieszkańcy pomagali wypychać je na ubity grunt.

Daniel chodził w nowym stroju dumny niczym paw. Umówił się na spotkanie z podupadającą na zdrowiu Barbarą Schwarz, która przeżywała załamanie. Jej mąż, choć przytomny, nie wstawał z łoża. Jadł, rozmawiał i kochał żonę, ale sztywne nogi nie potrafiły unieść ciała. Schwarzom groziła sprzedaż podmiejskiego dworku, bo pieniądze topniały.

Barbara przyjęła Daniela w salonie. Przyciemniona izba osłonięta ciężkimi kurdybanami sprawiała przykre wrażenie. W pokoju stały duże skrzynie i dębowy kredens ze srebrnymi naczyniami. Za szybą widać było kolekcję niderlandzkich kafli. Całości dopełniała biblioteczka i przepiękny stojący zegar wahadłowy, chluba domu Schwarzów. W kącie ustawiono zgrabne fotele o malowanych na złoto poręczach. Między nimi stał lekki stolik.

– Pięknie tu – wydusił Daniel.

Przywitał się z panią domu i teraz oglądał z zachwytem pomieszczenie. Spojrzał na swoje stopy. Przyjemnie drapał je szorstki szeroki dywan.

– To tureckie dzieło ręcznie tkane na zamówienie męża – powiedziała Barbara.

Patrzyła z zaciekawieniem na przybysza. Nie rozpoznała w nim mężczyzny, który kilka tygodni wcześniej proponował jej pomoc.

– Proszę usiąść, szanowny panie dobrodzieju.

Wskazała zgrabną dłonią na fotel. Sama zajęła drugi.

Daniel popatrzył na nią. Wydawała mu się ładniejsza niż wcześniej, choć jej oczy były teraz pełne zawodu. Przebijał przez nie blask dawno już zapomnianej radości. Resztę skrywał powściągliwy grymas na upudrowanej twarzy. Trudno było odgadnąć, co Barbara myśli o spotkaniu. Dość, że w chwili ciszy nieznacznie przyglądała loki, po czym zaczęła bezwiednie bawić się długim złotym kolczykiem zwisającym z lewego ucha. Oparła łokieć na poręczu fotela i ukradkiem zerknęła na gościa.

– Jak sobie miła pani radzisz? Cała służba na głowie, wydatki na pewno duże... To trudne zadanie, żeby we wszystkim się odnaleźć, w nikim nie znajdując pociechy – zaczął Daniel niepewnie.

Musiał być ostrożny. Barbara potrafiła urazić, co odczuł na własnej skórze.

– Proszę się łaskawie przypomnieć. Wybacz, panie, tę niezręczność, nie wiem o szanownym panu dobrodzieju zbyt wiele.

Daniel wyczuł, że Schwarzwowa jest powściągliwa. Jego zadanie polegało na powolnym zdobywaniu jej zaufania. Plan mógł się powieść tylko dzięki cierpliwości, z której Schulz nie słynął.

– Imię i nazwisko już, piękna pani, znasz. Na co dzień jestem czeladnikiem w zakładzie Johanna Schmidta. Od niedawna zajmuje mnie też wolny handel.

Nakłamałem jak z nut, a i tak nie zrobiło to na niej wrażenia, pomyślał Daniel, lustrując twarz gospodyni.

Barbara popatrzyła na niego z niechęcią, ale bogaty strój musiał ją zastanowić.

– Czy to kaftan szyty na miarę u Barnowskiego?

– Tak, pani.

– Chyba nie stać na niego kogoś, kto przyjmuje pensję czeladnika?

– Nie, pani. Wspominałem jednak o handlu.

Starał się nie przekombinować i udawać człowieka z wyżyn społecznych. Barbara zerknęła na niego niepewnie, wyczuwając fałsz. Nagle zapytała o coś po francusku. Zmieszał się, bo niczego nie rozumiał.

– Pytałam, czy napiłbyś się czegoś, szanowny panie dobrodzieju.

– Pokornie dziękuję, pani.

Zdradziła go nieznajomość francuskiego. Uznał zatem, że Barbara, po sprawdzeniu z kim ma do czynienia, rychło zakończy spotkanie. O dziwo, podtrzymała rozmowę, choć jej nieprzyjemna natarczywość zabijała pewność siebie Daniela.

– Czy malarz Daniel Schultz to pana krewny? Z fizjonomii niepodobny.

– Nie, pani. Znakomity malarz to Schultz, a ja jestem Schulz, bez t w nazwisku.

Dlaczego ona jeszcze w ogóle ze mną gada? – pytał siebie w duchu.

Barbarę trudno było rozgryźć. Prowadziła rozmowę uprzejmie, chłodno i bez większego zainteresowania, choć ze skrywaną zaciekleścią. Zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy warto dalej prowadzić dyskusję z tajemniczym gościem. Przez chwilę ciężka cisza zaległa w powietrzu. Ostatecznie nie wyprosiła Schulza, pomimo zastrzeżeń, jakie miała.

– Chciałbym wspomóc panią dobrodziejkę. Tak piękna niewiasta nie powinna cierpieć. Czyż niewiadomy los człowieczy nie jest wystarczająco bolesny? Po co odtrącać pomocną dłoń?

Był dumny z tych górnołotnych pytań, które przygotował przed rozmową. Jako chłop słusznie rozumował, że patrycjat posługuje się innym językiem, na uwadze mając różne dziwaczne tematy, pozaziemskie, wieśniakom nieznane. Postanowił wspiać się na wyżyny intelektu i poprowadzić rozmowę właściwymi torami, mimo widocznych niedostatków.

Barbara chwyciła poręcze fotela obiema rękami, aż zbieleły jej kostki. Przymknęła oczy z bólem, ale wnet otworzyła je szeroko, szybko wstała i podeszła do drzwi. Zamknęła je delikatnie, ale stanowczo. Kiedy wróciła na miejsce, Daniel spostrzegł, jak w ciągu chwili zmieniło się jej oblicze. Zmarszczone brwi rysowały się dwiema chmurnymi kreskami nad zapadłymi oczami.

– Jestem nieszczęśliwa – chlipnęła nagle.

Bez zastanowienia wyjął jedwabną chustkę i podał ją Barbarze. Otarła kąciaki oczu, dysząc przy tym szybko.

– Szanowny panie dobrodzieju, niczego nie rozumiesz. Przecież ja jestem skończona! Trzeba opłacić służbę, zadbać o dworek, który mamy koło Migowa, a resztę dać na wykształcenie dzieci i utrzymanie. Za co zapłacę podatki, skoro Rudolf nawet nie wstaje z łoża? Muszę zapewnić służkom byt, opłacić kucharki. Niedługo zacznie mi znikać służba. Pójdą stąd precz, bo już plotą za moimi plecami, że nie będę mogła ich opłacić. Najstarszego syna mam w Królewcu, tam się uczy. Jak będę mu pieniądze posyłać? A tak chciał zwiedzać Europę, podróżować, pojechać do Francji! Cały Boży świat stoi otworem przed młodymi. Mam ich tego pozbawić?! Dobrej partii nie znajdę dla wszystkich sama, na sprawach rachunkowych się nie znam. Od czasu gdy Rudolfa kopnął ten piekielny koń, nie mam spokoju! Codziennie te same zmartwienia, a Rudolf tylko podpisuje jakieś akta i coraz bardziej się martwi. Niedługo chyba będziemy musieli dworek

sprzedać. Ludzie pomagają, ale co to za pomoc, ile tak może trwać? Nawet dobrodzieje zaniechali, a Rudolf przykuty do łoża wpływy w mieście traci. Jest przecież mistrzem cechu, sprawne ciało to rzecz podstawowa. A tymczasem on też władność w rękach traci, czasem nawet usiąść nie może. Co dopiero mówić o wstawaniu!

Łzy płynęły teraz rzęsiście. Barbara coraz bardziej odsłaniała się, aż w końcu dobrnęła do ostatniego zdania i niespodziewanie wybuchła spazmatycznym płaczem.

Nie na taki efekt liczył Schulz. Zaniemówił. Próbował jedynie niezgrabnie pocieszać Barbarę. Pewność siebie przeszła szybko w onieśmienie. Siedział więc w fotelu sztywno, fantazjując o tym, by stać się niewidzialnym.

– Proszę wybaczyć – wyszeptała kobieta.

Ukryła twarz w upierścienionych dłoniach.

– Nic jeszcze nie jest przesądzone, proszę nie wylewać łez z nadobnych oczu. Zbyt piękne są, by wyrażały żal. Zapewne jest szansa na to, że szanowny pan małżonek wstanie.

Te dziwaczne, ale zgrabne połączenia słów zdumiewały wypowiadającego. Należało przyznać, że zdolność erudycji sprytnego chłopa dorównywała okrucieństwu.

– On nie wstanie, nogi ma sztywne. Dawno nie widziałam takiego kaleki. Bóg mu siły poskąpił.

– Łaskawa pani chce powiedzieć, że małżonek stał się ciężarem – dopowiedział Daniel.

Wstrzymał oddech i uważnie obserwował reakcję Barbary. Najpierw ukryła twarz w dłoniach, ale inaczej, jakby chciała zasłonić się przed własnymi myślami. Potem nieśmiało spojrzała spomiędzy palców na gościa.

- Tak – szepnęła.
- Jeśli mógłbym jakoś pomóc... – zaczął.
- Przecież go nie...

Nie dokończyła. Powoli odjęła ręce od twarzy, patrząc na Daniela nieustępliwie. Oczy dopowiadały za nią. Spod goryczy przebijała się wyraźna iskra ponurej determinacji.

– Zrobiłbyś to, panie?

– Chcę tylko pomóc, a przy okazji wziąć cię, pani dobrodziejko, pod moją protekcję. Bez męża potrzeba pieniędzy. Dobrze wiem o wszystkich wydatkach, wystawne życie dużo kosztuje. Trzeba podtrzymywać przyjaźnie, dbać o więzi. Chyba nie będziesz się, piękna pani, zadawała z byle kim? Moźni przyjaciele lubią tylko tych, którym fortuna sprzyja. Ileż osób już się od was, Schwarzów, odwróciło?

Wypowiadał na głos jej własne myśli, a Barbara podążała za tą szczerością nieznacznymi skinieniami głowy. W końcu wejrzawszy w oblicze gościa, poznała, że ma do czynienia z osobą bezwzględną, lecz ambitną.

– Szanowny panie dobrodzieju, chcesz to zrobić, żeby zostać moim mężem. Wszystko rozumiem, wtedy droga do uzyskania mistrza masełkowego będzie prosta. Zdobędzie pan uznanie i pozycję.

Przejrzała plan Daniela. Gdyby pozbył się Rudolfa i ożenił z wdową po mistrzu, zdobyłby jego tytuł bardzo szybko. Jedyne, czego nie wiedziała, to fakt, że Schulz był na razie jedynie uczniem, a nie czeladnikiem. Przekupił jednak Schmidta, by dokładnie za rok zdobyć tytuł i starać się o tytuł mistrza po mężu wdowy. Wszystko zsynchronizował, wyliczył idealnie. Pozostawało tylko kilka przeszkód, o których na razie wolał nie myśleć.

– Ale przecież jesteś człowiekiem możnym. Zapewne mógłbyś się, panie dobrodzieju, wkupić do któregoś cechu jako wolny mistrz. Na co ja

jestem potrzebna?

– Proszę nie zaprzętać sobie pięknej główki niepotrzebnymi sprawami.

Wymijająca odpowiedź Daniela zastanowiła Barbarę. Zmrużyła oczy, w głębi serca przeczuwając, że wyszłaby za mąż za człowieka bez sumienia.

– Do tego czasu będziesz pod moją protekcją, piękna pani. Będę cię wspomagał pieniądze. W rok odbuduje się wpływy w mieście. A kiedy minie okres żałoby, piękna pani dobrodziejko, zostaniesz moją żoną. Tylko trzeba się zgodzić. Nie odrzucaj tej propozycji, pani. Mąż przecież nagle nie ozdrowieje, a utrzymanie kosztuje. Znam się na wszystkich sprawach, niczego nie zaniedbam.

– Szanowny panie dobrodzieju, składasz mi taką propozycję jako pierwszy. Inni się łudzą, że Rudolf znowu zacznie chodzić. Ja jednak wiem, że to niemożliwe. Bóg dał, Bóg wziął. Czekam na cud od miesiący.

– Mogę skrócić cierpienie szanownego małżonka. Żeby to się udało, musisz mnie, pani, wpuścić pod osłoną nocy. Służba niech śpi na górze zamknięta na klucz. Nikt nie może tego zobaczyć.

Będę miał od razu piękną kamienicę w środku miasta, nową żonę, mistrzostwo cechu i dworek koło Migowa, myślał zadowolony Daniel, odrzucając wyrzuty sumienia i myśli, że w Szkotach czekają na niego żona i córka. Na razie wolał nie zastanawiać się nad tym, lecz przeć do przodu. Całą siłę wkładał w przekonanie Barbary. Nie chciał zbytnio naciskać, lecz metodycznie łamać opór.

– Dam ci, szanowny panie, odpowiedź przy następnym spotkaniu – powiedziała zmieszana Barbara.

– Proszę, nie namyślaj się zbyt długo, piękna pani. Każda decyzja ma wagę.

Pożegnali się w izbie, by służba nie zobaczyła ich razem. Daniel miał mieszane uczucia. Z jednej strony cieszył się, że Barbara nie posłała go w diabły; z drugiej zaś martwił, czy zgodzi się na propozycję. Spotkanie nieco ją wystraszyło.

Przyszedł oczekiwany list od Katarzyny Jezierskiej skropiony piżmowym zapachem. Konrad czytał pochyłe pismo żony i czuł, jakby była przy nim. Upajał się świeżą wonią, nie posiadając ze szczęścia.

Katarzyna pisała, że Boże plany układają się po myśli rodziny. Sprawnie radzi sobie z obowiązkami, przydziela zadania służbie. Wyglądało na to, że wszystkie folwarki są doglądane, a dzieci wyczekują powrotu ojca.

Lecz bezsenne noce są najgorsze. Kiedy nie ma tu Ciebie, miły, tulę poduszki, ze zgryzotą przypominając sobie, że jesteś w dalekim Gdańsku. Oczekuję wieści od Ciebie, tęsknię okrutnie.

Tak kończył się list. Konrad westchnął głęboko, czując, jak wzruszenie chwyta go za gardło. Chciał czym prędzej siodłać konia i pędzić przez łąki na spotkanie z żoną. Choć nie wspominała, by źle się czuła, wiedział, jak delikatne ma zdrowie. Martwił się każdym przeziębieniem czy bólem. Ostatniej zimy choroba mocno siadła na jej płucach i dusiła przez dwa miesiące aż do ostrych ataków bezdechu.

Konrad nie pokazywał po sobie, że stać go na czułość. Wobec podwładnych był łagodny, lecz stanowczy, tkliwość nie leżała w jego naturze. Pozwalał sobie na nią jedynie podczas wieczorów spędzanych z żoną. Owego samotnego dnia wiele by oddał, by móc przytulić się do miękkiego kochanego ciała.

Wyglądził list dłonią, a potem złożył na czworo i schował do szuflady. Gniew zaszumił mu w głowie – nie chciał dłużej bawić w mieście. Na dodatek władze Gdańska dały mu do zrozumienia, że atakiem na Holtena naraził się całej Radzie, Ławie i Trzeciemu Ordynkowi. Sprawy gdańskie nadal szły opornie, tak że obie strony zaczynały powoli godzić się na ustępstwa. Wyglądało na to, że i król, i rzemieślnicy muszą liczyć się z porażką. Sobieski pracował nad tym, by pogodzić władze miasta i cechy, ale kluczowe postulaty rozbijały się o mur nieporozumień. Król był coraz bardziej rozdrażniony. Polityka gdańska tkwiła mu pod skórą jak drzazga. Sojusz ze Szwedami wciąż nie przynosił efektów.

Konrad już kilka razy prosił Jana III o pozwolenie na tymczasowy wyjazd z Gdańska. Chciał opuścić Długi Targ i przenieść się poza miasto. Wiedział jednak, że monarcha tak łatwo nie odpuści, chciał zatrzymać swą prawą rękę w mieście.

Wanda źle sypiała. Leżała obok Daniela, zastanawiając się, jak długo potrwa nieznośny stan utrzymujący się od miesięcy. Cieszyło ją tylko jedno – mąż widocznie postanowił pójść po rozum do głowy i porozumieć się z sąsiadami. Nagle przestał wyrzucać im, że pracują jako partacze. Daniel po prostu wiedział, że tylko utrzymanie dobrych stosunków może go uchronić przed donosem. Gdyby władze Gdańska dowiedziały się, że wielki mistrz od szerokiego sukna zatrudnił nielegalnego wyrobnika ze Starych Szkotów, cały plan niechybnie by się posypał.

Johann nie pisał nikomu ani słowa o tym, że został przekupiony, a w jego zakładzie pracuje nielegalnie partacz. Schulz schował więc dumę do kieszeni i postanowił odnowić sąsiedzkie stosunki. Poszedł nawet do karczmy, by napić się tamtejszego piwa. Chwalił je głośno, by wszyscy

chłopi słyszeli, i kłamał, jak sprzykrzyło mu się miejskie życie. Wieśniacy powoli odpuszczali, widząc zmianę, a gdy jeszcze Daniel postawił im po kuflu gorzałki, zaniechali zwady. Większość chłopów miała zresztą powiązania z Gdańskiem, wszystkie półlegalne lub zakazane. Za jednym donosem poszłyby kolejne. Dlatego w Szkotach każda rodzina potrzebowała protekcji pozostałych mieszkańców. Tylko Roznerek nie chciał odpuścić. Kiedy widział Daniela, udawał ujadającego psa, a Schulz pukał się palcem w czoło, dając sąsiadowi do zrozumienia, że jest szalony.

Wanda rozmyślała nad sąsiedzkimi stosunkami przez kilka godzin, aż wreszcie dźwignęła się z łoża, cała w złości na bezsenność. Postanowiła zaczerpnąć powietrza. Otulona lnianym pledem wyszła na przyzbę i z ulgą wciągnęła w nozdrza ostry zapach nadchodzącej zimy. Zmarzły jej stopy, więc schowała je, siadając po turecku. Patrzyła, jak chmury suną po czarnym sklepieniu i cieszyła się, że są takie noce. Październikowy rzeński moment, kiedy świat zdaje się ją przytulać, a księżyc – blady strażnik nieba – emanuje spokojem, oświetlając ciemną próżnię.

Siedziała w ciemności, łowiąc szepty nocy. Wiatr zaganiał na podwórze liście, a trakt ścielił się soczystą zielenią, złotem i miedzią. Wieś spała. Odpoczywał też zapewne chorąży koronny. Wanda zamyśliła się na chwilę, rozważając, czy na pewno nie ma rozwiązania sytuacji, w której tkwiła.

Naraz wyłowiła szelest z tyłu domu. Znieruchomiała. Obawiała się, że wilki podeszły pod dom i już miała uciec, gdy dostrzegła dwie postaci wynurzające się z ciemności. Szły niespiesznie pod dom Obrzychów. Wanda poznała Mariannę i Macieja. Zakochani szli obok siebie, uśmiechając się promiennie. Potajemna schadzka rozczuliła serce Wandy. Obserwowała parę w milczeniu.

Maciej nachylił się ku Mariannie i pocałował ją czule. Przez moment wydawało się, że dziewczyna nie odda pocałunku, ale onieśmielenie trwało

tylko chwilę. Później oboje utonęli w miłosnym uścisku, żegnając się jeszcze przez moment. Maciej szeptał coś czule, nie zwracając uwagi na to, że jego towarzyszka go nie słyszy. Spijała z jego warg niektóre słowa i cieszyła się z tego, co zrozumiała. Układała usta podobnie, czując, że to, co on mówi głośno, jej przechodzi przez gardło w ciszy.

Gdy się ostatecznie rozstali i wrócili po cichu każde do swojej chaty, Wanda wstała, prostując skostniałe nogi. Nocne powietrze nasyciło jej zmysły, ale najbardziej cieszyła się z zakazanej schadzki dwojga zakochanych. Poszła spać w lepszym humorze, przypominając sobie uczucie, które kwitnie w sercu po błogich chwilach spędzonych z ukochanym.

XVI



Łudwika patrzyła, jak ojciec szykuje się do wyjścia. Tego dnia wyglądał niezwykle. Wdział najlepsze szaty, w tym nowy frak szyty u mistrza Barnowskiego.

– Ojczy drogi, dzisiaj nie do zakładu?

– Do zakładu, do zakładu. Nie interesuj się, ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Daniel do pracy ubierał się zazwyczaj skromnie. Nie chciał zniszczyć czy ubrudzić szat. Jednak dzisiaj wieczorem był umówiony z Barbarą. Tego dnia miał zabić jej męża.

Starał się nie rozmyślać o tym zbyt wiele. Obawy kładły się cieniem na jego myślach, lecz umysł wciąż patrzył na plan trzeźwo. Należało przecież poświęcić się dla nowego życia. Tak uważał. Bez względu na cenę zamierzał dopiąć swego i ożenić się z Barbarą. Wmawiał sobie, że mordując Rudolfa, uwolni Schwarzwagę od cierpienia.

Przez cały dzień nie mógł się skupić na pracy. Johann ciskał z oczu błyskawice, ale nie pisnął ni słowa. Odkąd zrozumiał, że ma do czynienia z ambitnym i bezwzględny, a przede wszystkim możliwym mężem, zaniechał upokarzania go. Tracił nad sobą panowanie jedynie wtedy, gdy podejrzewał kontrolę władz w zakładzie. Strach z powodu przyjęcia

partacza ze wsi rozlewał się falami po ciele mistrza, powodując dreszcze i mdłości.

– Idę zobaczyć nowy zamiejski folusz. Pewnie i tak nie dają sobie rady ci partacze. Pisałem do Rady, że zamiejscy używają wełny zdechłych owiec, ale nikt nie słucha. Posłali po wizytację, żeby sprawdzono, a tamci pracują dalej. Jakaś zaraza nas w końcu pochłonie...

Johann nie dokończył, przypominając sobie, że jego uczeń też jest partaczem. Jednak Daniel nawet nie mruknął w odpowiedzi. Drżącymi rękoma dzielił materiał na duże płaty.

– Czy wszystko dobrze? Jesteś dzisiaj blady jak duch.

– Dobrze.

Lakoniczna odpowiedź nie przekonałaby nikogo. Jednak Schmidt uznał, że i tak ma zbyt wiele problemów, aby drążyć, więc nie dopytywał.

– Cóż... *au revoir*^[4].

W zakładzie Schulz często słyszał francuski. Próbował zapamiętywać niektóre słowa, przypuszczając, że na salonach powinien wykazać się znajomością języka. Na razie szło mu opornie.

Nastał wieczór. Daniel wypił już dwa dzbany piwa, lecz wciąż czuł się zbyt trzeźwy, by iść do Barbary. Nie chciał pokazać się jej od złej strony, ale zadanie, którego się podjął, przerastało go. Przypomniawszy sobie królewskiego sługę zimnego jak lód. Nieruchome oczy utkwione w sufit zmatowiła śmierć z jego rąk.

Siedział w karczmie dalej, nawet fantazjował o nowym zdarzeniu, na przykład bójce. Wtedy mógłby się wymówić i zaaranżować spotkanie innym razem. Wnet jednak stawiał siebie do pionu, nazywając tchórzem. Zaszedł już daleko. Mógł wybrać – brnąć dalej w kłamstwa i grzechy albo

zostawić temat Barbary. Żyłby z rodziną spokojnie, później najwyżej sprzedałby pierścienie, by przenieść się do miasta. Po roku miałby status czeladnika.

Nie, nie. Za daleko zaszedłem, by się poddać. Te głupie myśli przychodzą mi do głowy, ponieważ się waham. Trzeba przestać dumać i iść do Barbary, pomyślał.

Wstał chwiejnie. Wyszedł z karczmy wprost na ciemną uliczkę. Wytarł w kaftan spocone dłonie, po czym ruszył do kamienicy na Wełniarskiej. Było mu na przemian zimno i gorąco. Choć pocił się obficie ze strachu, na karku i plecach czuł lodowate powietrze przebijające doń nie z zewnątrz, lecz z serca.

Barbara powitała go z kuflem piwa w dłoni. Widocznie czuła to samo, co przyszyły mąż, choć zdenerwowanie okazywała raczej nachalnym śmiechem.

– Czekałam, łaskawy panie. Myślałam, że nie przyjdiesz.

Jej oczy błyszczały fałszywą radością. Zamaszyście zamknęła drzwi za Schulzem, po czym nachyliła się ku niemu, łyskając zębami.

– Śpi – szepnęła.

– Służba zamknięta na górze?

– Tak, wszyscy siedzą pod kluczem.

Daniel westchnął. Spojrzał na obszerny korytarz, zastanawiając się, czy Barbara, nawet razem z kamienicą, jest tego warta. Bogactwo wylewające się z każdego kąta dało mu odpowiedź. Poprowadził Schwarzową do salonu. Posadził ją w fotelu, sam zajął drugi.

– Tylko nie mów, miły panie dobrodzieju, że chcesz się wycofać – zaczęła szorstko Barbara.

– Nie chcę. Ale za to chcę usłyszeć od ciebie, pani, że za rok zostaniesz moją małżonką, a ta kamienica, służba i mistrzostwo po Rudolfie będą

należały do mnie.

– I letni dworek, i przywileje małżeńskie – dokończyła przymilnie Barbara.

Puściła oczko zdumionemu Danielowi.

– Pani dobrodziejko, wypijaś za dużo gorzałki.

Zaśmiała się. Odłożyła kufel i wstała z wdziękiem. Delikatnie opadła na kolana Schulza, przysuwając twarz.

– Zabij go, a będę tylko twoja – szepnęła.

Daniel ujął jej smukłą talię, a drugą rękę poprowadził łagodnie od szyi do wydatnego dekoltu, na który mogły pozwolić sobie tylko ważne damy. Niespiesznie wsunął dłoń pod suknię, obserwując, jak pieśczoła przymyka Schwarzowej powieki i wyzwała głęboki oddech. Wyczuł dorodną pierś, chwycił ją więc i wy dostał spod ubrania. Barbara zaczerwieniła się, ale przyzwoliła Schulzowi na więcej. Przez chwilę trzymał brodawkę w zębach, liżąc nabrzmiąły sutek i z pewnością nie zakończyłby pieśczoła, ale nagle kobieta nachyliła się ku niemu, muskając wargami jego ucho.

– Jeszcze nie – szepnęła niespodziewanie.

Wstała, odpychając jego ręce. Ukryła pierś pod sukienką, sięgnęła po kufel i roześmiała się prawie bezgłośnie. Widząc ją, wygiętą w pijackiej radości, Daniel westchnął ciężko, powstrzymując żądzę. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i uklonił się. Opuścił salon, zostawiając Schwarzową samą z myślami.

Przez chwilę stał pod drzwiami sypialni. Nie miał śmiałości wejść. Rozmyślał, co powie, jeśli zastanie przytomnego, choć zaspanego Rudolfa. Zniknęła przebojowość, dopadły go wyrzuty sumienia. Znajome, jakże niemiłe uczucie kłuło, celnie trafiając w trzewia.

Należało działać, ale Daniel nie miał na to ochoty. Twarz martwego królewskiego sługi migąła mu przed oczami. Najgorsza była jednak myśl

o tym, że to, co zaraz uczyni, pogłębi obłąd, zepchnie duszę w jeszcze ciemniejsze odmęty piekieł.

Księżyc oświetlał korytarz bladym blaskiem. Zrezygnowany Daniel oparł czoło o drzwi. Próbował dodać sobie animuszu, ale gorzałka powoli ulatywała mu z głowy, wypełniając umysł bezlitosnymi faktami. Był potworem. Wiedział o tym od czasu włamania, lecz stale to wypierał. W trudnej chwili, stojąc w korytarzu Schwarzów, stawiał się po kolei w charakterze sędziego, oskarżyciela i własnego obrońcy. Cóż miał na usprawiedliwienie? Jedyne misterny plan, który już raz poszedł źle i doprowadził do śmierci dwóch osób. Wspomniał Katarzynę. Ją też miał na sumieniu.

I po co to wszystko? Żeby żyć wygodniej? – rozmyślał.

Otrząsnął się z ponurych wizji. Od początku chciał wieść godne życie, pełne zbytków i szacownych znajomek. Dążył do tego, kiedy został wolnym człowiekiem, a potem nie porzucił marzeń, żeniąc się z Wandą. Teraz mógł osiągnąć wszystko, czego mu brakowało. Należało tylko postępować zgodnie z planem, a więc zamordować Schwarza, a potem zdobyć jego żonę.

Kilka głębokich wdechów przywróciło Danielowi trzeźwość umysłu. Otworzył oczy, wyprostował się i lekko pchnął drzwi sypialni. Mrok spowijał duże pomieszczenie, więc ledwo było widać kontury łóża, szafy, skrzyń i ławy. Schulz podkradł się do śpiącego Ruffa. Tarcza księżyca oświetlała jego poważną twarz, na której widoczny był grymas zmartwienia.

Schwarz miał duże oczy osłonięte długimi ciemnymi rzęsami. Gruby nos nadawał obliczu zawadiackiego wyrazu, ale poważne delikatne usta łagodziły wrażenie i czyniły rysy szlachetnymi. Rudolf leżał wśród poduszek. Daniel delikatnie chwycił jedną z nich, z lękiem patrząc na

śpiącego. Serce załomotało mu w piersi, a szczęki zacisnęły się pod wpływem nieokreślonego wzruszenia. Było to nowe, niezwykle. Schulz nigdy wcześniej nie doświadczył tak mocnego przeczucia, że to, co zaraz uczyni, jest haniebne. Ścisnął poduszkę w dłoniach, do oczu napłynęły mu łzy. Westchnął cicho, żeby uspokoić skołatane nerwy, po czym z całej siły przycisnął poduszkę do twarzy Rudolfa.

Poczuł nacisk – znak, że gospodarz się obudził. Rozszalałe ręce poczęły szukać oprawcy, chwytać go za ramiona, szarpać i bić. Na niewiele się to zdało, bo Rudolf był osłabiony, więc Daniel nie czuł ciosów mocniej od porządnego trzepnięcia zwiniętą szmatką. W końcu panika dodała sił Schwarzowi i ostatkiem sił wbił paznokcie w przedramię oprawcy. Na chwilę ostry ból wstrząsnął Danielem, lecz na nic się zdał – Schulz pewnie naciskał. Poduszka ześlizgiwała się z miotanej wstrząsami głowy.

Daniel dusił Schwarza i płakał. Po jego twarzy spływały łzy człowieka zhańbionego przez samego siebie. Patrzył, jak Rudolf wygina ciało, ale ramiona wyrzucane w górę słabną. Choć nie chciał się poddać i wola walki nie malała, w końcu przestał się bronić, wstrząsnęły nim ostatnie drgawki. Schwarz dokonał żywota.

Jeszcze przez chwilę Daniel trzymał poduszkę na twarzy Rudolfa, nie wierząc, że stało się to, co planował, a odwrócić biegu wydarzeń już nie sposób. Po chwili, rozumiejąc, że popełnił kolejne morderstwo, zdjął poduszkę z bladej twarzy człowieka, który chwilę wcześniej spał spokojnie. Po raz drugi porwał się na bezbronego i dlatego otwierały się przed nim, jeszcze za życia, wrota piekieł. Sumienie wypalało dziurę w skołatanym umyśle. Rudolf leżał bez życia w łożu, a nad nim zwisał baldachim. Schulz zawył dziko, padając obok łoża. Ujął bezwładną rękę Rudolfa do ust, ucałował ją mokrymi od łez wargami i począł szeptać prosić umarłego

o wybaczenie. Wówczas zrozumiał, że już nic nie będzie w stanie dać mu szczęścia.

Usłyszał głośny oddech Barbary. Zakradła się do sypialni, ale nie miała odwagi podejść bliżej.

– Czy już koniec? – zapytała.

Widocznie wypła sporo gorzałki, bo mówiła niewyraźnie i zbyt głośno. Daniel spojrzał na nią, nie wstydząc się łez. To wystarczyło kobiecie. Najpierw cofnęła się ze zdziwieniem o kilka kroków, ale zaraz potem podeszła do Schulza, potykając się lekko.

– Chodźmy stąd, chodźmy.

Nie patrzyła na zmarłego męża. Ujęła Daniela za ramiona, a gdy zgnębiony wstał, pociągnęła go w stronę korytarza. Dopiero tam, zamknawszy drzwi od sypialni, zaczęła tulić się do Schulza i pocieszać.

– Zobaczysz, najmilszy, teraz będziemy razem, a ty zostaniesz mistrzem. Tylko rok dzieli nas od szczęścia. To tylko rok żałoby. Dziękuję! Dziękuję!

Powtarzała nieprzytomnie te same słowa, potrząsała Daniелеm i całowała mokre policzki. Miała nadzieję, że się do niej odezwie, pocieszy ją, ale milczał, patrząc w dal. Nie przytulał kobiety, ale też nie odtrącał. Uchyłał się tylko nieznacznie przed pocałunkami, wciąż nie dowierzając, że zamysł stał się faktem.

Dopiero po czasie, gdy szedł ciemną drogą w stronę Szkotów, nie dbając o to, czy go napadną hultaje, wstrząsnęła nim najohydniejsza myśl, tak przerażająca, że odgonił ją nerwowym ruchem głowy. Nie było to bowiem jego ostatnie morderstwo. Pozostawała jeszcze Wanda.

[4] *Au revoir* (fr.) – do widzenia.

XVII



Październik upływał dworskiej świcie na uchylaniu się od niewygodnych pytań rzemieślników. Nikt nie wiedział, kiedy król postanowi zająć się ich sprawami, choć mijały kolejne tygodnie. Sobieski czuł, że ma związane ręce, a władze Gdańska coraz rzadziej szły na ustępstwa. Rajcy wyczuli, że królowi nie zależy na załatwieniu sprawy cechów, a poza tym stronnictwo dworskie dało Radzie znak, że monarcha oczekuje pieniężnego upominku za swoje starania. Dzięki temu władze łatwo mogły zakończyć spór. Nieświadomi tych działań rzemieślnicy, dwoili się i troili, by zrobić dobre wrażenie na Sobieskim. Nie mieli jednak tak wielkich pieniędzy, jak rajcy, którzy dodatkowo wciąż starali się obrzydzić królowi cechy.

Chwile triumfu przeżyli w październiku. Sobieski kazał tradycyjnie pobrać od mieszkańców pogłównę. Zrobiło się zamieszanie. Gdańszczanie mieli nadzieję, że to tylko nieporozumienie.

– Jakże to? W Gdańsku nie zbiera się pogłównego od każdego mieszkańca. Jaką król jegomość wydał dyspozycję?

Podobne pytania stawiali wszyscy, w tym kupcy i rzemieślnicy. Pogłównę w tym mieście zbierano z kas miejskich, nie zaprzatając mieszkańców problemem. Tu i ówdzie słyhać było głosy sprzeciwu, ale Rada przekonywała, że właśnie taką dyspozycję wydał polski władca.

– Pogłównie ma zostać zebrane od każdego mieszkańca. Podatek jest obowiązkowy, trzeba zapłacić.

Słusznie nie dowierzano Radzie, gdyż Sobieski ani myślał pobierać opłaty inaczej, niż nakazywał gdański zwyczaj. Władze miejskie udawały, że o tym nie wiedzą, a rajcy zacierali ręce na samą myśl o tym, jaki konflikt powstanie wkrótce między zbuntowanymi mieszczanami a monarchą.

– Niemożliwe, żeby miłościwy król zażądał pobierania pogłównego od łba! Przecież to nedorzeczne. Nie można ufać Radzie ani ordynkom. Trzeba wysłać lud do króla, niech sam powie, czy naprawdę takiego podatku od nas oczekuje. Inaczej nie płacimy!

Wywołano starszych cechowych i poproszono o audiencję. Tymczasem sprytna Rada ubiegła cechy, oznajmiając królowi, że rzemieślnicy żądają cofnięcia decyzji o zebraniu pogłównego. Król wyprosił wszystkich, po czym wpadł w szal. Poleciał, by zostawiono go w spokoju i przegnano precz starszych cechowych czekających na wizytę. Rzemieślnicy odeszli jak niepyszni, zastanawiając się, dlaczego król – wcześniej im przychylny – teraz wygania ich bez słowa.

Tymczasem Sobieski przywołał Konrada.

– To się nie uda – oznajmił słabym głosem.

Nie patrzył na chorążego. Stał pochylony nad ławą, miotany przecuciem, że sytuacja jest beznadziejna.

– Nie uda się porozumieć z Trzecim Ordynkiem, to radykały. Rzemieślnicy pchają się z żądaniami przeciw królewskiemu majestatowi. Oni żądają! Żądają od króla zmiany decyzji! Zbyt łagodnie się z nimi obchodziłem. Co to za miasto, gdzie zwykły czeladnik może żądać od króla zmiany decyzji? Co to za miasto, gdzie odmawiają płacenia podatku od lat ustalonego?!

Sobieski dźwignął się z ławy i kopnął krzesło, aż trzasnęło o ścianę. Konrad rzadko widział monarchę w takim stanie. Wówczas zwykle milczał, czekając aż gniew przeminie. Teraz jednak odezwał się stanowczo:

– Wasza królewska mość, o żądaniu rzemieślników wiesz od Rady, nie od starszyny cechowej. Jak dalece nieprawdziwe mogą być te nowiny? Rada stara się skłócić cię z ludem. Niechaj twój nieskończony majestat wsłucha się w głos prostego człowieka, a powie ci on, dlaczego nie chce płacić podatku. Sądzę, że jeśli jest powód, z pewnością nie dotyczy ciebie.

Sobieski wysłuchał w milczeniu słów Konrada, lecz nie przyznał mu racji. Był zbyt wzburzony, by myśleć trzeźwo i nagle cały pobyt w Gdańsku wydał mu się odrażający. Zewsząd pojawiały się nowe problemy, a z żadnym nie można się było uporać. Trzeci Ordynek nie zgadzał się na ustępstwa dla miejskich katolików, Szwedzi wciąż zwlekali z atakiem na Prusy, a litewska i polska szlachta zaczynała się burzyć, bo monarchy zbyt długo nie było w Warszawie. Część dworzan spiskowała pod nieobecność króla jeszcze bardziej, zaś nieprzychylni Sobieskiemu Pacowie wygrazali, że wojska szwedzkie nie przejdą przez ich tereny, a sojusz z niedawnym wrogiem to pomysł, na który nie mógł wpaść nikt poza Janem III. Wszystkie sprawy były niepewne.

– Tyle planów z tym miastem wiązałem! A zostało... rozczarowanie. Szczecin atakowany przez Brandenburczyków wkrótce upadnie, a Szwedzi i tak nie ruszą na Prusy. Nawet rzemieślnicy mnie nienawidzą. Przejrzeli moje plany. Domyślają się, że nie pomogę im w najważniejszych sprawach.

Konrad skłonił się i wycofał. Znał Sobieskiego na tyle, by wiedzieć, jak bardzo potrzebuje teraz samotności. Miał jednak mieszane uczucia, więc zaczął układać w głowie wszystkie sprawy gdańskie, by mieć jasny obraz sytuacji. Wkrótce obmyślił, że król powinien zamknąć najważniejsze kwestie i wyjechać, by nie doszło do kolejnych konfliktów; wcześniej

upewniwszy się, że Szwedzi zaatakowali Prusy. Na to się jednak wciąż nie zanosilo.

Mroźne jesienne wieczory dodały odwagi wilkom i dzikim psom. W poszukiwaniu jedzenia podchodziły pod wioski, skąd mieszkańcy przeganiali je widłami. Na niewiele się to zdało, bo odgonione znowu podkładały się, zaglądając przez szpary w płotach.

Daniel wymienił spróchniałe deski, uszczelnił grunt kamieniami i wzmocnił ściany obory. W piątkowe popołudnia najął się nawet do pomocy sąsiadom, dlatego większość zapomniała jego niedawne zniewagi. Tylko Roznerek i Modły wciąż wystawali na trakcie, plotkując o nowej pracy Daniela.

– Jakże on się najął do takiego szaleńca jak Schmidt? Skąd ma na kaftan i modne łąchy? Z pensji uczniaka nie mógł na to odłożyć. Ja tu biduję, ledwo poletko uprawiam, kowalom szkockim pomagam, żeby wyżyć, a ten jaki ważny!

Roznerek spojrzał na Jana Modłego ze skrywaną pogardą. Całe Szkoty wiedziały, że rodzina Modłych żyje skromnie, bo głowa rodziny to leń. Niezaradni życiowo synowie niby pomagali ojcu, a trzy pracowite córki zajmowały się całym gospodarstwem. Pieniądzy z tego nie było. Mimo to Roznerek nie wyjawiał prawdziwych myśli.

– Co racja, to racja. Przecież Schmidt to wariat! Nie przyjmował na nauki nikogo, nawet synów możniejszych. To partacza ze wsi by zatrudnił? I papierów mu nie sprawdził? Przecież to wykracza poza gdańskie prawo, tym by się mógł zainteresować burmistrz.

– E tam, oni w Gdańsku tylko udają, że z nami walczą. Mało takich, co tu wyrabiają produkty albo chodzą do miasta na nielegalny zarobek?

Mnóstwo! Schulz nie jest jedyny. Ale dziwne, że akurat u Schmidta pracuje. Ładnie się musiał ukorzyć.

Te słowa ponownie zirytowały Jana Roznerka. Spojrzał na sąsiada z niesmakiem.

– Jakże to ukorzyć? Takie sprawy nie pokorą się załatwia, tylko grubymi florenami! – Roznerek splunął na trakt ze złością. – Niby Schulzowie tacy bogaci? Gówno, a nie prawda. Ciekawy jestem, jak ten kiep przekupił Schmidta i czym.

Roznerek był bystry. Wiedział, że Schulz musiał skądś zdobyć masę pieniędzy. A skoro je miał, to zapewne pochodziły z nielegalnego źródła. Można było o tym milczeć, ale rozsądniej wykorzystać.

– Schulz, chodź tu!

Ściemniało się, gdy Roznerek stojący z Modłym przywołał Daniela. Sąsiad z niezadowoleniem ściągnął brwi. Podszedł niechętnie, zastanawiając się, co wrogowie mają mu do powiedzenia. Nie obawiał się głupawego Wawrzyna, ale na Jana Roznerka musiał uważać.

– Czego chcecie? Jeśli garniecie się we dwóch do bitki ze mną, to szybko, bo jeszcze kury muszę zagonić do sieni.

Roznerek spojrział na Daniela z ledwo dostrzegalnym podziwem. Dobrze znał Schulza i wiedział, że ma do czynienia z głową gorącą, nieskorą do kompromisów. Należało jednak zrobić wszystko, by sąsiad odpowiedział za wcześniejsze obelgi wobec szkockich chłopów.

– Nie chcemy się z tobą bić, Schulz – zaczął Roznerek.

Cała trójka stała niezdecydowana. Każdy miał w głowie inne myśli, lecz żadna z nich nie była nawet trochę sympatyczna.

– Właśnie żeśmy z Wawrzynem mówili o tym, jaki się teraz możny chłop zrobiłeś. Kaftany lawendowe ci w mieście szyją, pracujesz u tego piekielnika Schmidta. Podobno wolny czas spędzasz, wspierając biedną

Schwarzową. Słyszałem dzisiaj, że jej mąż zmarł, pogrzeb mają zrobić luterański, a ty na to pieniądze wykładasz. I powiedz nam, sąsiedzie, skąd ty na te zbytki mamonę dostałeś? Od Schmidta chyba nie, bo cienki uczeń z ciebie, zresztą mistrz cię nie rozsławia po Gdańsku. Ciekawe dlaczego. Może dlatego, że nielegalnie trzyma w zakładzie podmiejskiego partacza? Czyżby o tym nie wiedział?

Daniel patrzył na Roznerka i krew burzyła się mu w żyłach z gniewnego niepokoju. Bystry sąsiad lustrował twarz Schulza, ze zdumieniem uświadamiając sobie, że słowa robią ogromne wrażenie. Najpierw myślał, że Daniel rzuci się na obu z pięściami, nie chcąc słuchać, ale o dziwo tylko łypał niespokojnie. Lecz był to wzrok inny niż zwykle – pełny strachu o własną skórę.

– O, Schmidt na pewno o tym wie – ciągnął Roznerek. – Musi wiedzieć, bo jesteś u niego już od dawna. Ja wiem, co powiesz. Powiesz, że każdy jest kowalem własnego losu, a że Szkotów wielu chodzi do miasta nielegalnie zarabiać. Wielu też przemyca do miasta wiejskie towary. I nikt we wsi jakoś szumu z tego nie robi. No i prawda – nie robi. Niechaj tam każdy robi, co chce, jakoś wyżyć trzeba. Tylko że ty się ustawileś jak patrycjusz. A ja pytam: za czyje? Bo chyba nie za swoje?

– A co cię to obchodzi, skoro każdy swój krzyż nosi?

W głosie Schulza pobrzmiwała pewność, ale niespokojne myśli przelatywały jedna za drugą.

– To prawda, ale nie każdy się tak nagle bogaci z niczego. I z sąsiadami się nie podzieli. Jeszcze niedawno słyszało się na własne uszy, że ty masz nas za nic. To powiedz mi teraz prosto w mordę, że masz mnie i Wawrzyna za nic. I całą wieś Stare Szkoty masz za nic. Powiedz, ale patrz przy tym prosto w ślepie.

Daniela zmroziła ta przemowa, Roznerek niewątpliwie triumfował. Wawrzyn za to stał z boku niezdecydowany. Daleko mu było teraz do podziwiania bojowo nastawionego przyjaciela. Czuł się głupio, niczym piąte koło u wozu, podczas osobliwego sąsiedzkiego przesłuchania. Uważał, że już wystarczy, teraz każdy powinien pójść do siebie. Jednak Roznerek ani myślał się wycofywać.

– Nie mam was za nic – wymruczał niepewnie Schulz.

– Ale fortunę w mieście zbierasz, choć jesteś tylko uczeń. Czyli jakieś zakazane praktyki odbywasz w mieście. Ciekawe, co na to inni chłopci ze Szkotów. Gdyby to zauważyli, to by cię podziurawili widłami, a potem na półżywego donieśli biskupstwu i władzom w Gdańsku.

Daniel potarł ciemną brodę. Zastanawiał się, jak wyjść z tej sytuacji.

– Co mam zrobić, żebyście mnie zostawili w spokoju?

Roznerek uśmiechnął się nieszczercze.

– Sakwę pieniędzy dla mnie i pół sakwy dla Wawrzyna. Inaczej rozpowiemy, żeś ustawiony w mieście na nielegalnym zarobku u Schmidta.

Daniel namyślił się. Ściągnął brwi, zerkając to na jednego, to na drugiego sąsiada. Tymczasem Modły zasepił się, dlaczego Roznerek powiedział, że ma dostać mniej.

– Czemu dla mnie pół sakwy? – zapytał nieoczekiwanie.

Jan był przyzwyczajony do tego, że przyjaciel nigdy mu się nie sprzeciwia. Spojrzał na niego z politowaniem.

– Bo ty się tylko przyglądasz. Za co masz dostać tyle, co ja, skoro nawet słowem się nie odzywasz, kiedy gadamy? Pomysł też był mój.

Wawrzyn zamknął się, ale poczucie niesprawiedliwości zostało.

– To co? Stoi?

Roznerek wyciągnął do Daniela rękę, by dobić targu.

– Sakwa za spokój? – upewnił się Daniel.

Roznerek nie zdążyć odpowiedzieć. Ciszę rozdarł potworny skowyt, a chwilę później rozległo się głucho warczenie i ujadanie. Chłopi potrafili rozróżnić, kiedy atakuje dziki pies, a kiedy wilk. Tym razem na dźwięki całej trójce zjeżyły się włosy na głowie. Nie zareagowali jeszcze, a już usłyszeli kolejne odgłosy walki. Krzyki dzieciarni rozległy się w całej wsi.

– Wilki szarpią dzieci! – wycharczał przerażony Modły.

Pobiegli przez łąki, ale Daniel zawrócił. Jako jedyny pomyślał o broni. Chwycił czteropalczaste widły spod obory, a potem co sił pognął w miejsce, z którego dobiegały przerażające dźwięki. Teraz charczenie zwierząt mieszało się z piskiem i jękami. Kakofonia jeżyła włosy.

Choć było już prawie ciemno, Daniel wypatrył w oddali Roznerka i Modłego próbujących przegonić wilki. Zgraja rzucała się z zębami, kłapiąc wściekle, by odstraszyć dorosłych, a za nimi wilki gryzły dwoje dzieci – syna i córkę Wawrzyna.

Serce Daniela przepełniło wzruszenie. Choć wiedział, że niczym nie zdoła wymazać czerni z pohańbionej duszy, postanowił położyć coś na szali dobra. Nie dbał teraz o swój los. Jako człowiek gorącej krwi chciał działać za wszelką cenę. Był gotowy poświęcić życie, by uratować dzieci. W jednej chwili stało się dla niego jasne, że nie pragnie życia idealnego ani mistrza masełkowego, ani nawet Barbary. Poczuł za to silne przywiązanie do rodziny. Kiedy biegł z widłami gotowy rozszarpać wilki, zgryzota od kilku miesięcy trawiąca ciało nagle ustąpiła. Ufał, że właśnie dostał od Boga znak, iż może wszystko naprawić i stać się lepszym.

Wbiegł między sąsiadów, machając widłami na oślep. W szale rzucił się na najtchórzliwsze wilki, które – widząc zdecydowanego przeciwnika – uciekły w popłochu. Bardziej zajadłe zwierzęta atakowały nadal, ale Daniel uderzał je mocno, boleśnie raniąc pyski. Ranne stworzenia skomlały.

Schulz próbował przebić się przez sforę, by dźgnąć wilki gryzące dzieci, ale zadanie było trudne. Z tyłu słyszał wycie Modłego, który bezradnie stał i machał rękami.

Jeszcze cztery wilki dzieliły mężczyznę od celu. Chwycił widły pośrodku drzewca, po czym z całej siły zaczął siec końcem kija i zębami. Obustronna broń kiereszowała boki, płatała pyski. Łąkę pokryła krew. Bardziej płochliwe zwierzęta charcząc uciekły, powoli poddawały się też dwa najodważniejsze. Daniel zamachnął się, z całej siły uderzając szare wilczę w głowę, aż gruchnęły strzaskane kości czaszki. Widząc to, poddał się ostatni.

Srebrnoszary duży wilk trzymał zęby w ciele chłopca i patrzył ognistymi ślepiami wprost na Schulza. Zacharczał głucho, unosząc umazane krwią wargi. Spojrzenia człowieka i zwierzęcia spotkały się. Daniel uniósł widły i zatopił długie, metalowe zęby w jasnym cielsku. Dopiero wtedy wilk puścił ofiarę. Chłopiec miał głębokie rany.

Modły, poznawszy, że syn nie żyje, wyrwał zmęczonemu Danielowi widły i począł brutalnie dobijać zwierzę, od ogona i łap, po brzuch, by wilk cierpiał, zanim skona. Pisk zwierzęcia zmieszał się z jękami córki Modłego cudem uratowanej. Patrzyła przerażonymi oczyma na ojca i zwierzę, które mordował. Przeniosła wzrok na zakrwawione bezwładne ciało starszego brata, po czym zapłakała, ocierając mu delikatnie ślady krwi z ramienia. Potem podbiegła do dyszącego ze zmęczenia Daniela. Z początku stał niewzruszony, zdziwiony, że się do niego przytula, lecz po chwili niepewnie przycisnął dziewczynkę do siebie, czując ulgę.

Modły dźgał nieżywego wilka. Daniel bał się zabrać mu widły, by ze zgryzoty nie rzucił się na niego. Spojrzał w tył, szukając wzrokiem Roznerka, ale nie znalazł go.

Poszedł, tchórz, pomyślał.

Wypełniło go nowe, dziwne uczucie, którego nigdy przedtem nie doznał. Było mu szkoda Wawrzyna, a najbardziej jedenastoletniego chłopca. Przez to wrażenie przebijała się nieśmiała radość, że może jeszcze nie jest za późno na poprawę i odpokutowanie win. Możliwości, niczym drzwi, stawały przed nim otworem. Wystarczyło zrezygnować ze zbytków i dalszych niecnych planów. Wtedy wszystko znowu stanie się proste.

Daniel nie dostrzegł pułapki w nowym zamyśle. Wydawało mu się, że do końca żywota może spełniać dobre uczynki, pokutując tym samym do śmierci, jednak na to nie pozwoliłaby mu gwałtowna natura i coraz śmielsze pomysły. Zatem prędzej lub później Schulz znalazłby nowy sposób na życie, być może brutalniejszy od poprzedniego. Na razie jednak upajał się własną dobrocią, w owym momencie zdolną zmienić cały plan.

XVIII



Po ataku wilków Modły wszem i wobec rozpowiadał o bohaterstwie Schulza. Kiedy mniej przychylny Danielowi chłop nie chciał dać wiary tym rewelacjom, Wawrzyn obrażał się śmiertelnie. Strata syna powodowała, że wszyscy w końcu przyznawali mu rację, a jeśli nawet uważali, że Modły przesadza, nie mówili tego głośno. Jedenastoletniego Wojcieszka pochowano w niewielkiej trumience, a na pogrzeb przyszli też wieśniacy z Chełma, Siedlec i Stogów. Płakał każdy, słusznie wychwalając niebożę.

Daniel nagle stał się ważną personą we wsi. Z wyszydzanego wieśniaka zmienił się w herosa. Karczmarze postanowili, że przez tydzień będą dawać mu piwo za darmo, a Obrzychowie, Modli i Weissowie przynosili pod jego płot dary – najczęściej ryby i mięso. Dołączali się do nich kolejni sąsiedzi. O Schulzu rozpowiadały całe Szkoty, ale inne wsie także plotkowały. O męstwie dowiedzieli się nawet chłopci z Brzeźna. Najbardziej szacowne rody przyszły wówczas do Starych Szkotów, przynosząc w darze zdobioną bursztynami drewnianą szkatułkę.

Po tym zdarzeniu nie było już mowy o tym, aby Modły czegokolwiek zażądał. Pół sakwy pieniędzy poszło w niepamięć, a Wawrzyn przestał odzywać się do Roznerka, który był zaskoczony stanowczością znajomka. Kiedy rozmawiano przy nim o męstwie znienawidzonego Schulza, ucinał

dyskusję purpurowy ze złości. Był człowiekiem zawistnym, więc nie zamierzał odpuścić sakwy monet. Pozwolił, by sprawa słynnego czynu Daniela ucichła, by zaatakować ze zdwojoną siłą.

Schulz też czekał. Czuł się inaczej niż kilka tygodni wcześniej. Z listopadem przyszło ochłodzenie nie tylko w północnej Rzeczypospolitej, lecz także w umyśle Daniela. Spotykał się co prawda z Barbarą, ale raczej dla zachowania pozorów. Gdyby wyrzekł się dawnego planu i powrócił do pracy w Szkotach, utarłby nosa Roznerkowi, a co ważniejsze – zawrócił na prawą drogę. Przyglądał się Wandzie, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że cały jego plan życia u boku Barbary nie byłby wart tak wielkich zmian. Choć głowę niezmiennie miał gorącą, a myśli często nietrzeźwe z powodu gorzałki czy charakteru, rozważania zmieniły tor. Nie wiedział, od czego zacząć naprawianie siebie, ale postanowił solennie, że wkrótce wyłoży Barbarze swoje racje, odstępując od jej ręki. Nie powinno stanowić to dla niej problemu, wszak z pewnością szybko znajdzie chętnych do ożenku.

Choć Daniel bardzo starał się naprawić błędy, nie widział podstawowej prawdy, od której trzeba byłoby zacząć – wciąż odkładał decyzję, przysięgając sobie, że wkrótce wszystko wytłumaczy Schwarzowej, powie jej, wygarnie. Ale jeszcze nie dziś, jeszcze nie jutro. Tym sposobem wciąż zwodził ją obietnicami, choć dochowywał czystości, nie nastając na wdowę, sam będąc wierny małżeńskiej przysiędze.

Ludwika jak zwykle obserwowała ojca z niepokojem. Wiedziała, że w jego głowie stale musi dziać się coś nowego, bo ciągle zmieniał nastroje. Raz był dla niej dobry jak prawdziwy ojciec, innym razem nie potrafiła przebić się przez szorstką skorupę obcości. Szachował ją swoim zachowaniem i coraz częściej wyprowadzał z równowagi.

Wandzie początek listopada też przyniósł nowe refleksje. W Dzień Zaduszny rozmyślała o bliskich zabranych ze świata ziemskiego. Jedna

osoba zajmowała szczególne miejsce w jej głowie, a był to Jerzy Sobótko – dziad Wandy, niegdyś najstarszy łodzianin i rolnik niezrównany, zapewne wciąż pozostający w pamięci mieszczan z ziem sieradzko-łęczyckich.

Schulzowa wspominała dobroć dziaduszka sprzeciwiającego się surowym nakazom i zakazom miejskim. Za nic miał autorytety – sam stanowił o sobie i bliskich, pomagał odtrąconym i gardził sztywnymi normami. Z pewnością nie pochwaliłby ożenku z chłopem, a zwłaszcza z takim gwałtownikiem jak Schulz. Miałyby przy tym oczywiście rację, gdyż znał życie lepiej od większości prostych ludzi i wiedział dobrze, że podstawą szczęścia są spokój, wolność i zgoda. Zawierało się w tym wiele prawd, bowiem spokój nie oznaczał jedynie braku wojny czy sporów, ale również zdrowie, sprawność i zajęcie, dzięki któremu nie brakowało stawy. To również było czyste powietrze wolne od zarazy, własna chata i pole – tyle do radości potrzebował starzec. Takie wymagania nie były łatwe do spełnienia, bowiem w Łodzi mieszczanom żyło się gorzej niż w biskupiej wsi Stare Szkoty. Paradoks ten bardzo Wandę smucił, bo oddaleni od dużych miast łodzianie zdawali się mieć mniej wolności niż szkoccy wieśniacy. Kiedy chłopci z północnych ziem rozpychali się butami nawet w mieście, mieszczanie łódzcy sami siebie niewolili, narzucając sobie normy postępowania krytykowane powszechnie przez Jerzego Sobótkę.

Nastaly dni krótkie, nieprzyjemnie deszczowe. Ludwika wychodziła za ojcem, śledziła go, obawiając się, że znów może zrobić coś złego. Jednocześnie nie miała pojęcia o zmianie planu. Nie wiedziała o przewrocie, jaki dokonał się w duszy ojca, więc ciągle coś przeczuwała, wietrzyła nowe problemy, a wszystkie strachy brała na siebie, widząc, że matka śni na jawie piękny sen o nieznanym szlachcicu. Po prawdzie

również i to denerwowało Schulzównę. Rodzice wydawali jej się zamknięci na siebie nawzajem, a wiadomo, że z takiego zachowania wiele dobrego nie wyniknie.

Listopadowe mrozy sprawiły, że trakt stwardniał. Z drzew spadała większość liści. Wieczorami wcześniej zaganiano kury, pilnowano też krów, by nie podchodziły wilki zwabione zapachem zwierząt. Dzieciarni surowo zabraniano wychodzenia po zmroku, grożąc laniem, choć niektóre karane były i wcześniej. Wyjątek, jak zwykle, stanowiła Marianna, której matka kazała wieczorami oporządzać gospodarstwo. Oburzało to Schulzów i Obrzychów, a najbardziej Macieja. Niczego jednak nie mówił starej, bojąc się narazić. Wciąż miał nadzieję, że pewnego dnia ożeni się z Marianną. Teraz trudniej było im się spotykać, bo za dnia w gospodarstwie było dużo roboty, a wieczory Maciej spędzał w chacie z rodzicielami. Patrzył przez okno, jak Marianna dosypuje krowom siana w ciemnej oborze i robi porządki w obejściu. Żał chwycił go za serce, że mimo zimna nikt z Miechów nie przejmuje się zdrowiem dziewczyny. A ona, zawsze uśmiechnięta i łagodna, robiła wszystko, co jej kazano, a i tak dostawała od matki reprimendę.

Pewnego wieczora Wanda nie wytrzymała, również współczując Mariannie.

– Miechowa, co ty tak córkę ganasz po nocy do studni? Przecież wilki biegają o tej porze.

– Jej licho nie bierze – odpowiedziała sąsiadka z goryczą w głosie.

Wciąż uważała, że jej córkę, gdy była niemowlęciem, zabrała boginka, podrzucając w zamian głuchoniemą dziewczynkę. Mówiła o tym głośno przy każdej sposobności. Co wrażliwsi cieszyli się wówczas, że Marianna nie słyszy, bo z pewnością byłoby jej przykro. Nie brakowało jednak i takich, którzy popierali Miechową, pomstując, że boginka czy mamuna

nadal czyha w krzakach, gotowa podmieniać kolejne dzieci. Z tego powodu matkom nie wolno było zostawiać nieochrzczonych pociech samych ani otwierać drzwi, by wpuścić powietrze.

– Wy macie tylko jedno dziecko, więc nie wiecie co to za udręka. Ja muszę zajmować się piątką, a Marianny w dodatku nigdy pewnie za mąż nie wydam. Kto taką zechce?

Tak mówiła o córce Miechowa. Wówczas Maciejowi buzowała krew. Miał ochotę rzucić starej w twarz, że jest podłą wiedźmą, ale zawsze się hamował. Myślał o tym, jak zagadać w swojej rodzinie i rodzinie Marianny, że chciałby ją pojąć za żonę. Obiecał ukochanej, że poprosi o jej rękę na wiosnę. Odkładał rozmowę z rodzicielami, bojąc się, że nie zrozumieją jego uczuć.

Tak to w Szkotach każdy odkładał postanowienia na inną godzinę. Dni mijały, pogoda była coraz gorsza. Mgły unosiły się nad łąkami, bieląc również trakt. Z rzadka przejeżdżały powozy szlachty, najczęściej widywano prymitywne wozy wiejskich kupców z Chmielników. Rozległe pola pokrywały się w zależności od pogody twardą skorupą lub błotem. Jedynie księżyc świecił jak zawsze spokojnie, czasem tylko kryjąc tarczę w chmurach. Wówczas robiło się całkiem ciemno i stojąc w oknie można było zobaczyć w oddali błyszczące punkty. Były to ślepie wilków patrzące w nieruchomy krajobraz.

Roznerek polecił Danielowi spotkać się przy Wielkim Młynie w Gdańsku. Schulz nie miał ochoty tam iść, ale wiedział aż za dobrze, jak cwany potrafi być sąsiad. Poszedł więc pod młyn, gdy tylko Schmidt zamknął zakład. Siąpiła nieprzyjemna zimna mżawka wpadająca do oczu, zaś zatechła woń mokrych liści drażniła nozdrza. Mimo to Schulz rozglądał się ciekawie po

zabudowaniach Starego Miasta. Nieczęsto tędy chadzał, więc rzadko widywał wysokie kamienice uczonych i patrycjuszy. Gdyby dalej wcielił plan w życie, mógłby stać się jednym z nich – zamożnym mężem wdowy. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie jest za późno. Wahał się, kiedy powiedzieć Barbarze o tym, że zwalnia ją z obietnicy czekania, ponieważ ma rodzinę, której nie zamierza porzucać.

Po prawdzie Schulz nie oznajmił Schwarzwowej, że jest żonaty. Tkwiła ona w błogiej nieświadomości, lecz wiadomym było, że prędzej czy później dowie się o Wandzie i Ludwice. Mogła wówczas wpaść w furję, bo przecież rok żałoby obowiązywałby też Daniela. Skoro zaś jego żona wciąż żyła, opóźniało to przedsięwzięcie.

Do Wielkiego Młyna prowadziła szeroka droga. Dalej, z obu stron, stały jedno obok drugiego zabudowania. Przecinał je Kanał Raduni napędzający po dziewięć młyńskich kół. Budowla wyróżniała się spadzistym dachem, a od strony traktu widoczne były wypukłe ścianki pieca chlebowego i komin. Dalej zaś, za domami przynależącymi do młyna, ciągnęły się kamienice patrycjatu i górujące nad nimi obserwatorium Jana Heweliusza. Zbudowano je z desek, ale tak dokładnie i mocno zbitych, że tworzyły pomieszczenie z niskimi ścianami bez dachu. Młynarze śmiali się nieraz, że Heweliusz postawił sobie dodatkową kamienicę na trzech dachach swoich domów.

Schulz patrzył na cenne ciężkie przyrządy, niczego z tego nie pojmując. Właściwie niewielu wiedziało, do czego służą przedmioty strzelające wierzchołkami w niebo. Najosobliwsze były wielkie złote trójkąty, tak zdumiewające, że budziły niepokój w niektórych mieszczanach. Uczony trzymał też na dachu ogromną lunetę, którą oceniano nawet na kilkadziesiąt stóp długości. Prości ludzie śmiali się z tych dziwów, a lunetę wprost nazywali kuriozum. Stamtąd jednak można było obserwować nie tylko

panoramę Gdańska, ale przede wszystkim niebo, na czym Heweliuszowi zależało najbardziej.

Ściemniło się zupełnie, mżawka ustąpiła i tylko krople spadające z dachów i rozmokłe drogi wskazywały na to, że przed chwilą padało. Daniel czekał blisko Wielkiego Młyna. Przed sobą miał wysoki Kościół Świętej Katarzyny ze strzelistą wieżą z hełmem.

Nieopodał przejeżdżały długie wozy z workami mąki. Konie zatrzymywały się na dziedzińcu, a młynarze rozładowywali towar. Nie zdążyli znieść wszystkiego, kiedy zbiegli się wieśniacy z osiołkami i targowali, za ile mogą kupić mąkę. Gdy udawało im się nabyć towar po tej samej cenie, co wcześniej, ucieszeni ładowali worki na grzbiety zwierząt.

Jeden z osłów zaparł się i nie chciał iść dalej. Młynarze śmiali się, że zwierzęta słusznie uważane są za najbardziej uparte pod słońcem, ale wieśniak przekonywał, że osioł chowany był dobrze, a worek to dla niego mały ciężar. Namordował się, by popchnąć zwierzę i skończyć zabawę dla czterech kupców, którzy przyjechali po mąkę.

Daniel patrzył na tę osobliwą scenę i śmiał się pod nosem. Jego duża szczęka, zazwyczaj srogo zaciśnięta, teraz ukazywała rząd nierównych zębów. Schulz szybko przestał się szczerzyć, bo z lewej strony niespodziewanie nadszedł Roznerek. Daniel przyjrzał mu się dokładnie i zaczął zastanawiać się, który z nich jest większym przecherà. Z niesmakiem doszedł do wniosku, że on, dlatego znów ozwały się w nim wyrzuty sumienia. Splunął w bok i takie było jego powitanie. Roznerek patrzył chciwie na kieszenie sąsiada.

– Sakwę masz? – zapytał.

– Nie umawialiśmy się, że dzisiaj dostaniesz pieniądze. Chciałeś, bym przyszedł, żeby nie gadać przy ludziach.

– Nieprawda. Liczyłem, że dostanę sakwę monet. Nie wywiązujesz się z umów, nie można na tobie polegać. Skądże mam wiedzieć, że dostanę grosiwo?

– Ależ z ciebie baranie cielę. Nie możesz tego wiedzieć – spokojnie odparł Daniel.

Roznerek spojrział na niego ze zdumieniem.

– Jak to? Przecież wiesz, że w każdej chwili mogę donieść, że pracujesz u Schmidta. Nie lubią w mieście wkupionych wyrobników ze wsi. Lepiej mnie zapłacić, niż stracić posadę i z karą o wiele większą uciec do Szkotów jak niepyszny. Ależ byłby wstyd, gdyby do dworu doszło, że kiedy król walczy o przywileje dla gdańskich rzemieślników, w zakładzie wielkiego mistrza sukna pałęta się partacz! Chyba nie chcesz pogrzyść znakomitego Johanna Schmidta?

Daniel spojrział sąsiadowi prosto w oczy. Zastanawiał się, czy pobić go, czy mu darować. Jednak niespodziewanie dla samego siebie, uśmiechnął się od ucha do ucha. Zaniepokojony Roznerek chciał coś dodać, ale Schulz go ubiegł:

– Ależ drogi sąsiedzie! Ja nie pracuję w zakładzie Johanna Schmidta. Nigdy tam nie pracowałem i nie bywałem.

– Jakże to?!

– Zwyczajnie.

– Czyś ty rozum postradał, Schulz? Wszyscy we wsi wiedzą, żeś partacz, co do Gdańska chodzi i u mistrza Schmidta pracuje!

– Powiadam ci, że nie. Pójdź jutro do Schmidta i zapytaj o mnie. Odpowie, że mnie nie zna, nigdy nie widział i wygoni cię z zakładu, bo jesteś wieśniak ze Szkotów bez obycia w mieście.

Roznerek stał naprzeciwko ubawionego Daniela, niczego nie rozumiejąc. Próbował jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nawet nie

pogroził Schulzowi pięścią, nie rozgniewał się. Obrócił się na pięcie i odszedł ciemną ulicą.

Daniel stał jeszcze chwilę pod kościołem. Opatulił się i roześmiał, aż załśniły mu w mroku zęby. Znowu wstąpiła w niego ta sama siła, co wtedy, gdy widłami przegonił wilki. Była to chęć naprawienia szkód i odpokutowania za morderstwa. Obiecał sobie, że rano pójdzie do Schmidta i zwolni się z pracy; tym samym Roznerek nie będzie miał czym go szantażować. Rozwiązanie wydało mu się tak proste, że aż zatarł ręce z uciechy. Potem spojrział w ciemność na obserwatorium Heweliusza oświetlone jedną pochodnią. Mimo słabej poświaty widać było mistrza astronomii stojącego przy ogromnej lunecie. Wpatrywał się w gwiazdy, które wyszły zza chmur.

Być może jest bliżej Boga niż my wszyscy. Rozmawia z gwiazdami w ich języku i stoi bliżej nieba, dumął Schulz.

Ludwika nie była przyzwyczajona do tego, że ojciec siedzi w domu. Gdy więc zobaczyła go przed południem w chacie, spojrziała podejrzliwie i nie śmiała podejść. Jej ostatnie śledztwo dało nowe dowody – ojciec wspierał wdowę Barbarę Schwarz. Córka знаła Daniela na tyle, by mieć pewność, że nikogo nie wzięłby pod protekcję bezinteresownie. Skubała więc sęki w progu i patrzyła nieufnie na ojca siedzącego przy ławie tyłem do niej.

Czuła, że musi dowiedzieć się, po co Daniel chadza do Barbary. Wiedziała, że niedawno zmarł mąż kobiety. Podejrzewano, że kopnięcie przez konia uszkodziło głowę mężczyzny na tyle, że nie można było już pomóc. Stan nagle się pogorszył, gdyż w mózgu rozlała się krew. Przynajmniej takie wnioski wysnuł medyk, więc zaniechano domysłów. Do

Schwarzowej zaczęli przychodzić mężczyźni, jednak wdowa odmawiała pomocy. Była teraz najlepszą partią w Gdańsku.

Dlaczego im odmawia, a mojego ojca przyjmuje jak ważnego gościa? – rozmyślała Ludwika, wciąż skubiąc sęki.

Niejasna myśl zmarszczyła jej blade czoło. Była jednak tak straszna, że aż nieprawdopodobna.

A jeśli ojciec dogadał się ze Schwarzową, że w zamian za zabicie męża poślubi ją i otrzyma wszystkie przywileje?

Gdy Ludwika uświadomiła sobie druzgocącą prawdę, natychmiast zaczęła szukać logicznych argumentów przeciw. Pierwszym z nich, koronnym, był taki, że Daniel Schulz, jej ojciec, nie jest mordercą.

Zaraz jednak ze zgrozą uświadomiła sobie, że się myli. Wiedziała przecież, że to on z zimną krwią zamordował sługę króla, a potem wykradł pierścienie. Zbrodnia mogła pociągnąć za sobą dalsze, bo jeśli ktoś raz sięgnie dna, trudniej wypływa na powierzchnię.

Ależ to jest bez sensu! – rozważała dalej, wpatrując się w plecy ojca.

Szukała innych argumentów, by obalić własną tezę. Nie mogła jednak znaleźć zbyt wielu. Za to przypominała sobie kolejne straszne fakty, które łączyły się i coraz bardziej pozbawiały nadziei. Zachowanie Daniela wskazywało na to, że nie interesuje się już rodziną. Ominął też egzekucję Katarzyny Müller, choć każda taka atrakcja przyciągała go jak magnes.

Ale czy jej ojciec mógł okryć się taką hańbą, żeby uknuć plan zdobycia Barbary za wszelką cenę?

Przez głowę Ludwiki gnały myśli jedna za drugą. Odmienne wizje toczyły walkę, a dziewczynka wspierała tę, w której jej ojciec jawił się jako prawy chłop.

Skryła się w sieni, bo zabrakło jej tchu. Jedna poszlaka dawała nadzieję, a jednocześnie przytłaczała – Wanda żyła. To jednak nie uspokoiło

Ludwiki. Jeśliby bowiem okazało się, że najgorsze przypuszczenia są prawdziwe, matka w każdej chwili mogła stracić życie.

Tymczasem Daniel czuł się wspaniale. Schmidt po prawdzie nie rozumiał, dlaczego uczeń, który wkupił się dużymi pieniędzmi, teraz odstępuje, nie żądając zapłaty, ale odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał świecić oczami za Schulza, kiedy przyjdzie wizytacja. Daniel sam zrezygnował z posady, czego mistrz nie był w stanie zrozumieć. Jego zdumienie rozbawiło Daniela – wreszcie poczuł się wolny jak ptaszyna. Teraz Roznerek do woli mógł gadać, że u Schmidta pracuje nielegalny partacz ze wsi, nie było na to dowodów. Schmidt chętnie przyobiecał milczeć, było to przecież również w jego interesie.

Tak oto Daniel lekko zrezygnował z marzeń. Jeszcze kilka tygodni temu taka decyzja wydałaby mu się niemożliwa, a teraz nie umiał znieść uczucia rozgoryczenia wypalającego dziurę w duszy. Wyrzuty po obu morderstwach zżerały go od środka, boleśnie raniąc sumienie. Nie sposób popełnić kolejnej zbrodni, nie popadając w szaleństwo, a potem żyć, jak gdyby nic się nie wydarzyło u boku nowej osoby, z którą łączyły go wszystkie sekrety. Taka wizja przerastała nawet bezwzględного Schulza.

XIX



W mieście wrzało od emocji. Król zwołał specjalną naradę, która przeciągnęła się na kilka dni. Codziennie zbierano się w dolnej sali domu Elerta Friedricha i rozprawiano. Były to dyskusje nader osobliwe. Uczestniczyli w nich tylko wybrani rajcy, co niektóre osoby w mieście oburzało. Jakże bowiem pomijać dostojników miejskich? Władze Gdańska uważały, że król przestał im ufać, a jednocześnie powszechnie już mówiono, że rzemieślnicy nie obchodzą Sobieskiego tak bardzo, jak zdawał się wcześniej poświadczać. Wobec tego każdy stał się nieufny, ale wciąż obie strony sporu uprzejmością próbowały wyjednać łaski.

Po październikowym starciu dotyczącym podatku nie został nawet ślad. Rychło okazało się bowiem, że Rada specjalnie nagadała mieszkańcom, jakoby król oczekiwał płacenia pogłównego od każdej osoby, zamiast, gdańskim zwyczajem, zebrać pieniądze z kasy miejskiej. Rzemieślnicy odetchnęli, a zaraz potem próbowali przekonać Sobieskiego, że to oszustwo dotknęło nie tylko ich, lecz także monarchę.

Jan III był coraz bardziej zdezorientowany i słabo odnajdywał się w nowych pułapkach, które zastawiały obie strony sporu. Potwierdził dekretami kilka niewielkich reform. Rzemieślnicy wciąż czekali na

ostateczne starcie, a Rada na zatwierdzenie przywilejów Gdańska bez dodatkowych roszczeń monarchy.

Jednak w listopadzie poszła fama, że król chce opuścić Gdańsk. Zmęczył się ciasnym miastem. Ponadto Szwedzi wciąż nie zaatakowali Prus i malała nadzieja, że kiedykolwiek to uczynią. Wobec takiego zawodu król, coraz smętniejszy, snuł się do czasu zwołania narady. Wtedy powołał wybranych rajców i kolejny dzień spędzał z nimi w kamienicy.

Konrad też brał udział w naradzie. Ze stronnictwa dworskiego uczestniczyło w niej jeszcze kilku dostojników polskich. Wszyscy wyrażali oburzenie z tych samych powodów, a król ledwo zachowywał spokój. Nowy spór rozgorzał po tym, jak przechwycono list posła duńskiego. Donosił on radcy swojego króla, Birmanowi, o tym, że gdańscy rajcy skarżyli się na polskiego monarchę i powiedzieli wprost, że kiedy Sobieski wyjedzie z miasta, poszukają nowego władcy. Cuchnęło zdradą. Oburzeni rajcy zapewniali Sobieskiego, że tym razem jego majestat się myli i z pewnością został oszukany. Nie umieli wszak powiedzieć, przez kogo, ale gadali niezmiennie cały czas to samo.

Konrad patrzył po twarzach dostojników, a minę miał nietęgą. W liście pisano bowiem, że Gdańsk okropny spór ma nie tylko z rzemieślnikami, lecz także z dworem, a dowodem na to była napaść chorążego koronnego na rajcę Zygmunta Holtena. Jezierski wstydził się, że został wymieniony jako złoczyńca, choć nadal uważał, że wrogowi należała się nauczka. Szczęśliwie Holten nie znalazł się w gronie wybranym do dyskusji.

Rajcy zapewniali, że nie zdradzili króla. Dostojnicy spierali się z nimi, ale łagodnie, by Sobieski przed wyjazdem mógł coś jeszcze wynegocjować, na przykład starostwo puckie, o które zabiegał. W Pucku siedział do niedawna starosta Kazimierz Zawadzki nienawidzący się z rajcami gdańskimi. Coraz to nowe skargi przychodziły od niego do Warszawy, a w

listach zapewniał, że Gdańsk wszystkie przywileje dostaje podstępem, bo rządzą tam chytry luteranie. Sobieski z całej duszy nie znosił Zawadzkiego, gdyż przed rokiem ośmielił się pouczyć monarchę, jak powinien rządzić krajem. Dworacy i nieprzyjaciele na dworze królewskim pokładali się ze śmiechu, usłyszawszy o tej rewelacji, ale na niewiele się to Zawadzkiemu zdało, bo i tak poszedł pod sąd.

Jeśli nikt nie zdradził, to czego dowodził przechwycony list? Podejrzenie padło na syndyka Adriana Stodderta. Był to człowiek, o którym król nie wiedział zbyt wiele, choć spotykał go w Gdańsku przy różnych okazjach. Każdy się wypierał, a wezwany Stoddert dał wyraz największemu oburzeniu. Sobieski udawał, że obchodzi go to, co opowiada syndyk, lecz tak naprawdę zasłuchiwał się we własne myśli o Jezierskim. Jeśli skarżą się, że jego chorąży napada na władze miasta jak łotr, oznacza to, że mianowany nie umie rządzić własnymi emocjami.

Konrad dobrze znał monarchę i wiedział, o czym дума. Dopiero wówczas zaczął żałować, że zaatakował Holtena. Należało przemilczeć wszystkie zniewagi, nawet niebezpieczeństwa. Napaść na rajcę nie ułatwiała negocjacji z Radą, a przecież należało kierować się dobrem sprawy.

Narady zakończyły się niepomyślnie. Król wściekł się, za nic mając zapewnienia zaufanej części Rady i słowa własnych dostojników. Zostawił sprawę otwartą i poprosił rajców, by ją wyjaśnili. Wszystkie rozmowy okazały się bez znaczenia. Król szybko zatuszował sprawę, zaś w kamienicy nie odzywał się do Konrada. Jezierski cierpiał. Domyślał się, dlaczego Jan III nie wzywa go do siebie jak wcześniej. Czasem miewał koszmary, że nigdy nie wydobędzie się z tego dużego miasta i już zawsze będzie chadzał tymi samymi ulicami prowadzącymi donikąd.

Czas płynął, nadchodził Dzień Świętej Katarzyny i andrzejki. Wielkie to było święto dla młodych, którzy wróżyli sobie przyszłość małżeńską. Nic dziwnego, że w Starych Szkotach przygotowywano się do zabawy. Pod wieczór zebrały się grupki panien i kawalerów, każdy chciał wróżyć w doborowym gronie. Ludwika była jeszcze na to za mała, ale w sąsiednich domach przynajmniej jedna osoba namyślała się, do kogo dołączyć.

Maciej Obrzych wiedział, że te andrzejki będą inne niż wcześniejsze. Czuł, że Marianna myśli podobnie, choć też wybierała się z pannami do domu jednej z nich, żeby lać wosk. Tradycja podobała się także małżeństwom. Starsi wspominali listopadowe przygody z uśmiechem, dlatego chętnie wyprawiali dzieci na zabawy. Rodzice oddawali chaty i wychodzili do sąsiadów.

Chata Pierzchałów, do których poszła Marianna, mieściła się w jednej z wąskich kamieniczek. Miechówna rzadko miała okazję być w domu zabudową przypominającym niektóre gdańskie budynki galeriowe. W takich domach wchodziło się najpierw do przedpokoju, który nie przypominał sieni. Był mniej przestronny i skromniejszy. Dalej mieściły się pokoje. Do jednego z nich Małgosia Pierzchała – córka rzeźnika – zaprosiła koleżanki. Była to dziewczka uczynna, miła dla cierpiących.

Rozsiadły się przy ławie. Pierzchałowie nie mieszkali bogato, ale dbali o czystość, a nawet ozdobili komodę malowanymi dzbanami.

– Zaczynamy! – pisnęła podekscytowana Małgosia.

Panny ściągnęły drewniaki wypchane słomą i ustawiły je jeden za drugim. Buty podmieniała też Marianna, mając nadzieję, że jej pierwszy sięgnie progu izby. Śmiechu było przy tym dużo. Śmiała się też Miechówna. Patrzyła na usta koleżanek, łowiła z nich słowa i radowała się, że ją przyjęły. W końcu znalazła grono, do którego pasowała.

Jej but niestety nie był pierwszy. Wygrała młodziutka córka szewca – Trina Brandt. Wszystkie panny zazdrościły jej i zwycięstwa, i obuwia. Buty miała bowiem obite byczą skórą, którą znalazł dla niej ojciec, po tym, jak poprzedniej zimy na kość zmarzły jej stopy. Dziewczynka bardzo po tym chorowała, aż rodzice chodzili do Gdańska po herbatę, żeby naparem uleczyć febrę.

Lubianym zwyczajem, poza ustawianiem butów, było lanie wosku ze świec. Wróżono z niego na dwa sposoby: wlewano do wody, by ułożył się w twarz przyszłego małżonka, albo sprawdzano kształt odlewu na ścianie. Panny pokłóciły się najpierw, która metoda jest pewniejsza, a potem ustaliły, że pierwsza. Decydujący głos miała Trina, bo wygrała poprzednią konkurencję. Wszystkie pochyliły się nad glinianą misą. Wokół ustawiły gromnice, żeby lepiej widzieć. Trina wróżyła pierwsza. Delikatnie przechyliła nazbierany wosk, nie przejmując się sykiem pozostałych panien, które bały się, żeby za dużo nie wlała, bo dla innych nie starczy. Cienka strużka pociekła do misy. Chichoczące panny nachyliły się nad nią, potrącając jedna drugą. Wosk zaczął układać się w chmurę.

– O nie! – krzyknęła zawiedziona Trina. – Czy to znaczy, że jako pierwsza z was pójdę do nieba?

Małgosia Pierzchała wybuchła śmiechem, a wesołość udzieliła się zaraz pozostałym. Trina wciąż pochylała się nad miską, wypatrując, czy wosk przypomina czyjąś twarz, ale nikogo nie dostrzegła.

Potem wróżyła Małgosia, a za nią młodziutka Anna Mandt i pozostałe cztery dziewczki. Wszystkie upierały się, że widzą twarze, choć po prawdzie tak nie było. Próbowaly zgadywać, a Mariannie nawet zdawało się raz, że zobaczyła twarz Macieja Obrzycha. Uznała jednak, że musiała się pomylić, bo Obrzych nie był obiecany Annie Mandt, tylko jej – Miechównie.

Uspokojona przelała na końcu wosk, pewna tego, że zaraz rozpocznie się huk śmiesznych odpowiedzi.

Wosk długo się kręcił. Nie zastygał, a z kształtu trudno było coś wyczytać.

– Wygląda jak najstarszy syn Modłego! – krzyknęła Trina.

– Czego ty jej życzysz? Rodzina Modłych to lenie, za co się nie wezmą, tego nie skończą! – skwitowała Małgosia.

Marianna spoglądała to na wosk, to na panny, próbowała też wyczytać z ust, o czym mówią. Jej samej kształt wosku nie pasował do syna Modłego. Modliła się w duchu, by wosk istotnie się tak nie zakręcił.

– Nie wiem – poddała się Trina. – Niczego nie widać, same kreski.

Marianna była zawiedziona. Liczyła, że wosk pokaże twarz Macieja, choć nie chciała, żeby była dokładnie taka, jak w rzeczywistości, by dziewczki zbyt szybko nie domyśliły się afektu. Pocieszała się tym, że wosk czasami pokazuje bzdury, ale niepokój pozostał. Zastanawiała się teraz w czasie kolejnych zabaw, czy Maciej się nie rozmyśli. Patrzyła na twarze dziewcząt. Każda miała coś w sobie. Ładna była zwłaszcza Anna Mandt, co prawda dopiero dwunastoletnia, ale już ciekawa świata i niedorostków.

Niedługo potem spadł śnieg. Prószyno srogo. Zimno rozlało się po całym Gdańsku, a okoliczne trakty zmieniły się w zaspy. Wozy grzęzły na drogach, więc kto nie musiał nagle dokądś jechać, zostawał w domu. Szkoci już kilka razy pomagali możnym wypychać powozy z traktu. Zawsze potem patrzyli za odjeżdżającymi, stukając się w głowy.

– Można a głupi. Kto w taką śnieżycę powozem pruje przez zaspy? Konie nogi potracą na tej ślizgawicy – gderała za płotem Miechowa.

Daniel wyszedł z obory. Miechowa zauważyła go i ściągnęła wzrokiem.

– A ty się gdzieś nająłeś do roboty? Może do karczmy pójdziesz?

Daniel miał zły humor. Ofuknął sąsiadkę, żeby pilnowała własnego nosa, a potem wszedł do sieni. Markotniał, bo pokuta, którą sobie wyznaczył, była dlań zbyt okrutna. Myślał o tym, by nająć się znowu w karczmie, ale przypomniawszy sobie, jak bardzo dokuczała mu ta praca, zrezygnował. W Szkotach nie brakowało roboty, ale każda wydawała się Danielowi nieznośnie nudna i nisko płatna. Pocieszał się, że nadal trzyma pod podłogą pierścienie, które po przetopieniu dadzą spory zarobek. Nie chciał jednak trwonić ich na codzienne wydatki. Chodził po chacie zły, choć starał się nie dokuczać żonie. Wanda była zdziwiona, ale milczała. Minął czas pojednania i naprawiania win. Kiedy chciała, by ich małżeństwu wiodło się lepiej, spotkała ją za to surowa kara. Teraz nie zamierzała wracać do dogadzania mężowi.

Daniel widział, że Wanda nie patrzy na niego przychylnie. Postanowił starać się ze wszystkich sił, by żona zwróciła na niego uwagę. Teraz najlepszym sposobem, jaki znał, było udawanie milczka i badanie sytuacji. Nie mógł się przełamać, by w końcu do niej przemówić. Żyli tak od jakiegoś czasu, ni to w zgodzie, ni w kłótni.

Właściwie Wanda nie zajmowała sobie głowy Danielem. Odzywała się rzadko, tylko kiedy było to niezbędne. Czuła, że żyją razem, lecz osobno i wszelkie próby pojednania spełzną na niczym. Była zmęczona. Życie przeciekało jej przez palce, a ona nie miała nawet cienia szansy na zmianę. Coraz bardziej nienawidziła Szkotów. Kiedy mąż wreszcie przekonał się do wsi, ona zaczynała dusić się w ciasnocie. Wmawiała sobie, że to przez nieszczęśliwe małżeństwo, którego rodzice i dziaduszek Jerzy Sobótka nigdy by nie pochwalili.

W głębi duszy wiedziała, że nie chodzi o to. Czuła się stale wytrącona z równowagi z powodu miłości do Konrada i jego pobytu w Gdańsku. Był

tak blisko niej, a nie mogła nawet z nim porozmawiać. Ilekroć chciała iść do miasta, by zaczepić Jezierskiego, natychmiast ogarniały ją obawy. Myślała o tym dużo i często, a wszelkie pomysły wydawały jej się niedorzeczne. Była przecież tylko mieszczką zdegradowaną do roli chłopki. Poza tym wciąż odżywały w niej dawne wątpliwości. Konrad mógł przecież wiedzieć, że matkę skazano na śmierć za czary, a ją uważano za czarownicę-uciekinierkę. Wiedziała aż za dobrze, że w Łodzi nikt o niej nie zapomniał.

A jeśli on w ogóle mnie nie pamięta? Po cóż miałabym zawracać mu głowę po jedenastu latach od głupiego pocałunku? – zastanawiała się cały czas, a wątpliwości jak czarne chmury snuły się nad jej głową.

Z tego powodu Wanda żyła w zawieszeniu między jawą a marzeniami. Nic dziwnego, że zapomniała o Bożym świecie, a to, co robił Daniel, zupełnie jej nie obchodziło. Schulz myślał zaś, że to tylko poza, pod którą kryją się prawdziwe emocje – chęć przebaczenia i pojednania.

Wanda wyrwała się z marzeń. Wyjrzała przez małe okno i zobaczyła, że kolejny wóz wyłania się ze śnieżnej zawieruchy, podążając wprost na Szkoty. Przewróciła oczami na tę głupią podróż, sarknęła do Ludwika, że znowu trzeba będzie bogaczy wyciągać z zasp, po czym wyszła do obory, nie chcąc kolejny raz uczestniczyć w pchaniu powozu.

Dwa konie ciągnęły z mozołem karetę wspartą na wysokich kołach. Musiały zostać zmienione ze względu na zasy, ale ogiery i tak ledwo dawały radę. Chrapy zwierząt rozszerzały się rozpaczliwie, a wydychaną parę widać było z daleka. Z powozu wychylała się osoba w wielkim kapeluszu zawiązanym pod brodą. Schulz, który przypatrywał się przejeżdżającej osobistości, na chwilę zamarł, a potem zbliżył się, wystawiając głowę. W powozie siedziała Barbara Schwarz. Rozglądała się z ciekawością po białej wsi i skromnych chatach. Było jednak w jej obliczu

coś niepasującego, jakby brało ją obrzydzenie na samą myśl, że w tym miejscu mieszkają ludzie.

Kazała woźnicy zatrzymać konie. Zmęczone chętnie stanęły, rżąc cicho. Barbara otworzyła drzwiczki i wyszła na śnieg, trzęsąc się z zimna. Okryła się szczelniej futrem, spod którego wystawała długa fałda purpurowej sukni. Szpetnie zakląła po francusku i rozejrzała się po okolicy.

Daniel poczerwieniał. Barbara na pewno szukała jego. Oznaczało to, że dowiedziała się już o chacie i rodzinie. Nie było sensu dłużej czekać.

– Idź do obory, przytrzymaj matkę, żeby nie wychodziła – powiedział Ludwice.

Córka stała z ponurą miną i już miała powiedzieć, że nie pójdzie, a matka niechaj wraca czym prędzej, lecz zerknęła na wiszącą na ścianie różgę. Skinęła więc głową, po czym wyszła na śnieg, patrząc nienawistnie na Barbarę, która ją dostrzegła, zanim dziewczynka zniknęła w oborze. Widziała butną minę Ludwiki i zastanawiała się, co oznacza i czy to córka Schulza. Mimo wściekłości zdecydowała, że jest gotowa wziąć pod swój dach jego pociechę, gdy już się pobiorą. Potem ruszyła do płotu. Nie musiała się zbytnio wysilać, Daniel wyszedł z chaty i ruszył jej naprzeciw.

– Witaj, pani – powiedział, kłaniając się.

– Witaj, chłopie – odpowiedziała lodowato.

A więc to prawda. Nie zmyślała jej czeladź, gdy mówiła, że Daniel Schulz mieszka w Starych Szkotach, pracował w karczmie, a jego chata stoi przy trakcie. Co gorsza, Schulz naprawdę ma rodzinę, a w szczególności żonę, której z pewnością jeszcze się nie pozbył.

– Wiesz, na jaki skandal naraziłeś mnie, głupcze? – zapytała cicho.

Zastanawiała się, dlaczego nie zaprosi jej do chaty. Widział przecież, że przemarzła. Wolałaby już siedzieć w chłopskim domu, niż wciąż ugniatać stopami śnieg. Cienkie trzewiki na korku całkiem przemokły.

Daniel nerwowo patrzył w stronę obory.

– Żonkę pewnie zastałam, dlatego mnie nie wpuszczasz. Ciesz się, że ochłonęłam po drodze i wiatr wywiał mi gniew z głowy, bo bym cię w twarz uderzyła bez wahania.

Daniel milczał. Bał się spojrzeć Barbarze w oczy, ale jeszcze bardziej denerwował się, czy za chwilę z obory nie wyjdzie Wanda.

– Powiesz mi coś czy dalej będziesz milczał?!

– Proszę, pani, żebyś uspokoiła się i zechciała mówić ciszej – szepnął.

– To jest nie do pojęcia. Sprytny jesteś, rozmawiać potrafisz jak možny pan, choć jesteś zwykłym chłopem. Takie rozczarowanie! Co prawda zaślepienia mojego nie mogę tłumaczyć twoim sprytem, lecz spotkał mnie afront, za który żądam zapłaty.

– Będzie jak rozkażesz, pani.

Daniel istotnie był w stanie zapłacić Barbarze za oszustwo. Poczuł ulgę, że prawdopodobnie teraz zdołają wszystko sobie wytłumaczyć i zerwać raz na zawsze umowę, która ich łączyła. Nie spodziewał się, że Barbarze chodzi o coś innego.

– Masz się jej pozbyć – szepnęła, patrząc Danielowi w oczy. – Inaczej wszystko na nic.

Daniel chciał zaprotestować, ale Barbara nie dała mu dojść do słowa.

– Napisałam list do ciebie... panie – poprawiła się z trudem, okazując dawny szacunek. – Przeczytaj i zrób to, co należy.

Nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się i wskoczyła do karety, odtrącając dłoń woźnicy. Zakrzyknęła po niemiecku, aby jechał, zostawiając zdumionego Daniela z listem w dłoni. Kiedy powóz ruszył, z obory wyszła Wanda. Kobiety spojrzały na siebie z oddali i Schulzowa wyczuła, że patrycjuszka przeszywa ją nienawistnym wzrokiem. Uniosła dumnie głowę, odpowiadając spojrzeniem pełnym niepokoju.

Daniel chował list. Chodził z nim wszędzie, zastanawiając się, co począć. Barbarze nawet nie przyszło do głowy, że jej przyszły mąż może nie umieć czytać. Daniel unikał wzroku Wandy, co i rusz wychodził do sieni, by spojrzeć na znaki, których nie rozumiał. Giął w rękach sztywny papier, dziwiąc się, że możni umieją komunikować się ze sobą w taki sposób. W końcu jednak zabrakło mu cierpliwości. Zmiał list i rzucił w kąt, wiedząc, że i tak nikt w chacie nie potrafi czytać. Potem obiecał sobie solennie, że nazajutrz wyruszy do Gdańska, by powiedzieć Barbarze, co postanowił.

Ludwika, która śledziła każde poczynanie ojca, była zaniepokojona. Odwiedziny Schwarzowej i jej pogawędka z ojcem wydawały jej się tak niewytłumaczalnym zjawiskiem, że co rusz zerkała na matkę, czekając na jej reakcję. Wanda wyglądała na zdezorientowaną. Kiedy zasiedli do wieczerzy, zapytała męża, kim była dama z karety.

– Patrycjuszka w śniegu pogubiła drogę. Chciała jechać do dworku Uphagenów, a to przecież nie tędy.

Nieprawda, pomyślała Ludwika.

Wiedziała, jak wygląda Schwarzowa, którą ojciec wziął pod protekcję. Niestety Wanda tylko o niej słyszała. Przemilczała więc odpowiedź męża; nie zamierzała dociekać, o co chodzi.

Ludwika poczekała, aż wszyscy skończą jeść, po czym wstała z rodzicami od ławy. Kiedy przechodziła do drugiej izby, zobaczyła, że w kącie leży papier. Była to rzecz niecodzienna w domu Schulzów, więc dziewczynka ostrożnie zbliżyła się do niego i powoli podniosła. Zdumiona wpatrywała się w znaki, których nie umiała odczytać. Widziała, że pismo jest pochyłe, ładne. Zostawić to mogła tylko jedna osoba – niewątpliwie była nią Barbara.

Namyślała się, co robić. Należało zostawić, bo list nie był jej, ale nie mogła tak postąpić, wciąż mając w pamięci, że matce może grozić niebezpieczeństwo. Znała jedną zaufaną osobę umiejącą czytać – Florka. Chłopiec od kilku lat pobierał nauki, znał niemiecki, polski i podstawy łaciny. Bogaty ojciec zapewnił mu prywatną szkołę, w której profesorowie uczyli wszystkich najważniejszych rzeczy.

Było po wieczery, więc Florek z pewnością siedział teraz w domu, a nie nad Motławą. Ludwika planowała zaczekać na niego po południu, kiedy będzie wracał do domu Zielonym Mostem. Przyobiegała sobie, że nie odpuści, póki nie pozna prawdy o ojcu. Schowała list pod niewielkie niewygodne łóżko wysłane słomą, owinęła się w baranie futro i zasnęła.

Śnieg wciąż sypał, padał na twarz, dostawał się do oczu. Zasy pyły, niektóre wystawały nawet na kilkanaście stóp. Zawieruchy szalały po polach. Świszczący wicher pozbawiał tchu, więc ludzie zakrywali nosy futrami, by swobodniej łapać oddech. Niebezpiecznie było wychodzić w taką pogodę, dlatego chłopcy trzymali się zajęć domowych, z rzadka oporządzając krowy, kury i pozostałe zwierzęta. Zakazano dzieciarni zabaw w rowie, bojąc się, że jak któreś wpadnie, to się nie wydostanie.

Chłopcy uważali, że niepogodę zesłał Bóg, aby pokazać, jaki jest potężny i wszystko wokół należy do niego. Widoki zapierały dech w piersi. Dookoła leżały nienaruszone białe warstwy śniegu rozścielające się równo na polach. Dalej, zza śnieżnej kurtyny, wyłaniały się drzewa pokryte bielą. Gdy wiatr smagał ich gałęzie, wyglądało, jakby otrząsały się z puchu. Niewiele to dawało, bo w godzinę znów były zaśnieżone.

W zadymce, po traktach prowadzącym do miasta, biegła niestrudzenie Ludwika. Choć wicher smagał policzki, a białe płatki osiadały na rzęsach,

nie zamierzała wracać do chaty. Musiała sprawdzić, czego dotyczył list. Schowała go pod halkami sukni, włożyła ciepłe futro. Nie miała ozdobnych brosz do spięcia, więc przytrzymywała okrycie zziębniętymi dłońmi. Wydawało jej się, że biegnie od dawna i nie może dobiec. Niespokojne serce chciało rozwiązać zagadkę natychmiast.

Wiedziała, że Florek kończy nauki zazwyczaj o piętnastej. Zamierzała zaczekać na niego przy Zielonym Moście, licząc na to, że nad Motławą nie będzie ruchu. Sezon handlowy się kończył, bo marynarze narzekali, że niespodziewany mróz utrudnił żeglugę. Coraz mniej statków kierowało się w stronę portu, a te, które zdecydowały się wpłynąć, zastygały w lodzie. Wynikały z tego wielkie kłopoty. Flisacy i marynarze próbowali długimi kijami rozbijać krę. Gdy nie dawało to rezultatu, rzucali w toń kotwice.

Zaśnieżony Gdańsk wyglądał majestatycznie. Nad miastem unosiła się mgła spowijająca kościół mariacki, wieżę ratusza i czubki kamieniczek ulicy Długiej. Pod mleczną chmurą rozciągał się senny krajobraz największego miasta Rzeczypospolitej, teraz zamarłego. Na ulicach nie było żywej duszy. Dzwony ratusza wybiły piętnastą, więc Ludwika – samotna pośród domów – popędziła w stronę Zielonej Bramy, mijając zamknięte stragany i większe otwarte zakłady zapraszające do wejścia.

Gdy stanęła pod skrzydłem bramy, wyjęła list. Ujęła go drżącymi z zimna dłońmi, sprawdzając, czy pismo się nie rozmazało. Upewniwszy się, że wszystko można odczytać, zaczęła zerkać w stronę Zielonego Mostu. Ilekroć wychylała się zza bramy, jej twarz owiewał porywisty wiatr.

Port zamarł, było cicho. Dwa holenderskie okręty stały przycumowane przy Długim Pobrzeżu, lecz marynarze poszli, wyładowawszy towar. Z karczmy pod Krowim Mostem słyhać było ich pijackie śpiewy. Choć dziewczynka szczękała z zimna zębami, a jej suknia przemokła od śniegu, stała, owijając się szczelniej futrem. Kucnęła, by przykryć nogi. Przyjemne

ciepło rozeszło się po całym ciele. Tak przykrytą, z głową schowaną w futrze, znalazł Florian.

– Ludwiko? – zapytał zdumiony, dotykając jej ramienia.

Ocknęła się. Oczy zaszklily się jej ze wzruszenia. Dopiero teraz, widząc jego twarz, zdała sobie sprawę, jak bardzo Florek jest dla niej ważny. Stanęła naprzeciw, ale uczucie dystansu tkwiło między nimi jak zadra. Nie widzieli się od dnia teatralnej próby.

Ruda czupryna chłopca, w której połyskiwał topniejący śnieg, wydawała się teraz jeszcze bardziej płomienna. Florek łypnął bystro na Ludwikę i zdał sobie sprawę, że mu wybaczyła. Mimo to skłonił się przed nią, jakby była możliwą panną.

– Ludwiko, czy mi wybaczyłeś i możemy znowu się przyjaźnić? Bardzo mi na tym zależy.

Schulżówna nie pojmowała tego zachowania, ale wiedziała, że jej wychowanie różniło się od Florkowego. Pomna tego, skłoniła się również, choć okrycie prawie spadło jej z ramion. Zaczęła dygotać, bo wiatr wpadł pod skrzydło bramy.

– Tak, już dawno chciałam ci wybaczyć. Czuję okropny smutek... jestem sama...

Nie dokończyła, bo żal odjął jej mowę. Zacisnęła usta, uświadamiając sobie, że przez ostatnie tygodnie szukała przyjaznej duszy. Teraz gdy patrzyła na Florca, wiedziała, że nigdy nie pozna nikogo bliższego jej sercu. Wejrzał w dziewczęce oczy, rozumiejąc, co chciała powiedzieć. Potem okrył ją futrem, bolejąc, że zziębnięta panna może się rozchorować.

– Nie chciałem być wtedy niedobry dla ciebie, naprawdę. Jak tylko uciekłaś, zdałem sobie sprawę, jaki jestem głupi, i pobiegłem za tobą, ale na nic – nigdzie cię nie znalazłem. Matka ciągle mi ostatnio mówi, że jestem

okropny, a ja po prostu nigdzie nie mogę sobie znaleźć miejsca. Ale najważniejsze, że mi wybaczyłeś i możemy znowu rozmawiać.

Ludwika patrzyła na rozpromienionego Florka i czuła, że dla niego wszystko jest proste. Oczywiście było, że przyjaciółka obraziła się na niego, a potem mu przebaczyła, na co rzecz jasna musiał poczekać. Teraz uważał, że wszystko jest w porządku. Zaczął się radować spotkaniem, choć Ludwika nie podzielała wesołości. Musiała dowiedzieć się, co oznacza list od Barbary i jakim człowiekiem jest jej ojciec.

– Wiesz, że śniło mi się ostatnio prawdziwe drzewo cytrynowe? Jak myślisz, czy to oznacza, że kiedyś zostanę sławnym podróżnikiem i będę pływał po wodach, aż dotrę tam, gdzie rosną cytryny? Bardzo bym chciał takie drzewo zobaczyć. Profesor Kerschenstein kazał nam ostatnio narysować marzenie i narysowałem to drzewo. Było piękne, jak się patrzy! Całe żółte, a zamiast liści miało cytryny. Dostałem od Kerschensteina bure i po łapach różgą rzemienną, aż mnie do teraz boli. Powiedział, że marynarzem może być byle kiep, a drzewa cytrynowe tak nie wyglądają, bo kto to widział całe żółte drzewo. Jak myślisz, Ludwiko? Przecież on nigdy takiego drzewa nie widział, to skąd wie? Może to w mądrych księgach zostało zapisane...

Ludwika słuchała Florka nieuważnie, bardziej na niego patrzyła. Na jej twarzy igrał zawadiacki półuśmiech, bo przyjaciel nie zmienił się ani trochę. Nieustępliwie wierzył w marzenia.

– Myślę, że drzewo cytrynowe jest całe żółte. Przecież niemożliwe, żeby drzewo dające taki kolor owoców było zwyczajne – pocieszyła go.

– O tym samym myślałem, ale tego już nie powiedziałem, żeby nie dostać drugi raz różgą. Kerschenstein bywa bardzo wymagający. Ostatnio rzucił nożykiem w swoją ławę, aż podskoczyliśmy. To znaczy inni chłopcy.

Ja nie, bo jestem nieustraszony. Muszę taki być, żeby pokonać groźnego lwa, gdy zobaczę go w głuszy.

– Jeśli mowa o groźnym lwie – powiedziała cicho Ludwika, międląc w rękach list – czy możesz mi pomóc?

Poważne pytanie wywarło wrażenie na Florku. Tak samo patrzyła jego matka, kiedy działo się coś niepokojącego. Podobnie jak Ludwika, spuszczała wzrok, a pierś falowała jej pod wpływem emocji.

– Tak – odparł niepewnie.

Podąła mu list.

– Proszę, przeczytaj mi to.

Ukłonila się na wszelki wypadek. Bardzo jej zależało, żeby Florek przeczytał list. Przyjaciel przebiegł wzrokiem po pierwszym akapicie i westchnął.

– Ależ Ludwisiu! Przecież to jest list, a w dodatku nie do ciebie.

– To jest list do mojego ojca, który nie umie czytać. Ja chcę mu go przeczytać, ale sama nie umiem – skłamała Ludwika.

– Twój ojciec nie umie po niemiecku?

– Po niemiecku?

– List jest po niemiecku. Ale nie łam sobie tym głowy, u mnie w domu tak się mówi.

No tak. W ogóle nie przeszło mu przez myśl, że mój ojciec nie umie czytać w żadnym języku, pomyślała z goryczą Ludwika.

Były nieliczne chwile, gdy Schulzówna zauważała wyraźnie granicę między jej rodziną i rodem Florka Steina. On nie zwracał jeszcze uwagi na niewidoczną linię, która ich dzieliła, ale na pewno w przyszłości stałaby się wyczuwalna i była problem nie do rozwiązania.

– *Najmilszy panie Schulz – zaczął czytać Florek. – Wiedz, że jesteś mi drogi. Protekcja, którą mnie objąłeś, wystarcza na skromne wydatki, za co jestem wdzięczna. Nie mogę jednak udawać ślepoty, kiedy widzę. Widzę, żeś pan oszust zakradający się do niewieściego serca podstępem. Trudno mi ignorować, co mówi moja czeladź sypiająca na poddaszu. Dziewki służebne za plecami śmieją się ze mnie i gadają, że pan, którego wpuściłam do serca i wszystkich sekretów duszy, jest najprawdziwszym krętaczem bez honoru.*

Ludwika patrzyła w skupieniu na Florka i łowiła każde słowo. Chłopiec spojrzał na jej twarz.

– Ludwiko, co to jest? – zapytał.

– Nie czas na tłumaczenia, błagam, czytaj.

– *Zniweczyłeś i w proch obróciłeś mój szacunek i zaufanie. Lecz, choć jestem panią surowego obyczaju, na moje słowa racz zważać, panie. Oto jestem gotowa przebaczyć ci zniewagę i oszustwo i daną obietnicę spełnić. Jeden jest tylko warunek – musisz to samo zrobić ze swoją małżonką, co zrobiłeś z moim małżonkiem. Nie ma innej rady ni wyjścia. W obliczu prawa świeckiego i Bożego nakazuję ci pod osłoną nocy dokonać mordu, który będzie wyglądał na zbieg okoliczności i przypadek wielce nieszczęsny. W ten oto sposób pokażesz, że jestem ci droga, a twoje winy zostaną odpuszczone. Małą jestem w stanie przyjąć i jako macocha wychować, traktując jak swoją. Znaj, panie, ten gest łaski. Oby mój list natchnął cię odwagą i męstwem. Bacz, aby go spalić czym prędzej po przeczytaniu, jeśli trafi w nieodpowiednie ręce, to będzie wielkie nieszczęście.*

Zdruzgotany Florek spojrzał wielkimi oczami na przyjaciółkę. Ludwika stała przerażona naprzeciw niego, ledwo oddychając. Z oczu płynęły łzy. Potwierdziło się to, co starała się wyprzeć. Godzinę wcześniej ganiła siebie za podejrzenia i próbowała przekonać, że ojciec nie zamordowałby matki. Znała go przecież od zawsze, surowego i krnąbrnego, lecz żyjącego z nią

pod jednym dachem, dzielącego strawę. Znała jego gniew, uśmiech i wszelkie przejawy skąpej dobroci. Niekiedy obdarzał ją uśmiechem przed snem, zbił dla niej toporne sanie z drewna dębowego. Pamiętała, jak wspinał się dla niej po najlepsze gałęzie i spadł, mocno raniąc łydkę. A potem matka gniewała się, że wspinał się tak wysoko. I co miałyby zrobić z przeszłością, uśmiechami, szorstkim usposobieniem i zaciętym charakterem? Wszak nie była to obca osoba, lecz ojciec, choć często surowy i despotyczny, to własny.

– Jest jeszcze podpis – szepnął Florek.

Unikał jej wzroku. Nagle stał się wycofany, bowiem to, co przeczytał, przeraziło go bardziej niż koszmary o dzikich lwach i tygrysach z dalekich krajów. Nagle na nic przydały się sny o drzewach cytrynowych, a podróże jawiły się jako odległe nieistotne mrzonki. Florek po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że są ludzie, którzy posiadli wiedzę dla niego niedostępną – szarą, ponurą niczym listopadowy poranek. Przyjaciółka, którą tak wielbił, miała życie nieznośne, skomplikowane tak, że on – wesołek z najlepszej prywatnej szkoły w Gdańsku – nigdy tego nie pojmie.

Ludwika pociągnęła nosem.

– Barbara Schwarz się podpisała? – zapytała.

– Tak... Twój ojciec wziął pod protekcję Barbarę Schwarz i zam... zamordował jej męża?

Rzut oka na Ludwikę wystarczył. Dziewczynka stała zapłakana, łzy spływały jej po twarzy, a mroźny wiatr szybko je osuszał.

– Wiedziałam – szepnęła.

Odetchnęła zimnym powietrzem. Trzęsła się z chłodu, ale przede wszystkim z przejmującego lęku. Nic już nie było takie, jak wcześniej, cały świat rozleciał się nagle jak zamek z kart.

Florek również się bał. Patrzył ze współczuciem na przyjaciółkę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Do tej pory nigdy nie musiał nikogo pocieszać. Uzmysłowił sobie, że żyje w bańce, do której nie docierają sygnały o cudzych nieszczęściach, a nawet jeśli, to są to ludzie nieważni, dalecy, więc nie warto się nimi przejmować. Tym razem było inaczej.

Chłopiec nieśmiało zbliżył się do Ludwiki i przytulił ją. Marzli tak w uścisku oboje. Fizycznie jeszcze dzieci, lecz duchowo ludzie dojrzały, odpowiedzialni za nieodwracalne w skutkach decyzje. Oboje przecież zdawali sobie sprawę z tego, że należy coś uczynić. Ludwika rozluźniła uścisk, zabrała kartkę, po czym pożegnała przyjaciela wzrokiem przepełnionym bólem. Odpowiedziały tylko jego oczy. Po raz pierwszy smutne, niepewne jutra. Cokolwiek Ludwika zamierzała uczynić, musiało to zaważyć na jej dalszym życiu.

Ludwika szła do ratusza. Starła się nie zwalniać, bo bała się, że dopadną ją wątpliwości. Należało opowiedzieć o wszystkim burmistrzowi, rajcom, a właściwie wykrzyczeć na cały Gdańsk, że ona – Ludwika – ma ojca potwora, którego trzeba powiesić. Kiedy uświadamiała sobie, że Daniel Schulz w ten sposób zakończy żywot, wyrywał się z jej piersi głuchy szloch, a serce bolało okrutnie. I to ona, jego córka, ma go zdradzić, by ochronić matkę. Była to wizja tak czarna, że Ludwika dotarła do ratusza zgięta w pałąk, rozpaczająca, trzymając się za serce, nie na swój wiek poważna.

W dłoni kurczowo trzymała zmięty list. Chciała odrzucić go ze wstrętem, ale był jedynym dowodem na prawdziwość zarzutów. Stała przed drzwiami, ale nie wchodziła. Zrzuciła z siebie baranie futro, by lodowaty wiatr otrzeźwił jej myśli. Nie dbała już o zdrowie; prosiła Boga, by za zdradę zesłał jej chorobę i śmierć.

Wątpliwości dopadły ją jak ruchome cienie. Pojawiały się i znikwały, krzyżowały z nowymi myślami. Ludwika próbowała myśleć trzeźwiej, ale nerwy zawładnęły nią, spowiły żołądek aż do mdłości i ogarnęły ściśnięte żalem serce. Nic już nie było w stanie jej powstrzymać, choć wciąż stała przed ratuszem targana rozpaczą. A zaraz potem, jak jaśniejący obraz w ciemności, zobaczyła w wyobraźni dobrą twarz matki. Poczuła też na plecach wszystkie razy otrzymywane różgą od ojca. Te wspomnienia przywróciły świadomość. Należało ratować wiecznie umęczoną demonami tę, która wydała ją na świat, dawała ostatnie kęsy chleba i nieśmiałą miłość.

Twarz Wandy podziałała na zbolełą duszę jak okład. Ludwika niemal poczuła matczyne suche ręce na swoich dłoniach. Zgarbiona weszła do ratusza i pierwszym, kogo spotkała, był drugi burmistrz miasta, Christian Schröder. Ze zdumieniem spojrzał na zmarzniętą zapłakaną dziewczynkę, a jej czerwone oczy i liche odzienie przejęły go do głębi.

– Dziecię, czego tutaj szukasz? – zapytał.

Ludwika walczyła ze sobą, by powstrzymać łzy. Choć ciało broniło się przed tym, co zamierzała zrobić, podała burmistrzowi list od Barbary Schwarz. Schröder przebiegł wzrokiem kartkę, pod koniec czytając uważniej. W końcu wybałuszył oczy.

– Dziecko, co to znaczy?! – krzyknął zdumiony.

– To jest list od Barbary Schwarz, wdowie po Rudolfie Schwarzu, do mojego ojca – Daniela Schulza. Jaśnie panie, proszę coś zrobić, on zabije moją matkę.

Burmistrz stał bezradnie, patrząc na rozpaczające dziecko. Znał Schwarzową i nie wierzył, by mogła zhańbić się tak niewybaczalnym grzechem. Charakter pisma wskazywał jednak wyraźnie, że jest winna.

– Uspokój się, panienko. Kimże jesteś i kim jest Daniel Schulz?

– Daniel Schulz to mój ojciec. Żyjemy w Starych Szkotach, ojciec był karczmarzem. Potem najął się u Johanna Schmidta w zakładzie. Zakazał mówić, bo to nielegalne. Ostatnio się stamtąd zwolnił.

– Dziecko drogie, powoli, bo nic z tego nie pojmuję! Karczmarz ze Szkotów miał się zatrudnić u Johanna Schmidta? I Schmidt na to przystał? Wolne żarty! Karczmarz ze wsi starający się o względy Barbary Schwarz? Co to za banialuki? Czymże niby karczmarz, a nawet uczeń gdański, miałby opłacić bogatą mieszczkę?

Ludwikę zatkało, ale po chwili już wiedziała, że i tak nie utrzyma tajemnicy, od której wszystko się zaczęło.

– To Daniel Schulz ukradł pierścienie króla.

– Nie, nie, nie – mówił Schröder bezładnie.

Pokręcił głową, jakby opowieść nie odpowiadała faktom, po czym usiadł na niewielkim krześle pozostawionym w ciemnej poczekalni ratusza. Widać było, jak układa w głowie kolejne prawdopodobne wydarzenia. Nic przy tym nie mówił i Ludwika widziała po jego twarzy, że nie życzy sobie dodatkowych słów. Po chwili argumenty dziewczynki zaczęły mu się układać w przerażającą całość. Zerwał się z krzesła, przeczytał dokładnie list jeszcze raz, a potem przypadł do Ludwiki. Potrząsnął ją za ramiona.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?! Skąd wiesz, że królewskie pierścienie ukradł twój ojciec? Przecież to nie może być prawda! Jakże zwykły cham miałby włamać się do królewskiej sypialni?!

– Widziałam je, trzyma pierścienie w desce pod podłogą. Nakrył wyrwę skrzynią.

Schröder poczerwieniał.

– Ładnie się podmiejscy partacze bawią! Zatem twój ojciec najpierw ukradł pierścienie, bo myślał z twoją matką, że będziecie za to żyć dostatnio? A potem potajemnie uknuł spisek z Barbarą Schwarz?

– Matka o niczym nie wiedziała!

– Akurat! – zapienił się burmistrz.

Chwycił Ludwikę za ramię.

– Wszyscy zostaniecie pojmani!

Ludwika w lot pojęła, co to znaczy. Nie ocali matki, pograży ją bardziej i skaże całą rodzinę na szubienicę. Musiała wydostać się z uścisku. Tylko wolna mogła działać.

Z całej siły wgrzyła się w wierzch dłoni Schrödera. Poczowała pod zębami gumiąstą skórę, więc szarpnęła, by dobrać się do mięsa. Burmistrz zawył jak oszalały i puścił ramię dziewczynki. Wybiegła z ratusza gnana obelgami. Uciekała na oślep, nie zważając na to, dokąd poprowadzą ją kolejne uliczki.

Śnieg przestał padać. Była to jedyna dobra nowina, reszta zdawała się nikać w mroku rozpacz. Ludwika wiedziała, że czym prędzej powinna poszukać kogoś, kto wybawi matkę z kłopotów, ale przychodził jej do głowy tylko chorąży koronny Konrad Jezierski. Stała w ślepej uliczce, niepomna tego, gdzie jest ani co dalej wypada czynić. Pognała więc dalej między kamienicami. Wtedy przypomniała sobie wskazówkę Katarzyny Müller, aby patrzeć w górę. Spojrzała przez zmrużone oczy w dal i dostrzegła luteriański Kościół Mariacki. Pobiegła w tamtą stronę, a potem ulicą Długą wprost do Bramy Wyżynnej. Była przy tym niemal pewna, że u wrót do miasta pochwycą ją strażnicy albo wcześniej spotka konnicę, która ją aresztuje. Jednak miasto wciąż trwało w bezruchu pośród śnieżnej ciszy.

Strażnicy przepuścili ją bez słowa. Widać nie zdawali sobie sprawy z tego, że jest poszukiwana. Burmistrz albo darował dziecku, albo najpierw zajął się pojmaniem rodziców, wiedząc o tym, że samotne dziecko i tak w końcu przyjdzie do ratusza.

Ludwika rozglądała się wokół, mrużąc oczy, ponieważ biel raziła źrenice. Próbowwała dostrzec przed lub za sobą uzbrojoną konnicę. Niechybnie wspięłaby się na Biskupią Górkę, aby lepiej widzieć, ale ścieżkę zasypał śnieg. Nieprzystępne były też inne trakty, zatem pozostawało biec główną drogą aż do Szkotów. Sama nie wiedziała, po co się tam kieruje, lecz należało zrobić cokolwiek, choćby przekonać się, czy straż rzeczywiście aresztuje rodziców. Gdyby wyciągnęli tylko ojca, mogłaby z poczuciem ulgi wrócić do chaty.

Zobaczyła z oddali domostwa, a jednocześnie usłyszała za sobą tętent końskich kopyt. Poruszały się szybko, nie było mowy o tym, by ciągnęły powóz. Musiała to być straż konna zmierzająca do Szkotów. Ludwika odwróciła się i zobaczyła, jak nadjeżdżają. Jeszcze jej nie dostrzegli, więc dała nura w głęboką zaspę. Śnieg przysypał ją całą, aż z zimna prawie krzyknęła. Powstrzymała się jednak, zaciskając zęby. Miała wrażenie, że straż usłyszą bicie jej serca albo zastanowi je nierówna zaspą. Po chwili usłyszała, że konie przebiegają obok, a ludzie narzekają, że przez ślizgawicę nie mogą pędzić cwałem. Spieszyło im się widocznie, a jechało z sześciu. Ludwika wykopała się ze śniegu i wróciła na trakt. Baranie futro przemokło i nie dawało ciepła. Otrzepała się i chwiejnym krokiem ruszyła do Szkotów.

Chata Schulzów stała na obrzeżach, z daleka od wąskich wysokich kamieniczek. Ludwika znowu skryła się w śniegu, przeklinając chłód i sytuację. Kiedy poleżała, ze zdziwieniem zauważyła, że nie jest jej już zimno, a pokrywa śnieżna chroni ją od wiatru. Futro nałożyła na siebie, by pozostać niewidoczną. Wystawał tylko czubek głowy i oczy. Patrzyła, jak straż pyta sąsiadów o dom Schulzów.

Miechowa wyszła z chaty. Patrzyła podejrzliwie na konnicę, aż w końcu nieśmiało zapytała, czego im trzeba. Trzymała się na wszelki wypadek blisko przyzby, żeby wskoczyć do domu, jeśli tylko pytanie nie spodoba się przyjezdnym.

– Nie uciekaj do chaty, babo – krzyknął strażnik miejski. – Szukamy Schulzów. Wskaż no, gdzie mieszkają.

– A tu, obok mnie – odparła Miechowa.

Harda baba była przestraszona, choć wyglądała na pewną siebie. Przytrzymała mocniej chustkę, która spadała jej z głowy, i wskazała palcem na chatę Schulzów.

Głosy nieco przycichły. Z domów zaczęli wychodzić inni chłopię. Wylazła rodzina Obrzychów z Maciejem, a z drugiej strony pozostałe rody. Brakowało Marianny, którą przed chwilą wysłali po drewno.

Ludwika z przerażeniem patrzyła, że rodzice wychodzą na przyzbę jak pozostali. Trzej strażnicy oddali lejce w ręce towarzyszy i weszli przez furkę na podwórze. Ludwika nie mogła poznać, czy ojciec domyśla się powodu najazdu, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Kazano Schulzom wejść do chaty.

Ludwika dostała dreszczy, męczył ją katar. Wydawało się dziewczynce, że strażnicy siedzą w chacie wieczność, choć minęły trzy minuty. Wreszcie wyszli. Wanda Schulz miała na twarzy wypisane przerażenie, a Daniel spuścił głowę i milczał. Tyle Ludwika mogła zobaczyć. Z zapartym tchem patrzyła, jak rodziców załadowano na konie. Ruszyli.

– Z drogi! – krzyczeli strażnicy.

Z naprzeciwną szła zamyślona Marianna z drwami. Nazbierała ich sporo. Drewno podtrzymywała brodą, żeby nie spadło. Wzrok wbiła w ziemię, wciąż rozmyślając o tym, jaki Maciej Obrzych jest dla niej dobry i mógłby zabrać ją od matki. Nie słyszała krzyków, wyczuła tylko, że

biegną ku niej konie. Zanim się zorientowała, strażnik popchnął ją, aż zachwiała się, poślizgnęła i upadła w przydrożną zaspę.

– Łamaga – syknęła Miechowa, widząc Mariannę w zaspie.

Zawróciła do domu, ani myśląc pomagać córce. Za nią poszli też inni sąsiedzi, lecz Obrzychowie wciąż stali na podwórzu, patrząc w stronę traktu.

– Maciek, idź zobaczyć, czy z Marianną dobrze. Nie wychodzi z zasy
– zagadnął ojciec.

Maciejowi nie trzeba było dwa razy mówić. Przeskoczył przez płot i pobiegł do miejsca upadku. Wyczuł, że coś jest nie tak. Marianna ledwie ruszała nogami, ale nie mogła wydostać się spod śnieżnej pokrywy. Gdy Maciej był blisko, zauważył, że dziewczyna ma półprzymknięte powieki, a spod głowy wypływa krew.

– Marianko! – nachylił się nad nią.

Delikatnie ujął jej głowę i zobaczył pod spodem wielki kamień, na który upadła pchnięta przez strażnika.

– Marianko, obudźże się! Obudź się!

Mówił do niej coraz głośniej, nachylał się ku jej twarzy. Czerwień wsiąkała w śnieg. Chłop klęknął, wziął ciepłe ciało w ramiona, a głowę ułożył na zgięciu łokcia. Nie otrzeźwił Marianny ani padający śnieg, ani kochane ręce uciskające głowę. Obrzych mówił coś, zapominając o tym, że jego miłość nie usłyszy ani słowa. Zaczął całować szaleńczo blade usta, by porozumieć się z nią dotykiem. Wreszcie pojął, że odchodzi, odpływa do nieznannej krainy, z której już się nie wraca. Przerazająca prawda ścisnęła mu serce, w geście rozpaczony potrząsnął jej ciałem mocno, aż nieprzytomna głowa zwiesiła się przy jego kolanach, odsłaniając ranę na skroni.

– Nie umieraj, Marianko – szepnął w jej usta.

Śmierć nie usłuchała jego prośby. Maciej klęczał jeszcze długo, przyciskając do siebie ciało ukochanej. Łzy mężczyzny stygły na jej twarzy.

Wokół było cicho. Śnieg sypał coraz mocniej, osiadając na zakochanych.

XX



Dwór wybrał się poza miasto na kulig. Radowano się, bo śnieg tchnął w dostojników orzeźwienie. Optymizm wlał się w serce chorążego Jezierskiego, choć dumał nad losem żony, której poród wypadł na początku grudnia. Król zarządził, by jego powiernik jechał innymi saniami z dostojnikami niedarzącymi go sympatią. Jan III wciąż gniewał się na Jezierskiego za list przechwycony od posła duńskiego. Odsunął ulubieńca, a wiadomość o degradacji dotarła już nawet do Warszawy.

Konrad zrazu wielce się tym przejmował, ale po czasie zrozumiał, że król musi ochłonąć i przemyśleć dalsze posunięcia. Nie zamierzał mocno karać chorążego, bo wiedział, że za takie przewinienie szkoda by było stracić zaufanego człowieka.

Za Gdańskiem na monarchę i dwór czekały sanie. Sobiescy wsiedli do najpiękniejszych z wyrzeźbionym ornamentem w kształcie listowia. W środku obito je zielonym aksamitem, pod który włożono gęsie pióra, a na nie dano drogie futra sobole. Uprząż koni bogato zdoił bursztyn lubiany przez możnych. W cug maścisty zaprzężono neapolitańskie konie zwane dzianetami. Karym umaszczeniem kontrastowały z bielą śniegu. Z części grzyw upleciono warkoczyki, a pozostałe włosy swobodnie spływały do karku. Czarne ogony obwiązano czerwonymi wstążkami. Jan III

z ukontentowaniem zerkał na szóstkę silnych koni. Od chomąta wzdłuż grzbietów szły bogato zdobione szory budzące zachwyt. Dworzanie patrzyli zazdrośnie na okazały cug, myśląc skrycie, że lepszego nie wymyśliliby nawet w Warszawie.

Pozostałe powozy były skromniejsze, ale również budziły podziw. Konradowi przypadły duże sanie mieszczące pięć osób. Dziób sań wykrzywiał się fantazyjnie, tworząc u góry rzeźbiony łeb dzikiego zwierza z wysuniętym pofalowanym jęzorem. Do powozu zaprzężono cztery dzianety przykryte strojnym jedwabiem barwionym na złoto. Tu i ówdzie przyszyte były perły, a na dole rubiny. Dół wieńczyły dzwoneczki. Kiedy koń poruszał się, słychać było, że rozpoczyna się kulig.

Konrad usiadł w saniach, a z nim trzech dostojników. Podano na zachętę trochę wina w cylindrycznych szklanicach. Gdy towarzystwo wypilo trunek, rozpoczęły się nawoływania forszpanów. Dosiedli oni wierzchowców przy każdym zaprzęgu i ruszyli, pamiętając o tym, by para królewska rozpoczęła kulig jako pierwsza.

Nie zapomniano o muzyce. Po prawej stronie jechali muzykanci. Trzymali się w siodłach pewnie i nie gubili zaprzęgu. Przygrywali głównie na piszczałkach, ale z tyłu dochodziły też mocne dźwięki trąb, a na końcu bębnow. Konie muzykantów były solidnie podkute, by się nie ślizgały.

Ścieżyna wiodła daleko za pola, aż do lasów i osuszonych bagien. Najpierw popędzono zaprzęgi kłusem, a po chwili, gdy goście wygodnie się rozsiedli i złapali za uchwyty wewnątrz powozów, popędzono dzianety szybciej.

Konrad spoczywał na atlasowej wyściełanej poduszce obitej czerwonym aksamitem. Okryty był nie tylko własną szubą, ale też sobolim futrem. Rozgrzany i rozpromieniony rozsiadł się w saniach, podziwiając uroki zimy. Konie przyspieszyły. Jezierski poczuł na twarzy mroźny

powiew, aż szczypały go policzki. Uśmiechnął się zadowolony, a potem gromko roześmiał jak pozostali towarzysze wycieczki.

Z początku jechali prostą drogą, lecz wkrótce trakt się rozwidlił. Wybrana przez forszpanów ścieżka zakręcała tu i ówdzie, więc trzeba było przytrzymywać kołpaki. Niektórym nakrycia spadały z głów, a ostatni zaprzęg musiał się zatrzymać, bo dworski dostojnik zgubił w pędzie futro. Zabawa była doskonała. Śnieg skrzypiał pod saniami, a konie pokonywały zaspę. Konrad mijał pobielone drzewa, dziwiąc się, ile piękna przyroda może przeciwstawić brzydocie. Zaprzęgi jechały głównym traktem prowadzącym przez las. Nagie gałęzie obsypane białym puchem mieszały się z zimozielonymi iglakami. Gdy zajechano pod Brzeźno, forszpani zatrzymali zaprzęgi i polali gościom gdańskiej wódki na rozgrzewkę. Konrad wypił kilka kieliszków. Trunek na mrozie smakował wybornie, gorycz najpierw zapiekła w gardle, a później pozostawiła gryzący posmak pulsujący aż w głąb przełyku. Zewsząd rozlegały się głosy zachwytu. Nikt w Rzeczypospolitej nie znał się tak dobrze na mocnych trunkach jak gdańszczanie. W szalonym pędzie Konrad czuł się szczęśliwy, bo w ciasnym mieście brakowało mu wiatru i przestrzeni. Nic dziwnego, że gdy znów ruszyli, rozpierała go radość, a beztroska czyniła serce lekkim. Z rzadka mijali wsie. Dzwoneczki zawieszane u końskich jedwabnych szat zawiadamiwały wieśniaków o tym, że będzie przejeżdżał kulig. Biel kłuła w oczy, marszczyła nosy i czoła. Forszpani popędzali konie, bo trakt znowu biegł prosto. Znali zaś teren lepiej niż ktokolwiek inny, dlatego uspokojony Konrad rozluźnił się, otworzył szeroko oczy, by po chwili zamknąć je, tak mocno wiało. Poczował łyż pod powiekami, ale zdążył dostrzec wspaniałe pokryte śniegiem łąki, zaś w oddali las, który wcześniej mijali. Chorąży poczuł, że gdzieś daleko istnieje wolność od wszystkich trosk, które trapią

człowieka. Nie wiedział, czym ta wolność jest – może śmiercią, a może wiecznym podążaniem.

Wracał radosny, podobnie jak polski władca, który wyglądał bardziej na ucieszonego chłopca niż wielkiego żołnierza i króla. Od śmiechu zrobiły mu się bruzdy w kącikach ust, a w oczach pojawiły iskierki. Konrad patrzył na Sobieskiego z czułością, wiedząc, jak dalece nie powiodła się wyprawa do Gdańska.

Wracał do kamienicy samotnie, szybciej od pozostałych, bowiem świta towarzyszyła królewskiej parze i księciu Jakubowi oglądającym najwspanialsze gdańskie pojazdy. Wszystkim udzielił się nastrój beztroski, bo nie dotarły do nich jeszcze wieści o pojmaniu Schulza. Konrad szedł przez zasypany śniegiem Gdańsk, rozglądając się wokół. Czuł się coraz bardziej nieswojo pośród ciszy wiszącej nad opustoszałym wielkim miastem. Patrycjat zamknął się w kamienicach, ruch w porcie zamarł, a nieliczni marynarze z różnych stron Europy ogrzewali się w karczmach przy gorzałce. Część straganiarzy trzymała zakłady otwarte, ale małe budki skromnych kupców stały puste i zasypane śniegiem.

Choć szczypał mróz, Konradowi było ciepło. Jazda rozgrzała jego żołnierskie serce, więc teraz starał się ochłodzić delikatnie, by się nie przeziębic. Rozchylił poły szarawej szuby zdobionej złotymi guzami. Ukazał się długi jasny kontusz i złoty pas. Konrad czuł się po przejeździe szczęśliwy, a radości dopełniało przecucie, że wkrótce król postanowi wracać do Warszawy. Jezierski mógłby pojechać wreszcie do rodziny.

Zauważył ją od razu, choć próbowała się ukryć za pustym straganem. Jasnowłose dziecko, które zapamiętał z egzekucji Katarzyny Müller, chowało się przed uważnymi oczyma.

– Co to za harce? – mruknął.

Nie wszedł do kamienicy. Stał, podpierając się pod boki i obserwując z rozbawieniem, jak dziewczęca główka wynurza się i chowa znów za ściankę straganu. Przeszedł kilka kroków, lękając się, że wystraszy dziecko, ale im bardziej się zbliżał, tym wyraźniej widział, że dziewczynce zależy na rozmowie. Wyszła powoli, nieufnie spoglądała na chorążego. Potrafił uśmiechać się rozbrajająco i wiedział o tym. Szedł ostrożnie, ale im bliżej podchodził, tym większe ogarniało go zdumienie. Podobieństwo do łodzianki Wandy Sobótko było uderzające. Zdawało mu się, że oto na dalekiej północy, na krańcu Rzeczypospolitej, widzi jako żywo mieszczkę, która niegdyś kochała go prawdziwie i szczerze, nie zaś z przywiązania lub rodowego wychowania. Dziecko miało co prawda inny kolor oczu i masywniejszy podbródek, ale linie wokół nosa i kości policzkowe, a nawet kształt ust były niezwykle podobne do fizjonomii Wandy.

Stłumił dawne sentymenty, wszak Wanda pochodziła z miejskiego motłochu, nie mogła więc konkurować ze szlachciankami o względy jego rodu. Dlatego ją odrzucił. Teraz również miał przed sobą miejską lub nawet chłopską bidę zniszczoną przez surowe wychowanie. Zawziął się, starając się odgonić dawny afekt tajony nawet przed samym sobą.

To tylko myśli. Głupie, niepotrzebne myśli, rozsądził rozumnie.

Dopiero gdy stanął przed nią, tak że niczego nie mogła udawać, wziął się w garść. Spojrzał na dziewczynkę z góry, o wiele surowiej, niż na to zasługiwała. Próbował zdusić wspomnienia i stłumić silne uczucia.

Dziewczę mogło mieć najwyżej dwanaście lat. Ubrane było lichy, choć miało na sobie solidne baranie futro. Gdy Konrad przyjrzał mu się bliżej, zauważył, że jest mokre od śniegu. Podobnie sukienka i rozdarte tu i ówdzie żółtawe trzewiki, z których wystawała słoma. Uwagę przykuwało

baczne spojrzenie dziecka śledzące zmiany na twarzy Konrada. Wreszcie, aby ją speszyć, popatrzył prosto w ciemne oczy.

Skłoniła się nisko, przykrywając oczy rzęsami. Było w tym więcej niedbalstwa niż kokieterii, ale Konrad nie wymagał wiele od ciżby.

– Szukasz kogoś, dziewczę? Zgubiłaś drogę do domu?

Zaprzeczyła głową gorączkowo, ale głos uwiązł w jej gardle. Brązowe oczy zaszyły łzami.

– Wracaj do domu, bo cię jeszcze jakaś choroba zastanie. Mróz dzisiaj okrutny.

Chciał odejść, ale dziewczynka nie ruszała się z miejsca. Wciąż patrzyła smutno, z wyrazem zawodu, zupełnie jak kiedyś Wanda Sobótko. Spotkanie z dziwną istotą zaczęło ciążyć Konradowi.

– Nie potrafisz mówić, dziecino? – zapytał.

Sam nie wiedział, po co troszczy się o cudze dziecko. Powinien odwrócić się na pięcie, zawinąć szubę i pójść ogrzać się do kamienicy. Marzył teraz piekielnie.

– Potrafię, jaśnie panie – odpowiedziała po chwili dziewczynka.

Stali teraz naprzeciwko siebie. Konrad wstrzymał dech, bo spojrzenie dziewczynki było natarczywe. Mógłby przysiąc, że wiedziała, z kim rozmawia, i to do niego ma sprawę niecierpiącą zwłoki. Kucnął przed nią, równając się wzrostem. Przez chwilę surowo lustrował jej twarz, czując dawne rany, których istnienia najczęściej do siebie nie dopuszczał.

– Jaśnie pan jest moją jedyną nadzieją – szepnęło dziecko.

– Jeśli idzie o pomoc uboższym, to przeznaczam wiele na ten cel. Ostatnio zaś dwór wsparł budowę nowego kościoła w Gdańsku.

Kiedy to mówił, wyczytywał z twarzy dziewczynki, że nie po to z nim rozmawia i nie obchodzi jej żadna budowa ani pomoc uboższym.

– Jak jaśnie pan nie pomoże, to zostanę sierotą – powiedziała.

Łza spłynęła jej po policzku. Konrad wstał z kucek i spojrzął na dziecko z pogardą.

Po cóż ja z nią rozprawiam? Co mnie obchodzą problemy biedaków? Pełno tego łązi po świecie, a jak już jednej pomożesz, to cała hałastrza zacznie się schodzić po mamonę i ochronę, rozmyślał, a jednak wciąż nie ruszał się z miejsca.

Czy miękkie serce, czy proszące oczy dziecka, czy uderzające podobieństwo do łódzkiej mieszcanki Wandy Sobótka, dość, że Jezierski stracił głowę.

– Bo moja matka nie miała nic wspólnego z tą kradzieżą, ale w ogóle nie chcą w to wierzyć. Powiedziała mi, żebym w razie kłopotu poszła do chorążego koronnego, jaśnie pana Konrada Jezierskiego po pomoc.

– Jaka matka? Twoja matka tak ci powiedziała? Dziecko, co to za banialuki? Kim jest twoja matka?

– Wanda Schulz.

– Nie znam żadnej Wandy Schulz – zachnął się ostro.

Imię łodzianki, którą widział ostatnio jedenaście lat temu, podziałało na niego jak dotknięcie rozpalonego polana.

– Błagam! – krzyknęła dziewczynka.

Zauważyła, że Konrad chce odejść. Nie mógł tego uczynić, w nim widziała jedyną nadzieję.

– Dobrze, dziecko. Znaj łaskę dworu, który swoją mocą obejmie i ochroni każdego. Opowiedz, jaka szkoda stała się twojej matce i tobie.

– Nazywam się Ludwika Schulz, a mój ojciec, Daniel Schulz, ukradł królewskie pierścienie. Potem zamordował Rudolfa Schwarza, by zdobyć rękę Barbary Schwarz, wdowy. To ona rozkazała mu pozbyć się żony, czyli mojej matki.

Choć dziewczynka powiedziała to z wielką mocą, po chwili zbladła i zatrzęsła się ze strachu. Konradowi przez chwilę wydawało się, że śni. Oto stała przed nim niewinna panna z motłochu rozprawiająca o mordach i intrygach, jakich nie powstydziliby się najohydniejsi zbrodniarze. Jezierski wejrzał w jej rozumne oczy, a potem dotknął dłonią czoła.

– Nie majaczysz w malignie? – zapytał.

– Mówię prawdę! – oburzyła się Ludwika. – Matka powiedziała, żeby w razie najgorszych frasunków odszukała jaśnie pana i spróbowała nakłonić go do pomocy. Błagam – dodała.

W jej oczach dostrzegł desperację. Ta sprawa była dla niej naprawdę ważna.

– Gdzie są teraz twoi rodziciele?

– Straż konna po nich przybyła aż do Starych Szkotów. W sześciu weszli do chaty i ich zabrali, widziałam! Ukryłam się w zaspie, żeby mnie nie złapali, a ich powieźli, pewno do katowni. Tylko w jaśnie panu nadzieja.

A więc chłopka, pomyślał Jezierski ze wstrętem.

Miał dosyć mrozu i osobliwej spowiedzi, w której nie dostrzegł logiki. Jednakże dziewczynka mówiła o pierścieniach królewskich, a to przecież sprawa dworu. Jako chorąży mógłby pójść do lochów, by przekonać się, o co ta afera.

To były jednak tylko pozory, pod którymi czaiła się nieśmiała nadzieja, że matka dziecka to Wanda Sobótka, tyle że pod innym nazwiskiem. Ta myśl zawstydziła Konrada, poczuł przedwczesne rozczarowanie.

Z pewnością chłopka spod Gdańska, niejaka Wanda Schulz, to nie łodzianka Wanda Sobótka. Nic się nie zgadza, nic nie pasuje oprócz imienia i podobnych rysów dziecka, pomyślał gorzko.

– Dajże mi spokój – warknął w przypiływie nagłego żalu.

Próbowała jeszcze coś powiedzieć, zatrzymać go, nie nastając na szlachecką godność, ale nie śmiała się sprzeciwić. Konrad odwrócił się, okrył szczelniej szubą i szybkim krokiem ruszył w stronę kamienicy. Dobry humor prysł.

Nigdy więcej rozmów z głupimi chłopami, myślał ponuro.

Wszedł do kamienicy, nie oglądając się. Ledwie przekroczył próg sieni, usłyszał rwetes. Przewrócił oczami, przeczuwając, że nowa rewelacja przeszkodzi mu w odpoczynku. Ukrył grymas zniecierpliwienia przed służkami. Z piętra schodził poruszony Sobieski. Minę miał smutną. Niedawna beztroska ulotniła się.

– Konradzie, gdzie ty się podziewasz, do ciężkiego licha?! Przed chwilą był u nas burmistrz. Powiedział, że złapali złodziei kosztowności dworskich. Ponoć to parka spod gdańskiej wsi. Nazywają się Schulzowie. Całe miasto szuka ich córki, która opowiedziała o haniebnym czynach rodzicieli. Nawet pokazała list, że jej ojciec rozmówił się z wdową po Schwarzu, żeby ją poślubić. Galimatias w tym, że on ma żonę. Gdzie ty się w ogóle szwendałeś w taką zawieruchę?!

Do Konrada dolatywały strzępy wiadomości, tak bardzo był pochłonięty tym, że przed chwilą zbył ważną osobę dla dworskiego interesu. Zaklął po cichu, pokłonił się królowi i oznajmił, że oczekuje na dyspozycje.

– Pojedziesz teraz czym prędzej do lochów Wieży Więziennej i dowiesz się, co za ludzi tam trzymają. Wywiedz się wszystkiego, a co trzeba będzie, spisz. Bardzo jestem ciekaw tej sprawy.

Konrad już wychodził, gdy król zatrzymał go i na odchodne poinstruował:

– Jeśli natkniesz się na samotne chłopskie dziecię, zapytaj je o nazwisko. Jeśli powie, że Schulz, pochwyć i zanieś do Wieży. Poszukują dziewczki o jasnych włosach. Ona opowiedziała o wszystkim burmistrzowi,

lecz kiedy próbował ją zatrzymać, ugryzła go w rękę. Bądź zatem bardziej stanowczy, ale ostrożniejszy od niego.

Konrad skłonił się i wyszedł bez słowa. Zimny wiatr ponownie owiał jego przystojną twarz. Rozmyślał o tym, gdzie mogło schować się dziecko i czy na pewno powinien zgodnie z rozkazem złapać je i zaprowadzić do strażników. Twarz małej Ludwiki Schulz wydawała mu się szczerą i pełną rozpacz. Czyżby jej matka rzeczywiście nie wiedziała, że tuż pod jej nosem mąż chowa skradzione królewskie pierścienie?

Gdzie ci chłopcy mają głowy? Czemu nie interesuje ich własne życie? – zastanawiał się.

Starał się też z całych sił przygotować na rozczarowanie, że w lochu nie odnajdzie Wandy Sobótko. Wzdrygnął się, zdecydowanie wyrzucając z myśli taką możliwość.

XXI



Wysoka Wieża Więzienna mieściła się między dwiema bramami – Długouliczną i Wyżynną, która była jednocześnie wjazdem do Gdańska. To tam trzymano osobno Daniela i Wandę.

Kobieta niewiele rozumiała z sytuacji. Do chaty weszli strażnicy, przesunęli skrzynię i wyjęli spod deski pierścienie. Pojęła tylko, że Daniel ukradł kosztowności swoim zwyczajem, ale nie łączyła rabunku ze sprawą dworską. Nawet nie śmiała przypuszczać, że jej mąż byłby na tyle chytry, by okraść króla Polski. Tej niewiedzy na razie nikt nie rozwiewał.

Czuła się dziwnie, na przemian strasznie i obojętnie. Daniel od dawna budził w niej wstręt, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że czeka go szubienica. Ze zgrozą doszła do wniosku, że chciałaby się od niego uwolnić, choćby w ten sposób. Na nic rozbudzanie wspomnień. Niedawne konflikty tylko utwierdzały Wandę w przekonaniu, że jej mąż mówi językiem, którego ona nie rozumie i którym gardzi. Jednak gdy uświadamiała sobie, że zostanie sama z córką – nie wątpiła, że przesłuchają ją i wypuszczą – uczucie grozy wypełniało jej serce. Pogłębiało się ono z każdą godziną, bo nowe możliwości pokazywały, że sytuacja może być groźna.

Nie wiedziała, czy ktokolwiek uwierzy w jej niewinność. Nie dość na tym. Należało odszukać Ludwikę wałęsającą się nie wiadomo gdzie. Spokój, który Wanda odczuwała na początku, zmieniał się powoli w przerażenie, choć próbowała zatrzymać je w przedsionku świadomości. Ona i córka były niewinne. Trudno byłoby jednak powiedzieć to sąsiadom. Mogli zachować się po ludzku lub wzgardzić żoną powieszonego za kradzieże i wygnać z córką ze wsi. Jeszcze jedno zmartwienie przychodziło na myśl Schulzowej – bez męża, nawet z chatą, rychło popadnie w biedę, a do kolejnego zamążpójścia mogłaby stanąć najwcześniej za rok. Nie miała pojęcia, za kogo mogłaby wyjść i kto zechciałby żonę mordercy i złodzieja królewskiego mienia.

Wanda miała dużo czasu na rozmyślania, a im dłużej siedziała w ciemności sam na sam z własnym umysłem, tym okrutniejsze scenariusze przychodziły jej do głowy. Pułapek było wiele, a sytuacja, którą wcześniej wzięła za nieporozumienie, mogła rozwinąć się niebezpiecznie. Na samą myśl o torturach poczuła mdłości.

Chciała wiedzieć, co się stanie z nią i Ludwiką, a najbardziej pragnęła usłyszeć, czy córkę złapano, lecz nie śmiała się odezwać do strażników. Usiadła przy ścianie, zastanawiając się nad tym, że o jej niewinności wie tylko ona. Należało wszystko wytłumaczyć, odciąć się od oszusta i wrócić do domu z córką.

Naraz żołądek Wandy ścisnął się pod wpływem tak przerażającej myśli, że aż zgięła się i kucnęła. Przypomniała sobie, że ktoś w Gdańsku może zainteresować się jej przeszłością i dziwnym trafem dojść do tego, kim naprawdę była. Ten sam strach trzymał ją za gardło przed królewskim przyjazdem do miasta, lecz ustąpił, gdy ujrzała Konrada i przeżyła triumfalny wjazd. Teraz wrócił ze zdwojoną siłą. Gdyby ktokolwiek

dowiedział się, że jest zbiegłą Wandą Sobótko, jej dni byłyby policzone, a Ludwika została sierotą.

Wszystko bez nadziei na to, że znowu z nim pomówię choć przez chwilę, że zginę być może na jego oczach. Będzie się przypatrywał jako jeden z potępiających i krzyczał, aby mnie stracili, pomyślała.

Łzy napłynęły Wandzie do oczu, ale otarła je wierzchem dłoni. Postanowiła walczyć o los swój i córki. Gdyby mieli ją wziąć na tortury, trudno. Do niczego się nie przyzna nawet przypalana.

Rozważania przerwał hałas dochodzący z długiego korytarza. Ktoś zbliżał się do lochów – nareszcie okazja, by zeznać, jak było i oczyścić się z zarzutów. Drzwi zaskrzypiały ostro. Wanda wstała na ten dźwięk, luźno opuściła ramiona i splotła dłonie. Zdążyła otrzepać brudną suknię, gdy w drzwiach stanął strażnik z pochodnią. Zajaśniała jego twarz usłana jasnymi brodawkami. Odchrząknął i uniósł głowę.

– Przybył *Monsieur le Korongi de la Couronne*^[5]...

Przerwał mu stanowczy męski głos, który sprawił, że po plecach Wandy przebiegł dreszcz. Iskra nadziei przemknęła przez jej głowę, choć obawiała się, że to jedynie ktoś podobny do chorążego Jezierskiego.

– Ośle, czy sądzisz, że chłopka zna się na tytułach i włada francuskim? Wpuść mnie, zamiast pleść.

Strażnik posłusznie odsunął się od drzwi. Druga pochodnia zaślniła w progu i do celi wszedł Konrad Jezierski. Wanda poczuła, że oddech jej ustaje, a wnętrzości doznają bolesnych pulsujących objawów rychłego omdlenia. Popatrzyła na chorążego nieprzytomnie i dojrzała w jego oczach równie porażające uczucia. Niewątpliwie poznał ją, niegdyś łodziankę Wandę Sobótko, do której nie przyznałby się za nic. Blask pochodni oświetlił parę wyraźnie.

– Zamknij drzwi – rozkazał Konrad głucho.

Głos zabrzmiał nieswojo. Usłużny strażnik natychmiast posłuchał.

Zostali sami. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie nieprzytomnie, jakby nie wierzyli, że mają przed sobą człowieka, lecz zjawę – marę ze snów. Ich oddechy niespodziewanie zrównały się; oddychali teraz szybko, bo wzruszenie odjęło im mowę. Każde słowo po jedenastu latach ciszy wydawało się nieodpowiednie lub obce. A przecież przez ten cały czas byli sobie wciąż bliscy.

Wanda poczuła, że oczy zachodzą jej mgłą. Zaraz potem zaczęły płynąć łzy tamowane i odkładane na później przez tyle lat. To z jego powodu gryzła się wieczorami, nocami nie mogła zasnąć. Jego dotyczyły wszystkie marzenia, nawet gdy była mężatką. Nie śmiała postąpić kroku, obawiając się, że to sen, a gdy tylko się poruszy, Konrad zniknie. Patrzyła w jego oczy również wyrażające głębokie emocje i bardzo się dziwiła. Uczucie, które w nich ujrzała, utwierdziło ją w przekonaniu, że oszalała, a przed nią stoi ktoś inny lub nawet nikogo poza nią w celi nie ma.

Nadal był zjawiskowy. Alabastrowe czoło przecinały dwie foremne brwi dokładnie takie, jakimi je zapamiętała. Pod nimi błyszczały duże uważne oczy o szaroniebieskich tęczęwkach. Szlachetnych rysów dopełniały długie wąsy, wąski nos i piękne karminowe usta.

Postąpił ku niej krok, nie odrywając wzroku. Jego spojrzenie przepraszało ją, niemo wyrażało żal, że jedenaście lat wcześniej wyjechał na Litwę bez pożegnania, a skryty pocałunek na łódzkim trakcie zakończył ich znajomość. Nie próbował się opanować i przywdziać maskę niedostępnego szlachcica, człowieka z wyższych sfer. Spojrzenie Konrada wyrażało prawdziwe emocje również skrywane codziennie od wielu lat, a ujawniane tylko w snach, gdy nie miał nad sobą kontroli.

Wanda rozchyliła wyschnięte usta, a mrok zaczął kłaść się plamami na jej oczach. Dopadła ją słabość i niechybnie upadłaby, gdyby Konrad nie

rzucił się pochwycić mdlejące ciało. Przytrzymał na silnym przedramieniu wygiętą sylwetkę i nachylił się nad dziewczką, trzymając w drugiej dłoni pochodnię. Oświetlił nią twarz Wandy, sprawdzając każdy szczegół i zmianę. Nie bał się o jej życie, ponieważ wyczuwał, jak mocno bije jej serce omdlałe z rozkoszy.

– Wando – wyszeptał.

Łzy napłynęły mu do oczu, ale próbował je powstrzymać, mrugając. Zaciśnął zęby, dziwiąc się błogiemu ciepłu rozlewającemu się falami po ciele. Patrzył na bladą twarz, na którą powoli wracał rumieniec i radował się niezmiernie, że się nie rozczarował, a w lochu naprawdę ujrzał Wandę.

Zaczęła mrugać. Uchyliła nieznacznie powieki, a widząc, że to jednak nie mara, lecz żywy człowiek podtrzymujący ją silnym ramieniem, uśmiechnęła się lekko. Wydawało jej się, że nigdy jeszcze się tak nie uśmiechała, a to był pierwszy prawdziwy raz. On za to próbował powstrzymać grymas bóleści, zdał sobie bowiem sprawę, że od dawna był zakochany bez pamięci w kobiecie, którą los zdegradował do roli chłopki, żony oszusta i mordercy. Na pięknym czole pojawiły się zmarszczki – jedenastu lat potrzebował, by zrozumieć ten wstydlivy afekt, a teraz łatwo może Wandę stracić i tak się na pewno stanie, jeśli nie teraz, to później.

– Jedenaście lat... – szepnął z niedowierzaniem.

Wandzie wróciły siły. Stała, radując się, że ją poznał. W niepamięć poszła uraza o to, że zostawił ją na pastwę niechcianego ożenku i wyjechał na Litwę, by wziąć ślub z Katarzyną Adruszkiewiczówną. Jakże często w przeszłości powtarzała sobie ten zarzut, by przekonać siebie, że Konrada nigdy nie obeszłaby miejska dziewczka i że pocałunek i wszystkie spojrzenia były dla niego nic nieznaczącą słabością.

Patrzyli na siebie i wiedzieli oboje, co mają w sercach. Konrada przerażała własna niemoc, bowiem czuł się bezbronny wobec wielkiego

uczucia. Przez chwilę żył szczęściem, ponieważ odnalazł wreszcie chabrowe oczy, o których śnił. Patrzyły na niego bez cienia pretensji, zupełnie jak wcześniej, choć wyjechał, zostawił ją samotną wśród tłumu. Jej położenie dało mu aż nazbyt wiele do myślenia – przez te lata kochała go stale i potrzebowała. Bez niego skończyła jako żona chłopca, w dodatku oszusta i mordercy. Pomyślał o nim i choć go jeszcze nie poznał, z gniewu krew uderzyła mu do głowy.

Wanda skłoniła się do ziemi.

– Jaśnie panie – powiedziała cicho.

Jej głos podziałał na niego jak balsam. Jednocześnie pomyślał o tym, jak niewiele mieszczek i chłopcy ma tak wyszukane maniery.

– Łodzianko Wando Sobótko – odparł rozbawiony.

Grymas bólu przemknął przez jej twarz. Domyśliła się, że nie wie, co stało się w Łodzi tuż po wyjeździe ze Stoków na Litwę. Nie wrócił w rodzinne strony, a ją porzucił na zawsze. Odgadł jej spojrzenie – nie była już Wandą Sobótko, tylko Wandą Schulz – dziewczką po przejściach ukrywającą się na północy Polski.

– Córka jest do ciebie bardzo podobna – zauważył.

Twarz jej stężała. Bardzo martwiła się losem Ludwiki.

– Widziałeś ją, jaśnie panie?

– Widziałem. Jest zdrowa.

Wanda oparła się o ścianę i z ulgą przymknęła oczy.

– Jak to dobrze...

Konrad był coraz bardziej zmieszany. Cóż mógł powiedzieć po jedenastu latach? Co chciał rzec, skoro przez całe życie uczono go gardzić gorzej urodzonymi? Z jednej strony chciał zadać kilka konkretnych pytań, a potem wyjść z celi bez słowa, z drugiej wciąż przypatrywał się niedużej

postaci, zgadując, jakie życie wiodła w ostatnich latach i jak bardzo zmieniła się jej sylwetka.

Zauważył najpierw, że masywne ramiona Wandy stały się drobniejsze, – wiedział zatem, że mniej pracuje w polu. To go nie zdziwiło – Szkoty były bogatą wsią i chłopci wiedli lepsze życie pod okiem biskupstwa niż szlachty. Z kupieckiego czy rzemieślniczego zajęcia wieśniaków i tak spływało więcej pieniędzy, a ludzie żyli dostatniej niż większość chłopów. Ten zadziwiający status wpływał również na maniery – nigdzie bowiem gorzej urodzeni nie prezentowali tak rozumnej natury. Konrad znał chłopstwo, zarządzał nim przecież w swoich folwarkach. Wieśniakom daleko było do dumniejszych i ciekawszych świata chłopów z północnej Rzeczypospolitej.

Wanda czuła na sobie wzrok Konrada, co bardzo ją onieśmiało. Dawno nie rozmawiała ze szlachtą, a przez ostatnie lata obracała się głównie wśród wieśniaków i biedniejszych mieszczan. Przesiąkła jednak ich uporem, którego nie znali Łodzianie.

– Jaśnie panie – zagadnęła nieśmiało. – Proszę nie mianować mnie więcej Wandą Sobótko i nie mówić nikomu, że uszłam z Łodzi.

Przymknęła oczy. Jezierski wyczuł, że nie przypadkiem zmieniła nazwisko, wyszła za chłopca i osiedliła się daleko na północy, porzucając Łódź. Coś musiało się wydarzyć, a jego przy tym nie było, nie pomógł jej. Natychmiast chciał się wytłumaczyć albo chociaż ukłonić, ale jedyne, co uczynił, to przytaknął. Potem, choć zabraniało mu wychowanie, ujął jej głowę w dłoń.

– Tym razem cię nie zostawię. Wyciągnę cię stąd, będziesz wolna.

[5] *Monsieur le Korongi de la Couronne* (fr.) – pan chorąży koronny.

XXII



Nastał Dzień Świętej Barbary. Śnieg stwardniał, równo okrywał pola uprawne i podgdańskie łąki. Mieszkańcy obserwowali pogodę i wyrokowali, czy zima będzie surowa. Orzekano różnie, ale autorytety jednoznacznie ogłosiły, że port powinien zostać zamknięty już teraz, nie zważając na to, że jeszcze daleko do połowy grudnia. Żegluga co prawda nie ustała, ale okręty wypływały pojedynczo, a holenderscy marynarze dłużej bawili w mieście, by przeczezać mrozy.

Starszyzna miejska i chłopci szli do kościołów, by pomodlić się i oddać cześć świętej Barbarze, patronce lekkiego konania. Potem miała nastąpić uroczysta feta, bo Barbara opiekowała się również rybakami i flisakami. W Gdańsku zarządzono wielkie obchody, a ich rangę podnosił fakt, że król Sobieski wciąż przebywał w mieście, choć nikt już nie wierzył w porozumienie. Rzemieślnicy zachowywali coraz większy dystans, z rzadka zanosili Janowi III dary, by okazać, że cechy wciąż mają szacunek dla polskiego monarchy. Z kolei Sobieski widział jak na dłoni, że Gdańsk jest miastem suwerennym niedającym się łatwo przekupić ani tym bardziej przekonać dobrze prowadzonymi negocjacjami. Wszystkie strony sporu i arbiter musieli odpuścić, nikt zaś, prócz Rady, nie wydawał się zadowolony.

Trzeci Ordynek pomstował, że katolicy zażyczyli sobie nowego kościoła, a budowa już się rozpoczęła. Wyznaczono teren, położono fundamenty i przeznaczono na to pieniądze zmarłego prymasa Olszowskiego. Katolicy, widząc niechęć ewangelików, upierali się i domagali swoich praw, wielki mając posłuch u króla. Rzemieślnicy, niezależnie od wyznawanej wiary, powoli przyzwyczajali się do tego, że obecność dworu niewiele im pomoże, a najważniejsze sprawy sporne zostaną nierozstrzygnięte. Wciąż jednak garstka widziała w tym niemoc polskiego króla, a wrogość kierowano raczej w stronę Rady. Ta z kolei czekała cierpliwie, prowadząc rozmowy umiejętnie, jak przed laty potrafili najlepsi mówcy.

Trzeba przyznać, że Rada wykazywała się wielką cierpliwością, natomiast król powoli tracił siły. Sprawni rajcowie z uwagą słuchali delikatnych sugestii dworu, obiecywali zaś tylko tyle, ile rzeczywiście mogli zrealizować. Zrodził się z tego wielki konflikt w centrum władzy, bo Rada i Trzeci Ordynek spierały się w kwestii rozszerzenia przywilejów dla katolików. Jednak Rada miała głos decydujący, więc Ordynek odciął się od sporu milczeniem. Tymczasem postanowiono, że nowa świątynia stanie za Kościołem Mariackim, a za jej wzniesienie będzie odpowiadał budowniczy Barthel Ranisch.

Choć w Gdańsku jeszcze nie wrzało, to wydawało się, że bunt powstrzymuje tylko obecność polskiego króla. Niektórzy łudzili się jeszcze, że wciąż można coś nowego wyjednać albo przedstawić inne ustawy. Ufano Sobieskiemu, chociaż król dawno przestał wierzyć w powodzenie akcji. Nie mówił o tym głośno nikomu, krył tajemnicę jak wiele innych.

Grudzień był zazwyczaj dla ludu miesiącem wytchnienia. Świąteczne dni dawały odpoczynek w mroźny czas. Zaraz po Dniu Świętej Barbary szykowano się na szóstego grudnia, kiedy imieniny obchodził święty Mikołaj. Konrad nie miał ochoty na udział w uroczystościach. Grudzień kojarzył mu się zwykle z zaśnieżonymi bezkresami, w których z trudem poruszały się konie. Świąteczny spokój udzielał mu się nie tylko na otwartej przestrzeni, ale przede wszystkim przy rodzinie. W tym dziwnym roku nie miał szansy ani na spotkanie z żoną i dziećmi, ani na objazd dóbr. Wolałby toczyć bitwę z Turkami, niż siedzieć w samotnej izbie ciasnej kamienicy.

To nie było jednak jego największe zmartwienie. Dużo gorzej przedstawiała się sytuacja Wandy Schulz i uczucie do niej, z którego dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę. Choć zajęło mu to jedenaście lat, a między nimi nic się jeszcze nie wydarzyło, sprawa była skomplikowana. Przyzwyczajony do pogardy wobec chłopstwa, chorąży ledwo dopuszczał do siebie myśl o miłości. Nie mógł jednak z nią walczyć, bo dawała uczucie dotąd nieznanne, nowe. Przez lata bronił się przed nim, nieświadomie szukając łodzianki w snach. Jednak to, że skończyła jako chłopka, było dla Konrada niezwykle bolesne.

Tak się wówczas rościło Jezierskiemu. Snuł się zagubiony, wiedząc o tym, że w oczach gdańszczan żona Schulza jest tak samo winna jak mąż. Obiecał ją wyciągnąć, nie dopuścić do procesu, ale nie był pewny, czy może cokolwiek uczynić. Kiedy przedstawiał królowi relację z pobytu w Wieży Więziennej, starał się przekonać go o niewinności Wandy.

– Chłopka powiada, że nie wiedziała o pierścieniach schowanych pod podłogą. Zdawała się w ogóle nie pojmować, że kosztowności pochodziły z haniebnego rabunku – mówił.

– Co mnie obchodzi ta chłopka? Pewnie i tak ją powieszą z mężem. Chcę się od ciebie dowiedzieć Konradzie, czy Schulz przyznał się do winy. Mam ważniejsze sprawy niż pouczanie chłopstwa. Postanowią ich powiesić, to pewne. I dobrze, bo kara musi być surowa.

Konrad zwiesił głowę, ale nie drążył tematu Wandy, bowiem Sobieski dobrze znał chorążego. Gdyby domyślił się skrytego afektu, z pewnością miałby ubaw do końca życia, a wraz z nim cały dwór. Zaważyłoby to na pozycji Jezierskiego. Plotki z pewnością zainteresowałyby również Katarzynę. Skandal kosztowałby go bardzo dużo – już zawsze byłby kojarzony z umiłowaniem brudu i chamstwa. Nie było mowy, żeby do czegokolwiek się przyznać.

– Nie rozmawiałem z chamem, wasza królewska mość – odpowiedział zdawkowo.

Król zawiesił na nim wzrok, jego przenikliwe żołnierskie spojrzenie świdrowało Konrada.

– Wydawało mi się, że po to tam poszedłeś. Wiem, że rozmowa z wieśniakami to ostatnie, czego pragniesz, zwłaszcza w tym ciasnym mieście, lecz zważ na dworski status i sprawę, której dotyczy.

Sobieski mówił stanowczo, ale spojrzenie miał łagodne. Zwykle w ten sposób beształ zaufanych podwładnych. Jednak siła bijąca z majestatycznego oblicza i postury nakazywała posłuszeństwo, nie było mowy o ustępstwach.

– Pójdź tam jeszcze raz, Konradzie. Dowiedz się czegoś na temat wieśniaka. Jeśli nie masz chęci, by z nim mówić, możesz zdać się na szczegółową relację straży i sędziego. Słyszałem, że już go przesłuchał.

Konrad wstrzymał grymas niezadowolenia, ale Sobieski i tak wyczuł, że chorąży wolały się do sprawy nie mieszać. Spojrzał na niego dobrotliwie i uśmiechnął się.

– Wiem, Konradzie, z pospólstwem zawsze są kłopoty.

Choć Sobieski wydawał się czasem szorstki w obejściu i dumny ponad miarę, sprawy motłochu irytowały go rzadko. Rozumiał, że każdy stan ma problemy i chociaż dla magnata życie chłopą mogło wydać się marną egzystencją, dla wieśniaka stanowiło esencję. Do takich wniosków Sobieski doszedł za młodu, a im dłużej żył, z tym większą wyrozumiałością patrzył na prosty lud. Jednakże wszystko miało granice i wieśniak Schulz za swój postępek musiał zostać ukarany szubienicą.

Konrad niechętnie przyjął rozkaz o spotkaniu z Danielem. Miały poznać się dwa ogniste serca. Jedno przesiąknięte ambicjami o sławie i mamonie i drugie – srogie, ale sprawiedliwe, bezlitosne wobec rozrób między stanami.

Schulz siedział w lochu ze zwieszoną głową. Nie podniósł jej, gdy skrzypnęły wrota i wszedł chorąży ze strażnikiem.

– Co mu jest? Został wzięty na tortury? Chamie, podnieś łeb, kiedy do ciebie mówię! – gorączkował się Konrad.

– A gdzie tam, jaśnie panie! Nie musiał iść na tortury, powiedział wszystko, jak było i zeznał okropności bez proszenia. Nigdy nie widziałem tak niegodziwego wieśniaka. Ale co się dziwić. Ze Starych Szkotów do Gdańska najgorsza zaraza przyłazi.

Konrad na te słowa przypomniał sobie o Wandzie i zmierzył strażnika ponurym spojrzeniem.

– Zostaw nas – rozkazał.

Strażnik skłonił się nieznacznie, przewrócił oczami tak, by pan nie widział, i wyszedł, zatraskując drzwi.

– Chłopie! – zawołał Konrad. – Podnieś łeb.

Daniel niechętnie uniósł głowę i spojrzał mściwie na chorążego. Konrad wytrzymał to, choć dreszcz urazy przebiegł mu po plecach.

– Choćby za tak krzywe wejrzenie należy ci się szubienica – syknął.

Schulz zbył uwagę milczeniem. Doskonale wiedział, kto odwiedził go w celi. Patrzył na bogate ubranie chorążego i przypomniał sobie chwilę, kiedy celował w niego kamieniem. Grymas żalu przebiegł mu po twarzy. Nawet ten czyn był haniebny i niemożliwy do wymazania.

– Jaśnie panie – odezwał się nagle. – To ja rzuciłem wtedy kamieniem. Chciałem zabić, ale ręka odmówiła mi posłuszeństwa.

Konrad był zaskoczony. Popatrzył w brązowe oczy Schulza. Takie same miała Ludwika. Spojrzenie wydało mu się szczere, ale zobaczył w nim też inne emocje – mściwy gniew, gorączkę i żal.

To jest mąż Wandy Sobótko? – pytał siebie z niedowierzaniem.

Przed nim siedział niemłody już chłop o nieprzyjaznej fizjonomii. Szeroka szczęka łączyła się topornie z kośćmi policzkowymi, a czarne brwi poprzecinane niewielkimi bliznami zdobiły szerokie czoło zwieńczone kruczymi niedługimi włosami oprószonymi siwizną. Ubranie chłop miał zwyczajne, ale solidne, gdzieniegdzie zabrudzone.

– Jesteś mężem Wandy Schulz? – zapytał Konrad dla pewności.

– Tak, jaśnie panie, lecz moja żona jest dobra, niczego złego nie uczyniła. To ja jestem zły, jestem najgorszy, zasługuję na szubienicę.

Słowa skruchy zaskoczyły Konrada. Chłop wyglądał raczej na butnego i pewnego siebie, w jego oczach kryła się gorączkowa chęć działania.

– Dlaczego chciałeś mnie zabić kamieniem?

– Już gadałem i teraz mam to samo powtarzać?

Na te słowa Konrad poczerwieniał z wściekłości. Jego ręka zadrżała niecierpliwie, jakby chciała dobyć szabli.

– Zważ, chamski synu, z kim rozmawiasz. Zaraz możesz stracić głowę i nikt ciebie nie będzie żałował. Twoje porąbane ciało rzucę do lasu wilkom na uciechę.

Daniela nie przstraszyły te słowa. Spojrzał na chorążego z ukosa i uśmiechnął się smutno.

– Chciałem zabić, bo mi jaśnie pan przeszkadzał. Myślałem, że kamienica nie będzie pusta, kiedy dwór wyjdzie się bawić. Chciałem mieć pewność. Przekonałem tę murwę, którą powieszono, żeby umazała się swoją krwią miesięczną i udała omdlenie. Wtedy strażnicy ją powieźli, a ja miałem otwarte wrota.

Konrad zbliżył się do Daniela i poczuł, że ten bezlitosny człowiek jest w istocie kimś ambitnym i bardzo niebezpiecznym. Ale wyczuł równocześnie, że chłop dusi się sam ze sobą, walczy jak w potrzasku, jakby miał w sobie dwie różne osobowości – jedna z nich była dobra, a druga zła. Tej nieprzeniknionej płynnej zmienności należało się bać.

– Co było dalej?

– Zabiłem pacholka, który pilnował królewskiej izby. Chciałem go ukryć w szafie, żeby nie było śladu, ale zakrwawił podłogę i już nie było sensu. Ani czasu.

Daniel nabrał szybko tchu, jakby nagle przypomniał sobie o czymś strasznym. Wspomnienia męczyły go nieustannie, ale w szczeroci znajdował ukojenie. Chciał, żeby dowiedzieli się wszyscy, żeby naznaczono go i zabito na oczach gawiedzi. Zrozumiał bowiem, że mimo chęci, nie uda mu się odpokutować złych czynów, a jedyne, co może zrobić, to przyjąć śmierć z honorem. Męczyły go wyrzuty sumienia i gorączka działania nakazująca wciąż gnać po coś i dokądś, ale dokąd – nie wiedział.

– Ja się nie zmienię, już taki jestem. Zwyczajnie zły... – dodał cicho.

– Chciałeś zabić swoją połowicę – przypomniał Konrad.

Ta rewelacja szybko obiegnęła wsie i Gdańsk.

– Nie zabiłbym jej – zaprotestował – ale do tego zmierzał mój plan. Robiłem wszystko po kolei, by zdobyć Barbarę Schwarz, ale odsuwałem od

siebie myśl, że poświęcenie będzie musiało pójść tak daleko. Kiedy już zrobiłem to, co trzeba, stanąłem przed murem. Sumienie mnie gryzło, nawet w gorzałce nie znajdowałem ukojenia. Nie mógłbym jej zabić.

Coś pękało w tej rozgorączkowanej, a jednak wciąż stabilnej postawie. Daniel zaczął płytko oddychać, w końcu zacisnął zęby, by nie pokazać słabości. Jednak ze spuszczonej oczu kapały łzy.

Konrad stał nad nieszczęsną potępioną duszą i przez głowę przebiegały mu dotychczas nieznane myśli. Oto oni – chłopci – również stają przed trudnymi wyborami, mają wygórowane ambicje, bywają rozżaleni i posiadają uczucia takie jak szlachta. Te nowe niepokojące myśli zmarszczyły czoło Jezierskiego.

– Czy Barbarę pojmano, jaśnie wielmożny panie? – zapytał Daniel.

– Tak, a Johann Schmidt, mistrz zakładu, do którego cię przyjęto, dostał wysoką grzywnę za najęcie nielegalnego wyrobnika ze wsi i za przyjęcie sakwy monet.

– To dobrze, to sprawiedliwie – stwierdził smutno Schulz. – Barbara powinna razem ze mną zawisnąć, ale Wanda jest niewinna. Jaśnie panie – tu Daniel zerwał się na kolana i padł przed zdumionym chorążym – ona tyle wycierpiała! Ile ona ze mną lat przeżyła, ile bólu doznała. Niechaj ze mną się stanie, co postanowicie, ale ją wypuście, bo jest niewinna, nic nie wiedziała o tym, że ukradłem bogactwo. Kryłem je przed nią pod podłogą. I córkę moją, Ludwikę, zostawcie z matką, nie skazujcie na sieroctwo. Niechaj żyją we dwie, a Wanda rychło się na nowy ożenek szykuje. Toż nie musi rok czekać, każdy ją zrozumie.

Konrad odsuwał nogi, bo Daniel zaczął obsypywać jego buty pocałunkami.

– Usiądź, chłopie, jak uprzednio siedziałeś, bo w durny łeb kopnę! – krzyknął zdenerwowany.

Daniel posłusznie usiadł, ale oczy wzniosł ku Jezierskiemu. Błagał go spojrzeniem.

– Jak poznałeś żonę?

Pytanie padło, nim Konrad zdołał je powstrzymać. Chciał dowiedzieć się więcej o więzi, która połączyła dwie, tak różne, osoby. Wydawało mu się niemożliwe, żeby Wanda wyszła za tego narwanego człowieka z miłości. Zauważył, zadając pytanie, że obawia się odpowiedzi.

– W nieprzyjaznych, mrocznych czasach to było. Dużo hultajów się gromadziło na traktach, jaśnie wielmożny panie. Znalazłem ją samotną na środku ścieżyny. Nie miała celu, szła donikąd, byle dalej od Łodzi, z której pochodziła. Musiało się tam stać coś strasznego, ale nigdy nie opowiadała.

– I ty nie pytałeś? – zdziwił się Konrad.

– Nie obchodziła mnie jej przeszłość, miłościwy panie. Po prawdzie to ona sama mnie wtedy mało obchodziła. Razem jedliśmy, obok siebie spaliśmy. Ognisko rozpalałem i polowałem dla niej, bo zauważyłem w niej dobro i prostotę. Myślałem sobie, że dobra byłaby z niej żona, to jej zaproponowałem, żebyśmy tu osiedli, wzięli śluby i przestali się tułać po kraju. Jak ją znalazłem na tej ścieżynie, to była z niej bida i nieszczęście. Ileż to lat przeleciało? Chyba z jedenaście, chłopu trudno policzyć...

Niedowierzenie odbiło się na twarzy Konrada. Jeśli poznali się jedenaście lat wcześniej, to coś złego musiało stać się w Łodzi wkrótce po jego wyjeździe. I znów rozpały chorążego wyrzuty sumienia, że nie pomógł dobrej i zakochanej w nim pannie. Wyjechał na Litwę bez słowa, sądząc, że dopadła go chwilowa słabość umysłu, ale na pewno nie miłość. Jakże długo zajęło mu zrozumienie własnego afektu! Dodatkowo pojął, że Sobótkówna musiała mieć wówczas beznadziejną sytuację – inaczej nigdy nie zgodziłaby się na ożenek z wolnym hultajem.

– Wiesz, że we wsi Wanda zostanie okrzyknięta żoną mordercy? Nikt nie zapewni jej i twojej córce bezpieczeństwa.

Daniel skinął głową bez słowa. Rozpacz malowała się na jego poranej brzdami chłopskiej twarzy. Myślał trzeźwo i wiedział, że na ród Schulzów spadnie ciężar złej sławy.

– Nie dowierzam, że po tej ziemi chodzą takie kreatury – syknął Konrad przez zęby.

Powstrzymał się, by nie kopnąć Schulza, po czym zastukał w drzwi celi i wyszedł wypuszczony przez strażnika.

XXIII



Ludwika błąkała się po nieznanach ulicach bez jedzenia i snu. W Dniu Świętej Barbary omijała kościoły i port, nocami zaś wychodziła na Długi Targ, by popatrzeć w okna dworskich kamienic. Czasem widywała chorążego Jezierskiego chodzącego po izbie. Ustawiał dwie lub trzy świece przy ławie stylizowanej zachodnią modą na biurko i w półmroku przemierzał niewielki pokój.

Pragnęła ściągnąć na siebie jego wzrok. Nadal uważała, że tylko on może uratować ją i matkę, a martwiła się o nią bardzo. Nie docierały do niej żadne wieści z Wieży Więziennej, ponieważ z nikim nie rozmawiała, a na ulicy stroniła od ludzi. Trzeciej nocy poczuła się źle. Miała tak wysoką gorączkę, że czasami zapominała, gdzie jest i dokąd chciała iść. Czuła się wciąż ścigana, choć władze dawno odpuściły, rezygnując z szukania dziecka.

Ludwika znalazła się na Długim Targu. Wydawało jej się, że strażnicy wychodzą z kamienicy, ale gdy potrząsnęła głową, już ich nie było. Majaczyła, a napady kaszlu bardzo ją męczyły. Zadarła głowę, modląc się, by chorąży stał w oknie.

Pały się świece. Ludwika widziała, jak chorąży chodzi po izbie. Znów nie mógł zasnąć. Zapewne miał wiele problemów, ale Schulzówna czuła, że

tym razem trapi go sprawa niezwykła, trudna do pojęcia nawet dla zainteresowanego.

Nie miała siły, by stać. Siadła więc w śniegu i uprzytomniła sobie, że zmogła ją choroba. Nie było o nią trudno, bo szalały śnieżyce. Dotknęła rozpalonego czoła i jęknęła – ostatnie, czego chciała, to maligna. Kształty dookoła zaczęły się zamazywać, więc potrząsnęła głową, ale tym razem nic to nie dało. Próbowwała różnych sztuczek: zamykania oczu, przytykania śniegu do czoła, wreszcie usiłowała wstać. W końcu przemoczona i wychłodzona uczyniła kilka kroków na czworakach, po czym runęła w śnieg, tracąc przytomność.

Konrad zdmuchnął świece, głęboko wdychając wątlą woń dymu. Wszedł do ciepłego łóża, okrywając nagie ciało pierzyną. Podłożył rękę pod głowę i rozmyślał. Doskonale rozumiał, że niewiele może zrobić dla sprawy Wandy, choć szczerze wyznania Daniela mogły uchronić ją przed śmiercią. Miał dwie możliwości, z których każda wydawała się niewłaściwa. Po pierwsze, ująć się za chłopką i poprosić o ułaskawienie, choć tym samym wiele ryzykował. Władze Gdańska i król z pewnością zapytaliby, dlaczego chorąży koronny ręczy za dziewczkę z motłochu, której nie zna. Na to trudno byłoby mu odpowiedzieć, a prawdy nie wyjawiliby za żadne skarby. Istniała druga droga – nie wstawiać się za Wandą i poczekać na rozwój wydarzeń. Tu jednak ryzyko wzrastało, a przegrana oznaczała śmierć Schulzowej.

Nie, na to nie mogę pozwolić, zachnął się w myślach Jezierski, przerażony konsekwencjami takiego posunięcia.

Wandę niewątpliwie czekały tortury, a przekupiony kat specjalnie mógłby pozbawić ją na nich życia, by problem winy lub niewinności rozwiązał się sam przed wydaniem wyroku.

Okropne położenie wydało się Konradowi tym straszniejsze, że wypuszczona na wolność Wanda nie będzie miała dokąd wrócić bez łatki żony mordercy. Czuł w duszy, że nie powinien go obchodzić jej los, lecz daremnie powstrzymywał wyrzuty sumienia. Brało go obrzydzenie wobec siebie na myśl, że znowu zostawi Wandę na pastwę losu. Przecież już raz tak postąpił, uważając młodzieńcze zakochanie za nic nieznaczącą mrzonkę. Cierpiał w półświadomości przez jedenaście lat i wiedział, że jeśli teraz Wanda umrze, udręka się nie skończy, tylko rozciągnie na całe życie. Tym razem będzie jednak silniejsza i w pełni uzasadniona.

Nad ranem do izby nieśmiało zapukała miejska służka.

– Jaśnie wielmożny panie – skłoniła się nisko, – straż znalazła przed kamienicą bardzo chore dziecko. Omdlało z mrozu, ale wzięte na ręce oprzytomniało. Kazało nikogo nie budzić, tylko jaśnie pana Jezierskiego. Na początku nie chciałam spełnić prośby, lecz teraz widzę, że dziewczę może umrzeć, choroba usiadła na płucach i dusi. Żał ostatniej prośby dziecka nie wypełnić.

To powiedziawszy pokłoniła się pokornie jeszcze raz. Konrad stał w koszuli i hajdawerach; tak ubrany wybiegł na korytarz i zasypał służebną dziewczkę pytaniami. Widząc, że chorążemu zależy na dziecku, czym prędzej poprowadziła go na dół do sieni.

– O, tu leży – skłoniła się dziewczka.

Konrad nachylił się nad Ludwiką i żal ścisnął jego serce, kiedy ujrzał rozpaloną główkę. Służka nakryła dziewczynkę pierzynami, by organizm wypocił gorączkę. Ludwika usta miała suche, białe, mówiła coś niezrozumiałego. Bursztynowe oczy łzawiły i stanowiły jedyny wyraźniejszy kolor na bladym obliczu.

– Czy posłano po cyrulika?

– Tak, nad ranem. Kazał dać napary, sprzedał zioła, ale powiedział, że to niewiele da i dziecko pewno umrze na świętego Mikołaja.

– Poślij po Daniela Krohna albo jego syna – rozkazał niecierpliwie Konrad.

– Jaśnie panie, obaj medycy pojechali do Malborka.

– A ściągnij ich choćby z Kijowa, do diaska! – wrzasnął.

Nie pamiętano na dworze, kiedy ostatnio chorąży koronny tak się uniósł. Zwykle emanował żołnierskim spokojem i trudno go było wyprowadzić z równowagi. Służka tym bardziej się wystraszyła, skłoniła do ziemi i pobiegła po woźnicę.

Konrad zerknął na zioła, z których kazano przygotować napar. Z pewnością nie mogły uleczyć ciężkiej choroby płuc. Zacisnął szczęki z wściekłości, żałując, że cyrulik poszedł. Kazałby go natychmiast wychłostać nago pod pręgierzem w środku miasta. Nie było jednak czasu na mściwe myśli, bowiem gorączka paliła dziewczynkę. Ludwika w każdej chwili mogła stracić przytomność. Pewnie tego bała się ostatnia nitka świadomości, bo mała nie chciała zmrużyć oczu. Ilekroć Konrad namawiał ją do tego łagodnie, kręciła głową, nie poznając, kto do niej mówi ani czy słowa mają sens. Wiła się na ławie w sieni, aż żal ścisnął za serce.

– Dlaczego chore dziecko leży na byle słomie? Czemu nikt nie przygotował łoża?

Jeziński miał ochotę bić czeladź. Powstrzymywały go wrodzona łagodność i chęć działania.

Choć służba nie rozumiała, czemu jaśnie pan zawraca sobie głowę biedną dziewczynką, kazano przygotować łoże. Nałożono zimne okłady na czoło, a dziewczka służebna obwieściła, że woźnica pognął konie do Malborka.

– Moim zdaniem to daremny trud, jaśnie wielmożny panie. Toż to pomrze jeszcze dzisiaj – dodała.

– Żebyś ty przez durne gadanie zębów nie straciła, mierna dziewczko – pogroził w odwecie Konrad. – Nikt cię o zdanie nie pytał.

Tym sposobem Konrad został najwierniejszym protektorem Ludwiki Schulz. Pomógł wnieść łożo na piętro, z dala od chłodu, i posłał po więcej poduszek. Ułożył dziecko powoli, delikatnie.

Przecież Wanda gotowa w płomienie skoczyć, jeśli ona umrze, myślał gorączkowo.

Nie wiedział, czy lać w gardło wątpliwy napar, czy zostawić dziecko na leczniczej herbacie, póki nie wróci woźnica z medykami.

– Co znachor ci dla niej sprzedał? – zapytał nieprzytomną ze strachu dziewczkę.

Nigdy nie widziała Jezierskiego w takim stanie.

– Mówił, że to zioła ze sproszkowanym rogiem jednorożca. Powiadają, że róg jednorożca każdego uleczy, jaśnie panie.

– I tyś to dla niej parzyła? Zejdź mi z oczu i weź to ohydztwo. Skaranie boskie z tym chamstwem.

Dochodziło południe, a stan Ludwiki się nie zmieniał. Cały dwór postawiono na nogi. Konrad nie odpowiadał na pytania czeladzi i siedział przy łożu chorej, aż wezwano króla. Służba zasugerowała mu, że w sąsiedniej kamienicy leży przeziębione dziecko, a szalony ze strachu o jego życie Jezierski przesiaduje u wezgłowia. Monarcha zdumiał się, uniósł brwi wysoko, aż na czole pojawiły się głębokie zmarszczki, po czym wstał i wyszedł, by popatrzeć na dziwy.

Przed drzwiami do izby chorążego ujrzał niewielkie łożo przykryte czym się dało, nawet kosztownymi szubami. Najpierw pomyślał, że zaziębił się ktoś dla Konrada niebywale ważny. Jezierski wyglądał okropnie. Nie

mógł na niczym skupić wzroku, biegał oczami po wszystkim, co mogłoby mu pomóc. Gdy nie znajdował otuchy, zrywał się i poprawiał kołdry i poduszki. Sarkał na służki, że ociągają się ze zmianą kompresów.

– Konradzie, cóż to za osobliwość? – zapytał Sobieski.

Zerknął na twarz dziecka, ale nic mu ona nie mówiła. Konrad wstał i skłonił się nisko.

– Najmiłościvijszy panie, oto dziewczę, które zostało znalezione nieprzytomne przed kamienicą. Posłałem po Krohna do Malborka i doglądam, czy kompresy i napary z herbaty pomagają.

Król uniósł brwi.

– A co to za dziecinka?

– Nie wiem, najjaśniejszy panie – skłamał Konrad.

Wolał nie zdradzać tożsamości Ludwiki, mając w pamięci, że jej rodzice siedzą w Wieży Więziennej za kradzież królewskiego majątku.

– Źle wygląda. Ale czy wypada ściągać Krohna z Malborka? Tutaj z pewnością znajdą się inni uzdrowiciele.

– Najmiłościvijszy panie, proszę o wybaczenie, ale inni cyrulicy leczą ziołami ze sproszkowanym rogiem jednoroźca. Nie dość, że wierzą w takie stworzenia, to jeszcze uważają, że ich rogi mają moc uzdrawiania każdej przypadłości. Nasłuchałem się wiele o jarmarcznych legendach, nie wierzę w nie. Cyrulik zapewne wziął monety za kilka liści szczawiu, a teraz śmieje się w karczmie przy miodzie, że zrobił świetny interes. Proszę, najmiłościvijszy panie, żebyś darował mi zdrowie tego dziecka i posługę przy nim. Niczego więcej nie potrzebuję.

Król zdumiał się jeszcze bardziej. Spojrzał z ukosa na chorążego – Konrad rzadko kiedy był tak przejęty. Mimo obaw przyjął prośbę, ale zaznaczył, że jeśli dziecko przejdzie pierwszy kryzys, królewscy strażnicy odwiożą je do przytuliska.

– Nie przywiązuj się zbyt mocno, Konradzie. Sam widzisz, że nawet Krohn może być bezradny – stwierdził delikatnie na odchodne.

Choć Konrad gorąco pragnął zaprzeczyć i powiedzieć, że bardzo wierzy w osławionego gdańskiego medyka, tylko się skłonił. Żadne słowa nie mogły wyrazić niepokoju w jego duszy.

Łoże Ludwiki, na wyraźne polecenie, przeniesiono bliżej izby chorążego. Gdy jedna ze służek ośmieliła się zwrócić uwagę na to, że majaki dziecka będą zakłócały spokój jaśnie pana, ten zapienił się jak choleryk. Dogadzano małej Ludwice niby królowie, ale mimo to gorączka nie słabła, a maligna wzmogła się wieczorem. Konrad, widząc to, zamknął drzwi, postawił krucyfiks na ławie i uklęknął przed nim, w Bogu znajdując ostatnią nadzieję. Modlił się, minuty mijały.

Zmierzch spowił jasny od śniegu Gdańsk, mistrzowie zamykali zakłady. Ciasne ulice zamarły, cisza wdzierwała się na opuszczane ulice. W ten zimowy spokojny wieczór przyjechał z Malborka sławny medyk rodem z Gdańska – Daniel Krohn.

Krohn był znany w całej Koronie i na Litwie. Razem z synem leczyli ludzi, gdzie tylko mogli dojechać, a ich metody chwalili najpotężniejsi magnaci. Każdy chciał, by leczył go Krohn lub syn. Do obu posyłano kosztowne dary i moc monet.

Gdy tylko Konrad usłyszał odgłosy powitania, wypadł z izby i zbiegł do sieni. Krohna witała służba ze świecami. Medyk był z budowy niepozorny, lecz ubrany bogato, widocznie sława mu służyła. Przeczesał palcami posiwiałe długie włosy spadające kaskadami na ramiona, po czym skłonił się chorążemu. Konrad zaprowadził go do Ludwiki, nastawiając się na dobre rokowania. Bardzo chciał usłyszeć pozytywną diagnozę, nawet powiedzianą nieszczerze.

– Jest tylko trochę osłabiona. Gorączka rozpala czoło, ale słuźki leczą kompresami. Podają też herbatę.

Konrad wiedział, że opowiada bzdury, a mina pochylającego się nad Ludwiką Krohna tylko go w tym utwierdziła. Zdjął kompres, fachowo posłuchał świszczącego oddechu i pokręcił nieznacznie głową. Na koniec dotknął rozgorączkowanych policzków.

– Od kiedy tak choruje?

– Znalaziono ją dzisiaj nad ranem nieprzytomną z głową w śniegu.

– Cud, że żyje – mruknął niewyraźnie Krohn.

Nie chciał urazić dworskiego żołnierza, ale powiedział, że pozytywne rokowania są przedwczesne.

– Cóż, płuca są bardzo chore. Nawet głowy nie trzeba przykładać, słyhać, jak oddech świszczy. Gorączka padła na głowę, dziecię nie poznaje nawet, kto do niego mówi. Tak ciężki przypadek kończy się szczęśliwie bardzo rzadko. Jako medyk mogę jedynie przepisać *pulvis jesuiticus*, czyli chinową korę. Prócz tego należy smarować maścią rozgrzewającą z imbiru ciało od szyi po dekolt i takóź samo plecy aż do karku. To może pomóc gorączce wyjść z organów, wyjmie kaszel i uśmierzy bóleści. Jeśli dziewczę nie umrze tej lub następnej doby, nastąpi przełom, ale – tu Krohn zawiesił głos i spojrzał badawczo na Konrada – nie liczyłbym na to.

Choć podziękowaniom i podarkom nie było końca, w głębi duszy Konrad czuł się zdruzgotany. Kaźdy w Rzeczpospolitej bardzo się liczył ze zdaniem sławnego medyka, bo zwykle się nie mylił.

Port gdański zamarł, statki nie wypływały. Miasto wciąż trwało w ciszy, ale po kątach rozprawiano o przesłuchaniu Schulzów i wyroku. Patrycjat najbardziej obmawiał Barbarę Schwarz. Nie mogła liczyć na darowanie

haniebnego sposobu na nowy ożenek. Do gdańszczan docierały coraz nowsze wieści o możnej pani, a każda rozmowa w wyższych sferach kończyła się wymianą obelg i nadzieją na szubienicę dla niegodziwej żony Rudolfa.

Trzy osoby siedziały w celach Wieży Więziennej, a każda myślała o czym innym i podchodziła do sprawy po swojemu. Barbara była w strasznych jak dla niej warunkach, wśród szcurów. Nie przywykła do niewygody, więc każda minuta niewoli upływała jej jak sto lat. Gardziła sobą i złym położeniem, ale najgorzej znosiła myśl, że pograżył ją list skreślony jej ręką. Domagała się wypuszczenia, ale kiedy przychodziło do zeznań, nie potrafiła wydusić słowa wytłumaczenia. Powtarzała jedynie, że list został podłożony, a pismo mogła podrobić każda inna pani. Nie przekonało to nikogo, w szczególności sędziego, który porównał charakter pisma z innymi dokumentami znalezionymi w kamienicy Barbary. Patrycjat zwiastował, że sprawa zakończy się szubienicą, nim ogłoszono wyrok i wzięto winowajczynię na tortury. Nie spieszono się zwłaszcza z tym ostatnim, mając w pamięci, jak znaczącą osobą była Schwarzowa. Jeszcze pół roku wcześniej żadna uczta w Dworze Artusa nie mogła odbyć się bez niej i Rudolfa. Szanowano ją w Gdańsku, więc tym trudniej było zrozumieć, jak mogła poddać się chłopskiej intrydze. Wyszły na jaw jej wyrachowanie i bezwzględność.

Daniela umieszczono w osobnej celi, z dala od niedoszłej żony. Cały czas rozmyślał i niekiedy wydawało mu się, że traci rozum. Wolał tortury lub śmierć, niż tkwienie w tym zimnym i ponurym miejscu, czekając na niewiadomą. Schulz uważał, że po cierpieniu przyszedł czas na szubienicę, bo tylko ona może wymazać wyrządzone krzywdy i położyć kres nieustającej udręce. Nie wypierał się niczego. Przyjmował winę niemal nabożnie. Rozumiał aż za dobrze, że dopuścił się czynów okropnych,

hańbiących nawet doskonałego złodzieja i awanturnika. Choć wcześniej ludził się, że winę da się wymazać całkowitym oddaniem i poświęceniem, teraz widział jak na dłoni, że Bóg zesłał dla niego inny los. Opowiadał o winie ze szczegółami każdemu, kto tylko zechciał słuchać. Oczyszczenie płynące ze słowami dawało mu poczucie dodatkowego wsparcia niebios. Jednak ludzie, którzy usłyszeli tę historię, pukali się w czoło – tak szalony był plan chłopca. Dziwiono się jeszcze bardziej, gdy rozpowiadał o niewinności żony, a robił to z tak szlachetną szczerością, że przekonywał nawet niedowiarków. Wyczuwało się w tym zakłopotanie, jakby skazanie Daniela równało się wyrokowi na Wandę, mimo braku dowodów. Ławnicy głowili się, jak załatwić sprawę, aby wybrnąć z twarzą. Wzięli kata na stronę i zapytali, co sądzi.

– Nie mnie oceniać winę. Jeśli każecie puścić – puszczę. Jeśli każecie zabić – zabiję.

Tak prostą prawdę znano już wcześniej, więc niezadowolenie sędziego, rajców i ławników tylko się pogłębiło. Ze względu na Wandę odwlekano wydanie wyroków. W końcu po świętym Mikołaju, gdy para królewska powróciła z gościny w klasztorze oliwskim, zadecydowano, że nie warto przeciągać wszystkich spraw, skoro wina Daniela i Barbary jest oczywista. Wandą zamierzano zająć się później.

Powieszenie dwójki winnych miało się odbyć na Długim Targu, co Daniel przyjął z pogardliwym uśmiechem, bo traciły tam życie sławetne osobistości. Pomyślał, że przewrotny los dał mu to, o co kiedyś prosił – popularność i możliwość konkurowania z innymi.

Otóż jest nauka z tego życia, którą wynoszę pod jego koniec, że trzeba zawsze dokładnie przemyśleć, czego się od niego oczekuje, zawyrokował w duchu.

W dzień wykonania wyroku, ósmego grudnia, Konrad zdecydowanym krokiem wszedł do celi Wandy Sobótka. Stał naprzeciwko niej, obawiając się ogłosić nowinę. Schulzowa skłoniła się, a jej twarz oblał rumieniec. Nieznośne dni w więzieniu upływały jej na radosnym wyczekiwaniu. Dojrzała jednak poważną twarz Jezierskiego i zamarła.

– Cóż się stało, jaśnie panie?

– Zapadł wyrok w sprawie twojego męża. Dzisiaj w południe zostanie stracony razem z Barbarą Schwarz.

Ku zaskoczeniu Konrada wyraz twarzy Wandy nie zmienił się. Ani jedna łza nie pojawiła się w suchych niebieskich oczach.

– A co ze mną będzie? Gdzie jest Ludwika?

Widziała na obliczu Konrada wahanie i wtedy zrozumiała, że los jej i córki nie jest pewny. Dopadła do mężczyzny, ledwo powstrzymując się przed pochwyceniem go za kosztowną szubę. Wejrzała w ukochaną twarz, gorączkowo pragnąc, by szaroniebieskie tęczęwki spotkały jej oczy. Jednak Konrad unikał wzroku.

– Przecież jestem niewinna!

– Wiem – odpowiedział poważnie, odsuwając od siebie jej zimne dłonie.

Pojęła, że żądny krwi lud nie odpuści, choćby zapierała się przez rok.

– Wezmą cię na tortury – dodał sucho.

Starał się nie okazywać, że pęka mu serce. W kamienicy wciąż przecież leżała Ludwika, a czas nie dał obiecanego przełomu. Konrad patrzył bezradnie na rozpalone gorączką dziecko i nie dowierzał, że ludzki organizm może tak długo wytrzymać malignę. Teraz przemógł się, by powiedzieć Wandzie o chorobie.

– Twoja córka znalazła schronienie w królewskiej kamienicy. Doglądam jej osobiście, wiele służek zmienia jej kompresy, karmi ją i poi. Jest zaziębiona, ale ma dobrą opiekę. Nikt nie wie, czyje to dziecko i niechaj tak pozostanie.

Wydał jej się oschły. Odsunęła się więc, jedyną pociechę mając w tym, że Ludwika się odnalazła.

– Dziękuję – wyszeptwała.

To było wszystko. Konrad odwrócił się i wyszedł, pomny tego, że na Litwie czekają go żona i dzieci. Im bardziej oddalał się od celi, tym większy zamęt miał w głowie. Kochał Wandę, ale żadnym sposobem nie mógł się do niej zbliżyć z powodu jej chłopskiego, a niegdyś mieszczańskiego statusu. Jednak kiedy widział ją smutną, wciąż darzącą go ciepłym i ufnym spojrzeniem, nogi ugiwały się pod nim, bo nie potrafił uwolnić się od nieszczęsnej miłości. Jedyłą uczciwość znajdował w przybieraniu maski obojętnego dystansu, dążąc jednocześnie do sekretnego spotkania i choćby chwili rozmowy.

Dwór zrezygnował z uczestnictwa w egzekucji, co gdańszczanie wzięli za złą wolę. Specjalnie na Długim Targu ustawiono podest, by król mógł obserwować wydarzenie, nie wychodząc na mróz z kamienicy. Rozczarowany niepowodzeniami Sobieski nawet nie pojawił się w oknie, a pozostali dostojnicy dostosowali się do królewskiej woli. Egzekucja przebiegła zatem szybko. Najpierw stracono Barbarę, a później na podest wszedł Daniel Schulz.

Był świadomy na umyśle i pokorny, choć wstrząsały nim dreszcze przerażenia. Powiadano później w Gdańsku, że chłop szedł na szubienicę posłusznie jak baran na rzeź. Kiedy wokół jego szyi owinięto pętlę i zabił

ratuszowy dzwon, wykrzywił usta w przerażającym grymasie i zawisł, łamiąc kark. Gawiedź krzyczała pod podestem, a kat znudzonym wzrokiem spoglądał na zebranych, prychnając w duchu na ich uciechę.

Tak zakończyło się życie niedoszłych małżonków, a rewelacje i plotki na temat wspólnej intrygi krążyły jeszcze długo w kręgach gdańskiego patrycjatu. Daniel zrozumiał dopiero pod koniec życia, że tak ogromnej winy nie dałoby się zmazać ani nawróceniem, ani żadnym dobrym uczynkiem.

XXIV



*K*rótko po egzekucji stan Ludwiki nieoczekiwanie zaczął się poprawiać. Dziewczynka zasnęła na długo, a jej twarz była spokojna. Jezierski patrzył na tę zmianę z ulgą, choć zmartwień mu nie brakowało, bowiem Wandę poddano pierwszym torturom. Kiedy nie przyznała się po przypalaniu, ławnicy zaczęli poważnie się naradzać, analizując list Barbary do Daniela. Przez jego treść przebijała oczywistość. Wanda była niewinna. Jednak jej sprawa wciąż budziła niepokój.

Najtęższe głowy dyskutowały o możliwych metodach postępowania. Wielu gdańszczan, nawet możnych, zwracało uwagę na to, co postanowią począć z chłopką. Osądzano ją szybko, ale rozmaicie. Niezbyt mądrzy bogacze wołali, by stracić ją z mężem. Rozumniejsi kazali poczekać, powołując się na haniebny list. Jednak dla każdego w mieście i poza nim było jasne, że Wanda nie zazna spokoju, nawet jeśli darują jej życie. Sąd głównomiejski zwrócił się do biskupstwa wrocławskiego z prośbą o wysłanników. Wieś Stare Szkoty nie należała bowiem do gdańskiego sądu i trudno było postępować wedle miejskich reguł bez porozumienia.

Nie minęły trzy dni, gdy zebrała się ostateczna rada, a obrady przebiegały burzliwie. Ławnicy, zależnie od poglądów i osobistych

przekonań, nastawali na życie chłopki, to znów rozprawiali głośno o niesprawiedliwym osądzie sąsiadów.

– Nie zapominajmy, że wieś należy do biskupstwa. To, co powiedzą wysłannicy, zostanie przyjęte – przypominały roztropne głowy.

Przed południem nieodwołalnie ogłoszono wyrok – banicję. Schulzowa dostała dobę, by wynieść się z chaty i pójść precz ze Starych Szkotów. Według większości był to akt łaski.

– Nazajutrz, kiedy słońce stanie w zenicie, Wanda Schulz będzie poza miastem i wsią Stare Szkoty. Pod groźbą szubienicy nie wolno jej i córce Ludwice zakłócać spokoju obu miejsc obecnością. Jeśli się pojawią, natychmiast zostaną pojmane i stracone.

Tak postanowiły mądre głowy, choć rozwiązanie skazywało obie na żebraczy los wolnych. Sroga zima zwiastowała, że ich żywot będzie krótki i zakończy się długo przed nastaniem wiosny.

Do ogłoszenia wyroku Konrad niewiele sypiał, a frykasy smakowały mu jak ohydne liście piołunu. Sam nie wiedział, czy to miłość, czy ktoś rzucił na niego urok, aby męczył się z Wandą bez pocieszenia czy życiowego drogowskazu. Podczas oficjalnych rozmów z dostojnikami niemal gryzł się w język, kiedy tylko któryś ośmielił się poruszyć temat Schulzowej. Cierpiał za dnia i w nocy, ukojenie znajdując tylko przy łożu Ludwiki. Gdy usłyszał wyrok skazujący na banicję, skrywana męka przerodziła się w uczucie zmęczenia i niepokój.

Ociepliło się nieznacznie i śnieg zaczął topnieć. Ludzie zapadali się w mokrej mazi, co szybko wszystkim się sprzykrzyło. Konrad nie lubił takiej aury. Wyglądał przez okno kamienicy, chłonąc nieśmiałe promienie zimowego słońca. Nieoczekiwanie usłyszał delikatne pukanie. Otworzył

drzwi i zobaczył Ludwikę. Pokłoniła się z właściwym sobie uroczym niedbalstwem.

– Szczodry człowiek z jaśnie wielmożnego pana – powiedziała.

Ponure oblicze rozjaśnił uśmiech, bowiem Ludwika wyglądała lepiej i patrzyła na niego na poły nieśmiało, na poły bezczelnie. Czuła, że skradła serce chorążego, a on sam jest mądrym szlachcicem niegardzącym nią aż tak bardzo jak inni urodzeni.

Kolory wróciły na bladą twarz dziewczynki, a spierzchnięte usta zaróżowiły się i zwilgotniały. Kora chinowa i maść z imbiru pomogły. Najgorszy czas minął. Ludwika wyglądała zdrowiej i silniej niż matka. Choć Konrad z początku uśmiechnął się, a wesołe ogniki rozświectliły jego spojrzenie, zaraz przywołał się do porządku i ściągnął twarz. Pamiętał przecież, że zajął się chłopskim dzieckiem skazanym na banicję. Sentymenty należało odłożyć na bok.

– Lepiej się czujesz, dzieciно?

– O wiele lepiej, jaśnie panie. Jeszcze nigdy nie spałam w takim łóżu. Jest tu wiele poduszek z pierzem i nawet kołdra. W chacie przykrywaliśmy się baranim futrem.

Okazało się, że Ludwika to gadatliwa istota. Miarkowała się jednak w osądach, by przypadkiem czymś nie rozsierdzić dworskiego żołnierza. Wydawało jej się, że Konrada coś trapi, a sprawa mogła dotyczyć jej, choć się do tego nie przyznawał. Uważała więc bardzo, starając się nieudolnie pokazać maniery. Jezierskiego bawiły te próby. Musiał nawet powstrzymać wątle dziecko, żeby nie klękało w podzięce.

– Nie musisz klękać, dzieciно. Człowiek o ludzkim sercu wszystkiemu co żywe okaże pomoc.

Ludwice wydawało się nieprawdopodobne, że przebywa w królewskiej kamienicy u boku jednego z najważniejszych żołnierzy Rzeczypospolitej.

Gdy tylko weszły służki, przekonała się, że nie tylko ona jest zdziwiona. Dziewki mierzyły ją surowymi spojrzeniami i dawały do zrozumienia, że nijak nie pasuje do przepysznych izb Długiego Targu. Pod nosem rzucały obelgi, rozglądając się niespokojnie, by przypadkiem nie usłyszał ich pan Jezierski.

– Jaśnie panie, pokornie proszę, powiedz, co z matką i ojcem.

Konrad westchnął. Musiał przekazać tej kruchej istocie niedobre wieści.

– Ojciec został powieszony. Matka wyszła niedawno z Wieży, zapewne niebawem się z nią zobaczysz. Będziecie musiały wynieść się z Gdańska i Szkotów.

Powieszony przeze mnie, bo wydała go własna córka, pomyślała gorzko Ludwika.

Znajomy ścisk w żołądku zatrzymał jej dech. Skłoniła się chorążemu i odeszła na posłanie. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby nie doniosła na ojca. Przekonana o tym, że Daniel próbował doprowadzić ożenek z Barbarą do finału, odrzuciła wątpliwości. Od tej chwili była półsierotą, a jej los zależał od matki.

Tymczasem Konrada wezwano do kamienicy króla.

– Konradzie, dlaczego pałęta się u nas obce dziecko? Owszem, cieszy mnie, że wyzdrowiało, ale zostało tutaj pod pewnym warunkiem. Co to w ogóle za dziewczę? Wiemy coś o niej? Może to ta zbiegła od Schulzów? Powiadam ci, wykończy mnie to miasto. Powieszony *laboriosus*^[6] śni mi się po nocach. Jeśli to ta chłopka, odeślij ją do brygidek lub Świętego Ducha. Niechaj zajmą się nią do przyjscia matki. Daję słowo, wariactwo nas ogarnęło, skoro trzymamy tu dziecisko prześladowcy! Już wiem, skąd się biorą koszmary nocami nawiedzające mój umysł.

Konrad przytaknął, wzdychając z ulgą, że król domyślił się tożsamości Ludwika i ma do niej łagodny stosunek. Czym prędzej posłał po woźnicę,

nie żegnając się z dzieckiem, by stłumić żal. Czekala go ostatnia, najtrudniejsza, rozmowa – z Wandą.

Próbował przekonać siebie, że uczucie, które żywi, jest nie tylko niedorzeczne, ale przede wszystkim mu uwłacza. Nie było możliwości, by zatrzymał Wandę, nie miał ani takiej mocy, ani siły. Choć pozostawał wielkim żołnierzem u szczytu formy, czuł się bezradny. Rzadko coś mu nie wychodziło, zawsze dostawał, czego chciał. Jeśli potrzebował towarzystwa pięknych Czerkiesek, spełniano jego żądania. Nawet Katarzyna uznawała takie wysoki za oczywistość, póki żadna dziewczka nie pokazywała jej się na oczy, a wybryki męża pozostawały tajemnicą. Teraz jednak czuł, że żona gniewałaby się. Raz, że za obiekt afektu obrał sobie chłopkę, a po wtóre, uczucie nie równało się siłą wcześniejszym. Przewyższało je znacząco.

W biegu kazał zatrzymać woźnicę i dać inną dyspozycję – miał zajechać do wsi i odstawić Ludwikę matce. A gdyby spotkał jakiegoś chłopca, winien powiedzieć mu, żeby wieśniacy nie ważyli się nastawać na życie niewiast, póki trwa doba przykazana do opuszczenia Szkotów. Po wydaniu decyzji zamknął się w izbie. Objął rękoma głowę, obiecując sobie, że już nigdy nie rozmówi się z Wandą, która zapewne zechciałaby przyjść do Gdańska po córkę.

Wzbraniał się przed pożegnaniem, a jednocześnie rozpamiętywał zasłyszane historie o szlachcicach, którzy ulegali nieodpowiednim afektom. Kryto ich zwykle przed hańbą, tłumacząc występki pożądaniem, a równocześnie oburzano się, że plotki mogą im tylko zaszkodzić. Jezierski znajdował ukojenie w tych historiach, wiedział bowiem, że świat miłości nie odróżnia podziałów klasowych, a strzała amora może ugodzić w serce każdego nawet najbardziej opornego człowieka. Cóż jednak z tych tłumaczeń, skoro od dziecka przyzwyczajał się do swojego statusu? Obserwował wieśniaków podległych Jezierskim w chojeńskim folwarku

i wiedział, że ich życiem dysponuje jego ród, a konkretniej ojciec – Karol Jezierski. Ileż to razy batożył krnąbrnych chłopów za zaniedbania! I on, jego syn Konrad, również powinien to robić, odgradzając się od niższych stanów murem nieprzejednania.

A przecież dostrzegł w oczach Daniela Schulza rozumność niespotykaną u wieśniaków z innych części Rzeczypospolitej. Widział też, że wieś wsi nie jest równa, każda ma specyfikę, podlega komuś innemu, zarządzana jest różnie w zależności od pana. I miał na względzie położenie Starych Szkotów. Podczas pobytu w mieście nasłuchiwał się o sprycie i niewdzięczności tamtejszych mieszkańców nielegalnie trudniących się handlem i rzemiosłem w Gdańsku. Z tego wielkie zyski czerpało biskupstwo, a wieśniacy pozwalali sobie na więcej niż w innych wsiach. Kiedy debatowano o tym z królem, przedstawiciele cechowi błagali o pomoc w wytępieniu nieuczciwych zabierających mieszczanom pracę.

O tym wszystkim dumiał Konrad, a mętlik miał w głowie potężny. Wiedział tylko, że dla własnego spokoju winien zostawić Wandę. Jednak nijak się to miało do afektu, który w nim widziała i uczuć przez niego skrywanych. Posłanie Ludwiki wprost do Szkotów z pewnością da Schulzowej znak, że chorąży już nie chce jej widzieć, odcina się od życia zhańbionej porzuconej banitki, a tym samym skazuje ją na wygnanie i rychłą śmierć. Czyli postępuje jak przed jedenastu laty, ale teraz ohydniej, bo z wiedzą o nieszczęściu, jakie ją spotkało. Wanda zaś odczyta to z właściwą sobie dumą jako świadome odrzucenie i będzie miała rację.

Właśnie te myśli doprowadzały Konrada do obłędu. Ledwo powstrzymywał się przed osiodłaniem konia. Chciał jechać czym prędzej do Szkotów, ale nie umiał stanąć naprzeciwko Wandy. Miał jej do powiedzenia wiele rzeczy, ale żadna nie poprawiłaby ich sytuacji. Do miłości nie zamierzał przyznawać się nawet jej, a do bezradnej nieudolności

tym bardziej. Z jednej więc strony zostawiał ją na pastwę losu, z drugiej bezlitośnie przyznawał sam przed sobą, że nie umiałby jej pomóc. On – wspaniały mąż, chorąży wielki koronny – bezsilny jak nigdy wcześniej. Przygnieciony uczuciami nie do pojęcia, zakochany w chłopce.

Zszedł do sieni, warcząc na służbę, bo znowu wpuściła do kamienicy zimne powietrze. Chciał opuścić izbę, może nawet porozmawiać z królem, by go w akcie łaski wypuścił z Gdańska do Warszawy. Wszystko było skończone – sprawy gdańskie ułożyły się niepomysłnie, a Szwedzi opuścili sojusz i zrezygnowali z ataku na Prusy Książęce. Nawet państwowe sprawy szły opornie, a niechętni królowi rośli w siłę pod jego nieobecność w stolicy.

Konrad włożył suto zdobioną jasną bekieszę i wyszedł na mróz, by go owiało rzeńskie powietrze. Zawsze łagodziło rozedrgane nerwy. Choć nie ściemniło się jeszcze, zrobiło się bardzo zimno, a topniejący wcześniej śnieg zamarzał, tworząc ślizgawkę. Mimo wczesnej godziny było ponuro i ciemno, a ołowiane niebo zwiastowało kolejne pochmurne dni.

Ulica Długa tonęła w szarości. Wszędzie krzątali się ludzie, którzy wyszli, gdy tylko ustąpiła kilkudniowa zawierucha. Widać było jednak, że nikomu w mieście nie chce się pracować. Marne budy zamykano wcześniej, bogatsze zaś wciąż zapraszały gości wystawionymi na zewnątrz pochodniami, przy których żebracy ogrzewali dłonie, dopóki nie wygonili ich czeladnicy. W największym mieście Rzeczypospolitej zaroilo się od gdańszczan i okolicznych chłopów, ale szlachty i marynarzy nie było już widać. W grudniowym i styczniowym czasie, gdy nastawały największe mrozy, Gdańsk żył sam dla siebie. Zamierał port, znikwały uśmiechy możnych rozdawane lepiej urodzonym. Choć Konradowi takie miasto wydało się jeszcze bardziej obce, żyło jak wcześniej. Różnicę stanowili

niczego nieudający ludzie pozbawieni blichtru i ciężaru oczekiwania na przyjezdnych.

Jeziński snuł się między kamienicami. Piękne brwi, ściągnięte mrozem i niewesołymi myślami, rozluźniły się dopiero u wrót kamienicy Schwarzów. Teraz stała ona pusta, bo większość czeladzi rozbiegła się, szukając pracy u innych bogaczy. Chorąży rozejrzał się zaciekawiony, nie słysząc z wewnątrz żadnego głosu. Tknięty ciekawością wszedł niepewnie na przedproże zdobione dekoracyjną żeliwną kratą.

W oddali widział przechodzących mieszczan, ale nie zraziło go to. W kamienicy, jak stwierdził, nikogo nie ma, mógł ją zatem odwiedzić ktokolwiek, a już z pewnością nikt nie odmówiłby tego dworskiemu żołnierzowi. Delikatnie złapał za klamkę i posłyszał lekki szelest otwieranych drzwi. Wszedł cicho do sieni, jakby bał się, że spłoszy osobliwości tego miejsca – nic się jednak nie wydarzyło.

Wnętrze było ciemne i pustawe. Schody prowadziły na piętro, a po prawej stronie stała duża szafa. Konrad minął ją, po czym wszedł do okazałej izby. Okna zaciągnięte kurdybanowymi zasłonami chroniły wnętrze od światła, więc w pokoju panował półmrok. Jezińskiego ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że bogactwo zebrane w pomieszczeniu nie pasuje do siebie. Wiele cennych przedmiotów miało zapewne wywoływać podziw, jednak szlacheckie oko chorążego znajdowało w tym próżność i fałsz. Skrzynie nie pasowały do pięknego dębowego kredensu, choć każda rzecz oddzielnie prezentowałaby się dobrze.

Kredens – była to rzecz ciekawa, przyciągnęła wzrok Konrada. Otworzył skrzypiące drzwiczki i poczuł miły zapach czystości. Wewnątrz panował stylistyczny chaos, bowiem poukładane naczynia nie pasowały do siebie formą. Na górnej półce widniały niderlandzkie kafle, u dołu piętrzyły się stosy srebrnych naczyń z przyciężką skrzynią sztukową. Po bokach

zaprezentowano zaś ceramikę rodem z Bremy, ale z gdańskim herbem pośrodku. Dolną półkę ozdobiono aksamitem, co chorążego jeszcze bardziej zaskoczyło. Wydawało się, że Schwarzowie dbali o to, by w pokoju znajdowało się wszystko, co bogate, nie patrzyli zaś na to, co do czego pasuje. Ta osobliwa wystawa wywarła na Konradzie przykre wrażenie. Poczul się w izbie nieszczęśliwie i wiedział, że Schwarzowie również musieli wieść żywot umęczonych materialnymi zachciankami patrycjusza przykrywających własne niedostatki, czym się tylko dało.

Zamknął powoli drzwiczki, spojrzął ze wstrętem na koślawą szybkę zdobioną złotawym malunkiem roślinnym i skierował się w stronę kolejnych dziwów. Fotele nie pasowały do stolika, biblioteczka do kredensu, a całości dopełniał zegar wahadłowy – jedyny stosowny mebel w pomieszczenia, ale kłócały się stylem z pozostałymi przedmiotami. Konrad rozejrzał się po tej cudacznej, bogato zdobionej izbie i zrozumiał, jakie wrażenie na wieśniaku Schulzu musiał zrobić pokój. Daniel pewnie miał w chacie skromne prymitywne naczynia, gliniane lub najwyżej cynowe, a zamiast aksamitu – kitajkę.

Choć pobyt w domu Schwarzów nie był dla Konrada przyjemny, postanowił zajrzeć do sypialni, rezygnując z oglądania pięter. Nie wiedział, czym podyktowane było to subtelne włamanie – być może chęcią odgonienia tęsknoty za Wandą, być może wyrzutami sumienia. Na razie dom stał pusty, widocznie najstarszy syn rodu nie przybył jeszcze z Królewca.

Sypialnia przedstawiała podobne bezguście przykryte nachalnym bogactwem. Czegóż tam nie było! Dwa tureckie dywany przetykane złotymi nićmi, każdy w innym kolorze. Dalej kurdybany, aksamity i jedwabie wszystko ozdobione kamieniami: bursztynami, perłami i ametystami. Łoże również przedstawiało widok osobliwy. Cztery rogi

wieńczyły wysokie kolumny z wyrzeźbionymi cherubinami, u góry zakończone haczykami, na które narzucono jedwabne baldachy niedosięgające nawet poduszek.

Dla gustu dworskiego żołnierza był to widok smutny i rodzący poczucie niezrozumienia. Bogactwo, zdaniem prawdziwie możnych, nosiło często znamiona chaosu, lecz pod pozorami kryła się elegancja. Tutaj zaś jedno przeczyło drugiemu, nadawało izbie groteskowy charakter, jakby Schwarzwie chcieli umieścić wszystko, co możliwe, by podkreślić swój status.

Konrada ogarnęło zdziwienie, gdy ujrzał w sypialni portrety Rudolfa i jego żony. Choć namalował je znakomity malarz Andreas Stech, wyczuwało się na nich butę pozujących, a od tego wrażenia artysta zapewne chciał uciec. Barbara miała tak ponure spojrzenie, że dreszcz przeszedł mężnemu chorążemu po plecach. Odwrócił się w stronę skrzyń, by nie patrzeć więcej na portrety, ale przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Z początku zdawał się nedorzeczny, lecz z upływem czasu zaczął nabierać kształtu. Konrad stał na środku pokoju, wodził oczami po sypialni i układał myśli. Gdyby przebrać Wandę w któryś ze strojów Barbary Schwarz, dać jej akt obywatelstwa na nazwisko powieszanej patrycjuszki, mogłaby uratować siebie i Ludwikę. Pomysł dojrzewał z każdą chwilą, a Konrad starał się zbijać kontrargumenty jawiące się w jego umyśle.

Idea, którą wymyślił, wyróżniała się błyskotliwością, ale niosła też ogromne ryzyko. Należało Wandę wywieźć możliwie najdalej od Gdańska, powinna nawet na jakiś czas opuścić Rzeczpospolitą. Niedługo bowiem trwałaby intryga, gdyby jakiś szlachcic czy możny mieszczanin z drugiego końca kraju dowiedział się o powieszanej w Gdańsku Barbarze Schwarz. Zaraz złapałiby Wandę, odkrywając jej prawdziwą tożsamość. Należało rychło obmyślić plan, bo czas nieubłaganie płynął. Jeśli zaś nie stanie się

nic, Wanda opuści Stare Szkoty jako banitka i umrze szybko razem z córką skazana na mróz i żebraczy los.

Gdy Konrad zdał sobie sprawę, że wymyślona przez niego intryga może uratować Schulzową, dopadł skrzyń, wydobywając z nich wszystko, co się tam znajdowało w poszukiwaniu dokumentu obywatelstwa. Niczego jednak nie znalazł. Miotał się po sypialni, przetrząsając szafy, aż wreszcie wzrok padł na ławę stylizowaną na biurko. Gdy otworzył pierwszą szufladę, z wnętrza wysypał się stos dokumentów prostych i zwiniętych w rulony. Wszystkie opatrzone pieczęciami i sznurkami. Czuł, że to, czego szuka, jest blisko i nie zawiódł się. Na dnie spoczywały akty obywatelstwa wszystkich Schwarzów, a więc również dzieci.

– Anna Schwarz, wiosen dziewięć – mruknął, lustrując jeden z dokumentów.

Pasował do Ludwiki.

Wydobył wreszcie to, czego szukał najbardziej. Obywatelstwo gdańskie patrycjuszki Barbary Schwarz otwierało wiele drzwi nawet na Zachodzie. Gdańsk był bowiem znany wszędzie jako największe miasto Rzeczypospolitej. Posiadanie takiego aktu i stroju możnej mieszcżki mogło Wandzie nie tylko pomóc przetrwać, lecz także otworzyć nowe, nieznane dotąd drogi. Wszystko zależało od jej sprytu. Konrad zostawił po sobie porządek, zabrał dokumenty, po czym wybiegł w szarugę prosto na Długi Targ.

W czasie gdy przebywał w kamienicy Schwarzów, zrobiło się całkiem ciemno. Najwytrwalsi kupcy stali jeszcze przy straganach, ale biedniejsi dawno zabrali towary, by zdążyć na przedmieścia przed wieczorem. Gdańsk był teraz senny, wydawało się niemożliwym, że jeszcze kilka tygodni wcześniej tętnił życiem, obsługując wszystkie stany, od chłopów po przyjezdną magnaterię.

W kamienicy króla Konrad natknął się na niezadowolonych dostojników. Monarcha musiał być w złym humorze, a biegły w dworskich nastrojach chorąży zauważył, że chodzi o niego. Służba patrzyła na niego spłoszona, nie mając odwagi przekazywać pretensji własnymi ustami. Jezierski cmoknął z niezadowoleniem, po czym udał się do sąsiedniej kamienicy, żeby wybadać sytuację. Należało zrobić to jak najprędzej, do południa zostało tylko kilkanaście godzin. Jezierski miał plan, a nawet stosowne dokumenty, by się powiódł, ale kierunek i sposób odesłania Wandy i Ludwika pozostawały nieznane.

– Dobrze, że jesteś, jaśnie wielmożny panie. Król jegomość w bardzo złym humorze – powiedział sługa stojący przy drzwiach do sypialni Jana III.

Zaanonsował Sobieskiemu, kto przyszedł. Z sypialni Konrad usłyszał głośnie mruknięcie.

– Nareszcie! Wprowadzić.

Chorąży wszedł do sypialni pewnym krokiem. Wciąż cieszył się dużym zaufaniem i szacunkiem monarchy, jednak tym razem, spojrzawszy na poważną twarz, zaniepokoił się. Pokłonił się i przystanął milcząco w progu.

– Konradzie – zaczął Sobieski, – czy znasz wagę królewskiego rozkazu?

– Oczywiście, wasza królewska mość.

Jezierski zdziwił się, że w tej sytuacji nie może liczyć na uśmiech zrozumienia ani poufałość.

– Zatem wiesz, jaką dyspozycję wydałem w sprawie małej chłopki, która się tu leczyła?

– Kazałeś w swojej nieskończonej rozumności zawieźć ją do Świętego Ducha, najjaśniejszy panie.

– Dobrze prawisz, Konradzie, a zatem pamiętasz mój rozkaz. Tyś go zmienił. Zachodzę w głowę po co i z czyjej mocy działałeś.

Choć głos Sobieskiego brzmiał spokojnie, Konrad usłyszał w nim rozedrganą irytację. Skłonił się czym prędzej, pąsowiejąc. Przez niefrasobliwość i zamieszanie nie zorientował się, że wysyłając woźnicę z Ludwiką do Szkotów, zmienił znany wszystkim rozkaz królewski, co spowodowało wielką urazę przeczulonego ostatnio króla.

Należało cokolwiek odpowiedzieć, ale zaskoczony Jeziński nie umiał znaleźć odpowiednich wyjaśnień. Stał zatem nieszczęśliwy i nie był w stanie wydusić słowa.

– Wielki zawód spotyka mnie z twojej strony, Konradzie, raz za razem. Najpierw rzucasz się na Boga ducha winnego rajcę Holtena, choć nie on był sprawcą haniebnego rzutu kamieniem. Potem nie raczysz mnie zawiadomić o tej napaści, a w listopadzie przechwytyję list, w którym cię opisują jako dworskiego zbira. Wiadomo jednak, kto cię mianował. Wychodzę przed innymi na szaloną głowę, nędznika, który nie wie, kogo trzyma przy sobie. Nie wiesz, że Pacowie i pozostali *malkontenti*[Z] tylko czekają na takie potknięcia, aby mi je wypomnieć? Jakże napaść na rajcę miejskiego ma się do naszego przyjazdu i rozmów z gdańskimi władzami? Jakże mają oni iść na ustępstwa, a dalej – jaki stosunek ma mieć do nas Trzeci Ordynek, kiedy na przedstawiciela Rady rzuca się niczym hulaka chorąży koronny spod królewskiej mocy? Na dodatek teraz, gdy wszem i wobec ogłaszam moją wolę, ty każesz zawracać woźnicę, by chamskie dziecko – to samo, którego ojciec wykradł moje kosztowności i mordę dokonał na moim strażniku – wywieźć w inne miejsce, niż sobie życzę... Ludwika Schulz została odesłana ponownie do Świętego Ducha i rozkazuję ci, aby moja wola została zachowana.

Sobieski niebezpiecznie podnosił głos, a w jego oczach kryła się obraza. Teraz w pełni ujawnił się dumny charakter wodza. Nie było silnych na majestat podburzony samowolną decyzją chorążego.

Konrad szukał słów, by usprawiedliwić swoje uczynki, lecz ich nie znalazł. Wiedział za to dobrze, że Sobieski ma do niego coraz mniej cierpliwości. Musiał ukorzyć się przed nim, uznając swoje winy.

Zły humor króla wynikał nie tylko z poczynań chorążego, ale przede wszystkim z rosnącego poczucia porażki. Wydawało się bowiem, że dwór odjedzie z Gdańska, nie dokonawszy żadnych istotnych zmian. Wielka polityka bałtycka oparta na sojuszu ze Szwedami również zakończyła się niepowodzeniem. Dlatego król był drażliwy, a najgorsze ciągi zbierał Konrad. Choćby wydało mu się to niesprawiedliwe – był przecież jednym z najzagorzalszych stronników króla – musiał poddać się monarszej woli.

– Pokornie proszę o darowanie win, najmiłościwszy panie. Wiem, że moja decyzja głupotą była podyktowana, lecz złej woli w niej nie ma. Zapewniam za to z całą mocą i klnę się na honor szlachecki, że pojąłem gorzkie słowa waszej królewskiej mości. Proszę o przebaczenie i zmiłowanie nad wiernym uniżonym sługą.

Na Sobieskim słowa Konrada nie zrobiły wielkiego wrażenia. Już wielu świetnych mówców przekonywało go o swoim zaufaniu, jednak król zazwyczaj potrafił oddzielić dobre intencje od złych. Teraz przypuszczał, że Jezierski zagubił się w nieszczęsnym zbiegu okoliczności, należało więc dopuszczać go do tajników państwowych, ale jednocześnie trzymać na dystans, by sprawdzić, czy nadal można mu ufać. Nie była to rzecz prosta, lecz nadzwyczaj zgubna. Taki balans mógł zachować tylko dobry taktyk. Jeśli jednak Sobieski spoufaliłby się z nieodpowiednim sojusznikiem, mógłby dostać nauczkę, jaką w poprzednich latach dali mu fałszywi przyjaciele.

– To wszystko, odejdz.

Tyle usłyszał Konrad w odpowiedzi. Sobieskiemu nawet nie drgnęła powieka. Potrafił rugać najwierniejszych wprawnie jak mało kto.

Tyle lat przy nim, mimo niechętnych, mimo wrogów, a on mnie teraz traktuje jak jednego z nich. Jakby mnie przekupił byle Brandenburczyk lub insza żmija, myślał gorzko Konrad, wychodząc na korytarz.

Chociaż próbował zrozumieć ogólne rozgoryczenie Sobieskiego, wydawało mu się niewłaściwe, że wszelkie razy spadają na niego – jednego z największych obrońców stronnictwa monarchy. Jan III nie miał zbyt wielu prawdziwych powierników, dostojnicy bali się go albo udawali przyjaciół, by wyjednać łaski i poznać sekrety państwowe. Później zaś donosili rewelacje Kurii Rzymskiej, Austrii i Brandenburgii, za co sowicie opłacali ich i władcy, i stronnicy papiescy.

Im dłużej Konrad myślał o tym, co usłyszał w królewskiej sypialni, tym gorzej znosił niesprawiedliwość, jaka na niego spadła. Osiodłał konia i w mroku wyruszył do Starych Szkotów, by zabrać Wandę do miasta.

Nie musiał wyjeżdżać z Długiej, w oddali dojrzał Schulzową. Widok był żaloszny. Ubranie i twarz banitki wymazano błotem z chlewików. Kobieta szła zapewne po dziecko, a mrok dodawał jej otuchy. Gdy dojrzała Konrada, stanęła przerażona, zasłaniając twarz brudnymi dłońmi. Nie chciała, by ją taką widział, wołała, żeby zapamiętał ją jako ładną chłopkę, niegdyś mieszczankę, surowo doświadczoną przez życie. Zdumiony Jezierski zatrzymał konia, przyjrzał się Wandzie, po czym gniewnie pokręcił głową.

– Kto oblał cię błotem?

W odpowiedzi tylko chlipnęła. Wysmarowana musiała iść przez miasto, by odebrać Ludwikę. Była to kara pozbawiona rozsądku, a jednak sprawiedliwa według mieszkańców Starych Szkotów. Wyglądało na to, że

Wanda opuściła chatę, nie czekając świtu. Teraz, pod osłoną ciemności, mogła przejść przez miasto niezauważona. Widocznie obawiała się również wściekłości gdańszczan. Po raz drugi uchodziła z domu za niewinność, w którą nikt nie wierzył.

Jezierski wychylił się z siodła i kazał Wandzie iść za sobą. Spojrzała na niego podejrzliwie, zastanawiając się, dlaczego dostojnik wyciąga pomocną dłoń, skoro obrzucono ją błotem i gnojem, wygnano ze wsi, a potem kazano włóczyć się w mroku w poszukiwaniu córki.

W duszy Konrada rosła determinacja. Doprowadził Wandę pod kamienicę Schwarzów i uwiązał konia przy przedprożu, po czym wszedł do domu, nieśmiałym gestem zapraszając Schulzową. Z początku niechętnie przyglądała się kamienicy, ale miłość do chorążego działała na nią, mimo doznanych krzywd i nieufności. Drzwi zamknęły się za nimi bezgłośnie.

[6] *Laboriosus* (łac.) – pracowity (określenie chłopca).

[7] *Malkontenti* (łac.) – niezadowoleni.

XXV



Choć Konrad szczerze współczuł Wandzie, nie potrafił zniżyć się do poziomu służącego. Kazał brudnej Schulzowej samej przynieść z drugiego piętra drewnianą balię, a potem chwycić dwa kubły i iść do studni po wodę. Wanda uczyniła to niechętnie. Wizja okrutnej śmierci, która czekała na nią w zimowym krajobrazie, wywoływała przerażenie, ale bardziej niepokoił ją los Ludwiki. Mogła co prawda ochronić córkę przed zimnem własnym ciałem, ale sama także potrzebowałaby ratunku. Jeśli umrze, Ludwikę również czeka śmierć. Dziesięcioletnie dziecię nie obroni się przed rozbójnikami i wilkami, nie zdobędzie jedzenia i z pewnością szybko się rozchoruje.

Straszne myśli zaprzętały głowę Wandy i dlatego wielkie uczucie do chorążego słabło wobec wizji przyszłości. Z tego powodu Schulzowa przyniosła wodę nachmurzona. Przypatrywała się Konradowi ze zniecierpliwieniem, myśląc, że obmycie się z błota niewiele jej pomoże. Zastanawiała się też, kiedy chorąży odwróci się i zniknie, uznawszy, że pomógł już wystarczająco. Nie mógł przecież narażać szlacheckiej reputacji. Wanda rozumiała to i niczego wielkiego nie oczekiwała. Wlała wodę do balii, pozostawiając nieco w wiadrze, by po kąpieli obmyć się z osadu. Stali naprzeciwko siebie. Pohańbiona i wielmożny, wyklęta

chłopka i dworski żołnierz. Konrad wiedział, że powinien wyjść, ale nie chciał. Patrzył w zmęczone oczy, doszukując się dawnego płomienia. Zrozumiał jednak, że w ciągu kilku godzin wiele się w Wandzie zmieniło. Po raz pierwszy w jej spojrzeniu nie dojrzał ufności, a ledwo skrywaną gorycz.

– W kredensie są mydła. Weź jedno – polecił.

Posłusznie wyjęła arcydzieło gdańskiej sztuki mydlarskiej i przypatrywała mu się przez chwilę. Myślała o tym, że mydło jest piękne, a ona brzydka. Nawet jeśli się obmyje, niewiele to da. Pozostanie wygnaną chłopką pograżającą życie swoje i córki. Podniosła oczy na chorążego, zdając sobie sprawę, że jego obecność przy niej jest absurdalna. Oboje o tym wiedzieli, a jednak Konrad tkwił w pokoju, przyglądając się jej z nieokreślonymi uczuciami. Wyczuwała podniecenie skrywane pod maską żołnierskiego spokoju. Tak było w istocie.

W Konradzie burzyły się emocje. Uświadomił sobie, że jest z Wandą sam na sam. Czekał na tę chwilę od dawna, choć nie przypuszczał, że kiedykolwiek nastąpi. Teraz, widząc ją przed sobą, zapragnął nagiego ciała i wszystkich skrywanych przez nią uczuć. Chciał, żeby mu się oddała, ale inaczej niż zmysłowa Czerkieska czy byle dworska dama. Pożądał jej całej ze wszystkimi niedoskonałościami. Choć przerażał go nieuchronny romans z chłopką, pragnął go. Poza tym wiedział, że Wanda również go kocha.

– Rozbierz się – rozkazał nagle.

Polecenie wydało się Wandzie niedorzeczne, dlatego w pierwszej chwili nie poruszyła się. Twarz miała wciąż ściągniętą, tylko oczy wyrażały emocje. Niepewnie uniosła brudne dłonie i zrzuciła z ramion baranie futro. Dalej jednak nie odważyła się rozebrać. Konrad westchnął, zawstydzony przestąpił z nogi na nogę, po czym wyszedł targany sprzecznymi emocjami.

Po wyjściu Jezierskiego Wanda jeszcze przez chwilę stała niezdecydowana pośrodku pokoju. Po chwili usiadła na balii. Zanurzyła dłoń w wodzie i obserwowała, jak brud powoli mięknie, a potem odrywa się niewielkimi grudami. Zamyśliła się nad słowami Konrada, a półuśmiech niedowierzania okraślił jej lica, gdy zdała sobie sprawę z niedorzeczności jego uczucia.

Wanda zauważyła w Jezierskim dużą zmianę. Jedenaście lat wcześniej patrzył na nią zmęczonym wzrokiem, który tylko czasami bywał uważny. Teraz, po tylu latach, odgadła już w celi, że Konrad żywi do niej mocne uczucie i stara się je pohamować. Wzrastało w nim jednak, czego dowodem było niespokojne zachowanie. Często patrzył na nią nie jak szlachcic. Wyniosłość zastąpiły zainteresowanie i czułość, a wszystkie emocje starał się nieudolnie ukryć.

Zamyślona zaczęła rozsznurowywać gorset. Ubłocona suknia spadła ciężko na podłogę. Zzula przemoczone trzewiki i powoli weszła do balii. Chłodna woda zapluskiała między udami, ale Wanda nie czuła zimna. Przeciwnie, po wychłodzeniu ogarnęło ją przyjemne mrowiące uczucie ciepła. Opluskiała ramiona, a potem sięgnęła po pachnące mydło.

Woda koła nerwy. Wanda powoli dochodziła do wniosku, że skoro Konrad ją tu zabrał i kocha, to może wciąż ma szansę rozpocząć nowe życie. Ponownie uśmiechnęła się na wspomnienie niedawnego polecenia Jezierskiego. Pieściła szyję wodą z mydłem, a dookoła rozchodził się przyjemny zapach lawendy. Zmywała z siebie brud, smutek i wstyd przed ludźmi złej woli. Straciła wprawdzie męża i chatę, ale wciąż miała Ludwikę, dla której gotowa była poświęcić wszystko. Im dłużej siedziała w balii, tym łatwiej przychodziło jej przekonanie siebie, że Konrad znalazł rozwiązanie, a może nawet zabierze ją z córą do Warszawy.

Uspokoiła się. Mogła skończyć kąpiel, ale przedłużała ją, rozmyślając o przyjemnych tajemnicach stolicy i nocnych schadzkach ze szlachcicem. Tylko w taki sposób mogła się do niego zbliżyć, nie śmiała bowiem marzyć o ożenku czy jawnym romansie. To było nierealne. On mógł na skinienie przygarnąć do łóżka którąkolwiek możliwą szlachciankę, a ona co najwyżej wyjść kolejny raz za chłopca lub drobnego mieszcza, jeśliby którykolwiek ją zechciał.

Usłyszała, że Konrad przechadza się pod drzwiami. Serce zabiło szybciej, gdy uświadomiła sobie, że są sami w pustej kamienicy. Niewątpliwie jej pragnął, tak jak pragnie się owocu z zakazanego drzewa. Wyczytała to z jego zachowania i spojrzenia. Wstała, patrząc w stronę drzwi. Krople wody ściekały po jej ciele, spływały po piersiach, spadały z koniuszków palców wprost do balii. Wiedziała, że może mu się teraz oddać i po jedenastu latach znowu poczuć na wargach smak jego pięknych ust.

Serce biło tak mocno, że tamowało dech, jednak Wanda podeszła do drzwi, wyprostowała się i otworzyła je szeroko, aż wiatr z sieni ochłodził ją do gęsiej skórki. Z mocą popatrzyła na Konrada, zdając sobie sprawę, że pojmała go w sidła. Chorąży zaniemówił, widząc jej pełne, ale wciąż smukłe kształty, jędrny biust i wyraźną linię bioder. Nie było to ciało doskonale proporcjonalne, jednak na tyle ładne, by zachwycić mężczyznę.

Konrad, milcząc, dotknął palcami jej brzucha, po czym przesunął dłoń w stronę talii aż do dreszczu podniecenia. Patrzył na Wandę wzrokiem pełnym żądzy. Oddech przyspieszył, bo kobiece ciało nie stawiało oporu, zadrżało w rozkoszy na znak przywołania. Po chwili Jezierski przyciągnął Wandę do siebie, wdychając słodki zapach lawendy. Obsypywał pocałunkami smukłą szyję, lekko popychając kobietę w stronę sypialni Schwarzów. Burza uczuć szalała w ich umysłach, wyostrowając zmysły,

zaślepiając obawy. Nie liczyło się dla nich w tej chwili nic poza spełnieniem. Jezierski przestał rugać się w duchu za miłość do chłopki, a Wanda stłumiła myśli o banicji i rychłej śmierci.

Konrad lekko pchnął Wandę na zamknięte drzwi sypialni. Choć zimna klamka boleśnie ugodziła ją w plecy, stłumiła westchnienie bólu, kosztując zachłannego języka. Całował ją szaleńczo, drżąc z pożądania. W końcu otworzył drzwi i poprowadził Wandę za rękę wprost do łóża.

XXVI



Leżeli twarzami ku sobie. Piękna głowa szlachcica spoczywała wysoko na poduszkach, Wanda zaś patrzyła na regularne rysy ukochanego, podpierając się łokciem. Zaskakiwało ją zachowanie Konrada. Był bardzo spokojny, choć mógł wyprzeć miłosny akt ze świadomości, ubrać się szybko i wyjść. Tak się jednak nie stało. Trwali w błogim stanie dłuży czas, aż za oknami zrobiło się całkiem cicho; gdańszczanie poszli spać. Wanda patrzyła w ciemności na ukochane oblicze, nie dowierzając, że mężczyzna może być tak przystojny. Masywna, lecz wciąż smukła żołnierska sylwetka również wzbudzała podziw Schulzowej.

– Ciało Adonisa – szepnęła.

Nie odpowiedział, ale uśmiechnął się sennie na ten komplement. Przez dłuższą chwilę było cicho. Palce Jezierskiego powoli sunęły po wygiętym ciele, poczynając od szyi i ramion, a kończąc na talii. Wreszcie dotknął miękkiego brzucha.

– *Miraculosa*^[8] – szepnął.

Nie знаła tego słowa, więc podpowiedział jej polskie znaczenie. W podzięcie kokieteryjnie nakryła oczy rzęsami. Coraz lepiej rozumiała, czego mógłby oczekiwać od niej taki kochanek jak Jezierski. Choć nie znała dworskich obyczajów, a szlacheckie słabo, postanowiła naśladować

bezwolną zalotnicę na wzór możnych patrycjuszek. Chadzały lekkim krokiem inaczej niż chłopki. Wszystko robiły wolniej, co prawda z zastanowieniem, ale bez zaangażowania. Inaczej toczyły rozmowy, uśmiechały się rzadziej, raczej nie pokazując zębów.

Wanda nawet nie podejrzewała, jak trafne i dokładne są jej obserwacje. Konrad rzeczywiście dostrzegał w niej przemianę, choć według niego prości łodzianie żyjący blisko chojeńskiego folwarku i tak zachowywali przyzwoite maniere, a przynajmniej bardzo się miarkowali, gdy w pobliżu znajdowała się szlachta. Bogaci chłopci w Starych Szkotach, mający blisko siebie gdańskich mieszczan, nie ustępowali łodzianom w niczym, a nawet wydawali się czasem bardziej dumni.

– Co stanie się ze mną i Ludwiką?

Wanda przerwała tym pytaniem ciszę. Konrad westchnął. Nie chciał zajmować się teraz swoim pomysłem, najchętniej zaszyłby się w tej sypialni na kolejne miesiące. W końcu jednak odezwał się:

– Mam pewną myśl, lecz wymaga sprytu i poświęcenia. Nie wiem, czy to się uda.

Wanda usiadła po turecku na łóżku. Wydawało jej się, że oszaleje z radości – a więc zabierze je do Warszawy i ukryje przed światem! Zajmą z córką chatę na obrzeżach stolicy, a on będzie przychodził nocami, może nawet skrycie zajmie się jej protekcją, by nie musiała wychodzić za mąż. Nie potrzebowała zbyt wiele, z pewnością wystarczyłby skromny datek na życie, dla niego nic nieznaczący.

Tak myślała Wanda, podczas gdy Konrad rozwijał w głowie swój pomysł. Był on cokolwiek ryzykowny, ale możliwy do realizacji. Należało przebrać Wandę i Ludwikę w szaty z domu Barbary, wziąć dokumenty na nazwisko powieszanej i jej córki, a następnie wyprawić obie zagranicznym

statkiem w świat. Jedynie takie rozwiązanie dopuszczał Konrad, choć myśl o rozstaniu z Wandą ścisła mu serce.

Próbowali otrząsnąć się, ale jednocześnie szukali jeszcze chwili intymnej ciszy. Konrad uspokoił sumienie, a Wanda ucichła i poweselała. Leżeli jeszcze długo, lecz nie zasypiali. Każde z nich myślało o czymś innym, na przemian wesołym i smutnym. Ważyli na szali niedawne i odległe wydarzenia. Czuli wzajemne wsparcie. Wanda zrozumiała, że Konrad ma plan, więc odprężyła się w poczuciu bezpieczeństwa.

Z odrętwienia wyrwały ich dzwony ratuszowe wybijające czwartą rano. Trzeba było wstać i przygotować się do rozłąki, o której Wanda nie miała jeszcze pojęcia. W jej umyśle wciąż roiły się marzenia o skromnym życiu w Warszawie. Ukryta w obcym mieście pod cichą protekcją chorążego mogłaby zapomnieć o bólu i wieść z Ludwiką spokojne życie. Jej wesoły nastrój nie udzielał się Konradowi. Nie rozumiał, dlaczego Wanda stroni od pytań, skoro ważyły się jej losy, a on miał plan, jak uratować ją i córkę. Wiązał się on z rozłąką, być może na zawsze. Jednak Wanda wydawała się spokojna i radosna, jakby nie przeczuwała, co nastanie.

– Włóż którąś suknię dla służek i idź po córę. Przyjdź z nią tutaj. Musisz zdążyć przed wschodem słońca. Nie rozmawiaj z ludźmi, nie patrz na nich. Córce nakaz pośpiech.

Wanda uczyniła, co polecił. W szafie służby znalazła kilka sukien dziewczynek Schwarzów.

Konrad został sam w mrocznym domu. Wyjął dokumenty potwierdzające bogactwo Schwarzów, a więc akt posiadania kamienicy i dworku niedaleko Migowa, potem zaś tytuł żony bogatego mistrza i poświadczenie wdowieństwa. Czekał niecierpliwie na Wandę i Ludwikę, irytując się, że kobieta wydaje się spokojna o swój los. Teraz powinna obawiać się najbardziej. Choć nie poznała planu, wiedziała przecież, że

czeka ją banicja. Od tego, jak się zachowa, będzie zależał los jej i córki. Mogła zatem wykazać się sprytem, wykorzystać dokumenty i wyjść bogato za mąż w którymś zachodnim kraju, ale niefrasobliwe lub zbyt nieśmiałe zachowanie kosztowałyby ją życie.

Konrad przeszedł do salonu i przypatrzył się wahadłowemu zegarowi – jedynemu przedmiotowi, który w tym domu wzbudzał w nim szczery podziw. Drewnianą głowicę zdobiła sentencja pojawiająca się na wielu czasomierzach: *Hin geht die Zeit, her kommt der Tod, o Mensch tue Recht und fürchte Gott*. Choć Konrad słabo znał niemiecki, ta myśl nie była mu obca, a odczytywano ją dosłownie: *Przemija czas, przychodzi śmierć, czyń właściwie, bój się Boga*. Prawe uczynki nijak miały się do romansu z chłopką, a jeszcze mniej do sekretnej pomocy i kradzieży akt powieszanej patrycjuszki. Mimo to sumienie Konrada było spokojniejsze niż wcześniej. Pojął naturę uczucia, dołączając do innych możnowładców zakochanych w niewłaściwych osobach. Teraz taki stan rzeczy wydawał mu się mniej hańbiący.

Bardziej martwił się losem Wandy i Ludwika. Wszystko wskazywało na to, że jedyną drogą opuszczenia Gdańska będzie droga morska – niebezpieczna ponad miarę. Tym razem niespokojne spojrzenie Konrada padło na obraz Lieve'a Verschuiera – utalentowanego holenderskiego malarza ukazującego piękno i majestat groźnego morza. Złota rama otaczała bezmiar spienionych fal u góry jaśniejących pianą, a na dole ciemniejących niczym otchłani. W szalejącym żywiole miały się niewielkie statki lawirujące między brunatnymi skałami a tonią – bezbronne, zdane na łaskę Boga. Niebo – równie nieujarzmione, przykryte chmurami – gdzieniegdzie odsłaniało się, ukazując błękit – nadzieję na pokonanie sztormu.

Wanda wróciła. Ludwika patrzyła na Konrada ufnie i miło. Choroba ustąpiła, minął nawet kaszel. Dziewczynka wyglądała jeszcze ładniej niż wcześniej; jej twarz jaśniała radością, podobnie oblicze Wandy. Konrad zmarszczył brwi, widząc to. Czyżby rozłaka nic dla niej nie znaczyła?

– Podejdź do szafy Schwarzów. Są tam suknie – polecił.

Patrzył uważnie, jak z nieśmiałym uśmiechem otwiera ozdobne drzwi szafy i ogląda suknie. Wypatrzyła błękitną mocno ściaganą gorsetem. Gładziła w palcach drogi materiał halek, po raz pierwszy mając do czynienia z czystym jedwabiem.

– Ta jest przepiękna – uśmiechnęła się, wyciągając ją.

– W modzie teraz purpura. Dodaje szlachetnego rysu, przypomina karmazynowy, dlatego każda można mieszczka taką nosi. Włóż ją zamiast błękitnej.

Wanda z żalem odłożyła suknię i wyciągnęła purpurową. Materiał ślizgał się w dłoniach, lecz z łatwością przed lustrem dopasowała ubranie do figury.

Ludwika dziwiła się, że matka robi wszystko tak, jak podpowiadał Jezierski, lecz Wanda widziała w tym posłuszeństwie korzyści. Konrad znał się na wielkim świecie warszawskim dużo lepiej niż ona, więc to, co nakazywał, musiało jej się przydać. Ponadto ślepo wierzyła w jego plan. Była pewna, że zabierze ją i córkę do Warszawy lub wyśle tam przed sobą, a potem ukryje jako modną patrycjuszkę z nowymi dokumentami tożsamości. Ekscytowała ją wizja przygody, a czarne myśli rozwiały się dzięki ufności. Była w doskonałym nastroju, nie podejrzewając, że Jezierski zamierza odesłać ją do innego kraju. Starła się być posłuszna w każdym względzie, by utrzymać chorążego przy sobie. Nie wydawało jej się to trudne z wyjątkiem znajomości obcych języków. Ulga po uwolnieniu się od Daniela i pomoc ukochanego zaćmiły jej umysł.

Purpurowa suknia była trochę zbyt szeroka, więc Wanda obwiązała się ciasniej gorsetem. Poprawiła halki, wygładziła materiał i pokazała się Konradowi. Zalśniły mu oczy, ale widniał w nich smutek, bo chorąży wiedział, że jeszcze tego dnia przed wschodem słońca utraci Wandę, być może na zawsze. Nakazał sobie jednak bezwzględny spokój, miarkując się już od dłuższego czasu. Żal spowodowany wesołością Wandy ukrył na dnie serca, przykrył szlachecką dumą i powściągnął uczucia. Nie miał zamiaru pokazywać przed chłopką, że mu na niej zależy. Skoro zaś ona cieszy się z rozłąki i nowej sukni po powieszonych zdrajczyń, to on, Konrad, będzie udawał, że dla niego również jest to dobry dzień.

– Chodzisz jak chłopka – zauważył uszczypliwie – włoż w tę umiejętność więcej gracji. Gdy się pochylasz, zważaj na to, by mieć proste plecy, nie pokazuj się zgięta jak cham przy koszeniu. Podwijaj suknię kciukiem i palcem wskazującym, kiedy wchodzisz po schodach, moźni na to patrzą.

Wanda próbowała, wychodziło jej nieźle. Naśladowała możliwych z pamięci. Inaczej układała stopy, dłużej zatrzymywała wzrok na jednym przedmiocie, powściągała grymasy. Niewygodne buty na korku przysparzały jej najwięcej zmartwienia. Stawiała kroki niepewnie ku niezadowoleniu Konrada.

– Musisz poczuć się ważna, tylko wtedy ludzie naprawdę w to uwierzą. Dzisiaj upniesz włosy wysoko, jak robią to patrycjuszki. Weź ze sobą tyle spin i kokard, ile zdołasz zmieścić we włosach. Może będzie to wyglądało nieszczególnie, ale za srebrną lub perłową spinkę dostaniesz dużo monet. Z pewnością ci się przydadzą.

Wanda zmęczyła się tymi rozkazami, nie widząc sensu w popisywaniu się. Przez chwilę jawiło jej się to jako atrakcja, jednak coraz bardziej przeszkadzało.

– Po cóż mi udawać aż tak nadętą?

Konrad nie odpowiedział. Z niezadowoleniem przyglądał się próbom i wiedział, że wprawne oko zauważy niskie pochodzenie. Co prawda Wanda przykładała się do porad i czyniła to z powodzeniem, lecz dworskie oko chorążego natychmiast wychwytywało fałsz. Zdemaskowanie Wandy mogła dodatkowo ułatwić niezajomość języków. Najbardziej prawdopodobne było to, że wypłynie na którymś zagranicznym okręcie, zapewne do Holandii.

– Znasz jakieś języki? – zapytał, spodziewając się odpowiedzi.

– Nasz – odparła niepewnie.

Stała lekko onieśmielona pytaniem.

– A poza naszym nic?

– Trochę słów po niemiecku. Kilka zdań złożę.

Dopiero teraz Wanda spieszyła się i uświadomiła sobie, jak ważna osobistość pomaga jej uciec. Konrad był dobrze urodzony, poznał świat i podróże zagraniczne, zdobył staranne wykształcenie, poznał najważniejszych dostojników państwowych i władał biegle czterema językami. Był przy tym jedną z najważniejszych osób w Rzeczypospolitej, chorążym wielkim koronnym z licznymi innymi tytułami, panem rozmaitych ziem z folwarkami i majątnym żołnierzem wsławionym w bojach. Zdało się Wandzie, że przeszkadza mu jej radość, jakby uraziła go swoboda chłopki wobec szlacheckiego dworskiego oblicza. Niepewnie splotła dłonie na brzuchu i w tym oczekiwaniu spoglądała na Konrada, próbując odgadnąć jego myśli. Za nic nie chciała go rozsierdzić, to mogło przekreślić cały plan.

Jezierski patrzył na Wandę zmęczonym wzrokiem.

Jakże ucieczka za granicę może się udać, skoro ona nie potrafi nawet jednego obcego języka? Przecież to czyste szaleństwo sadzać ją na obcy

statek pełen marynarzy i słać na inną ziemię do nieznanych ludzi. I czemu ona na wszystko się godzi? Czy naprawdę nie zna swojego położenia? Być może nie wie, że zamierzam posłać ją statkiem. Cóż, za późno na inne ustalenia, rozmyślał Konrad.

Jego piękne czoło zmarszczyło się.

– Tam się niemiecki chyba i tak nie przyda? – dopytała nieśmiało Wanda.

Wciąż myślała o Warszawie.

– Każdy język obcy jest przydatny w nowym miejscu – odpowiedział zdziwiony Konrad.

Oboje zastanowili się przez chwilę, czy na pewno myślą o podobnym planie, ale nie było czasu na dopytanie, ponieważ ciszę przerwało im skrzypienie podłogi. Naraz w progu stanęła młoda przestraszona dziewczka służebna. Ze zgrozą spojrzała na Wandę ubraną w powłóczystą suknię.

– Ależ... ależ to suknia pani Barbary! – wykrzyknęła.

Miarkowała się tylko ze względu na obecność strojnego szlachcica.

– Co tu robisz, dziewczko? – zapytał spokojnie.

Jego niebieskoszare oczy ciskały gromy. Dziewka skłoniła się przed nim głęboko nauczona posłuszeństwa.

– Jaśnie panie, proszę nie dopuścić do tego, żeby ta winowajczyni profanowała suknię po zmarłej pani.

– Jesteś ze służby Schwarzów?

– Tak, jaśnie panie. Byłam osobistą służką pani. Od kiedy wzięto ją do lochów, cała służba się rozbiegła, bo nie miał nam kto zapłacić. Ja też poszłam precz, ale zmiarkowałam, że muszę wrócić ze względu na sentyment do mojej pani.

Konrad stłumił prychnięcie. Wiedział, że sprytna służka nie z przywiązania, lecz z chytrej natury wróciła do pustej kamienicy, by ją obrabować z kosztowności.

– Nie wiem, kto w te banialuki uwierzy – zachnął się.

Służka poczerwieniała ze wstydu, lecz nie zamierzała się tłumaczyć. W lot pojęła, jaką nagrodę otrzyma od miasta, jeśli doniesie, co zastała w domu Schwarzów. Zamierzała wycofać się i wyjść, ale Konrad ją zatrzymał. Władczo nakazał usiąść obok siebie na łożu. Skinął na Wandę, by zbierała kosztowności, po czym bezszelestnie dobył ceramiczny solidny kufel ze stolika i mocno uderzył służkę w tył głowy.

– Jezus Maria! – krzyknęła Wanda.

Zasłoniła oczy dłońmi, bojąc się, że Konrad zabił dziewczkę. Jednak Jezierski dobrze znał się na zadawaniu ciosów i wiedział, że służka tylko omdlała. Niebawem mogła jej wrócić świadomość, więc należało szybko wynosić się z kamienicy.

– Nic jej nie będzie – zapewnił, przechodząc obok Wandy.

Ludwika obserwowała scenę z niepokojem. Nikt nie powiedział jej, gdzie się udadzą ani jak będzie wyglądało dalsze życie. Ledwo wyzdrowiała, łatwo mogła znów się przeziębic podczas długiej drogi. O tym, że z matką uchodzą z miasta i ze wsi, wiedziała. Nie znała celu podróży, co widocznie chorąży miał przemyślane. Ufała mu jak Wanda, choć teraz ujrzała drugą stronę jego charakteru. Dotąd nie podejrzewała, że Konrad mógłby nastawać na zdrowie czeladzi, mimo że wiedziała jaki wielki z niego żołnierz. Po idealnie wymierzonym, pewnym ciosie wystraszyła się i schowała za drzwi.

Ludwika widziała w banicji jeszcze jeden problem – opuszczała nie tylko chatę i wieś, ale przede wszystkim nadmotłowski port, a tym samym Florka. Nie widziała go od czasu sytuacji z listem, kiedy przeczytał jej

okropności nakazujące donieść na ojca. Teraz, stale w wirze nowych wydarzeń, szybko ubierając się w suknię po pannie Ani Schwarz, myślała o tym, że nie chce opuszczać jedynego przyjaciela. W sąsiedniej izbie Wanda chowała pod halki spinki, a do sakw klejnoty, Konrad zaś przygotowywał dokumenty.

Było to włamanie nie gorsze od rabunków wytrawnych awanturników. Wanda wpadła do Ludwika, podała jej niewygodne, zbyt ciasne buty którejs z córek Schwarzów, a potem chwyciła Schulzównę za dłoń i pociągnęła ku wyjściu. Teraz już nie było czasu na rozmyślanie, należało poddać się losowi.

Cała trójka wyszła w ciemnicę. Na ulicy nie było nikogo, przedmiejscy biedacy dopiero wstawali, a możni nadal spali. Mrok towarzyszył osobliwym wędrowcom. Konrad odwiązał konia, dosiadł go i dopiero wtedy zamknął się w myślach. Chciał porozmawiać z Wandą przed rozstaniem, ale widział wyraźnie, że kobieta tego nie potrzebuje.

Jej beztroska go gniewała, równocześnie czuł gorycz. Nakazał sobie jednak zachowanie szlacheckiej godności. Nie zamierzał przyznać się przed Wandą, że się zakochał, i tak samo nie śmiał zabiegać o jej względy.

Kimże ona jest? Zwykłą chłopką przecież. I tak nie mógłbym nawiązać z nią jawnego romansu, rozmyślał.

[8] *Miraculosa* (łac.) – cudowna.

XXVII



Rano żywego człowieka najłatwiej można było znaleźć w porcie. Zimą marynarze wypływali zwykle z brzaskiem, by jak najdłużej być na morzu za dnia. O tej porze roku woda bywała zwodnicza, wypływały tylko najlepsze okręty z doskonałą załogą. Przy byle pomyłce statki szły na dno. Konrad wiedział o tym, lecz jedynie w ten sposób mógł zapewnić fałszywej Schwarzowej bezpieczeństwo.

Wanda nie pytała o nic. Ścisnęła mocno dłoń Ludwika, lecz radość gdzieś uleciała, a pojawił się niepokój. Nie rozumiała, dlaczego tkwią przy porcie ukryte pod żurawiem. Wielka drewniana budowla chroniła je przed porywami wiatru, osłaniała też przed śniegiem, ale równocześnie budziła strach. Kojarzyła się ze statkami i groźnym morzem, którego nikt dokładnie nie poznał i nie okiełznał.

Morze w ogóle jawiło się Wandzie jako wielki żywioł; podobnie myślała Ludwika, choć woda kojarzyła jej się głównie z Florkiem. Przypomniała sobie, że przyjaciel ponad wszystko pragnie podróżować w nieznaną, by odkrywać nowe lądy. Zaczęło do niej docierać, że ona pierwsza wyruszy w długą wędrówkę zapewne niebezpieczną. Schowała się pod matczynym futrem i otarła łzę. Niewielkie marszczenia na wodzie delikatnie kołysały okrętami. Obie, stojąc pod żurawiem, zaczynały

pojmować, że ich pobyt w porcie nie jest pomyłką lub chwilowym postojem, ale początkiem podróży.

Tymczasem Konrad pognął konia do karczmy pod Zielonym Mostem. Miał zamiar wypytać, czy marynarze wypłyną tego dnia i dokąd. Akurat wychodzili zaspani na mróz. Noc spędzili w górnych pokojach i widocznie wyspali się zanie, niewielką mając o tej porze roku konkurencję. Konrad zerknął na ich masywne charakterystyczne szczęki i małe wodniste oczy, poznając, że ma do czynienia z Holendrami.

Na razie nie mówił nic, tylko towarzyszył marynarzom w drodze na Długie Pobrzeże. Był w paskudnym nastroju, który pogorszał się z każdą chwilą. Czuł się przegrany niemal na każdym polu. Nieszczęśliwie zakochany w chłopce, która zdawała się cieszyć z rozstania, z rozczarowanym królem i rodziną oddaloną od Gdańska o tygodnie drogi, uświadamiał sobie, jak niewiele może zmienić w swoim życiu. Prawie nic nie zależało teraz od niego.

Ponure myśli przerwał holenderski kapitan, który dołączył do grupy. Jezierski zwrócił się do niego po francusku, pytając, dokąd płynie. Dowiedział się, że zmierzają przez cieśninę Sund, a dalej Morzem Północnym do Amsterdamu. Tam wyładują towar, który pojedzie w głąb kraju. Statek załadowano polskim drewnem z południa, były też воск, stal i płótno.

– Chciałbym obejrzeć statek – powiedział Konrad.

Kapitan popatrzył na niego z ironią. Zdumiała go prośba, a raczej polecenie polskiego dostojnika, bo przez chwilę nic nie mówił, a następnie zapytał, czy aby na pewno dobrze zrozumiał. Nie tylko jemu wydawało się osobliwe, że polski szlachcic pakuje się na okręt – żegluga była niebezpieczna, a dobrze urodzeni zwykle z niej nie korzystali. Marynarze niespokojnie przystępowali z nogi na nogę, wietrząc awanturę. Myśleli

bowiem, że chodzi o problem z załadunkiem, z którego trzeba będzie się tłumaczyć.

– Na wywóz dóbr są dokumenty – zaświadczył kapitan.

Był człowiekiem możniejszym i lepiej wykształconym od grubiańskich marynarzy. Próbował złapać nić porozumienia z polskim szlachcicem, ale Konrad tego nie dostrzegał. Zwinnie wszedł na pokład po przymocowanej do burty drabinie i niepewnie stanął na chwiejącym się niedużym okręcie. Co prawda miał dwa maszty, ale warunki wewnątrz były skromne.

– Czy to jedyny statek, który dzisiaj wypływa? – zapytał chorąży.

– Musiałyby jaśnie wielmożny pan zapytać strażnika, ja nie wiem. Ale widać, że port prawie pusty. Oprócz nas jeszcze jeden okręt stoi, ale to Anglicy. Są leniwi, nie wypłyną dzisiaj. Wczoraj ostro popili w karczmie.

Holender mówił powoli i patrzył z dołu na Konrada chodzącego po pustym pokładzie. Długie Pobrzeże zapełniło się przelęknioną grupą obcokrajowców szepczących między sobą. Polski szlachcic – nie byle jak ubrany, a zatem możny – wszedł na ich statek, pytając o różności. Patrzył z góry na kapitana i bez skrupowania wykorzystywał swój autorytet. Po cichu więc zadawano pytania, po co ta scena i czy wynikną z tego niedogodności.

Konrad rozejrzał się po statku rozczarowany. Wyobrażał sobie większy okręt, mniej załadowany, z kilkoma osobnymi kajutami dla marynarzy. Zobaczył jednak, że miejsca zostało niewiele, a załoga będzie spała, gdzie tylko ich zmorzy. Jakże więc miały się tu zmieścić dwie niewiasty?

– A hulać lubią ci chłopcy? – zapytał Jezierski, schodząc na ląd.

– Pewnie, że lubią! Na statku w zimnicy nie ma co robić, to piją, żeby czas szybciej płynął, choć ja im nie pozwalam do nieprzytomności się zalewać, bo przez to są wypadki, jaśnie wielmożny panie. W przedostatnim kursie dwóch marynarzy straciłem. Przez burtę rzygali i tak się przechyliłi,

że wypadli. Porwała ich głęбина, strach myśleć! Jak piją umiarkowanie i wiedzą, co robią, to inna sprawa.

Zostawić z tymi pijanymi błaznami dwie dziewczki? Przecież to zgroza, myślał gorączkowo Konrad.

Nie widział jednak innego rozwiązania. Na nowe pomysły było za późno, zresztą brakowało wolnego powozu i zaufanego woźnicy, który dyskretnie przewiózłby banitki do granicy. Jeśli pójda piechotą, zgubią się wśród zimowych pól, śnieżyc i hultajstwa. Strach pomyśleć, gdzie zakończą żywot. Jedyna możliwość to podróż statkiem – po prostu znikną, jak miały przed południem, ale przy odrobinie szczęścia przetrwają. Na obcej ziemi z dokumentami gdańskich patrycjuszek będą bezpieczniejsze niż w Rzeczpospolitej.

Konrad spostrzegł, że Wanda wychyliła się lekko spod żurawia. Patrzyła na niego z niepokojem. Zostawił wchodzących na statek marynarzy i podszedł do niej, powstrzymując uczucie wstydu. Położył dłoń na jasnej głowie Ludwiki i odezwał się do Wandy:

– Myślałem, że inaczej będzie wyglądał statek, którym popłyniecie.

Wanda stała zdezorientowana naprzeciwko chorążego. Przed nią rozciągała się delikatna pluskająca woda, a za nią rozpościerał się wielki żuraw. W tym majestatycznym miejscu, pośród zimna i ciemności, zaczęła pojmować, że jej wizja rozminęła się z planem Konrada. Jednak wciąż łudziła się, że pomyłka jest niewielka.

– Popłyniemy? We dwie? Dokąd?

– Okręt płynie do Amsterdamu.

Lód ścisnął serce Wandy. Naraz zrozumiała, że Konrad postanowił pomóc jej bez zobowiązań. Nie chciał angażować się w los jej i Ludwiki, zresztą po cóż miałyby to robić, skoro ma rodzinę i dworskie urzędy przy samym Janie III.

– Nie wsiądę na ten statek – oznajmiła zimno.

Po raz pierwszy Konrad zobaczył w jej oczach lodowatą nienawiść i determinację. Odsunął się nieznacznie, zaskoczony tą nagłą zmianą.

– Jakże to? Przecież przystałaś na mój plan. Zdawał cię nawet cieszyć – dopowiedział gorzko.

– Myślałam, że pojedę do Warszawy. Z tobą, panie.

Ledwo powstrzymała wybuch wściekłości. Oddychała wolno i głęboko na tyle, na ile pozwalał ciasno zasznurowany gorset, ale płatki nosa i dziki wzrok zdradzały burzę emocji. Czuła się oszukana przez tego mężczyznę po raz drugi.

– Najpierw porzuciłeś mnie, wyjeżdżając na Litwę, a teraz, skazując na pewną śmierć z rąk brudnych marynarzy lub sideł morza. Nie znam żadnego języka, nie odnajdę się w nowym miejscu, dobrze o tym wiesz... jaśnie panie – dodała po chwili, mimowolnie okazując należny szlachcicowi szacunek.

Znajomy tytuł, którym go obdarzyła, brzmiał jednak inaczej, niż zazwyczaj. Zawisł nad nimi jak nieporozumienie międzystanowe. Oboje musieli skłonić się odwiecznej poddańczo-władczej zależności, choćby ich miłość znosiła wszelkie inne granice. Konrad zrozumiał, że wcześniejsza radość Wandy nie wynikała z chęci rozstania – było odwrotnie. Teraz gdy pojął jej uczucia, badał, gdzie schować wzrok. Właśnie przegrywał jej miłość, na której kiedyś mu nie zależało, a później latami przekonywał siebie, że nie miała znaczenia.

– Wszystko zależy od ciebie, Wando. Nie mógłbym ukryć cię w Warszawie. W końcu ktoś by się zainteresował twoim nazwiskiem – powiedział wreszcie cicho.

Szukała oczami jego wzroku, lecz krył się przed jej źrenicami jak ogień przed wodą. Oboje zdawali się śnić na jawie pośród mroźnej ciemnicy,

w której jedyne znaki życia dawały głosy marynarzy szykujących się do podróży. Pusty port niósł echo śmiechów i obcej mowy.

Wanda nie była pewna, co ma począć. Im dłużej wpatrywała się w Konrada, tym szerszy żal oplatał jej serce. Nigdy dotąd nie czuła się tak oszukana. Mogła poddać się losowi i stracić życie razem z córką lub wsiąść na okręt, by popłynąć w nieznane. Zacisnęła szczęki i myślała, a widok skruszonego Konrada utwierdzał ją w przekonaniu, że powinna zawalczyć o siebie i Ludwikę, spróbować nowego życia, które najwyżej zakończy śmierć. Teraz przynajmniej miała szansę. Gdy okręt odpłynie, a ona wyjdzie poza miasto, będzie za późno. Obie pochłonie zawierucha.

– Jaśnie wielmożny pan jest człowiekiem szlachetnie urodzonym. Proszę zatem żyć według swoich zawitych reguł z pięknymi kochanicami u boku i za przyzwoleniem żony, ja zaś oddam się w ramiona morskich fal i przetrwam, bo niejedno już jako mieszcza, a następnie chłopka przejść musiałam. I to również przejdę, a jeśli nie, to niech pochłoną mnie odmęty.

To powiedziawszy wyminęła Jezierskiego i poszła w stronę okrętu. Marynarze z uciechy wyszczerzyli szerniałe kły, widząc, że nieznana dziewczka pcha się na pokład po drabinie, a wraz z nią córa. Widzieli w tym osobliwym przemarszu ubaw i pożywkę, tylko kapitan – wyraźnie niezadowolony – podpierając się pod boki krzyczał, że nie życzy sobie niewiast na okręcie.

Konrad, wyczuwając zbliżającą się awanturę, również wspiał się na pokład i rzucił kapitanowi dwie sakwy monet. Miał je przygotowane wcześniej, zdając sobie sprawę, że trzeba będzie przekupić marynarzy, by zabrali niewiasty.

– Masz tu zapłatę za te dwie mieszczyki. Jak się nazywasz?

– Reinhold Haacke – odpowiedział kapitan.

– Jeśli którykolwiek z marynarzy tknie jedną albo drugą, to odnajdę cię choćby w Amsterdamie, okręt spalę, a ciebie utopię w byle kanale albo głowę zetnę szablą. Twoja załoga będzie ginąć po kolei w męczarniach. Masz przysłać mi wieści z Amsterdamu do Warszawy, że kurs się powiódł. Jeśli tego nie zrobisz, dowiem się dlaczego. Jeśli żyć będziesz, a nie napiszesz listu, to znajdę cię i zabiję. Jeśli zaś nie potrafisz pisać, komuś innemu zleć zadanie. Wiadomości trafiać mają do mnie, czyli chorążego koronnego jego królewskiej mości Jana III – Konrada Jezierskiego, do nikogo innego. A dziewczkom włos z głowy nie spadnie, rozumiesz?

Konrad był kontent, że o okropnościach rozmawiają po francusku. Nie rozumiała tego języka ani Ludwika, ani Wanda. Holender zatrzęsł się ze śmiechu. Pogładził szerokimi dłońmi wyrazisty brzuch i cmoknął ukontentowany.

– Spokojnie, jaśnie panie Polaku. Dałeś zapłatę i wystarczy rzecz za co. Nie trzeba, waszym zwyczajem, zaraz szablą grozić.

Nadeszła trudna chwila pożegnania. Wanda skłoniła się z gracją, a za nią Ludwika. Obie wyglądały teraz na możliwe miejskie panny mogące poradzić sobie z każdą trudnością spokojem i układami. Tylko znający twarz Wandy mogliby rozpoznać w dalekiej krainie, kim jest w rzeczywistości. Oto narodziła się nowa Barbara Schwarz, wcześniej chłopka Wanda Schulz, a z urodzenia mieszczka Sobótko.

Konrad poczuł wstyd, dojrawszy ukłony. Widział, jak zapatrzona w pokład Wanda cierpi, jak czerwieni się jej blada twarz, by w końcu kolorem upodobnić się do purpurowej sukni. Zachowała jednak powściągliwy, niepodobny do chłopskiej brawury, spokój. Za to nietypowe, niemal szlachetne zachowanie cenił ją najbardziej. Ścisnęło się mu serce, gdy żegnała się z nim zimno, nie zaszczyciwszy nawet jednym

spojrzeniem. Po raz ostatni spojrzął na jasny warkocz wystający spod strojnego futra. Chowala się w nim jak w bezpiecznym kokonie.

XXVIII



To był sen czy wszystko zdarzyło się naprawdę? – zastanawiał się Konrad, idąc szarzejącą ulicą w stronę kamienicy.

Nie został w porcie, gdy statek wypływał. Pożegnał Wandę z pokładu, a potem wolno zszedł po drabinie na Długie Pobrzeże i nie oglądał się więcej. Targały nim sprzeczne uczucia.

Długa noc powoli ustępowała, ponury dzień wylaniał się z mroku. Ulice wypełniał gwar ludzi cieszących się z nastania stabilnej aury. Nie śnieżyło już, brązowiejące kopy brudnego puchu zalegały tu i ówdzie. Ludzie sprzątnęli stragany i miasto powoli otwierało się na nowy szary dzień. Szczyty majestatycznych wysokich budowli pokrywała mleczna mgła. Jedynie zimą Gdańsk wydawał się tak obcy i nieprzychylny przyjezdnym. Należało spodziewać się długich mrocznych miesięcy, w których nie wydarzy się już nic ciekawego oprócz wyjazdu Sobieskiego i jego świty.

Konrad minął straż u wejścia do kamienicy i bezszelestnie próbował dostać się do sypialni. Zatrzymał go jednak w sieni król.

– Konradzie, nie nocowałeś tutaj. Opowiadano mi, że twojego konia widziano uwięzowanego przed kamienicą Schwarzów. Czy możesz wytłumaczyć mi te dziwy? – zapytał Sobieski.

Był ubrany, wystrojony w najlepsze szaty i klejnoty. Na twarzy widoczne były liczne zmarszczki świadczące o tym, że król to wesołek skłonny do częstych uśmiechów. Cóż mógł wiedzieć o życiu niżej urodzonych? Cóż jego chorąży mógł mu o tym powiedzieć? Cóż mógł rzec o niesprawiedliwości, poświęceniu? Czuł, że nic na ten temat nie wie, prawdopodobnie był blisko, by osiąść skrawek tej tajemnej wiedzy, lecz pozostała ona dla niego niedostępna jak Wanda. Chciał jak najszybciej zapomnieć o nieprzespanej nocy i piekącym bólu, który rozrywał go od środka.

Powiedział królowi, że nic nie wie o koniu przed kamienicą, że w ogóle nic nie potrafi rzec, bowiem przez całą noc odwiedzał karczmy i pił z tęsknoty za przestrzenią, bitką i pustymi polami. Może przez pomrokę padającą na nietrzeźwy umysł uwiązał konia przy kamienicy Schwarzów, ale nie może tego pamiętać.

Podczas gdy Jezierski spowiadał się z nocy, król obserwował ze zdumieniem jego pusty wzrok, blade i wyschnięte usta i marny wygląd. Gorzałki jednak nie czuł wcale, więc był pewny, że chorąży zmyśla. Musiała to jednak być dla niego istotnie ciężka noc, której nie chciał pamiętać. Sobieski wycofał się do sąsiedniej kamienicy, nie wypytując więcej.

Konrad wszedł do izby i rzucił się na łoże. Zamknął oczy, okrył ciało pierzyną, po czym zaczął błędzić myślami po gładkim niepozornym ciełe, które jeszcze kilka godzin wcześniej pieścił. Choć próbował odgonić sprzed oczu wizerunek chłopki, on nie znikał, lecz trwał, mimo przymkniętych powiek. Czuł całą paletę emocji, a dominowały wstyd i poczucie winy. Po raz drugi zostawił ją na łaskę losu, jednakże tym razem świadomie. Wybrał jej drogę, którą powinna podążać, oddaloną od jego szlaku o setki mil. Wiedział, że koszmary, które ustały, gdy ponownie ujrzał Wandę, wróca.

Uważał, że słusznie gniewała się na niego, choć w Rzeczpospolitej nie mogła być bezpieczna. Moźni w całym kraju nawiązywali stosunki, zawierali układy. Nie upłynęłoby w Wiśle dużo wody, a ktoś odgadłby, kim jest fałszywa patrycjuszka.

Być może Wanda nie wiedziała o tym ryzyku, lecz pewniejsze jest to, że nie chciała przyjmować go do wiadomości. Utkwiła chabrowe załzawione oczy w panoramie Gdańska. Oddalała się od miasta coraz bardziej i czuła, że zostawiła tam nie tylko marzenia, ale przede wszystkim przeszłość ze wszystkimi złudzeniami. Ruszała na obcą ziemię, w paszczę nieznanego lądu, do miasta Amsterdam, o którym niewiele słyszała. Okręt kołysał się delikatnie, ale dla Wandy stojącej po raz pierwszy w życiu na pokładzie statku, była to sytuacja niezwykła, wymagająca i nad wyraz nieprzyjemna.

Zimny wiatr owiał jej policzki, więc okryła się szczelniej futrem. Twarz, zwykle rozmarzona i nieobecna, teraz ściągnęła się w grymas bolesnego lęku krępującego ruchy. Oddalała się coraz bardziej od lądu z ludźmi, których się bała i nie rozumiała. Gdy deski pokładu skrzypnęły, zapragnęła wydostać się i uciekać. Nie było dokąd.

W myślach przeklinała Konrada za to, że zostawił ją na pastwę obcojęzycznej załogi. Dotarło do niej, że przed jedenastu laty również porzuciłby ją, nawet gdyby wiedział o grożącym jej niebezpieczeństwie. Ewentualnie kazałby uchodzić z Łodzi, jednak z pewnością nie zabrałby jej ze sobą na Litwę.

Gorycz, która przepełniała Wandę na statku, zatruwała myśli, lecz równocześnie otrzeźwiała. Wzrok zmętniał, ciało zeszywniało pod wpływem mroźnego wiatru i dreszczy strachu, a rozum zwyciężył wreszcie nad ufnym sercem. Gdy Gdańsk zniknął z horyzontu we mgle, przerażona

własną samotnością Wanda postanowiła, że jeśli przeżyje, kiedyś zemści się na mężczyźnie, który tak mocno ją rozczarował.

Ludwika również czuła niepokój, lecz starała się być dzielna; z pewnością tego oczekiwaby od niej Florek. Pragnął wyruszyć statkiem w nieznane, by odkrywać dzikie lądy. Florek. Ludwika również przeżywała rozstanie, choć nikomu nie przyznałaby się do tego, co czuje. Równie skryta co matka oddalała się w poczuciu osamotnienia.

Przypomniała sobie wszystko, co mówił jej przyjaciel. Bolała nad tym, że Kerschenstein nie uznał jego rysunku, oczami wyobraźni widziała żółte drzewo cytrynowe, ale najbardziej utkwiała jej w pamięci opowieść o trzech braciach. Otarła łzę z policzka, rozmyślając, że gdyby miała dar przyspieszania czasu, postąpiłaby zupełnie nierozumnie i tak jak najstarszy brat ominęła długie tygodnie, miesiące i lata, skracając życie aż do kolejnego spotkania.

Nie miała jednak takiej mocy. Wtulona w matczyne futro rozmyślała gorzko nad przeszłością. Wizerunek ojca, Florka, Katarzyny, Konrada – wszystko to mieszało się jak w piekielnym kotle. Płynęła na nieznane wody, a z oczu znikwały najpierw mniejsze przedmioty, potem lepiej zarysowane kształty, a na końcu ogromne budowle.

Epilog



Pobył króla Jana III w Gdańsku zakończył się 14 lutego 1678 roku. Choć monarcha zatwierdził niektóre przywileje i rozsądził kilka sporów, wiele spraw pozostało nierozstrzygniętych. Rozczarowani rzemieślnicy nie otrzymali prawa do handlu; król odroczył wiele ważnych postulatów.

Wojska szwedzkie nie wdrożyły postanowień sojuszu podpisanego 21 sierpnia 1677 roku, a Szczecin odpierający ataki Brandenburczyków ostatecznie skapitulował. Zamierzenia Jana III wobec polityki bałtyckiej zakończyły się niepowodzeniem.

Dwór opuścił Gdańsk potajemnie, by nie wzniecać buntu mieszkańców. Dopiero gdy król znalazł się poza murami miasta, oddano honorowy salut.

Słowniczek dawnych nazw i określeń

afekt – z łac. *affectus*, poruszenie umysłu; w dawnej Polsce wyraz oznaczający silne uczucia miłości, przyjaźni, sympatii, namiętności

afront – zniewaga, obraza

afery/Afrowie/Afry – mieszkaniec/mieszkańcy Afryki

akant – rodzaj roślin z rodziny akantowatych. Ich liście często wykorzystywano jako motyw ozdobny w architekturze, np. jako zakończenie/zwieńczenie kolumny

anilina – silna trucizna, podstawowy surowiec do otrzymywania barwników i leków

banicja – kara; wygnanie z kraju, pozbawienie praw obywatelskich

bekiesza – dawny płaszcz męski sięgający za kolana, podszyty futrem, wcięty w talii, zapinany na ozdobne guziki i pętelki. Dawny ubiór podróżny i na polowanie. Zazwyczaj obszerny, zakładany na inne okrycie

budynki galeriowe – budynki szeregowe, które tworzą ciągi liczące nawet kilkanaście obiektów

chłosta – inaczej biczowanie, tortura stosowana jako kara. Wielokrotne uderzanie osoby torturowanej w plecy lub inne części ciała, w twarz czy w stopy, w specjalnie do tego przygotowanym miejscu (pręgierzu – opis poniżej) lub po przywiązaniu do płotu

chłystek – młody, niepoważny człowiek; pętaś, smarkacz. Dawniej także chuligan, rozrabiaka

ciżba – duża liczba ludzi stłoczonych w jednym miejscu; inaczej tłum, rzesza, gromada, zgraja

chomąto – część uprzęży używana do zaprzęgania zwierząt pociągowych, w tym koni, do ciągnięcia wozu, pługa itp. Chomąto powinno być dopasowane do nasady szyi i wyściełane, aby zapobiec kaleczeniu skóry zwierzęcia

chorąży wielki koronny – urząd dworski związany z wojskiem w dawnej Rzeczypospolitej

cug maścisty – zaprzęg, w którym część koni dobranych jest ze względu na maść (umaszczenie), np. tylko konie kare lub gniade

culaga – opłata, którą miasto pobierało z tytułu rozładunku towarów w porcie

cyrulik – fryzjer męski, który oprócz ścinania włosów zajmował się goleniem, a czasem też wykonywał drobne zabiegi lekarskie np. opatrywał rany, nacinał ropnie, puszczał krew, leczył lekkie choroby

dubas – w XVI–XIX wieku statek rzeczny używany do spławu zbóż, rzadziej artykułów leśnych lub rud metali. Podczas transportu z prądem rzeki poruszany za pomocą ośmiu wiosł, a w drodze powrotnej z wykorzystaniem żagla podnoszonego na pojedynczym maszcie

dzianet – piękny, rasowy koń pochodzenia hiszpańskiego lub neapolitańskiego, o długiej wygiętej szyi, kształtnej głowie, ostrych niewielkich uszach, stąpający z charakterystycznym wyrzutem nóg; używany głównie podczas parad, hodowany w stadninach królewskich; potocznie koń wierzchowy

folusz – budynek ze znajdującą się w nim maszyną napędzaną wodą służącą do obróbki (folowania) sukna. Folowanie polegało na biciu sukna drewnianym tłuczkiem przy jednoczesnym dolewaniu ługu, mydła, moczu itd.

floren/floreny – złota moneta ważąca około 3,5 grama bita we Florencji od 1252 roku; główna złota moneta w Europie. Od XIV w. często naśladowano ją m.in. we Włoszech, Czechach, Francji. Weneckim odpowiednikiem florena był początkowo cekin, a potem dukat.

forszpan – stangret (służący) powożący z konia

frasować się – martwić się

frykas/y – wyszukana, smakowita potrawa; dawna francuska potrawa z kilku rodzajów mięsa

gawieź – pogardliwe określenie dużej grupy natrętnych gapiów

gorzeć – palić się, jaśnieć

grosiwo – pewna suma pieniędzy

harce – swawolna, beztroska zabawa; popisy zręczności i gonitwy w jeździe konnej

hajdawery – szerokie, długie, bufiaste spodnie noszone na Wschodzie i w Polsce w XVI–XVIII wieku; inaczej szarawary

hiszpańskie buty – narzędzie tortur w formie imadła w drewnianym lub metalowym pudełku, do którego wkładano stopy osoby karanej. Dokręcanie śruby powodowało miażdżenie stóp. „Buty” mogły też mieć kolce. Narzędzie stało się popularne dzięki łatwości obsługi; nie wymagało większych kwalifikacji od kata. W innej wersji tortury wkładano nogi ofiary do metalowego buta (czegoś na wzór pantofla) i podgrzewano go.

kiep – tu w znaczeniu człowiek głupi

kitajka – cienka, jedwabna tkanina pochodzenia wschodniego

kołpak – pochodzące z Turcji lub Persji stożkowate nakrycie głowy złożone ze zszytych zwężających się ku górze klinów. Upowszechnił się na ziemiach polskich w XVI stuleciu, a w XVII wieku stał się jednym z elementów narodowego stroju polskiego

komiega – w XVI–XIX wieku flisacki statek rzeczny bez masztu poruszany za pomocą wiosł. Charakteryzował się niewielkim zanurzeniem, co pozwalało wykorzystywać go do żeglugi po płytszych rzekach. Na Wiśle przewożono komiegami różne towary, przede wszystkim zboże do Gdańska

konfuzja – uczucie zakłopotania lub zawstydzenia

kontusz – charakterystyczny element stroju polskiej szlachty w XVII i XVIII wieku. Rodzaj płaszcza lub kamizelki z typowymi tzw. wylotami, czyli rozciętymi od pachy do łokci rękawami, które albo luźno zwisały, albo, odrzucone do tyłu, odsłaniały żupan. Kontusz był przewiązany ozdobnym pasem

koperwas – siarczan żelaza; dawniej służył do wyrobu atramentu, używany był też do farbowania

kurdyban – skóra garbowana, barwiona, zdobiona we wzory tłoczeniami, złoceniami lub srebrzeniami i malowidłami. Najcenniejsze kurdybany wykonywano ze skóry cielecej garbowanej roślinnie, pozostałe z koziej lub owczej

menonita/menonici – wyznanie chrześcijańskie zaliczane do protestantyzmu, powstałe w 1539 roku w Holandii

mistrz masełkowy – tytuł zawodowy rzemieślniczy uzyskany na egzaminie; z przynależności do cechu korzystały rodziny mistrzów, wdowy i dzieci mistrzów, nazywane masełkami. Wdowy po mistrzach korzystały z ulgowego przyjęcia na mistrza, podobnie ich nowo poślubieni partnerzy. Mogły prowadzić firmę na własny rachunek i zachować wiele uprawnień mistrzowskich, w tym zatrudniać czeladników i szkolić uczniów. Przepisy cechowe skłaniały owdowiałe kobiety, chcące zachować firmę i status majątkowy, do poślubienia nowych mężów, także czeladników.

murwa – dawniej kobieta lekkich obyczajów

odwach – inaczej wartownia; budynek, w którym stacjonowały oddziały wojskowe, warty garnizonowe i policyjne z zapleczem, czyli biurem komendanta, aresztem i izbami do odpoczynku lub oczekiwania na wartę. W odwachu przechowywano również broń. Najczęściej stanowił część zespołów zabudowań pałacowych, był wolno stojący, usytuowany w pobliżu głównej bramy.

ordynek – od niemieckiego *Ordnung*, czyli porządek. Część Rady Miasta. W 1526 roku król Zygmunt I Stary powołał gdańską Radę Miejską (Szeroką Radę) składającą się z trzech ordynków: I (Rada Miejska właściwa), II (Ława Miejska) i III (Trzeci Ordynek). Do kompetencji Szerokiej Rady należały najważniejsze sprawy wewnętrzne i zewnętrzne natury politycznej, wojskowej, społecznej, gospodarczej, oświatowej, wyznaniowej itd. Spośród członków ordynków powoływano stałe lub doraźne komisje, które nadzorowały działalność niektórych urzędów i zajmowały się m.in. opłatami, podatkami, kwestiami handlu, rzemiosła, cechami, żegluga, porządkiem publicznym, pożyczkami, loteriami. Podjęcie decyzji przez Radę Miejską wymagało zgody wszystkich ordynków. W tej formie Rada przestała istnieć w 1814 roku.

palowe – cło od towarów i statków cumujących w portach pobierane przez władze Gdańska. Ściągano je od połowy XIV wieku, a w XV wieku częściowo na rzecz państwa krzyżackiego. Od końca XVI wieku część palowego zasilala skarb Rzeczypospolitej.

pałętać się – chodzić bez celu; kręcić się, potracając nieustannie kogoś lub coś

partacz – dawniej rzemieślnik nienależący do cechu, mimo że taki istniał; często wyrobnik ze wsi

patrycjat – najbogatsza warstwa mieszczan od XII do XVIII wieku, która sprawowała w miastach władzę ekonomiczną i polityczną, członkowie Rady Miejskiej, najbogatsi kupcy, bogaci rzemieślnicy, bankierzy, właściciele gruntów miejskich

patrycjusze – najzamożniejsi mieszczanie uprawnieni do zasiadania w Radzie Miejskiej

planetnicy – postacie z wierzeń słowiańskich, demoniczne lub półdemoniczne istoty uosabiające zjawiska atmosferyczne. Wierzono, że planetnicy kierują chmurami, zsyłają burzę i grad

pociecha – pieszczotliwe określenie dziecka

portal – ozdobne architektoniczne obramowanie drzwi wejściowych, czasem też wewnętrznych, w kościołach, pałacach, ratuszach, w bogatszych kamienicach

pręgierz – słup stojący przeważnie przed ratuszem dawnych miast. Służył do wymierzania kar

przechera – osoba przebiegła, przewrotna, przekorna, kłótniwa

przedproże – parterowy taras poprzedzający wejście do budynku od strony ulicy, wysunięty i często ogrodzony balustradą. Element charakterystyczny dla miast pobrzeża Bałtyku. Przedproża budowano od XIV w., początkowo były drewniane, później miały dekorowane mury balustrady i dekorację rzeźbiarską

przyłoić – uderzyć mocno, przywalić, grzmotnąć

rajca – w dawnej Polsce od XIII w. członek Rady Miejskiej; początkowo wybierany na rok, później w wielu miastach mianowany dożywotnio spośród patrycjatu miasta przez starostę i wojewodę

sarmaci – koczowniczy lud pochodzenia irańskiego, który przemieszczał się po stepach nad Morzem Kaspijskim i Morzem Czarnym. Od niego chciała się wywodzić polska szlachta. Jej reprezentanci gloryfikowali

ustrój wolności szlacheckiej i niechęć do przemian politycznych czy gospodarczych. Polscy Sarmaci chwalili tradycyjny, konserwatywny tryb życia na wsi i sprzeciwiali się technologicznym nowinkom, które pojawiały się na zachodzie Europy. Te cechy szlacheckiego społeczeństwa w znacznym stopniu przyczyniły się do rozbiorów i upadku Rzeczypospolitej pod koniec XVIII w.

sąd relacyjny – sąd królewski w I Rzeczypospolitej, któremu przewodniczył monarcha, a asesorami (doradcami sędziego) byli obecni na dworze senatorowie. Sąd rozpatrywał odwołania od postanowień innych sądów, a także spory o cerkwie i ich uposażenie między Kościołem prawosławnym a greckokatolickim.

srogi – nieprzyjemny, o dużej sile, np. srogi mróz

stratus – chmura w postaci jednolitej białej lub szarawej warstwy, której podstawa znajduje się poniżej 600 metrów nad ziemią. Takim chmurom czasem towarzyszy mżawka lub bardzo drobny deszcz

sumaka (sumak) – rośliny z rodziny nanerczowatych; dawniej używane m.in. jako barwnik

suplika – oficjalna prośba, zwykle pisemna

szkut/szkuta – beznapędowy statek, dawniej żaglowy, płaskodenny, bez pokładu, powszechnie używany do transportu na żeglownej części Wisły. Przeznaczony przede wszystkim do śródlądowego transportu ładunków masowych, np. zboża.

szlachetka – szlachcic niezbyt bogaty, ale posiadający tytuł; nieraz nazywany szaraczkiem

szory – rodzaj uprząży w formie szerokiego pasa zakładanego na pierś konia razem z pomocniczymi rzemieniami. Wywodzi się z węgierskich tradycji zaprzęgowych, w której siłę pociągową przenosi się właśnie przez napierśnik

sztokfisz – rozplątana, wypatroszona ryba najczęściej z rodziny dorszowatych; ryby suszy się na żerdziach w otwartej przestrzeni, zwykle blisko brzegu morskiego, by zapewnić dostęp do słońca i wiatru

Trzeci Ordynek – reprezentanci najważniejszych cechów głównych, czyli rzeźników, piekarzy, szewców i kowali. Do 1678 r. członków Trzeciego Ordynku wybierała Rada Miejska, zwoływała ich też na posiedzenia i wskazywała sprawy, które poddawano dyskusji.

ukorzyć się – okazać pokorę i uległość wobec kogoś lub czegoś; uznać swoją niższość

władny – upoważniony do czegoś

zaperzyć się – unieść się gniewem, wpaść w złość; zaciętrzewić się

złoić skórę – sprawić komuś lanie; zbić za przewinienie

żarło – jedzenie, żywność

żupan – długi męski kaftan noszony jako szata wierzchnia, od XVI wieku stanowiący podstawowy element polskiego ubioru narodowego. W XVII wieku noszony przez szlachtę pod kontuszem, szyty z lżejszych, zwykle jedwabnych tkanin. Zapinany od pasa w górę na rząd drobnych pasmanteryjnych bądź biżuteryjnych guzików lub na haftki.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

P O L E C A M Y



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Epilog](#)

[Słowniczek dawnych nazw i określeń](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Ewa Popławska, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Opracowanie redakcyjne: Jolanta Zientek-Varga

Korekta: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Dancingdice / shutterstock.com;

© Anneka / shutterstock.com; © EA09 Studio / shutterstock.com

ISBN 978-83-67204-35-4



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek